



Jacek Joachim

**SZTYLET
WENECKI**

Jacek Joachim



**SZTYLET
WENECKI**

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

Dom pod lipami

Wysiadłem z taksówki na rogu alei Lipowej. Ale kiedy zostałem sam na pustej ulicy, z ciężkim workiem podróznym, zmaląła we mnie ochota na spacer w głąb cienistej alei, która, pamiętałem z planu, przecinała zielone przedmieście aż ku polom biegnącym do autostrady i dalej, po horyzont zamknięty pasmem niskich, porośniętych lasem wzgórz. Nazwy wszystkich okolicznych ulic pochodziły od drzew i nie była to przesada ani wynik systematyczności biurokratów. Jeszcze przez szyby taksówki odczytywałem białe napisy na długich, niebieskich tabliczkach: na Kasztanowej rosły kasztany, na Dębowej dęby, na Topolowej topole, na innych też pewnie odpowiednie gatunki, ale nigdy nie byłem mocny w botanice, dałem więc spokój tabliczkom i drzewom, postanowiłem za to zacząć od spaceru, który odkryje mi dalsze uroki dzielnicy. No i mam tę szansę.

Zaskrzybiały koła, odwróciłem się, młoda kobieta pchała przed sobą wózek.

— Chyba za wcześnie wysiadłem z taksówki — powiedziałem.

— Przepraszam panią, czy numer sześćdziesiąty na alei Lipowej jest tam, pod górkami, czy trochę bliżej ?

— Sześćdziesiąty? — Przyjrzała mi się uważnie. — Pan do domu pod lipami?

— Wszędzie tu rosną lipy, więc pewnie i ten dom jest pod lipami?

— Tak nazywają dom profesora Kędzierskiego. — Zawahała się. — To okropna historia, prawda? Pan jest krewnym profesora?

Gaworzyłaby tak w najlepsze, ale na szczęście obudził się dzieciak w wózku, wypluł cumła i ryknął potężnie; kiwnąłem więc głową i poszedłem aleją, wlokąc za sobą piekielnie ciężki worek i przeklinając chwilę, w której zdecydowałem się doładować go książkami, aby podeprzeć swoją zmurszałą już nieco wiedzę o przedmiocie zainteresowań nieżyjącego profesora. Było późne popołudnie. Na blado-niebieskim niebie piętrzyły się białe kłęby chmur, wiatr dmuchał z głębi ulicy ciężkim, zastałym skwarem, gęstym od zapachu lip, kwiatów i skoszonych traw; przez druciane siatki ogrodzeń, rzadkie żywopłoty przeświecały płótna kolorowych leżaków, białe koszule mężczyzn podlewających kwiaty, różnobarwne opalacze kobiet; ale w wielu ogrodach było pusto, okna willi zasłonięte okiennicami, niemal nie słychać dzieci — ci ludzie chodzą teraz po górach, wylegają się nad morzem, płyną po jeziorach, a nie wloką się w ubraniu, z bagażem w ręku po zakurzonym chodniku, złani potem, jak ja teraz, najgłębiej przeświadczony, że każde niemal wakacje przyjdzie mi spędzić w sposób sprzeczny z własnymi upodobaniami i że jest to widocznie moje przeznaczenie, z którym jednak nie umiem się pogodzić. Prędzej więc, niech się już pojawią te kute w żelazie sztachety, niech nadejdzie chwila, w której będę mógł zrzucić ubranie, włożyć dzinsy, sandały, lekką koszulę i udawać, że nic mnie nie obchodzi przeciwności losu. Każdą pracę można lubić, ale przecież nie wtedy, kiedy się ją wykonuje. Do każdej pracy można się przyzwyczać, ale przecież nie wtedy, kiedy nie widać jej końca.

Numer na furgonku: 54. Więc już blisko: mały, drewniany domek, przed nim kwitnące klomby: 56. Stara, ponura willa, porośnięty chwastami trawnik, pies ugania po tym trawniku: 58.1 wreszcie: wysokie sztachety kute w żelazie, za nimi gęsty żywopłot, a dalej czuby lipowych koron. I furgonka bez numeru. To tu.

Pisk hamulców, zatrzymuje się za mną taksówka. Naciskam dzwonek. Z taksówki wysiada dziewczyna, ciągnie za sobą walizkę. Wściekła, spocona jak ja.

— Ładne nam urządzili wakacje — powiedziałem, odbierając

jej walizkę. — Dzień dobry pani.

— Nam? — Uniosła brwi. — A skąd pan wie, jak ja spędzam wakacje? I co pan tu w ogóle robi?

Wskazałem swój worek podróży.

— Przyjechałem, jak pani. Tylko wysiadłem za wcześnie z taksówki i przeszedłem kilometr piechotą.

— Po co? Żeby się rozgrzać?

— Wiedziałem, że pani odgadnie.

Szczęknęła furtka, tęga kobieta rozparła się w wejściu.

— Od kiedy się zepsuł automat, nóg już nie czuję, nie wynajęłam się na odźwierną — oświadczyła. — Jak furtkę zostawię otwartą, to zaraz się znajdzie ktoś, żeby zaniknąć, a naprawić nie ma komu. Każdy rządzi, a nikt się nie zajmie.

— To już taka nasza narodowa cecha — powiedziałem. — Ma pani klucz? To proszę otworzyć zamek i furtka się nie zatrzaśnie. Zamykać będzie pani na noc.

Wyciągnęła klucz z kieszeni fartucha, przekręciła w zamku.

— Pierwsze mądre słowo — powiedziała z uznaniem. — I sposób prosty.

— Wpuści nas pani?

Zmierzyła nas uważnym, ale już życzliwym spojrzeniem.

— A państwo... — zawahała się — państwo krewni?

— Nie — odpowiedziała moja towarzyszka. — Przyjeżdżam z Instytutu Historycznego. Mam wziąć udział w porządkowaniu papierów profesora.

— Mamy wziąć udział — poprawiłem.

Dziewczyna spojrzała na mnie, zaskoczona, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo tęga cerberka skinęła energicznie głową i ruszyła wąskim chodniczkiem między dwoma pasami żywopłotu w stronę domu, nie dopuszczając nas do głosu:

— Już prawie wszystkie pokoje pozajmowane — mówiła — pojeżdżało się gości, każdy chodzi jak po swoim, ale coś jeszcze dla państwa znajdę, jest pokój na piętrze z dużym tapczanem, jakoś się państwo urządzą.

— Ale... — zaczęła dziewczyna z paniką w głosie.

— Musi pani znaleźć dwa pokoje — powiedziałem szybko. — Niestety, nie jesteśmy małżeństwem. Co gorsze, mąż koleżanki

ma staroświeckie zasady, wąsy i nie lubi żartów.

— Słusznie! — zawołała gosposia. — Ja także mam staroświeckie zasady, a młode kobiety dzisiaj nie umieją ocenić prawdziwego mężczyzny. Sama jestem kobietą, ale wychowali mnie przed wojną inaczej i młodym nic nie wierzę.

— Czy pan oszalał? — szepnęła dziewczyna. — Co pan w ogóle opowiada?

Ale już wchodziliśmy po płaskich stopniach na szeroki taras. Dom był duży, piętrowy, obrośnięty dzikim winem, ciemne otwory wysokich okien bramowały białe, ażurowe skrzydła otwartych okiennic, lśniące w przedwieczornym słońcu na ciemnozielonym tle. Taras był pusty. Stały tam ogrodowe krzesła, zielone, drewniane stoliki, a na nich porzucone karty, książki, szklanki, jakby przed chwilą jeszcze spędzali tu czas wszyscy mieszkańcy domu.

— Goście jedzą kolację — wyjaśniła gosposia. — Państwo pójdą teraz na górę, a potem zejdziecie, coś się jeszcze znajdzie. No i panna Ala będzie chciała was zobaczyć. Wiedziała, że przyjdziecie, ale nie wiedziała kiedy.

— Sekretarka Instytutu miała wysłać depezę — powiedziała dziewczyna. — Nie chcę robić kłopotu, mogę zjeść na mieście.

— Jaki tam kłopot. — Wzruszyła ramionami. — Kaszy więcej wrzucę na patelnię, a kwaśne mleko jest.

Z ciemnego hallu prowadziły szerokie schody na piętro, zza otwartych drzwi w głębi dochodził gwar rozmów i szcęk naczyń. Na piętrze skręciliśmy w prawo korytarzem, za oknem na szczytowej ścianie gęsta korona lipy, przesiane przez liście plamy słonecznego światła drżały na ścianach rudawym poblaskiem, aż tu słychać było brzęczenie pszczół. Gospodyni zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie, otworzyła je zamasyście, zaprosiła moją towarzyszkę szerokim gestem.

— Tu się pani zatrzyma — powiedziała — a z panem — zastanowiła się — co ja z panem zrobię? Naprzeciw mam mały pokoik. Ale tam tylko otomana i szafka. Chyba że jeszcze zapytam...

— Wystarczy mi otomana i szafka — zapewniłem ją gorąco. —

Sama pani widzi, jak mało mam rzeczy, a zależy mi przede wszystkim na spokoju.

I zrobiłem minę steranego życiem nieszczęśnika.

— Pan to mi się podoba — oświadczyła gospodyni.

— Praktyczny i skromny, dzisiaj między młodymi wielu takich nie ma. Proszę, niech pan wejdzie. Pościel potem przebiorę. Łazienka za tamtymi drzwiami.

I odeszła korytarzem, posapując.

— Czy mogę potem zajrzeć do pani? — spytałem dziewczynę, stojącą jeszcze w progu i patrzącą na mnie z politowaniem. — Chciałbym, żebyśmy zamienili parę słów, zanim zejdziemy na dół.

— Oczarował pan już gospozię i teraz kolej na mnie, co? — spytała. — A właściwie to kiedy mi się pan przedstawi?

— Kiedy się przebiorę.

— W smoking?

— Aha. Zawsze go wożę w węzélku, owinięty w „Trybunę Ludu”.

— Jeszcze się muszę zastanowić, czy mi będzie odpowiadało pańskie sąsiedztwo.

— Za późno. Nie po to się zdecydowałem na tę okropną klitkę, żeby dostać kosza.

Usłyszeliśmy kroki na schodach i cofnęliśmy się równocześnie, zamykając drzwi.

Klitka rzeczywiście była okropna. Czysta wprawdzie, wysoka, ale przypominała więzienną celę z tym wąskim okienkiem, zasłoniętym okiennicą jak kratą, z jasnymi, pustymi ścianami, nie wyposażona w meble, poza ową otomaną, wążutką i twardą, i nocną szafką, na której stała, na szczęście, lampka z kolorowym kloszem. Zacząłem żałować, że nie zatrzymałem się w hotelu, kiedy zobaczyłem wąskie, wysokie, lakierowane drzwiczki blisko wejścia, a za nimi głęboką, ścienną szafę, w której wisiało kilka wieszaków. To mi poprawiło humor. Zrzuciłem wreszcie ubranie, wciągnąłem dżinsy i lekką koszulę, książki złożyłem na parapecie, otworzyłem szeroko okiennice, resztę rzeczy rozmieściłem w nocnej szafce i na półce ściennej i z ręcznikiem przewieszonym przez ramię udałem się do

łazienki. Na korytarzu znowu wpadłem na moją sąsiadkę.

— To jest ten pański smoking? — spytała. — Fascynujący. Jestem bliżej drzwi, przegra pan.

I zamknęła się w łazience. Stałem przy oknie, wyjrzałem. Pod drzewem, które zasłaniało dach sąsiedniej willi, ujrzałem wysokiego mężczyznę w jasnej koszuli, pogrążonego w cichej, ożywionej rozmowie z kobietą, odwróconą do mnie plecami; widziałem tylko jej jasne włosy, kolorową sukienkę i brązowe, opalone nogi.

Gdzieś dalej ktoś grał na gitarze, pogwizdując melodię kowbojskiej ballady, brzęczały pszczoły, intensywny zapach lipowych kwiatów trwał w nieruchomym, przedwieczornym powietrzu. Poczulem zmęczenie, lepkie i obeszładniające. Cały dzień tkwiłem w pustym przedziale pierwszej klasy, obłożony książkami, do których nawet nie zajrzałem: jedną tylko, otwartą, trzymałem na kolanach, wpatrzony w senny pejzaż za oknem, odurzony upałem i rytmicznym postukiwaniem kół; myślałem o latach, które sprawiły, że nie zostałem przy książkach, wyciągniętych teraz z dna biblioteki i otrzepanych z kurzu, że odszedłem z chłodnych, cichych bibliotecznych sal, od zielonego stołu, na którym rozłożone poźółkłe rękopisy, pokryte bladym pismem, wydzielają delikatną, specyficzną woń; od grubych foliałów czasopism, czerwono oprawnych tomów bibliografii, radości niespodziewanych odkryć, nudy żmudnych poszukiwań... Co kilka chwil odczytywałem dwa, trzy zdania, a potem przymykałem oczy, żeby zobaczyć stosy notatek, butwiejących teraz na półce w piwnicy, odczuć tamtą niecierpliwość, podniecenie, gdy odporne fakty poczynały łączyć się w siatkę zwartą i logiczną, satysfakcję, gdy wypełniać się zaczynały puste miejsca w przebiegu zdarzeń, krystalizować intencje, odkrywać zamiary ludzi ożywających nagle, jak kukły dotknięte laseczką czarnoksiężnika — triumf wreszcie, kiedy z chaosu informacji wyłaniać się poczynał obraz konsekwentnych działań, dążeń, prób i usiłowań; gdy jasne stawały się racje, i mogłem sobie powiedzieć, że oto opanowałem bełkot relacji, złamałem szyfr znaków, jaki mi tamci ludzie zapisywali sprawy dla siebie tylko oczywiste, a teraz, wreszcie, rozumiałe

i dla mnie...

Trzasnęły drzwi, ocknąłem się, otworzyłem oczy.

— Łazienka wolna!

Pode mną nie było już nikogo. Ucichła gitara, ujadaly psy. Gęstniały cienie pod drzewami.

Umyłem się i poczułem się lepiej. Wyszedłem na korytarz i zastukałem do drzwi naprzeciw.

Moja sąsiadka zajmowała duży, ładny pokój, o oknach wychodzących na ogród przed domem, z szerokim istotnie tapczanem, biurkiem, balkonem, fotelami wokół niskiego stolika, z kolorowymi reprodukcjami impresjonistów na ścianach. Była już gotowa: w szafirowym garniturku, z krótką czupryną, której nieład był dziełem sztuki. Kiedy przyjrzałem się jej uważnie, po raz pierwszy właściwie, uznałem, że jej obecność nie sprawi mi przykrości. Podeszła do mnie z wyciągniętą ręką.

— Nazywam się Ewa Szot — powiedziała.

— Jacek Joachim.

Pokiwała głową.

— Tak się domyślałam. Mój szef mówił mi o panu. Mam pana uważać za historyka.

— Ma mnie pani uważać za człowieka. Historykiem jestem skądinąd, nie tak pewnie znakomitym jak pani, ale w tym właśnie zakresie liczę na pani pomoc.

— Sądząc po pana minie, nie miał to być komplement. Ale mniejsza o to. I tak wyobrażałam sobie pana dużo gorzej.

— Dzięki i za to. Pracuję więc w Instytucie Historycznym, pracuję od niedawna. Przyjechaliśmy, aby wziąć udział w porządkowaniu papierów profesora, zorientować się w stanie jego rozpoczętych prac.

— Nie wziął pan pod uwagę, że nie będziemy tego robić sami. Spotkamy tu miejscowych historyków, nieraz wybitnych. Ich pan też wtajemniczy?

— Tylko w razie konieczności.

— Ale oni przecież znają środowisko. Ma pan dla nich legendę?

— Proszę pani, kiedy skończyłem studia, miałem przez jakiś

czas asystenturę na uniwersytecie. Ogłosiłem parę prac. Powinna to pani wiedzieć. Jest tu nawet na uniwersytecie mój kolega, jeszcze ze studiów i czasów asystenckich, potem straciliśmy kontakt, powiem mu, że pracowałem, na przykład, w bibliotece. On już jest docentem.

Usiadła na fotelu, podsunęła mi papierośnicę, zapaliliśmy.

— Hm, a swoją drogą — mruknęła — mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego przeszedł pan do milicji?

— Wiele osób mnie już o to pytało, panno Ewo.

— Skąd pan wie, że jestem panną?

— Więc z tym mężem to jednak prawda?

— Pan jest niesamowity. Naprzód opowiada pan hojdy bojdy naszej nieszczęsnej gospośi, że przez rok nie sprostuję, a potem sam pan w to wierzy. Nie, nie jestem mężatką, tylko nie znoszę, kiedy się do mnie mówi: panno Ewo.

— Dobrze, czcigodna pani.

— Czuję, że nie będę pana lubić.

— Każde silne uczucie budzi wzajemność.

— Moje uczucia w stosunku do pana są letnie.

— To się zgadza z porą roku. I może zejdziemy już na dół, czas przedstawić się pani domu.

— Myśli pan o siostrze profesora? Czy to o niej gospośia mówiła: panna Ala?

— O niej. Widocznie lubi, kiedy się do niej mówi: panno Alu.

— Oj, chodźmy już, chodźmy. Chociaż, prawdę mówiąc, chciałabym się jeszcze paru rzeczy od pana dowiedzieć, ale to rzeczywiście nie teraz.

— Zrobiła już pani doktorat? — spytałem, wstając.

— Bronię za rok. A dlaczego?

— Bo „pani magister” nie brzmi najlepiej.

— Oj, niech pan mnie nie męczy. Jeżeli mam być tu dla pana parawanem, to wobec tego przy ludziach proszę mi mówić ty. Dobrze?

— Bawi panią ta sytuacja? Bo muszę pani powiedzieć, że to może wcale nie być zabawne.

Spowaźniała.

— Prawda — szepnęła — przecież to jeszcze nie ma tygodnia,

kiedy...

Zastukano do drzwi. To nasza zwałista gosposia.

— Państwo gotowi? — spytała. — Panna Ala prosi do siebie. I kolację już przygotowałam.

Zeszliśmy na dół, do hallu. Kilka osób stało na tarasie, patrzyło na nas z zaciekawieniem, rozpoznałem wśród nich wysokiego mężczyznę o siwiejących skroniach, którego widziałem niedawno przez okno korytarza — ale gosposia poprowadziła nas bocznym korytarzykiem, odsuwając kotarę, dobraną kolorem do ścian, i zastukała do masywnych drzwi.

— To oni! — krzyknęła, nie czekając na odpowiedź, i nacisnęła klamkę.

Znaleźliśmy się w pokoju zatłoczonym masywnymi, starymi meblami, pięknie zresztą utrzymanymi: jakieś szafy pokryte misternym ornamentem, sekretarzyk wykładany perłową masą, jakieś sofki, otomanki zarzucone kolorowymi poduszkami, radio w olbrzymim pudle, lśniącem ciemną politurą, na ścianach tłok oprawnych fotografii, miniatur, portretów, zegarów, makatek, ceramiki, ściennych kalendarzy i ciężki żyrandol pod sufitem, nieprzyzwoicie nagim w tym szczelnie zapełnionym wnętrzu. Mrok tu już zresztą czaił się po kątach, tylko szyby pobłyskiwały krwawo, a na ich tle obok wielkiego skórzanego fotela tkwiła ciemna, wysmukła sylwetka, jakby wycięta z papieru.

— Proszę — powiedziała panna Ala. — Dziękuję Helenie, za dziesięć minut proszę podać kolację w stołowym.

Helena wyszła bez słowa, a panna Ala wyciągnęła rękę ku wysokiej stojącej lampie, umieszczonej za fotelem, wielki klosz rozjaśnił się ciepłym, kremowym światłem, a wtedy zaślnęły błyszczące płaszczyzny mebli, ożyły barwy narzut, makatek, poduszek i pokój stał się przytulny i sympatyczny.

— Miło mi państwa powitać — mówiła pani domu podając nam rękę i wskazując miękkie puffy obok fotela — chociaż wolałabym, żeby...

Przerwała, usiadła na fotelu, opierając głowę na ręce, milczała chwilę. Usiedliśmy, nie przerywając tego milczenia. Zachrobotał zegar na ścianie, uderzył raz, za nim odezwał się

zegar drugi, trzeci, a wtedy panna Ala uniosła głowę, otarła kąciki oczu i przyjrzała nam się uważnie.

— Uprzedzono mnie o waszym przyjeździe i wiem, kim państwo jesteście — powiedziała. — Chciałabym, żebyście mogli jak najwięcej czasu poświęcić uporządkowaniu papierów mojego brata: wiele pracował przez ostatnie lata, przygotowywał książkę, którą uważał za najważniejszą ze wszystkiego, co dotychczas zrobił. Mam nadzieję, że wydanie tej książki będzie możliwe i że wy tę możliwość stworzycie. Będę czekała z prawdziwym niepokojem na to, co powiecie, kiedy zaznajomicie się ze stanem rękopisów, będę czekała jak... jak na wyrok. Ta okropna historia, której nie umiem zrozumieć, nie może przecież przekreślić takiej pracy, takiego wysiłku, takiej... — Urwała, znowu oparła czoło na ręce. — To był naprawdę wartościowy człowiek — szepnęła. — Naprawdę...

Jej głos był niski, dźwięczny, zaskakująco głęboki w zestawieniu z wiotką, szczupłą, suchą postacią; twarz pani Kędzierskiej przypominała teraz maskę: drobne rysy, zakrzepłe w wyrazie rezygnacji i goryczy, i sieć drobniotkich zmarszczek, których układ zdawał się świadczyć, że siostra zamordowanego profesora śmiała się często i szczerze, które jednak, nieruchome i obce jakby na tej twarzy, przypominały fakturę starego drewna lub popękanych tekturowych mas, z jakich wyrabiano jarmarczne kukły.

— Chciałam zatrzymać się w hotelu — odezwała się Ewa. — Zdaję sobie sprawę, że dom pełen gości jest teraz dla pani...

Przerwała energicznym ruchem ręki.

— Helena i Janiak mogą pomieszkać trochę w oficynie; będziecie tu mieli dobre warunki do pracy, a i dla mnie będzie to ulga, kiedy pomyślę, że jest pod moim dachem ktoś, komu zależy tylko na tym, co dla mojego brata było najważniejsze i co w jakiś sposób... przedłuży jego życie.

— Byłem kiedyś uczniem profesora — powiedziałem. — Nie potrafimy zmienić tego, co się stało, ale też nie możemy uznać, że było to po prostu zrządenie losu. Chciałbym jutro, zanim przystąpimy do pracy, prosić panią o rozmowę.

— Dziękuję panu. — Podniosła się, wstaliśmy i my.

— Będę do pana dyspozycji. Proszę teraz zjeść kolację i wypocząć po podróży. Już późno.

Poprowadziła nas przez hall do jadalni i usadowiła przy stole. Wszędzie zapalono już światła, o sufit obijały się ćmy, ale nikt nie zamykał okien, za którymi trwała duszna, ciemna noc. Szczęknięły drzwi od kuchni, zjawiała się w nich Helena z parującym półmiskiem w jednej ręce, szklanym dzbankiem napełnionym kwaśnym mlekiem w drugiej.

— Może przygrzać coś z obiadu? — zapytała, ustawiając przed nami naczynia. — Panna Ala pamięta, zostały zrazy...

— Proszę nie nazywać mnie panną — ofuknęła ją pani domu. — Tyle razy Helenie mówiłam. Po kolacji proszę jeszcze przejść na taras — zwróciła się do nas

— poznacie państwo resztę moich gości.

I znikła za drzwiami.

— Dobrze, dobrze — mruzczała Helena, zabierając się do wyjścia. — Nie daj Boże, jak się kobieta zestarzeje i nic z życia nie ma. Dokuczliwa się robi jak mucha.

— Przeżyła silny wstrząs... — mruknąłem z pełnymi ustami, bo głodny byłem straszliwie. — Powinna to pani zrozumieć...

— A ja nie przeżyłam wstrząsu? — Wzięła się pod boki. — To ja weszłam wtedy do gabinetu, to ja pierwsza zobaczyłam pana profesora! Dwadzieścia lat tu jestem, od czasu, jak owdowiałam. Ja ich matkę jeszcze znałam, ja...

— Helena! — zadudnił ochryply męski głos z kuchni. — Helena! Woda wam gaz zalała, wszystkich zatrujecie, wszystkich, a mnie pierwszego...

— To skróćcie kurek! — wrzasnęła i znikła za drzwiami, a Ewa spojrzała na mnie z dezaprobatą.

— Mógłby pan jej nie wyciągać na rozmówki.

— Wszystkich będę wyciągał na rozmówki. A pani mi pomoże.

— Taki pan pewien?

— Niczego nie jestem pewien.

— Nawet mnie?

— Pani najmniej.

— Ładne rzeczy. A to dlaczego?

— Bo jeszcze nie zaczęliśmy pracy, a pani już marzy o tym, żeby ją skończyć i wyjechać.

— Skąd pan wie?

— To widać gołym okiem. Pani się boi tego domu. Jedliśmy chwilę w milczeniu.

— A jeżeli nawet... — zaczęła wreszcie. — A jeżeli nawet, dziwi to pana?

— Nie, nie dziwi. Ale nie pomaga.

— Chyba za wiele pan po mnie oczekiwał.

— Właśnie to chciałem powiedzieć.

— No i masz — westchnęła. — A ja myślałam, że pan się mną zachwyca.

— Pani Heleno!

Na progu jadalni zjawiała się dziewczyna w czarno-czerwonym garniturku, gęste jasne włosy opadały jej na ramiona.

— Pani Heleno!

— Czego tam? — rozległo się z kuchni. Dziewczyna zobaczyła nas i zbliżyła się z wyciągniętą ręką.

— Nazywam się Murawska — powiedziała. — Na imię mi Ada. Profesor Kędzierski był mężem mojej matki.

— Czego panna Ada krzyczy? — Helena wysunęła głowę zza kuchennych drzwi. — Nie jestem głucha i już nic dzisiaj nie podaję.

— Nawet czegoś do picia? — spytałem. — Niech się pani zlituje nad gośćmi, siedzą na tarasie i marzą o herbacie.

— Skąd pan wie? — zdziwiła się Ada. — Gotowa jestem sama to zrobić, byle tylko pani Helena wpuściła mnie do kuchni.

— Dobrze już, dobrze — ochłonęła. — Zaraz zrobię, a po kuchni proszę się nie kręcić.

— Jakim cudem pan tak działa na tę czarownicę? — spytała Ada, siadając przy nas. — Wszyscy wprawiają ją we wściekłość samym swoim istnieniem. O Boże, żeby tu gdzieś blisko był basen. Wykąpałoby się, co?

— Na planie miasta widziałem jakąś wodę, tam w stronę autostrady — powiedziałem.

— A tak, glinianki, bardzo fajne, tylko ogrodzone i zamykają

je o siódmej. Możemy je jutro wypróbować.

— Powinniśmy.

Kolacja była skończona. Wstaliśmy równocześnie.

— Chodźcie na taras — zawołała Ada. — Tam jest też jak w piecu, ale przynajmniej drzwiczki otwarte.

I poszła przodem.

— Ona nie ulega przesadnym nastrojom — mruknęła Ewa.

— W każdym razie ich nie demonstruje.

— Rozumiem. Ma pan u niej szanse, tak jak ona u pana. Może mi pan wierzyć, znam się na tym.

— Postaram się to sprawdzić.

— Mnie to nie przeszkadza.

Taras oświetlony był lampą, płonąca nad drzwiami w mlecznym kloszu. Smugi światła drżały na trawnikach, zwirowanej ścieżce i nieporuszonych najmniejszym wiatrem liściach drzew błyszczących w tym świetle jak strzępy folii, promieniujące własnym blaskiem na granicy zbitej czerni, rozświetlonej tylko na zachodzie purpurowymi refleksami. Trwała tu sješta. Młody człowiek przy najbliższym drzwi stoliku grał w domino z korpulentną starszą panią, niezbyt uważnie, bo partnerka gromiła go właśnie ku niezadowoleniu siwego, krępego eleganta w ubraniu z jasnego tropiku i w granatowej muszce, siedzącego przy nich z rozłożonym na kolanach dziennikiem. Pani Ala rozmawiała, stojąc na schodach z wysokim mężczyzną w jasnej koszuli, który zwrócił się ku nam, kiedy tylko stanęliśmy w wejściu, i widać było, że czeka na przerwę w wywodach pani domu, aby do nas podejść.

— Ciociu — powiedziała Ada — są nasi goście.

Starsza pani, strofująca partnera, sięgnęła gwałtownie po okulary, burząc przy tym zawyły deseń czarnych kostek domina.

— Waciu! — ryknął podstarzały elegant. — Miałaś prawie wygraną partię! Czy ty nigdy nie nauczysz się porządku?

— Nie krzycz na mnie — odparła z godnością. — Ja na ciebie też nie krzyczę, kiedy po obiedzie zasypiasz w fotelu z papierosem i wypalasz dziurę w ubraniu.

— Ja?! — wykrzyknął. — Ja z papierosem?! Ja w ubraniu?! Ja

zasypiam?! A kto nadepnął psu na ucho, kiedy leżał chory na słomiance? Kto oblał kawą mecenasa Dołęgę na własne imieniny? Może ja? Ja jestem bezbłędny!

— Tak, Klemensie, jesteś bezbłędny — zgodziła się spokojnie i zwróciła się ku nam. — Mój mąż jest bardzo ambitny — wyjaśniła — ale do tego można się przyzwyczać. Mrozowska jestem.

— Magister Mrozowski. — Stuknął obcasami, całując szarmancko rękę Ewy, a i moją z rozmachu podnosił już ku ustom, czemu się nie sprzeciwiałem, czekając co z tego wyniknie, kiedy flegmatyczna małżonka powiedziała: — Klemensie, zaraz popełnisz błąd — i magister Mrozowski oprzytomniał.

— Melania i Klemens są naszymi kuzynami — dokończyła prezentacji pani Ala. — Przyjechali tu aż z Klocka, z Podlasia, żeby być w tych ciężkich dniach z nami.

— Prowadzę tam kancelarię notarialną — oświadczył pan Mrozowski. — Już czterdzieści lat, proszę państwa. Nie licząc, oczywiście, przerwy wojennej.

— I ćwiczeń wojskowych w 38. — uzupełniła pani Wacia. — Trzymiesięcznych.

— Nie musisz mi przypominać! — zakipiał. — Właśnie chciałem o tym powiedzieć. Nie zapominam najdrobniejszych szczegółów!

— Nie zapominasz — przyznała. — Tylko czasem jesteś roztargniony.

Młody człowiek już od dłuższej chwili przyglądał się Ewie, teraz przedstawił się nazwiskiem profesora. Był jego bratankiem, inżynierem niedawno po studiach, pracował w Krakowie. Pani Ala, która gaworzenia swoich kuzynów słuchała z wyraźnym znudzeniem, na bratanka spoglądała ciepło, a kiedy tak stał przed Ewą, nie puszczając jej ręki, ogarnęła ich oboje przyzwalającym spojrzeniem, co, nie wiem dlaczego, wcale mi się nie podobało.

Na koniec zbliżył się do nas trzymający się dotychczas na uboczu mężczyzna w jasnej koszuli, który rozmawiał z panią Alą.

— Nazywam się Emil Winiarski — rzekł, witając się. — Chyba się jeszcze nie spotkaliśmy, a to w naszym małym świecie historycznym zdarzenie raczej rzadkie.

— Nie taki mały ten nasz świat — powiedziałem.

— W każdym razie zaległości nadrobiliśmy.

— Pan doktor jest adiunktem w katedrze profesora

— wtrąciła szybko Ewa, jakby obawiając się, że popełnię gafę.

— Znam pana prace, więc można uznać naszą znajomość za zawartą wcześniej. Wiem także, że wyjeżdża pan na rok do Nancy

— Na razie czekam na paszport. Pani zajmuje się Księstwem Warszawskim — Winiarski przyglądał się jej z zainteresowaniem — to także wiem. A pan — zwrócił się do mnie — czy to nie pana praca o ideologii Towarzystwa Republikanów Polskich? Ależ tak, oczywiście, pan Joachim. Tyle że to było dobrych kilka lat temu.

— Zgadza się, miałem sporą przerwę, nie tylko w publikacjach. Ale to już inna historia.

Usiedliśmy przy stoliku; Janusz, bratanek profesora, przeniósł się do nas, ku niezadowoleniu pani Mrozowskiej, która wreszcie rozpoczęła partię domina z mężem, można więc było przypuszczać, że przez najbliższy kwadrans będziemy bezpieczni. Pani Ala weszła do domu, Ada natomiast wyciągnęła się na leżaku, zapaliła papierosa i ze znudzoną miną wpatrywała się w ciemność, ponad naszymi głowami.

— Pasierbicy profesora najwyraźniej brak rozrywek — mruknął z przekąsem Winiarski. — Nie była nawet na pogrzebie, przeleżała ten dzień w łóżku z książką w ręku, podobno źle się czuła. Proszę mi wybaczyć — zwrócił się do Janusza. — Pan, być może, widzi to inaczej, w końcu jesteście rodziną...

— Jaką tam rodziną? — obruszył się. — Widuję ją raz na dwa lata, albo i rzadziej. Zresztą po rozwodzie stryja w ogóle straciłem ją z oczu, to dla mnie obcy człowiek. Ale brzydka nie jest — dodał z zadumą.

— Włosy ma ładne — mruknęła niechętnie Ewa. Spojrzeliśmy na siebie z Winiarskim i roześmialiśmy się.

— W porządku — powiedziałem — układy są prawidłowe.

— Tak pan myśli? — spytała Ewa. — To czemu pan jej nie osłodzi samotności?

— Słusznie. — Podniosłem się. — Ktoś to musi zrobić.

I podszedłem do Ady.

— Nonsens! — wykrzyknął notariusz. — Powinnaś mi oddać część swoich kostek. Ja nigdy nie przegrywam!

— Nigdy — zgodziła się pani Wacia. — Czasami tylko masz pecha.

— Zapali pan? — Ada wyciągnęła ku mnie paczkę papierosów. — Za wcześnie, żeby pójść spać, za gorąco, żeby coś robić. Niech pan sobie przysunie stołeczek.

Posłuchałem.

— Długo tu pani zostanie? — zapytałem. — Mogłaby pani teraz wracać z plaży po kąpeli albo popływać kajakiem po jeziorze.

— Lubi pan kąpać się w nocy? — westchnęła. — Ale podczas takiej zupełnej ciemności, kiedy nawet gwiazdy nie świecą, tylko duszno, parno, burza za horyzontem, a woda jak grzana, prawie nieruchoma, pycha, co?

— I strach, kiedy się nie wie, gdzie brzeg, a potem grunt pod nogami i chłodny piasek, panno Ado, co my tu właściwie robimy?

— No właśnie. Obiecałam mamie, że posiedzę u ciotki, mama jest chora i nie mogła przyjechać. I jeszcze jakieś sprawy majątkowe... Tymczasem z ciotką nie można się dogadać i tak ucieka dzień po dniu...

— Ale nie była tu pani sama...

— Myśli pan? — Wzruszyła ramionami. — Janusz udaje zboląłego żalobnika, ci okropni Mrozowscy odbierają człowiekowi chęć do życia i małżeństwa, a pan doktor Winiarski każdą wizytę zmienia w sesję naukową poświęconą pamięci swojego mistrza. Aleja się nie dam nabrać, ma otwartą drogę do katedry i diabeł mu patrzy zza kołnierza. Jeszcze nie słyszałam, żeby adiunkt lubił profesora.

— Pewnie pani czytała stare powieści. Teraz raczej profesorowie nie lubią swoich adiunktów.

— Myśli pan? Może. Tak naprawdę to nic mnie to nie obchodzi. A właściwie dlaczego nie wygląda pan na historyka?

— Pewnie dlatego, że nie lubię sesji naukowych. Więc co, pójdziemy rano na glinianki?

— Wie pan, kiedy posłyszałam, że nam nieba zsyłają jeszcze dwóch historyków, poczułam, że zwariuję.

— Jak teraz z pani samopoczuciem?

— No, muszę powiedzieć, że nieźle. Ta mała to pana dziewczyna?

— Podoba się pani?

— Ma ładne oczy...

— To nie jest moja dziewczyna.

— No to nie ma ładnych oczu.

— Ma. Nie tylko oczy.

— Pan się w niej kocha?

— Nie. Ale staram się być obiektywny.

— O mnie ma pan też obiektywny sąd?

— Jeszcze nie wiem. Ale nie wiem także, czy mi na tym zależy, żeby mieć.

— Jak to mam rozumieć?

— A kiedy pani wyjeżdża? Jeżeli jutro, to wyjaśnię pani teraz.

— Nie, jeszcze nie jutro.

— A to całe szczęście. To mam jeszcze trochę czasu.

— Do namysłu?

— Właśnie.

— Oj...

Przy stoliku Ewy było coraz głośniejsze, natomiast państwo Mrozowscy siedzieli plecami do siebie, z obrzmiałymi z napięcia twarzami, a rozrzucone kostki domina świadczyły o fiasku kolejnej próby porozumienia. Winiarski nalewał Ewie wodę mineralną, Janusz tłumaczył jej coś z ożywieniem, a ja rejestrowałam badawcze spojrzenia, jakie rzucała w naszą stronę fetowana przez obu mężczyzn moja uczona współpracowniczka i nachyliłem się ku Adzie, aby zakończyć rozmowę, kiedy w bliskiej ciemności, rozjaśnionej tylko nikłym blaskiem ulicznych latarni, rozległy się głosy, kroki i szcęk furtki.

— Sąsiad kochany! — zawołał notariusz. — Czuję, że złożymy brydżyka!

— Chyba już nie dzisiaj, drogi panie magistrze — powiedział wysoki, zażywny mężczyzna, wstępując na schody. — Wstąpiliśmy z panem Zagórskim, wracając z miasta, żeby powiedzieć państwu dobranoc.

— Panie doktorze, niebo tu pana sprowadziło — jęknęła małżonka notariusza. — Przez cały dzień nie opuszcza mnie uczucie duszności. Nie mam czym oddychać, bez ustanku czuję bicie serca...

— A to dobrze, łaskawa pani — rzekł dobrodusznie.

— To znaczy, że serduszko pracuje.

— I mnie jest duszno — dodał, wyłaniając się z mroku drugiego z przybyszów. — Będzie burza, od rana łamie mnie w stawach i doktor Hoszowski też nic na to nie może poradzić.

— Wiek — rozłożył ręce Hoszowski. — I ja się dzisiaj nieszczęśliwie czuję. Na wiek i klimat medycyna nie ma skutecznych sposobów.

Witaliśmy się, bąkając nazwiska; gwar na tarasie wywabił z głębi domu panią Alę.

— Kładę się już spać — oświadczyła — ale chciałam zobaczyć, kto przyszedł. Dobry wieczór, panie Henryku, skąd to wracamy?

— Byliśmy na kolacji w mieście — wtrącił się towarzysz doktora Hoszowskiego. Był krępy, niemal kwadratowy, co chwila przecierał chustką pokrytą potem łysinę, otoczoną rzadkimi kępkami siwych włosów. — Panno Ado, wybieram się rano do znajomych, pojedzie pani?

— Rano będę zajęta, musi pan sobie radzić beze mnie.

— Trudno — rozłożył ręce.

— Nie brak tu pani znajomych — powiedziałem cicho.

— Zagórski to stary przyjaciel mojej matki, Hoszowski też zna rodzinę, z jakichś niepamiętnych czasów, i mieszka po sąsiedzku od lat. Pamiętam go jeszcze, jak byliśmy tu z matką.

W hallu rozległy się ciężkie kroki i zjawiała się na tarasie Helena, w papilotach na głowie, z ogromną latarką w ręce.

— Idę zamknąć furtkę — oświadczyła. — Czas już spać, a nie

hałasować po nocy.

Pani Ala zmarszczyła gniewnie czoło, ale Hoszowski nie dopuścił jej do głosu.

— Dobranoc! — zawołał. — Dobranoc państwu, rzeczywiście już późno. Na noc zapowiadam burzę, a na jutro ochłodzenie.

— Dziękuję panu! — zawołała z wylaniem pani Mrozowska, a Ada zrobiła niezadowoloną minę i przysunęła się do mnie.

— Mam nadzieję, że się myli — szepnęła. Winiarski zabrał się z sąsiadami, przynaglany przez Helenę, która różnym krokiem poprowadziła gości ku furcie, omiatając światłem latarki żywopłot. Przed odejściem doktor Hoszowski podszedł do pani Ali, pochylił się nad jej ręką.

— Jak droga pani się czuje? — spytał cicho. — Proszę nadal zażywać te pastylki. Jakoś musimy to przetrwać.

Skinęła w milczeniu głową i zwróciła się do nas.

— Spać, moje dzieci — powiedziała. — Dobranoc.

Taras opustoszał. Państwo Mrozowscy wchodzili na piętro, kłócąc się szeptem, my ciągnęliśmy za nimi. W hallu stary człowiek o czerwonej, nalanej twarzy zamykał drzwi i okiennice. Gdzieś daleko zamruczał grzmot.

— Chyba rzeczywiście będzie burza — powiedział Janusz. — Wszyscy mieszkamy na piętze, co? A pani koło mnie, za ścianą.

— Ja za to po przeciwnej stronie. Dobranoc — oświadczyła Ada i poszła w głąb korytarza, w lewo. Na wprost schodów zatrzasnęły się drzwi za Mrozowskimi. Znowu daleki grzmot, przygasło na chwilę światło. Rozeszliśmy się do swoich pokojów.

Stałem w otwartym oknie, patrząc w ciemność. Więc tak wygląda dom profesora Kędzierskiego. Jego rodzina. Sąsiedzi. Znajomi. Tu pracował przez ostatnie lata. Tutaj, przed kilkoma dniami, siedział przy biurku, kiedy ktoś, stojąc za jego plecami, zadał mu cios w tył głowy, a potem, niczego nie dotknąwszy, zniknął, nie zostawiając śladu po sobie, nie pozwalając nawet domyślać się motywów, jakie mogły go skłonić do czynu, którego nikt nie potrafił zrozumieć.

Nie był to mord rabunkowy, nic nie zginęło. A może ktoś

spłoszył sprawcę, uniemożliwił mu przeszukanie mieszkania? Kiedy domownicy wrócili do domu, profesor już nie żył, ale jego śmierć odkryto dopiero po kilku godzinach. Profesor nie miał wrogów — nie takich oczywiście, którzy mogli się posunąć do zabójstwa. A może jest jakaś karta w jego biografii, której nie znamy, albo wagi której nie umiemy dostrzec? Być może był w jego życiu ktoś, komu na tej śmierci mogło zależeć, zależeć tak bardzo, że kiedy musiał podjąć decyzję, nie wahał się?

Na wykłady profesora chodziłem przez rok, przyjeżdżał co dwa tygodnie na parę dni, już wtedy mieszkał w tym mieście, w tym domu, pracował na tym uniwersytecie. Nie lubiano go; był kostyczny, wymagający, nie nawiązywał kontaktów ze studentami, zawsze oddalony, zdystansowany, własną doskonałością mierzył naszą wiedzę, własnym dorobkiem nasze pierwsze prace, a fatalny wynik tych konfrontacji przyjmował jako dopust boży, potwierdzający zresztą opinię, jaką sobie o nas wyrobił. Jeden był tylko wyjątek, może niezbyt rzucający się w oczy, niezbyt jaskrawy, wyraźny jednak, szczególnie dla mnie, gdyż mnie właśnie dotyczył. To pod jego kierunkiem zacząłem pisać pracę, o której wspomniał niedawno Winiarski, pracę seminaryjną początkowo, potem już magisterską, zakończoną zresztą pod innym patronatem, gdyż profesor Kędziarski zrezygnował z dojazdów i skupił się na własnych badaniach i zajęciach na swoim uniwersytecie. Już pierwsza rozmowa miała przebieg nieco zaskakujący. Profesor nie przerywał mi ze zniecierpliwieniem, nie dyktował pośpiesznie bibliografii, aby po ostatniej pozycji powiedzieć: „Dziękuję, pan jest wolny” — i zagłębić się w notatkach leżących na biurku. Wysłuchał mnie uważnie, czasem zadawał pytania, zmuszając do precyzji, wskazując na słabe punkty w planach moich poszukiwań — a potem odsunął leżącą przed nim książkę i zaczął mówić. Mówił długo, ciekawie, powinienem był notować, ale nie notowałem, bo i mnie już wciągnął temat, rozumiałem osobisty stosunek profesora do przedmiotu naszych zainteresowań, podzielałem jego niepokój, kiedy mówił o rozproszeniu lub braku materiałów, i jego pasję,

kiedy wskazywał na źródła późniejszych i współczesnych konfliktów, tkwiące w tamtych układach politycznych i ludzkich poczynaniach. Pewnie dlatego kazał mi przyjść znowu, i tak spotkaliśmy się trzy, cztery razy, za każdym razem były to spotkania dłuższe i bardziej dla mnie owocne. Po paru latach wysłałem profesorowi odbitkę pracy, odpowiedział długim listem, w którym obok pochwał i słów zachęty znalazłem wiele przenikliwych krytycznych uwag.

„Chcę — pisał na zakończenie — aby panu posłużyły w dalszej pracy”. Prosił, abym odwiedził go, kiedy będę w jego mieście. Żebym nie tracił z nim kontaktu. Po roku przysłał mi jeszcze swoją książkę. I jestem teraz u niego. Po raz pierwszy.

Kiedy otrzymaliśmy wiadomość o zabójstwie, przygotowywałem się do urlopu. Kupiłem namiot, uzupełniłem sprzęt obozowy. Hanka pojechała rozkopywać neolityczne kurhany w zielonogórskim i przysłała mi kartkę z propozycją, abym ją odwiedził podczas wędrowki po Polsce. A miała przecież jechać we wrześniu i nie uzgodniła ze mną zmiany terminu. Wykręciłem więc międzymiastową i podałem numer Aliny. Ale Alina wyjechała do Bułgarii. Powiedziałem sobie, że nic nie zastąpi zmęczonemu mężczyźnie samotności podczas wypoczynku i spędziłem cały wieczór nad opracowaniem trasy podróży. Następnego dnia — a był to ostatni dzień przed urlopem — dowiedzieliśmy się o zamordowaniu profesora. Właściwie nawet nie protestowałem. Poprzestałem na kilku zgryźliwych uwagach, licząc, że procentować zaczną w przyszłości, kiedy nałóg podsuwania mi spraw w ilościach przekraczających moje upodobania rozwine się u mych przełożonych ponad dopuszczalną miarę. Ta wiadomość zrobiła przecież na mnie wrażenie. Jak duże, miało się okazać dopiero później, kiedy tu jechałem, kiedy wszedłem do tego domu — a jeszcze nie widziałem pracowni profesora, nie wziąłem do rąk jego notatek.

— Tylko ty możesz naprawdę wejść w środowisko — powiedziano mi — poza tym lubisz udawać cywila. Ktokolwiek to zrobił, wymyślił to dla ciebie.

Zbyt wielu ludzi wpada na takie pomysły. Nie wiem poza

tym, czy kiedyś, kiedyś nie wejść w środowisko tak dokładnie, że w nim zostanę. Wzięto to oczywiście za żart. Nie jestem pewien, czy to był żart.

Stukanie do drzwi. Spojrzałem na zegarek. Kwadrans po dziesiątej. Któż to może być? Mruczą coraz bliższe grzmoty, błyskawica przekreśla niebo, pokój rozjaśnia się na ułamek sekundy zimnym blaskiem.

Świeży chłód od ogrodu. Otworzyłem drzwi. Nikogo. Tylko chybotcze słaba żarówka u sufitu, po ścianach korytarza przebiegają niewyraźne cienie, łomocze w przeciągu okno na szczytowej ścianie. Zamknąłem je, szum wiatru przycichł, oddalił się. Tym wyraźniej usłyszałem cichy szcęk klamki. Odwróciłem się gwałtownie, ale korytarz był pusty.

Wróciłem do siebie. Usiadłem na łóżku, wypaliłem papierosa w lepkiej ciemności, słuchając, jak wzmaga się wiatr, a okiennice drżą pod jego naporem; było tak, jakby niepokój nadciągającej burzy przenikał do wnętrza domu i wzmagał zaczajone w nim napięcie.

Przeklnę was po śmierci...

Ranek był chłodny i świeży, po nocnej burzy pozostały tylko niknące w słońcu ciemne rozlewiska wody na ścieżkach i rozplywające się między drzewami strzępy mgły. Zbudził mnie krzyk ptaków i rytmiczne postukiwanie w ogrodzie; kiedy wyrząłem przez okno, przyglądając palcami rozburzone włosy, zobaczyłem na dole siwego mężczyznę o czerwonej twarzy, jak przybijał do ogrodowej furtki, leżącej na ziemi, długie, zielone sztachety. Widziałem go wczoraj w hallu, kiedy rozchodziliśmy się do siebie; Janiak mieszkał w tym domu, zajmował się ogrodem, samochodem, zimą palił w piecach; kiedyś był woźnym w katedrze profesora, a kiedy przeszedł na emeryturę, okazało się, że jest samotny, niemal bez środków do życia, przygarnął go więc były chlebowodawca ku obopólnemu pożytkowi i zadowoleniu. Tyle wyczytałem w pierwszych, niekompletnych materiałach, jakie udostępniono mi przed wyjazdem, a przeglądałem je niezbyt uważnie, cóż bowiem znaczą takie informacje, sytuują zaledwie człowieka w otoczeniu, ale nie są w stanie powiedzieć niczego, co pozwoliłoby wyczytać jakiś ułamek prawdy, jakiś strzęp wiedzy o jego ambicjach i urazach, planach i możliwościach, marzeniach, o rozczarowaniach, o tym wszystkim, co dla mnie było jedynie ważne, a niemożliwe do ustalenia w parominutowej rozmowie, takiej, jaka stanowiła źródło przekazanych mi wcześniej wiadomości.

— Dzień dobry — powiedziałem. — Narobiło panu szkód w sadzie?

Uniósł ku mnie twarz, zaskoczony, ze wzniesionym młotkiem w ręce, a w jego wzroku nie dostrzegłem życzliwości dla swata.

— Co miało narobić — burknął. — Parę gałęzi złamało i tyle. A bo co?

— A bo nic — powiedziałem. — Niech pan sobie nie przerywa.

Po kwadransie wyszedłem na korytarz niezdecydowany, jako że nie znałem obyczajów tego domu i nie wiedziałem, czy godzina ósma jest właściwą porą na składanie wizyt. Na wszelki wypadek zastukałem do Ewy. Zanim mi odpowiedziała, uchylły się sąsiednie drzwi.

— Jesteście gotowi? — spytał zaspany Janusz. — Schodzicie na dół?

— A nie wiem, czy Ewa gotowa. Właśnie chcę się dowiedzieć.

— Gotowa, gotowa — odpowiedziała zza drzwi. — Proszę wejść.

— Tylko się ogolę i jestem na dole — oświadczył Janusz, jakby umawiał się z nami od tygodnia.

Ewa czesała się przed lustrem, pościel była już schowana, okno otwarte, szyby pobłyskiwały ostro w słońcu.

— Słyszał pan tę burzę? — spytała. — Nie mogłam przez nią zasnąć. Czy mi się zdaje, czy w tym domu naprawdę coś nie jest w porządku? Ciągle mam uczucie, że nie powinnam była tu przyjeżdżać.

— To pani stukała do mnie wieczorem? — zapytałem.

— Wieczorem? — Zawahała się. — No to się już przyznam. Ja. Po pierwsze, chciałam się od pana czegoś dowiedzieć, bo nie mam pojęcia, co się tu właściwie stało ani co pan tu ma zamiar robić, a po drugie, no trudno, nie lubię burzy i nie najlepiej się czułam. Ale stchórzyłam, pomyślałam, że pan już śpi, i uciekłam do siebie.

— A kiedy wyszła pani na korytarz, nie słyszała pani niczego? Szczęku klamki, kroków na schodach?

Odwróciła się ku mnie z grzebieniem w rękę.

— Niech mnie pan nie straszy. Rzeczywiście słyszałam coś na schodach, ale w końcu nie było późno, każdy mógł jeszcze wyjść z pokoju.

Usiadłem tak, aby widzieć ją w lustrze, bo mi to sprawiało przyjemność, i zapaliłem papierosa.

— Oczywiście, wcale nie myślę, że po tym domu chodzi duch z kosą i wyje o północy. Pani Ewo, ja także nie mam pojęcia, co się tu właściwie stało, mam zamiar robić to samo, co pani, przynajmniej na razie, i to wszystko, co mogę powiedzieć.

— Chciałabym panu w czymś pomóc. Wcale nie dlatego, że mi się pan tak szalenie podoba, tylko może w ten sposób przestanę się idiotycznie bać, sama nie wiem czego. Nigdy nie byłam histeryczką. A tu oglądam się na wszystkie strony, jakby rzeczywiście za każdym rogiem siedział ten pański duch z kosą. A swoją drogą pomylił pan ducha ze śmiercią, duchy nie chodzą w tych bajkach, które ja znam.

— Kiedy ja myślałam o ludowym duchu, miecze i zbroje wyszły z mody. Zejdę teraz na dół, porozmawiam z panią Alą. Spotkamy się na śniadaniu. Potem zaczniemy pracę i wtedy pani powiem, w jaki sposób może mi pani pomóc.

— Niewykluczone, że jednak będę pana lubić. Nie idzie pan z Adą na glinianki?

— Nie teraz. Pójdę koło południa. I pani radzę.

— Nie chcę wam przeszkadzać. Chyba że i pan ma srogą żonę o staromodnych zasadach i szuka pan przy- zwoitki.

— A mam, taką z wąsami, jesteśmy w tej samej sytuacji.

— To nie pójdę.

— Jak pani woli. Janusz kończy się właśnie golić i przypuści do pani szturm już przy mlecznej zupie.

— Obrzydliwiec. Janusz jest sympatycznym chłopcem, patrzy mi w oczy, podsuwa wodę mineralną i nie ma gotowej odpowiedzi na wszystko, co powiem.

— To niech go pani weźmie na glinianki. Może i mnie podsunie wodę mineralną we właściwej chwili.

— Będę o tym pamiętała — westchnęła. — A teraz może pan odwiedzić panią Alę. Mam zamiar podmalo- wać sobie oczy i nie musi się pan temu przyglądać.

— Za to obejrzą sobie rezultat. To na razie.

Kiedy wyszedłem na korytarz, Janusz wyjrzał z twarzą do połowy namydloną, z ręcznikiem dookoła szyi.

— To pan... — mruknął zawiedziony.

Na dole drzwi na taras były jeszcze zamknięte, po jadalni krzątała się Helena, nakrywając do stołu.

— Dzień dobry, dzień dobry — odpowiedziała. — Pan, widzę, pierwszy do jedzenia i do pracy, dobrze mówię?

— Postaram się zarobić u pani na tę opinię.

— Helena! — zadudnił w kuchni głos Janiaka. — Mleko wyleciało, kuchnia zalana, wszystko zalane, wy mnie zagłodzicie, wszystkich zagłodzicie!

— To skróćcie gaz, zamiast wrzeszczeć!

Zastukałem do drzwi pokoju pani Ali.

— Czy nie za wcześnie? — spytałem, witając się. — Poranek jest burzliwy, Helena i Janiak chyba się w końcu pozabijają.

— Chyba się kiedyś pobiorą — stwierdziła rzeczowo. — Przynajmniej zachowują się jak stare małżeństwo. Nie, proszę pana, nie za wcześnie. Wstaję codziennie o szóstej, a od tygodnia niemal w ogóle nie śpię. Doktor Hoszowski dał mi jakieś pastylki, ale niewiele pomagają. Myślę, bez ustanku myślę o tym, co się stało. Prawdopodobnie kiedyś się z tym oswoję, ale na razie nie mogę sobie znaleźć miejsca. Gdybym wtedy wróciła wcześniej do domu? Gdybym zabrała Zygmunta z sobą? Wiem, że to nie ma sensu, że nic nie może się już zmienić, ale...

Usiedliśmy przy niewielkim stolczku pod oknem, na twardych, wysokich krzesłach inkrustowanych perłową masą.

— Zawsze, w każdej chwili — powiedziałem — poruszamy się wśród masy drobnych, nieistotnych zbiegów okoliczności, przypadków, układów sytuacji. Jakieś gesty, słowa, spotkania, wyjścia, chwile nieuwagi, nigdy nie wiadomo, kiedy i które z nich zadecydują o czymś istotnym, czego nie umiemy i nie możemy przewidzieć. A wtedy nie pamiętamy już innych, tych, które nie miały konsekwencji, nie możemy natomiast zapomnieć drobnej decyzji, jednej ze stu, jednego gestu, i wydaje się nam, że cokolwiek mogliśmy zmienić, odwrócić, że cokolwiek zależało tylko od nas. Ale to złudzenie, bo myślimy tak już potem, kiedy wszystko stało się jasne, a z faktami nie można się spierać.

— Na pewno ma pan rację — westchnęła. — To, co robiłam tego dnia, robiłam wiele razy, machinalnie, skąd mogłam przypuszczać... Na pewno ma pan rację — powtórzyła i po raz pierwszy uśmiechnęła się lekko.

— Właściwie nie mam nawet z kim o tym pomówić... Napije się pan kawy? Zrobiłam sobie rano i jeszcze jest ciepła w

termosie.

Naląła sobie i mnie, przysunęła otwartą kasetkę z papierosami.

— Zaczniecie pracę dziś rano? — spytała.

— Zaczniemy pracę dziś rano. Będę z panią Szot porządkował papiery profesora Kędzierskiego. Jestem historykiem, ale nie pracuję w Instytucie. Proszę zobaczyć moją legitymację.

Wzięła ją do ręki, choć zamierzała protestować, i uniosła, zdumiona, brwi.

— Pan... pan jest oficerem milicji? — szepnęła.

— Jestem oficerem milicji. Ale, jak powiedziałem, jestem także historykiem. Dopóki to będzie możliwe, chciałbym, aby nikt, poza Ewą Szot i panią, nie wiedział, że mam tu podwójne zadanie. Że będę pracował nad papierami pani brata, ale — równocześnie — będę też starał się zrozumieć, dlaczego zginął. Czy zechce mi pani pomóc?

— Chwileczkę. — Przetarła czoło. — Chwileczkę. To jednak jest zaskakujące... Czy będę chciała panu pomóc? Jak może pan o to pytać? Przyznam się, że miałam skrytą pretensję do władz i nie mogłam zrozumieć, dlaczego śledztwo było takie powierzchowne, zgodne zapewne z regulaminem, byli tu fotografowie i cała ekipa, posypywali wszystko proszkiem, brali odciski palców, rozmawiali ze wszystkimi, ale skończyło się to bardzo szybko i potem nic, zupełnie nic. Kiedy dzwoniłam do oficera, który zostawił mi swój numer, odpowiadał, że śledztwo trwa, żebym była cierpliwa i że w razie potrzeby poproszą mnie o dodatkowe informacje. Nie jestem mściwa, staram się nie rozpamiętywać, ale chcę wiedzieć, jak to się stało i dlaczego, chcę, żeby człowiek, który to zrobił, który ośmielił się to zrobić, nie miał spokojnej chwili, żeby się teraz bał, bał tak długo, aż będzie musiał spojrzeć wszystkim w oczy i odpowiedzieć, odpowiedzieć... — Splotła nerwowo palce, spojrzała na mnie. — Przepraszam pana — powiedziała. — Przepraszam... Oczywiście, że panu pomogę.

— Może woli pani porozmawiać później? — spytałem. — Po śniadaniu, albo po południu?

— Nie, nie — zaprzeczyła gorąco. — Proszę się nie

przejmować moimi nastrojami. Cieszę się, że pan przyjechał, że pan tu będzie. Więc pan jest historykiem...

Doktor Winiarski mówił nawet o pracy pana... Pan był uczniem mego brata? Naprawdę?

— Naprawdę, chociaż nie spełniłem oczekiwań profesora. Liczył na to, że nie przerwę pracy, że zostanę przy okresie, którym sam się zajmowałem od lat. Ale to on właśnie zrobił dla mnie, kto wie, czy nie najwięcej podczas całych moich studiów. Dlatego także tu przyjechałem.

— Co pana skłoniło do zmiany zainteresowań, jeżeli mogę o to zapytać? I jeżeli nie nudzą pana te pytania, z którymi ciągle pewnie się pan spotyka?

— Sam je sobie czasami zadaję. I coraz trudniej mi uwierzyć we własne racje. Ale to inna sprawa. Czy może pani opowiedzieć mi najdokładniej, ze wszystkimi szczegółami, tamten dzień? Wiem, że już to pani robiła, ale chciałbym usłyszeć to sam, bezpośrednio od pani, bo nie wierzę protokołom, tym wszystkim gładkim formułkom, których używa się przy każdej okazji i które czasami już nic nie znaczą.

— Opowiem panu, jeżeli tylko może to w czymkolwiek pomóc... Napije się pan jeszcze kawy? Tak? A może pan głodny? Każę podać panu tutaj śniadanie.

— Dziękuję, zjem ze wszystkimi. Na razie kawa mi wystarczy.

Pani Ala przeniosła się na fotel pod stojącą lampą, a i ja usiadłem na taborecie, przytulonym do wysokiej komody, aby uchronić się przed mocno już przygrzewającym słońcem, przed blaskiem przesianym przez nisko nawisie gałęzie i gasnącym w nagłych rozbłyskach na powierzchniach mebli, porcelanie w oszklonych szafkach, obrazach i miniaturkach zapelniających ściany.

— To był wtorek — zaczęła pani Ala — dzień taki jak dzisiaj, upalny, bezwietrzny, zwyczajny dzień. Piętnastego mieliśmy, jak co roku, jechać na Hel. Brat chciał skończyć jeszcze jakiś artykuł, który miał oddać w maju, zajęcia uniwersyteckie już miał za sobą. Wstał trochę później niż zwykle, śniadanie zjedliśmy o dziewiątej. Brat czytał gazetę, nie mówił wiele i nic ważnego. Kiedy o tym myślę, zdaje mi się, że już od paru dni

był bardziej niż zwykle małomówny, wybuchał czasem bez powodu, ale taki właściwie był zawsze przed wakacjami, przemęczony całym rokiem, więc nie zwracałam na to uwagi.

— Kto odwiedzał profesora w tych ostatnich dniach? Myślę także o poczcie, o kontaktach z ludźmi, czy wszystko układało się jak zwykle, czy nic nie zakłóciło normalnego biegu zajęć?

— W ostatnich dniach... — zastanowiła się. — Nie, chyba nic się nie wydarzyło. Tylko ta wizyta, ale podobne rzeczy też zdarzały się często...

— O jakiej wizycie pani mówi?

Podniosła się, zajrzała do papierów na biurku.

— Doktor Marcel Dufour z uniwersytetu w Nancy — powiedziała — był zresztą u nas już drugi raz. Poprzednio chyba przed czterema laty... Zajmował się francuską polityką zagraniczną w okresie Wielkiej Rewolucji. Spotykali się z bratem na zjazdach i kongresach, zaprzyjaźnili się, kiedy brat wykładał przez rok w Nancy. Teraz przyjechał na zaproszenie naszego uniwersytetu, na dwa dni. Nocował u nas. Rozmawiali długo w noc, potem cały dzień byli poza domem. Dufour miał odczyt, brat odwiózł go wieczorem na dworzec. Niemal go wtedy nie widziałam.

— A poza nim?

— Poza nim? Jak zwykle. Niewiele osób u nas bywało. Docent Karolak... oczywiście Winiarski... Często wieczorem wpadał doktor Hoszowski... Jacyś studenci... To wszystko.

— A do innych domowników? Nikt nie odwiedzał pani? Heleny? Janiaka?

— Nikt. Ja oczekuję przyjaciółki, ale dopiero we wrześniu. Nie wiem zresztą, jak teraz będzie... U Heleny była siostrzenica, jeszcze w połowie czerwca. A u Janiaka, tak, u Janiaka na początku lipca był bratanek z kolegą. Nigdy nie słyszałam niczego o rodzinie Janiaka i byłam zdziwiona, a ci dwaj... Tacy kudłaci, brudni, nie podobali mi się, nie miałam do nich zaufania. Wszędzie zaglądali, łazili po całym domu, aż to sobie wyprosiłam. Poszli wieczorem.

— A poza tym?

— Poza tym? Już nic, jeśli nie liczyć tej historii z studentem...

— Z jakim studentem?

— Zygmunt... mój brat mocno ją przeżył. Był taki student, teraz zresztą skończył studia, miał zostać asystentem. Nazywał się... chyba Tomczyk, tak, Jan Tomczyk. Zdolny, wybijający się. Ale potem okazało się, że to hochsztapler, że przewróciło mu się w głowie, występował przeciw bratu, robił awantury, pił, miał jakieś historie ze studentkami. Gwałtowny, w czasie jakiejś zabawy uderzył doktora Winiarskiego. Brat był zmuszony zmienić decyzję co do jego asystentury, Tomczyk pożegnał się z uniwersytetem. Tyle o nim wiem. Brat nie chciał o tym szerzej mówić, mocno go to dotknęło. Pan notuje? Ja myślę, na uniwersytecie często zdarzają się podobne historie...

— Jeżeli nie często, to w każdym razie nie należą do rzadkości. A poczta? Jakież listy, przesyłki odbiegają od normy?

— W poczcie to, co zawsze, listy od kolegów, pocztówki z pozdrowieniami z zagranicy, jakieś zagraniczne publikacje, czasopisma. Nic szczególnego. Aha, był list od pani Murawskiej.

— Matki Ady?

— Tak. Pisała, że chciałaby przyjechać, omówić sprawy majątkowe. Widziałam, że to brata zdenerwowało. Nie dlatego, żeby miał z tą panią jakieś skomplikowane rozliczenia finansowe, żeby miał się czegośkolwiek obawiać, ale każdy kontakt z nią sprawiał mu przykrość, myślę, że wciąż jeszcze, po tylu latach, nie doszedł z sobą do ładu... Ale nigdy ze mną ani z nikim o tym nie rozmawiał, a ja nie pytałam, drażniła go każda wzmianka, więc zostawiłam wszystko czasowi, myślałam, że kiedyś uzna sprawę za skończoną i pogrzebaną.

— Nie myśli pani, że odeszliśmy trochę od tematu? Ale to nic, zostanmy jeszcze przy pani Murawskiej. Jak doszło do tego małżeństwa? I jak się ono rozpadło?

Zastukano ostro do drzwi i pojawił się pan Mrozowski, w jasnym ubraniu, z ciemną muszką pod szyją i z wypomadowanymi wąsikami.

— Droga Alu, śniadanie na stole — powiedział z wyrzutem. — Powtarzam ci ciągle, że powinnaś dbać o siebie, przestrzegać

godzin posiłków, tylko zorganizowany tryb życia może ci pomóc. Dzień dobry, panie magistrze, proszę się nie gniewać, ale muszę przerwać waszą pogawędkę. Potrzebna tu męska ręka, dlatego przyjechałem. Zajmuję się absolutnie wszystkim, tak żeby biedna kuzynka odczuła moją opiekę.

— Jestem pewien, że odczuwa ją dotkliwie — powiedziałem, wstając.

— Prawda? — zawołał rozpromieniony. — Już pan to zauważył?

Pani Ala westchnęła z rezygnacją.

Przeszliśmy do jadalni. Na stole parowała w wazie mleczna zupa. Janusz napełniał nią talerz Ewy, nie słuchając protestów.

— Ja też w domu nie jadam mlecznej zupy — mówił — ale poza domem, na biwaku, na campingach nic mi bardziej nie smakuje. Sama się pani przekonaj. Proszę tylko spróbować.

— Mleczna zupa jest najzdrowsza — oświadczyła Helena, wypełniając sobą drzwi od kuchni. — Teraz by się tylko truli wędliną, a dzień trzeba zacząć od mleka.

— U nas w Kłocku — zaczęła pani Wacia — pijemy na śniadanie świeżą śmietankę. Klemens jest zdania...

— To nie jest moja opinia — sprzeciwił się Mrozowski. — Opieram się zawsze na najnowszych wynikach badań naukowych. Musicie państwo wiedzieć, że z każdego numeru „Problemów” wypisuję listę wniosków praktycznych.

— Panie Jacku — powiedziała z rozpaczą Ewa — niech mi pan pomoże!

— Uprzedzałem panią — mruknąłem. — Proszę ponosić konsekwencje.

Posłyszeliśmy kroki na schodach i w drzwiach zjawiała się Ada. W białej sukience, w sandałach, z gładko przyczesanymi włosami wyglądała na pannę z dobrego domu, która właśnie wróciła z kortu tenisowego i przygotowuje się do codziennych ćwiczeń na fortepianie.

— Znowu ta potworna zupa — jęknęła. — Jak przeszła noc? Bo ja się bez przerwy budziłam i wydawało mi się, że wszyscy chodzą po korytarzu.

— Właśnie! — Mrozowski uniósł łyżkę jak dyrygent. — Proszę

o chwilę uwagi. Chciałem państwa zapytać, które z was chodziło w nocy po domu.

— Słyszeliśmy nawet jakieś szmery w pokoju obok — powiedziała ze zgrozą pani Wacia. — W sypialni Zygmunta. Myślałam, że oszaleję...

— Waciu — rzekł z niezadowoleniem notariusz — jesteś nieodpowiedzialna. Tyle razy ci powtarzałem, że duchy pojawiają się tylko w twoich romansach.

— Opiera pan tę opinię niewątpliwie na najnowszych badaniach naukowych — wtrąciłem. — Ale i mnie się dawało, że ktoś chodził po domu.

— Słyszałam jakieś odgłosy z gabinetu Zygmunta — przyznała pani Ala — ale przecież była burza, grzmoty, wydaje mi się, że po prostu stuknęła okiennica.

— Wszystkie okiennice były dokładnie zamknięte.

— Helena wniosła dzbanek z kawą i koszyk pieczywa.

— Nic temu pijusowi nie wierzę i zawsze po nim sprawdzam.

— Żebym ja nie zaczął sprawdzać po was! — Ryknął z kuchni Janiak. — Nawet gazu nie potraficie zamknąć, cały dom wytrujecie!

— Proszę się uspokoić! — Pani Ala podniosła głos i zapanowała cisza. Helena postawiła z rozmachem naczynia na stole i wyszła do kuchni, zatrzaskując za sobą drzwi.

— Wyciągam z tego jeden podstawowy wniosek — podjął Mrozowski — ktoś jednak chodził po domu. Moja żona ma czujny sen, poza tym jest przewrażliwiona. Z jednej strony zatem można polegać na jej świadectwie, z drugiej zaś nie można.

— Jesteśmy już zorientowani w sytuacji — powiedziałem.

— Pani Ewo, pójdziemy się wykąpać — zaproponował Janusz, słuchający jednym uchem rozmowy, wpatrzony w Ewę — niech się pani da namówić. Wezmę wodę mineralną i kanapki.

Ewa parsknęła śmiechem i umilkła gwałtownie. Ada spojrzała pytająco na mnie.

— Wybierzemy się koło południa. — Rozłożyłem ręce. — Musimy zacząć pracę, póki jeszcze można wytrzymać pod dachem.

— Czy mogę wam pomóc? — spytał Janusz.

— Nie może pan — powiedziała stanowczo Ewa. — Zaczeka pan do południa.

— W takim razie idę z książką na leżak — powiedziała Ada, wstając.

Rozeszliśmy się.

— Otworzyć wam gabinet? — spytała pani Ala. — Czy może chciałby pan wstąpić do mnie, dokończyć rozmowy.

— Jeżeli można, dokończymy po południu. Chciałbym już zobaczyć pracownię profesora. Pójdę tylko na chwilę do kiosku, po prasę i papierosy.

— To spotkajmy się w hallu za dziesięć minut — zaproponowała Ewa, wstępując na schody.

Kiosk znajdował się w połowie odległości od skrzyżowania. Idąc tu poprzedniego wieczoru, zauważyłem przy nim budkę telefoniczną z czynnym chyba automatem. Nie chciałem dzwonić z domu. Wpadłem jeszcze do pokoju po pieniądze i wyszedłem na ulicę.

Przy kiosku nie było nikogo, budkę telefoniczną ktoś zajął. Kupiłem paczkę „Piastów” i „Słowo Robotnicze”, kiedy szcęknęły drzwi budki i wyszła z niej Ada.

— To pan? Poszłam po papierosy i przypomniałam sobie, że umówiłam się z przyjaciółką na basen. Musiałam odwołać, chcę zobaczyć, jak pływają historycy.

— Mogła ją pani zaprosić na glinianki. Może i ona nie wie, jak pływają historycy.

— Za dużo byłoby przyjaciółek na jednego historyka.

— Historyk to wytrzyma. Zresztą zapomina pani o Januszu.

— E, pan go liczy? Bo ja nie. Wraca pan?

— Także zadzwonię. Właśnie sobie przypomniałem, że umówiłem się z kolegą na basen.

Wykręciłem numer centrali Komendy, i usłyszałem sygnał — numer pokoju, w którym powinien być Grzywiński. Przyjechał o dzień wcześniej.

— Dzień dobry, mówi Joachim. Jest tam porucznik Grzywiński? Możecie go poprosić? Co, właśnie wychodził na basen? To znaczy, że miałem rację. No, jak się masz. Podobno

urządzasz sobie wakacje. A nie, wyobraź sobie, że popracuję. Pójdę się wykapać o dwunastej. Jak zdążysz, twoja sprawa. Zobaczymy się wieczorem albo jutro. Jeszcze zadzwonię. Masz tam listę lokatorów mojego domu? Nauczyłeś się na pamięć, dobrze, zaraz się to okaże. Oczywiście, ściągnij informacje o wszystkich, ale interesują mnie przede wszystkim: Janusz Kędzierski, bratanek profesora, tak, następnie Janiak, dowiedz się, czy ma rzeczywiście bratanka w wieku bigbitowym, bo był u niego niedawno z kolegą, no i — zobaczyłem za szybą Adę, spacerującą po półokrągłym krawężniku, z rozłożonymi rękami, aby utrzymać równowagę — no i Adę Murawską, pasierbicę profesora, jej rozwiedziona matka mieszka w Poznaniu. Przyjechała już po wszystkim, tak. Mrozowskich masz na swojej liście? To dobrze. I jeszcze: sąsiad profesora, lekarz, doktor Hoszowski, a u niego mieszka przyjaciel Murawskich, Ady i jej matki, taki pan w nieokreślonym wieku, nazywa się Zagórski. Przyjechał z Poznania razem z Adą. To na razie wszystko. Co, mało? Ale za to uwiniesz się z tym do wieczora. Oczywiście, że żartuję. Jaka ta Ada? Wygląda znakomicie.

Pewnie, że mam szczęście. Aha, a propos. Przyjechała także z Instytutu Historycznego Ewa Szot. Właśnie, koleżanka. Jaka? Mówiłem ci przecie, że mam szczęście. Nie, jeszcze nie wybrałem. Ona także nie. Więc sprawdź ją także na wszelki wypadek. Nie mogę dłużej, czeka na mnie Ada. Nie, dziękuję, nie zamienię się. Na razie.

Otworzyłem notes i znalazłem numer docenta Karolaka, mego przyjaciela ze studiów. Ale znowu spojrzałem na Adę i zrezygnowałem. Do Karolaka ostatecznie mogę zadzwonić z domu. Wyszedłem.

- Dzwonił pan do dziewczyny, co? — spytała Ada.
- Nie zgadła pani. Nie mam tu dziewczyny.
- Za to gadatliwych kolegów.
- Mój kolega jest mrukiem. To ja jestem gadatliwy.
- Zauważyłam to.

W hallu czekała pani Ala. Ewy nie było. Ada usiadła na leżaku, stojącym w rogu tarasu, za chwilę dołączył do nas pan Mrozowski.

— Wacia zasnęła — oświadczył — nie spała prawie całą noc. A ona bardzo potrzebuje snu. Kiedy jest niewyspana, staje się kłótniwa i wykazuje bardzo wyraźne skłonności do podrywania mego autorytetu. Dlatego nie mam nic przeciw temu, że prześpi nawet cały dzień.

Zapowiadało się to na dłużej, poprosiłem więc panią Alę o pozwolenie na skorzystanie z telefonu i zadzwoniłem jednak do Karolaka. Niechże już wszystko będzie załatwione. Karolaka nie było w domu, telefon odebrała córka i podała mi numer katedry. Tam go wreszcie zastałem.

— Nareszcie zadzwoniłeś! — ucieszył się. — Wiedziałem, że tu jesteś, że się wreszcie odnalazłeś, od kolegi Winiarskiego. Zgadaliśmy się dziś rano. Co się z tobą działo przez tyle lat? Zresztą masz rację, nie warto o tym teraz mówić, musimy się przecież zobaczyć. Oczywiście przyjedziesz do mnie. Może dzisiaj na kolację? Wolałbyś jutro? Więc jutro na obiad, nie ma dyskusji. O trzeciej. Spieszysz się? Więc do jutra, cześć, cześć.

Zeszła już Ewa, stała z panią Alą przed szerokimi, brązowymi drzwiami, po prawej stronie hallu.

— Chodźmy — powiedziała pani Ala.

Wyjęła z kieszeni długi, płaski klucz, włożyła go do zamka. Usiłowała przekręcić klucz, ale zamek stawiał opór. Ponowiła próbę — z tym samym rezultatem.

— Zamek się zaciął — stwierdziła ze zdumieniem.

— Co się stało? — zainteresowała się Ada. Wstała z leżaka i zjawiała się w hallu. Niech ciocia pozwoli, może ja spróbuję.

— Otwieranie zamków to moja specjalność — oświadczył Mrozowski. — Tylko mnie można powierzyć naprawdę odpowiedzialne zadanie. Jestem wybitnie odcytany w tym zakresie. Otwieranie zamków wymaga spokoju, opanowania, zimnej krwi, bezbłędnego wyczucia i znajomości techniki. Swego czasu zacięła się u nas kłódnia od kurnika. Wacia już chciała wezwać ślusarza. Wtedy ja przystąpiłem do dzieła. Aby otworzyć drzwi...

— Chwileczkę — powiedziałem.

Nacisnąłem klamkę, drzwi ustąpiły bezszelestnie.

— ...trzeba je przedtem zamknąć — dokończyłem.

— Całkowicie się z panem zgadzam.

— Były na pewno zamknięte na klucz — stwierdziła stanowczo pani Ala — sama je zamykałam wczoraj rano.

— Musiała się ciocia pomylić — ziewnęła Ada. — Skoro się nic ciekawego nie dzieje, wracam na leżak.

I już jej nie było.

— Zdumiewające zdarzenie — rzekł Mrozowski. — Zanotowano w Klocku jeden podobny wypadek. Było to w roku 1930, w sierpniu...

— Wkrótce zatem będziemy mieli czterdziestolecie — wtrąciłem. — Dziękujemy panu serdecznie za pomoc. Rasowy teoretyk to sól każdego przedsięwzięcia. A teraz przystąpimy do pracy.

— Cieszę się, że ocenia pan właściwie mój udział w życiu tego domu! — zawołał Mrozowski. — Brak zawiści to rzadka cecha w naszym narodzie. Ma pan we mnie przyjaciela.

W gabinecie profesora Kędzierskiego panował półmrok. Spomiędzy ciężkich, ciemnych zasłon na oknach strzelały ostre promienie słońca, wirowały w nich delikatne obłoczki kurzu. Na gęstym dywanie rozlewały się jasne plamy światła. Ewa zamknęła drzwi, staliśmy chwilę w milczeniu.

— Niczego tu nie ruszано — szepnęła pani Ala. — Od czasu, kiedy zabrano stąd Zygmunta i wyszli z pokoju milicjanci, tylko ja tu czasami wchodzę. Pościę- ram kurze, postoję chwileczkę i to wszystko. Teraz po raz pierwszy...

Oswoiłiśmy się już z mrokiem, patrzyliśmy na ściany, zapełnione regałami, duże, ciężkie biurko pokryte papierami, stojący przy nim fotel, stolik z maszyną, w którą wkręcona była kartka papieru, fotele, rozstawione nieregularnie na dywanie wokół niskiego stolika, na otwarte szafki regałów w kącie, gdzie kłębiły się stosy papierów.

— Odślonię okna — powiedziała Ewa, siląc się na naturalny ton — trzeba tu wpuścić trochę słońca.

Gabinet wypełnił się światłem. Podszedłem do biurka, spojrzałem na podłogę, na jasną plamę koło nóg fotela. Ewa powędrowała spojrzeniem za moim wzrokiem i przybladła.

— Te szafki ktoś otwierał — oświadczyła pani Ala. W jej głosie

było rosnące zdumienie — fotele też stały inaczej. Chyba ruszано dywan.

— Myślę, że technicy dochodzeniowi ruszali tu wszystko — powiedziałem. — Czy pani jest zupełnie pewna, że ktoś tu był bez pani wiedzy?

— Zupełnie pewna. Pokój był sprzątny, szafki w regałach zamknięte na klucz. Na zwykły kluczyk, co prawda, można je otworzyć zakrzywionym gwoździem, ale były zamknięte. Fotele stały symetrycznie dokoła stolika na samym środku.

— Więc jednak ten pański duch chodził dzisiaj po domu — stwierdziła Ewa. — Państwo Mrozowscy słyszeli go na górze. Trzeba tam chyba zajrzeć.

— Pójdę do sypialni Zygmunta — pani Ala zwróciła się ku drzwiom.

— Jeżeli można — poprosiłem — proszę tylko sprawdzić, czy drzwi zamknięte są na klucz. Wejdę tam potem z panią.

Pani Ala skinęła głową.

— Musimy poza tym dokończyć naszą rozmowę — powiedziała. — Już mówiłam, że słyszałam w nocy szmery w hallu. Teraz wierzę, że to nie było złudzenie ani burza. Mimo wszystko nie mogę tego zrozumieć. Zostawię was teraz. Pan, panie Jacku, sam już zadecyduje, co z tym wszystkim zrobić. Gdybyście czegoś potrzebowali, będę u siebie.

— I ja tu mam pracować — powiedziała po chwili Ewa, stając w oknie i patrząc na parujący w słońcu ogród. — Po co ja się na to wszystko zgodziłam? Leżałabym teraz na piasku w Mrzeżynie i czytała romanse. Nikt mnie w końcu nie zmuszał, to była tylko propozycja. Co pan tam robi?

Oglądałem uważnie otwarte szafki, uniosłem ostrożnie skraj dywanu. Podłoga była pod nim czysta, gdzieś tylko widniały rozsiane skrawki papieru, kłaczki kurzu, okruchy.

— Pani Ewo, sprząta pani swój pokój, prawda? Jak układają się śmieci pod dywanem?

— Jeżeli to nie jest zaraz po gruntownym sprzątnięciu, to śmieci są tylko na skraju, wepchnięte przy zamiataniu albo odkurzaniu podłogi — podeszła bliżej, przyjrzała się — nie tak jak tutaj.

— Właśnie. Ktoś jednak unosił dywan i rozsypał to wszystko. Widzi pani?

— Widzę. Więc jednak... Ale dlaczego? Po co?

— Ba, żebym ja to wiedział.

— Nie wezwie pan swojej ekipy? W takich wypadkach szuka się śladów palców i takich różnych rzeczy.

— A szuka się, szuka. Ale nie wezwę ekipy. Nie będziemy także z nikim o tym rozmawiać. Nie będziemy robić alarmu. Musimy zachowywać się tak, jakby się nic nie stało. Nie wierzę poza tym, żeby nasz duch z kosą zostawił po sobie materialne ślady. Duchy tak nie postępują.

— Niech mnie pan traktuje poważnie, dobrze?

— Nic innego mi nie pozostaje. A teraz spróbujemy coś zrobić. Musimy przejrzyć pobieżnie materiały w szafkach i na biurku. Zorientować się najogólniej, czego one dotyczą. Szczególną uwagę zwrócić na gotowe teksty w rękopisie czy maszynopisie. Pani zacznie od tej pierwszej szafki po lewej stronie, ja od biurka. Dobrze?

— Dobrze, panie profesorze, dobrze. Przynajmniej wiemy, kto tu jest szefem.

— Niech się pani nie dziwi, zawsze marzyłem o katedrze.

Ale zanim zaczęliśmy pracę, zjawiała się pani Ala.

— Nie chcę wam przeszkadzać. Zaraz Helena przyniesie wam kawy. Ale rozmawiałam z nią przed chwilą. Powiedziała, że widziała w nocy Janiaka, jak siedł z latarką w stronę hallu.

— Gdzie jest Janiak?

— W ogrodzie. Ale myślałam, że pan będzie wołał, abym to ja go spytała. Mówi, że także słyszał jakiś hałas, sprawdził więc wszystkie wejściowe drzwi. Były zamknięte, więc wrócił do siebie. To tyle.

— Bardzo pani dziękuję.

Kiedy zostaliśmy sami, Ewa odłożyła tekturową teczkę na stolik, podeszła do mnie, zapaliła papierosa.

— Co to wszystko znaczy, panie Jacku? Czyżby to Janiak?

— Nie wiem. Ale jeśli nie on...

— To co z tego wynika?

— Tylko tyle, że wszystkie drzwi i okna rzeczywiście były

zamknięte i nikt obcy nie mógł dostać się do domu.

— To dużo?

— Bardzo dużo. Albo nic.

— Byłam pewna, że mi pan wszystko wytłumaczy.

Zapaliłem także, usiadłem na stołeczku przed maszyną do pisania. Obok maszyny leżała książka w sutej, skórzanej oprawie, z ozdobnymi tłoczeniami. Otworzyłem ją, rzuciłem okiem na kartkę, wkręconą w wałek. To stąd chyba przepisywał profesor fragment potrzebnego mu tekstu.

Ewa szeleściła papierami przy stoliku. Sennie brzęczały muchy. Z tarasu słychać było głos Ady, brzęk szklanek. Rzuciłem okiem na maszynopis, zacząłem czytać uważnie.

„ Kasztelan Jeziorkowski do Franciszka Koronkiewicza, kapitana-isprawnika powiatu dąbrowskiego. 17. IV. 1796.

... a jeśli, przyjacielu, wciąż na gwiazdę przewodnią tego wspaniałego liczysz narodu, jeśli wciąż wśród ludu wskrzesić chcesz ducha z kosą i galijskim smakiem przyprawić sarmackie potrawy, masz tedy miłość moją i zaufanie moje. Nie tylko życie, ale i majątek mój, owe klejnoty, które tak podziwiałeś, na ołtarzu sprawy złożyć gotowym. Ale jeśli fałszywymi otoczysz się prorokami, jeśli zdrada wśród was drzemie, by nagle węzowy łeb swój wznieść, jako mi także donoszą, przeklnę was wtedy, a gdyby śmierć mnie wcześniej spotkała, przeklnę was po śmierci... ”

Ostatnie słowa podkreślone były czarną, grubą kreską.

Pływać na głębokiej wodzie.

O dwunastej upał był już nie do zniesienia. Ewa siedziała przy stoliku obłożona papierami, mokrą chusteczką ocierała pot z czoła, co chwilę opierała głowę na ręce i wpatrywała się tępym wzrokiem w ścianę. Ja robiłem notatki przy biurku, śliski długopis wysuwał się z palców, usiłowałem skupić się na hipotetycznym schemacie organizacyjnym związków spiskowych na Wołyniu, roznotowanym przez profesora na wielkich arkuszach papieru, ale coraz oczywistsze stawało się przeświadczenie, że jest to trud daremny.

— Czuję już wstręt do samej siebie — powiedziała Ewa. — Wszystko jest mokre, lepi się do rąk.

Wstała, ujęła luźną, krótką sukienkę za ścięgi na ramionach, podciągnęła ją lekko ku górze kołyszając poprzecznie, jakby chciała po wachlować się sukienką.

— Kiedy przestanie się pan znęcać nade mną? — spytała.

— Koniec — oświadczyłem, wstając. — Koniec, dziecino. Bierzemy Janusza, wodę mineralną, kanapki, Adę i idziemy się kąpać.

— Niech mnie pan nie nazywa dzieciną.

— Boże drogi, jakże mam panią nazywać?

— Mówiłam już, że na imię mi Ewa. To pan, zdaje się, ma staromodne obyczaje. Czeka pan, aż się lepiej poznamy?

— Oczywiście. Poza tym chcę to załatwić przez rodziców. Moja matka złoży wizytę twojej we wrześnieu.

— Dobrze, żeś mnie uprzedził, upiekę szarlotkę.

— My jadamy tylko torty, w niedziele francuskie ciasto i szampan.

— Znowu pleciesz?

— Od trzydziestu stopni w górę zawsze. Chodź, Ewuniu chodź, jeszcze chwila i zwariuję.

W drzwiach wpadliśmy na Winiarskiego. Był w lekkim

plóciennym ubraniu, siatkowej koszulce i sandałach, ciemnych okularach, opalony już, choć lato dopiero się zaczynało, widać było, że dba o swój wygląd i wrażenie, jakie wywiera na studentkach.

— Już państwo wychodzicie? — spytał zawiedziony. — Wpadłem, bo myślałem, że będziecie potrzebowali mojej pomocy. Mnie także, może bardziej niż innym, zależy na tym, aby ocalić jak najwięcej z dorobku profesora. Wiele razy zresztą rozmawialiśmy o jego bieżącej pracy.

Cofnąłem się, Winiarski wszedł do gabinetu; mimo że słoneczne okulary kryły jego oczy, pewny byłem, że zlustrował wnętrze pokoju uważnym spojrzeniem, choć starał się, abyśmy tego nie zauważyli. Nie miał widocznie zbyt wysokiego mniemania o naszych kwalifikacjach, a może uważał, że w naturalny sposób on właśnie powinien pokierować naszą pracą? To samo chyba pomyślała Ewa, bo spojrzała na mnie porozumiewawczo i uśmiechnęła się nieznacznie. Winiarski podszedł do biurka, usiadł na fotel, zdjął wreszcie okulary.

— To tutaj... — Nie dokończył, ale było to niepotrzebne. Pomilczał chwilę, na tyle długo, aby to urwane zdanie nabrało dramatycznej wymowy, na tyle zaś krótko, ale nie zakłócić biegu konwersacji.

— Cóż robić... — Rozłożył ręce.

— Jestem przekonany, że nie obejdziemy się bez pana pomocy i opieki — powiedziałem — i z góry za nią dziękuję. Na razie staramy się najogólniej zorientować w układzie archiwum profesora, potem zaś, kiedy przystąpimy do systematyzacji materiałów, zaczniemy pana nękać bezustannie.

— Będę do państwa dyspozycji. — Pochylił głowę.

— Na razie kończę egzaminy wstępne. Potem już tylko czekam na paszport, jak państwo wiedzą, wyjeżdżam na rok do Nancy. Dlatego nie mogłem zaangażować się w waszą pracę. Państwo gdzieś wychodzą? Nie chciałbym przeszkadzać.

— Idziemy się wykąpać — powiedziała Ewa. — A może pan doktor wybierze się z nami?

— Nie jest to zła myśl — rzekł Winiarski. — Wprawdzie ta znudzona osóbką na tarasie mówiła coś podobnego, ale jeśli

pani będzie w towarzystwie, impreza nabiera sensu.

— Bardzo pan miły.

— Spieszmy się w takim razie — powiedziałem — bo nadciągnie nowa burza i pomimo obecności Ewy impreza się nie uda.

W hallu czekał już Janusz, w białej czapce, krótkich spodniach, na fotelu leżała torba, z której wystawały szyjki butelek z wodą mineralną, a przy torbie pletwy i okulary do nurkowania.

— Zbiornik tlenu zostawił pan na górze? — spytałem.

— Idziecie się kąpać? — zagrmiał z piętra Mrozowski. — Pójdę z wami. Zademonstruję wam wszystkie podstawowe style i udzielę pierwszej lekcji. Kąpiel to nie jest bezmyślne pluskanie się w wodzie. To wielka okazja, aby podnieść swoją ogólną sprawność i zapewnić właściwe krążenie krwi. Jestem pewien, że chociaż pływacie, popełniacie niezliczoną ilość błędów. Zaraz schodzę.

— Ratunku — szepnęła mi Ewa do ucha.

— Zwróć się do nurka — poradziłem.

— No nareszcie! — W drzwiach tarasu zjawiała się Ada. — Chociaż siedziałam w cieniu, myślałam, że się roztopię. Idziemy?

— Idziemy! — zakrzyknął w górze Mrozowski.

— Wszyscy? — przeraziła się Ada.

— Prawie wszyscy — rzekł Winiarski. — Państwo mnie przekonali, że to jedyna rzecz, którą można teraz zrobić.

— Mógłby pan w tym czasie napisać jakiś przyczynek albo sprostowanie — powiedziała z przekąsem Ada. — W najgorszym wypadku wygłosić odczyt.

— Pozwoli pani, że zrobię to po południu? — oburzył się Winiarski.

— Pozwolę, pozwolę. — Ada zdjęła z klamki otwartych drzwi kolorową torbę. — No, panie Jacku, ja już jestem gotowa.

— Ja muszę się jeszcze przebrać — powiedziała Ewa.

— Ja także — dorzuciłem — ale to nie zabierze wiele czasu.

— Zrobiłeś zawód dziewczynie — stwierdziła Ewa, kiedy znaleźliśmy się na piętrze — liczyła na sam na sam.

— Ja także, ale zaprosiłaś Winiarskiego. Pospiesz się teraz.

Po chwili byliśmy na dole. Pan Mrozowski w białym kapeluszu, białym garniturze, dźwigał potężny worek wypełniony kostiumami, ręcznikami, czepkami, płaszczami kąpielowymi. Pani Wacia stała oparta o balustradę schodów na piętrze.

— Klemensie! — wołała. — Nie szarżuj, błagam cię na nasze najpiękniejsze wspomnienia z Jaremcza! Twoja szaleńcza odwaga może kiedyś doprowadzić do katastrofy. Woda to żywioł podstępny! Odpocznij po każdym kilometrze!

— Do glinianek jest najwyżej kilkaset metrów — powiedziałem.

— Nie obawiaj się, Waciu. — Mrozowski uniósł rękę. — Obliczam wszystko z nieubłąganą precyzją. Nie zachodzi najmniejsza nawet możliwość pomyłki. *En avant!*

I ruszył na czele pochodu. Za nim Ewa, pomiędzy Winiarskim i Januszem, na końcu ja z Adą. Nie dłużyła mi się droga. Zresztą rzeczywiście niedaleka. Wkrótce skończyły się domy, ulice zamykał okrągły, asfaltowy plac, obrośnięty drzewami, pod którymi parkowało kilka samochodów, dalej prowadziła szeroka żwirowana ścieżka przez łąkę, ku kępom krzaków i pojedynczym drzewom, pochylonym nad urwistymi brzegami glinianek. Czerwone tablice zabraniały kąpieli, nad jedną tylko, największą, ogrodzoną płotem, tkwiła tablica niebieska z napisem: „Kąpielisko”. Od wzgórz za autostradą nadbiegł chłodniejszy podmuch wiatru. Najbliższy, płaski brzeg glinianki pokrywał piasek, woda miała ciemną, intensywną barwę, zapowiadającą głębię.

— Chłód — odetchnąłem — nareszcie chłód.

— W najgłębszym miejscu jest do trzydziestu metrów — powiedziała Ada — a woda chłodna rzeczywiście, nawet w taki upał. Zobacz pan.

Zrzuciła sukienkę, strzepnęła z nóg sandały i już była gotowa, w czarnym, elastycznym kostiumiku, brązowa, szczupła, o chłopięcej sylwetce. Spojrzałem na Ewę. Nie miała chłopięcej sylwetki, ale warta była okładki najlepszego magazynu. Grzywiński kazał mi wybierać. Niechby sam spróbował.

Janusz też był już gotowy, okulary do nurkowania odsunął na czoło, wcisnął nogi w ogromne, zielone pletwy. Pan Mrozowski, odwrócony do nas plecami, wykonywał dziwne figury gimnastyczne, które miały zamaskować fakt, że rozbiera się bez kabiny, że nie ma na czym powiesić ubrania, koszuli, podkoszulka, kapelusza i co tam jeszcze miał na sobie.

Ewa stanęła nad brzegiem, próbowała stopą wody. Podszedłem do niej.

— No i jak wypadło porównanie? — spytała. — Widziałam, jak się przyglądałeś mnie i tej swojej Aduni. Zresztą, stwierdzam ucziwie, nie jest zła.

— Przypomina sprężynę — powiedziałem — ładnie się rusza.

— A ja? Co ci przypominam?

— A ty dziewczynę.

— Pani Ewo! — zawołał Janusz. — Proszę nie wchodzić beze mnie do wody! Tu jest głęboko!

Chciał podbiec do nas, ale zaplątał się w pletwy i runął bezwładnie, podnosząc tuman kurzu. Winiarski, opalony w prążkowanych spodenkach z jasnym paskiem, siedział nieopodal na kamieniu, palił papierosa i przyglądał się Januszowi z zimną ironią. Ada włożyła czepek, wbiegła do wody, unosząc ramiona.

— Hej! — krzyknęła do mnie. — Za mną, nadziejo naszej nauki!

Skoczyła płasko, płynęła równo, dynamicznie, czarną smugą na gładkiej powierzchni wody.

— Nareszcie! — zawołał triumfalnie Mrozowski i zwrócił się ku nam. — Cóż za niewygoda! Ale pokonałem wszystkie trudności.

Na rozłożonym worku wznosił się stos pedantycznie poskładanej garderoby. Kostium pana Mrozowskiego przypominał modele sprzed pierwszej wojny, sam zaś notariusz wyglądał jak biała, okrągła kulka obciążona nierówno trykotem.

— Już jestem, pani Ewo. — Janusz zbliżał się do nas na czworakach, z zapiaszczoną połową twarzy. — Diabelnie niewygodne te pletwy. Ale pływa się w nich znakomicie.

— Zlituj się nad nim — szepnąłem do Ewy — i pozwól mu się sobą zaopiekować. Ja dogonię Adę.

— Ależ nie krępuj się, jakoś sobie poradzę.

— Zaczekajcie! — zakrzyknął Mrozowski. — Nie wchodźcie bezładnie do wody, bo nie mogę opanować chaosu. Naprzód kilka słów o teorii!

— Za chwilę! — odkrzyknąłem i już płynąłem w chłodnej, cudownej wodzie, z słońcem rozlanym na powierzchni, w stronę drugiego brzegu, gdzie widniał biały czepek Ady.

Kiedy znalazłem się koło niej, leżała na wznak utrzymując się na powierzchni nieznacznymi ruchami nóg.

— Pycha, co? — zawołała. — Zobaczmy, jak jest tam na dole?

Zwinęła się w kłębek i zniknęła pod wodą. Zrobiłem to samo, z otwartymi oczami, woda była przejrzysta, intensywnie żółta, potem bursztynowa, wreszcie ciemna, granatowa, zimna. Zobaczyłem Adę, jak powoli wzbijała się ku górze, podpłynąłem do niej, i ona miała otwarte oczy, ująłem jej rękę i tak wyprysnęliśmy na powierzchnię z niejakim pośpiechem, bo kończył się już zapas powietrza.

— Znalazł mnie pan — powiedziała oddychając intensywnie.

— Nie do wiary! Gdzie pan właściwie spędza czas, w bibliotece czy na basenie?

— Czytam książki na plaży.

— A w zimie?

— W wannie.

— Spróbuję tej metody.

— Tylko pani na tym skorzysta.

— A co, źle pływam?

— Dobrze. A jak z pani czytaniem?

— Ej, Jacek — chlapnęła na mnie wodą — narażasz mi się. Uważaj!

Dała głębokiego nurka, ja zrobiłem to samo. Ada podpływała do miejsca, w którym byłem jeszcze przed chwilą, znalazłem się za nią i kiedy mocnym wyrzutem ramion śmignęła ku górze, aby mnie zaatakować, chwyciłem ją za kostki nóg i wciągnąłem pod wodę. Zakotłowało się, po sekundzie płynęliśmy już obok siebie, Ada pluła wodą i robiła krwiożercze miny, a po drugiej

stronie glinianki grzmiał pan Mrozowski:

— Wszyscy na brzeg! Pani Ado, panno Joachim, panie Szot, Janusz, Janusz, fatalnie, gubisz rytm, wszyscy na brzeg!

— Poplątało się biedactwu — prychnęła Ada. — A swoją drogą długo już z nim nie wytrzymam. Kiedyś zacznę wyć i pokąsam oboje państwa Mrozowskich.

— Tymi krzykami ściągnie ratowników — zaniepokoiłem się. — Posłuchajmy go, może potem da nam spokój.

— Zdaje się, że nie ma innego wyjścia.

Zbliżyliśmy się do Ewy i Janusza. Ewa płynęła wolno, pewnymi, spokojnymi ruchami, obok niej Janusz wzbijał fontanny wody, zielone płetwy migają nad powierzchnią, niewiele przynosząc pożytku, ponieważ Janusz płynął pieskiem. Winiarski nadal siedział na brzegu, na tym samym miejscu, kończył papierosa.

— Idziecie na lekcję? — spytała Ewa.

— Wszyscy, wszyscy! — poganiał nas Mrozowski.

— Szkoda czasu. Serce boli, kiedy się patrzy na wasze ewolucje!

Podpłynęliśmy do brzegu, stanęliśmy w wodzie sięgającej po kostki, a wtedy Janusz wpadł na Ewę i runęli oboje na gliniaste dno. Pośpieszyliśmy im na ratunek. Pomogłem wstać Ewie, która mamrocząc pod nosem coś niezbyt pochlebnego o swoim wielbicielu, zaczęła myć umazaną twarz, Ada zaś mocowała się z Januszem, znowu zaplątanym w płetwy, mówiąc spokojnie i wyraźnie:

— Gdyby taki chłopak jak ty ośmielił się zaproponować mi randkę, wepchnęłabym go tutaj w tę glinę nogami do góry i trzymała go tak przez trzy tygodnie i pięć dni, zrozumiałeś?

— Głupstwa opowiadasz — wściekał się Janusz — po pierwsze nie proponuję ci randki i nigdy w życiu nie zaproponuję, a po drugie te przekłete okulary zalała mi woda i nic nie widzę. Na kogo ja wpadłem?

— Na mnie — powiedziała spokojnie Ewa. — Niech pan zdejmie okulary i zobaczy jak wyglądam.

— Dlaczego na trzy tygodnie i pięć dni? — dziwił się Mrozowski.

— Bo za trzy tygodnie i pięć dni wyjeżdżam — wyjaśniła Ada. Janusz ściągnął wreszcie okulary i skamieniał ze zgrozy, widząc Ewę zmywającą z wściekłością glinę z twarzy i ramion.

— Będę okulary wkładał tylko do nurkowania — oświadczył — wtedy są niezawodne. Zaraz pani przyniosę gąbkę. Pani Ewo, pani chyba nie słuchała tego, co mówiła ta wariatka Ada? Strasznie panią przepraszam... Ja...

— Proszę mi dać tę gąbkę!

— Na brzeg, na brzeg! — pokrzykiwał Mrozowski. Wreszcie znaleźliśmy się wszyscy na brzegu, ustawieni w szereg, poza Winiarskim, który nie zmienił pozycji i przyglądał się burzliwym zajściom wywołanym przez kolizję Janusza i Ewy. Mrozowski, rzecz jasna, nie mógł się na to zgodzić.

— Pana doktora proszę do nas — oznajmił nie znoszącym sprzeciwu tonem — to, co powiem, przyda się każdemu.

— Kiedy ja słabo pływam — rzekł Winiarski z nieznacznym uśmiechem — a pan prowadzi kurs dla zaawansowanych.

— Wręcz przeciwnie, zademonstruję elementarne zasady sztuki pływania. Żadne z nich nie jest naprawdę zaawansowane. Proszę więc, proszę.

Chcąc nie chcąc, Winiarski zajął miejsce na końcu szeregu.

— Pan Szot — zaczął Mrozowski, wskazując na mnie — pływa wprawdzie szybko, ale...

— Ja nazywam się Szot — przerwała mu Ewa — to jest pan Joachim.

— Przepraszam najmocniej — zmieszał się — myślałem o panu, panie Joachimie...

— Joachim to nazwisko — wtrąciłem — jest nieodmienne...

— Istotnie, istotnie. — Zatarł nerwowo ręce. — Jeśli więc chodzi o błędy popełniane przez pana Joachim...

— Nazwisko jest nieodmienne w wołaczu — uzupełniłem.

— W wołaczu? — zdumiał się. — W wołaczu... — powtórzył w zamyśleniu. — Więc błędy pana Joachim w wołaczu...

Ewa i Ada roześmiały się głośno.

— Ja wam to po prostu pokażę — rzekł z rozpaczą Mrozowski.

Wszedł do wody po pas, zatrzymał się w miejscu, w którym

grunt obniżał się gwałtownie.

— Wejście na głęboką wodę! — zawołał. — Unosimy ręce do góry, składając dłonie, pochylamy się lekko do przodu, następnie zgrabnym ruchem, nie powodując najmniejszego rozprysku, najmniejszego hałasu...

Tu zachwiał się, rozpaczliwie usiłując utrzymać równowagę.

— Najmniejszego hała... — zawołał jeszcze i runął do wody z potwornym pluskiem.

Nad powierzchnią ukazały się cienkie nóżki notariusza, potem rozrzucone patetycznie ramiona i w miejscu, w którym zniknął, ponad kłębiącą się kipieli wzbily się banieczki powietrza.

— Nasz nauczyciel, zdaje się, poszedł na dno — rzekł z kamiennym spokojem Winiarski.

— Nareszcie kolej na mnie! — wykrzyknął uszczęśliwiony Janusz. — tylko ja mogę nurkować!

Nasunął błyskawicznie okulary na oczy i rozstawiając szeroko nogi, aby nie zaplątać się znowu w płetwy, wbiegł do wody. Przez moment ponad powierzchnią powiewały zielone płetwy, a potem nowa porcja banie- czek dała świadectwo klęsce ratownika.

— Ada, szybko! — zawołałem.

Skoczyliśmy równocześnie. Wyrzedził nas jednak Winiarski. Pod wodą już zobaczyłem, jak windował za włosy wierzgającego Janusza. Ujęliśmy z Adą Mrozowskiego pod ramiona. Był niemal bezwładny, należało się spieszyć. Ktoś znalazł się obok nas, to Ewa, w trójkę wyciągnęliśmy notariusza na piasek. Janusz klęczał, plując wodą, Mrozowski leżał na plecach, nie poruszając się, wreszcie drgnął, zakrzuszył się, bluznął wodą raz, drugi, jęknął i otworzył oczy.

Odetchnąłem.

—...nie powodując najmniejszego hałasu, wślizgujemy się do wody — dokończył bełkotliwie i zemdłał.

Dopiero po pół godzinie mogliśmy wyruszyć do domu.

Niebo na zachodzie pociemniało, skwar był niemiłosierny, najmniejszy powiew nie poruszał gałęziami drzew, burza wisiała w nieruchomym, suchym powietrzu pod gorącym,

przymglonym słońcem. Notariusz szedł wolno przodem, podtrzymywany przez Winiarskiego. Milczał, i było to tak niezwykle, że milczeliśmy wszyscy. Dźwigałem worek Mrozowskiego, Ada niosła pletwy, a Ewa okulary Janusza, on zaś sam włókł się na końcu i robił wrażenie niezbyt z siebie zadowolonego. Tak wkroczyliśmy na taras.

Drzwi były zamknięte, w domu panowała głucha cisza. Notariusz opadł z jękiem na trzciny fotel, otarł czoło.

— Wygląda na to, że nikogo nie ma — powiedział Janusz. — Nie spodziewali się, że tak wcześnie wrócimy.

— Ile razy znajduję się w niebezpieczeństwie — rzekł Mrozowski — moja żona jest nieobecna. Darzy mnie bezgranicznym zaufaniem. Z drugiej jednak strony nie zdaje sobie sprawy, że moja śmiałość i nieubłagana konsekwencja w dążeniu do celu stwarzają mogą sytuacje dramatyczne. Bowiem przed wejściem do wody zbadać zawsze należy konsystencję dna. Uległem stworzonym przez was nastrojom pośpiechu i nerwowości i nie zdążyłem zbadać otoczenia, co zapewniłoby właściwe warunki dla pokazu. Następnym jednak razem pozostanę wierny swoim zasadom.

— Widzę, że wraca pan do siebie — mruknąłem.

Szczęknięta furtka, na ścieżce zjawiła się pani Ala wraz panią Mrozowską, obładowane siatkami i torbami.

— Już jesteście? — zdziwiła się pani Ala. — Helena i Janiak wybrali się do miasta, a myśmy poszły na zakupy. Co panu, panie Klemensie? Źle się pan czuje?

— Klemensie! — jęknęła pani Wacia. — Znowu poszedłeś na dno jak siekiera! Kiedyż ty wreszcie przestaniesz cię topić?

— Jak ty się wyrażasz?! — wściekł się notariusz. — Uległem wypadkowi, wypadki zdarzają się nawet mistrzom. Są słupami milowymi na drodze ich sławy!

Weszliśmy do domu, trzeszczały schody, trzaskały drzwi, wszyscy po chwili znaleźli się w swoich pokojach. Chciałem zapalić papierosa, ale nigdzie nie było mojej gazowej zapalniczki. Musiałem ją zostawić w gabinecie profesora. Poprosiłem panią Alę o klucz.

— Niech pan go zatrzyma — powiedziała. — Ja mam drugi, a

panu będzie wygodniej.

Wróciła właśnie Helena, krzątała się po kuchni, przygotowując obiad. Stałem w progu gabinetu. Wszystkie papiery leżały na podłodze. Otwarte szafki świeciły nagimi półkami. Szuflady biurka leżały na podłodze, odsunięty dywan pod ścianą. Obrazy, zdjęte ze ścian, rzucono niedbale na fotel. Jakby huragan przeszedł przez pokój. Tylko maszyna stała na swoim miejscu, a w niej kartka z listem kasztelana Jeziorkowskiego, ostatnim tekstem, zanotowanym przez profesora.

Kolekcja z Suchowłoci

Tego już trochę za wiele. Wakacyjne nastroje, wakacyjne zabawy, kąpiele, spacer, rozmówki, dziesiątki nic nieznaczących słów, nieważnych sytuacji, wszystko, co miało wprowadzić mnie w środowisko, zbliżyć do tych obcych ludzi, pokazać jak myślą, jak się zachowują, jakie mają ambicje, plany i przyzwyczajenia — ile na to trzeba czasu, ile dni, tygodni, miesięcy? Może całe lato, całe wakacje spędzone w tym domu, ogrodzie, mieście, z gliniankami pod bokiem, z szukającą rozrywek Adą, z Ewą wytraconą z równowagi niecodzienną sytuacją, której nie przewidziała w planie swoich zajęć, może to mi się tak podobało? Ja też jestem zmęczony, też myślę o wypoczynku, jak oni, jak oni wszyscy, poza panią Alą, przeżywającą przecież najcięższe dni i poza człowiekiem, który nie ma czasu, który korzysta z mojej bezczynności, nie traci ani chwili, choć pewnie robi to, co wszyscy, to, co zawsze, nie zwraca na siebie uwagi, ale spieszy się, spieszy, dlaczego? Śmierć profesora niczego nie zakończyła, niczego nie rozwiązała. Była więc początkiem historii, której nie znam? Której końca nie umiem przewidzieć, początku dostrzec, przebiegu zrozumieć?

Jeśli tak, w tym moja szansa. Pod jednym wszakże warunkiem. Że także będę się spieszył. Nie znam mojego przeciwnika, ale i on mnie nie zna. Póki tak jest, żaden z nas nie ma przewagi. Pod jeszcze jednym warunkiem: że i ja zacznę działać, że nie tylko jego inicjatywa, potrzeby jego planu dyktować będą tempo i rodzaj wydarzeń. A zatem dość tego, dość. Wszystko, co wiem o moim otoczeniu, może być złudzeniem.

Byli ze mną, widziałem ich bez przerwy. Brakowało pani Ali, pani Mrozowskiej, Heleny i Janiaka. Nie wiem, które z nich weszło do gabinetu. Nie wiem także, czy istotnie było to któreś

z nich. Nie wiem, czego tu szukano. Muszę się tego dowiedzieć.

Wszedłem do pokoju pani Ali. Siedziała za biurkiem, spojrzała na mnie zdziwiona, bo wszedłem dość gwałtownie, otworzyłem drzwi nie czekając na pozwolenie, byłem zły i nie udało mi się tego ukryć.

— Przepraszam — powiedziałem. — Przepraszam. Ktoś przewrócił gabinet do góry nogami podczas naszej nieobecności. Przestało mnie to bawić. Proszę mi powiedzieć, czy przechowywali państwo w domu coś cennego? Czy nie przychodzi pani na myśl nic, co mogłoby wytłumaczyć tę zabawę w ciuciubabkę? Wszystko to wina tego upału. Od rana myślałem o kąpeli, zamiast zabrać się do roboty.

Pani Ala wstała, bynajmniej nieporuszona, jej spokój trochę mnie otrzeźwił.

— Nie może pan niczego sobie zarzucić — rozłożyła ręce — w końcu jest pan tutaj dopiero od wczorajszego wieczoru. Podczas naszej nieobecności? Nie, nie wiem, czym to można wytłumaczyć. Nic nie przychodzi mi na myśl. A czy mamy w domu coś cennego? Mówiłam już oficerom, którzy prowadzili śledztwo. Mój brat miał piękny zbiór starej biżuterii. Nazywał go kolekcją z Suchowłoci, przechowywał w skrytce w moim pokoju, a skrytka jest nienaruszona.

— Więc jednak. Widziała pani te kosztowności po zabójstwie? Pokazywała je pani prowadzącym śledztwo?

— Nie pokazywałam, powiedziałam tylko, że nic nie zginęło. A czy widziałam? No tak, trzymam tam także pieniądze na prowadzenie domu, biżuteria leży w głębi, w płaskim pudełku. Nikt go nie ruszał.

— Możemy zobaczyć je teraz?

— Oczywiście, proszę.

Wyjęła z torebki płaski, długi kluczyk, podeszła do ściany, zakrytej dziesiątkami miniaturek, ceramiką i obrazami, zdjęła jeden z nich. Załśnił na ścianie prostokąt stalowych drzwiczek, kiedyś pewnie pokrytych lakierem o kolorze ścian, teraz wyczyszczonych pięknie, jako że pani Ala lubiła porządek, a nie ceniła sobie zapewne filmowych efektów. Otworzyła drzwiczki bez trudu, wewnątrz, w niewielkiej ściennej szafce leżały

pieniądze, jakiś złoty zegarek, łańcuszki, medalioniki, w głębi zaś, istotnie, stało spore, płaskie tekturowe pudełko, przewiązane błękitną wstążką.

— Proszę — powiedziała — leży tak od miesięcy.

— Nie zaglądała pani do środka? Nie oglądała pani klejnotów?

— Widziałam je nieraz, ale ostatnio, nie, ostatnio nie ruszałam w ogóle pudełka, nie było potrzeby, zresztą, nie jestem teraz w stanie myśleć o niczym...

Wyjęła pudełko, położyła je na stoliku, rozwiązała wstążkę. Uniosła wieko, ujrzełiśmy kłęby waty, pani Ala zanurzyła w nią niespokojnie palce i podniosła gwałtownie głowę.

— Nie ma... — szepnęła. — Nie ma.

Usiadłem, zapaliłem papierosa. Pani Ala stała, nieporuszona, nad otwartym pudłem. W ciszy, jaka zapadła, usłyszałem szcęk furtki, jakieś głosy w ogrodzie, szum samochodu, dalekie wycie syreny. Nad miastem huczały odrzutowce, na bladym, wysokim niebie za oknem, ponad gałęziami drzew, rozwijały się białe wstęgi.

— To niemożliwe. — Pani Ala potrząsnęła głową, jakby odtrącała jakieś niedorzeczne myśli, i zaczęła gorączkowo wykladać strzępy waty na blat stolika. — Jest tylko jeden klucz, ten, który mam w torebce. Widział pan sam, że zamek jest nieuszkodzony, nie ma mowy o włamaniu. Swój pokój także zamykam, nigdy nie zostawiam otwartych drzwi. W jaki sposób one mogły zniknąć?

— Jest tylko jedna możliwość — powiedziałem. — Klejnoty zabrał sam profesor. Ale jak? Nie miał własnego klucza, o ile dobrze zrozumiałem.

Pani Ala przysiadła na rogu krzesła, podparła głowę rękami.

— Zaraz — zaczęła z namysłem — zaraz, muszę się zastanowić. To musi mieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Mówi pan, że mój brat sam... To możliwe... Nie pamiętałam o tym, ale teraz... Ta biżuteria leżała w schowku przez wiele lat nieruszana. Dopiero kilka miesięcy temu brat nagle sobie o niej przypomniał. Wziął ode mnie pudełko, trzymał klejnoty przez jakiś czas u siebie w gabinecie, wiem, że oglądał je dokładnie,

bo go kiedyś przy tym zastałam.

— Nie pytała pani, skąd to zainteresowanie?

— Chyba pytałam... Odpowiedź wydała mi się oczywista, dlatego nie mogę sobie przypomnieć... Tak, chyba tak... Już mówiłam, że to była stara biżuteria, bardzo stara... Brat powiedział chyba, że zajmuje go jako historyka, że jest dla niego... interesującym rekwizytem, tak, właśnie tak powiedział, interesującym rekwizytem.

— I co dalej ?

— Po jakimś czasie oddał mi pudełko, zamknęłam je znowu w schowku.

— I od tego czasu nie miał już w ręku klejnotów?

— Chwileczkę, chwileczkę... Tak, pan ma chyba rację... Na kilka dni przedtem... przed tym, co się stało, poprosił mnie o klucz. Spieszyłam się do opery, zostawiłam mu więc klucz i pojechałam. Kiedy wróciłam, brat jeszcze pracował, powiedział mi tylko, że klucz leży u mnie na biurku. Bardzo był tą pracą zaabsorbowany, więc poszłam szybko do siebie, schowałam klucz i zapomniałam o wszystkim. Myślałam po prostu, że wziął pieniądze ze schowka, często lak robił, a że pudełko leżało na swoim miejscu...

— Rozumiem, to jasne. Myślę, że profesor wtedy właśnie zabrał klejnoty. Pani je oglądała nieraz, prawda? Czy może je pani opisać?

— Mogę, oczywiście mogę. Pewnie niedokładnie, nie znam się na klejnotach i nie jestem historykiem sztuki, ale to były rzeczy bardzo piękne i bardzo stare, chyba z siedemnastego wieku, dzieła florenckich i weneckich złotników. Najlepiej pamiętam sztylecik, taki niewielki, o klindze wąskiej i ostrej jak igła, rękojeści wysadzonej diamentami i rubinami, garda była prosta i krótka, też wysadzana kamieniami. Na ostrzu miał coś w rodzaju podziałki, jakąś miarę, ale nierówno znaczoną...

— Wiem — powiedziałem cicho — to działomiar. Posiadanie sztyletów było w niektórych okresach zakazane, robiono więc na głowni podziałkę działomiaru, bo to też były pręty o trójkątnym przekroju... Ten sztylet... Krótki jelec wysadzany kamieniami, wąska rękojeść... Pamięta pani te kamienie?

— Na gardzie, czy... jak to pan powiedział?

— Na jelcu...

— ...na jelcu były właściwie trzy kamienie. Jeden duży i dwa mniejsze na krańcach. Oprócz sztyletu, który był najpiękniejszy, bardzo prosty przy tym w kształcie, leciutki i delikatny, pamiętam dwa puste medaliony z łańcuszkami, pokryte jakimś ornamentem, już nieco zatartym, jakieś sceny...

— ...mitologiczne — odpowiedziałem machinalnie.

— Skąd pan wie? — zdumiała się.

— To ulubione motywy renesansowych złotników — mruknąłem. — I co jeszcze?

— Kilka brosz różnych wielkości, bransolet i pierścieni...

Mówiła dalej, słyszałem jej głos, ale nie rozróżniałem słów. To, czego dowiedziałem się o zbiorach profesora, nie wykraczało poza zakres elementarnych informacji o renesansowym i barokowym złotnictwie włoskim i francuskim, a jednak zdawało mi się, że jest w tym jakiś znajomy ton, że na dnie pamięci kołacze się jakieś odległe, niejasne wspomnienie, wskrzeszone teraz nieoczekiwanie, wciąż jednak mgliste, niepewne, związane z czymś odległym i przyjemnym, z czymś, co nałożone na atmosferę tego domu, gabinetu profesora, książek i notatek, a także dawnych moich studiów, poszukiwań i prób, pojawiło się teraz wśród napotkanych tu ludzi, odnawianych kontaktów, odkrywanych na powrót sekretów zawodu, z którym tak dawno się rozstałem. Lecz głębiej, poza wszystkim, co nienazwane, kryje się coś jeszcze, co wcale nie budzi uczuć przyjemnych, ale opór, gwałtowny sprzeciw, gniew. Gniew właśnie łączy mnie z tym domem bardziej, niż wspomnienia; gabinet, opuszczony przez gospodarza w środku jego pracy, planów i wysiłków, dziś jeszcze, przed godziną, dwiema, sprofanowany rękami człowieka, który działa z ukrycia i atakuje wciąż jeszcze, choć profesor Kędziński nie żyje — ten gabinet nie jest już miejscem pracy, lecz polem rozgrywki. Czyżbym znał stawkę? Czy to aż tak proste?

— Skąd profesor miał te klejnoty? — spytałem. — I jak do niego trafiły?

— Zjawily się w pierwszych latach małżeństwa z panią

Murawską — odpowiedziała, marszcząc brwi.

— Stykałam się z nim wtedy rzadko, nie umiem nic konkretnego o tym powiedzieć. Kiedy zamieszkaliśmy razem, w jakiś czas po rozwodzie Zygmunta, powiedział mi tylko tyle, że na podstawie rozliczeń majątkowych klejnoty są teraz jego własnością.

„Rozliczenia majątkowe”... Już drugi raz to dzisiaj słyszę. Pani Murawska chciała zobaczyć się ze swoim byłym mężem, na krótko przed jego śmiercią, także w sprawie „rozliczeń majątkowych”. Interesy pani Murawskiej wydały mi się interesujące. Zdecydowałem się nagle. Telefon stał na biurku pani Ali, zadzwoniłem do Komendy. Grzywiński przypadkowo siedział w pokoju, w którym gościnnie przyznano nam kąpiel.

— Zdobądź samochód — powiedziałem — i dobrego kierowcę. Skąd chcesz. Za godzinę wyjeżdżamy do Poznania zobaczyć się z panią Murawską. Zadzwoni tam, niech nas umówią. Więc za godzinę, na placu Kościuszki, przed Klubem Książki i Prasy.

— Ale zje pan przedtem obiad — oświadczyła panna Ala. — Helena już podaje. Oczywiście, rozumiem, nikomu nie powiem, dokąd pan pojechał. Przede wszystkim Adzie.

Zobaczyłem ją na tarasie, stała tam z doktorem Hoszowskim i z panem Zagórskim.

— Prosiłam doktora, żeby obejrzał wujka Mrozowskiego — powiedziała Ada — ale wuj zaniknął się w pokoju i nie chce z nikim rozmawiać. Co mam robić, Jacku... panie Jacku?

— Zostawić wujka własnemu losowi. Pewnie obmyśla mniej ryzykowną metodę nauki pływania. Trzeba mu na to dać czas.

— Pan magister jest niepoprawny — rzekł Zagórski. Byłem już świadkiem kilku jego podobnych wyczynów. Póki gra w domino, szachy albo bridża, to jeszcze pół biedy, ale kiedy przychodzi do poważniejszej próby...

— Musimy się wybrać na jazdę konną — zaproponowałem. — Może to wreszcie zniechęci naszego nauczyciela.

— Myli się pan! — zawołał Zagórski. — Dopiero wtedy przekonaliśmy się pan, co to jest prawdziwa pasja pedagogiczna.

— Może wpadną państwo do mnie na bridża? — spytał Hoszowski. — Przesiadujemy tu z panem Zagórskim niemal

codziennie, a ja mam barek zaopatrzony nie najgorzej.

— Na mnie nie liczcie — powiedziała pani Ala. — Nie nadaję się do okazji towarzyskich. Ale wy się nie krępujcie, nie możecie przecież cały dzień siedzieć w tym domu.

— Co pan na to, panie Jacku? — spytała Ada. — Wybierzemy się na bridża? A poza tym ja jeszcze nie widziałam Kory, papugi doktora. Kiedy tu mieszkałam, było to małe, zielone brzydactwo.

— I panią proszę najserdeczniej — Hoszowski rozjaśnił się na widok Ewy, która weszła właśnie na taras w lekkiej, krótkiej sukience z białym paskiem, w białych sandałkach na nogach. Ada zmarszczyła nos, niezadowolona, widocznie Ewa wyglądała nieco za dobrze, jak na jej gust. — Proszę mi nie odmawiać!

— Ja niestety jestem zajęty dziś wieczór — powiedziałem szybko. — Umówiłem się już wcześniej z przyjacielem.

— To przełożmy bridża na jutro — zaproponowała Ada — jeżeli na jutro też nie umówił się pan z przyjacielem.

— Widzę, że wybrała już pani partnera — odezwała się z przekąsem Ewa.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

— No proszę, a my się nie liczymy? — zagrział Hoszowski.

— Panno Ewo, na mnie zawsze może pani liczyć!

— I na mnie. — Zagórski wypiął bohatercko pierś.

— Wydaje mi się, że w bridżu partnerów się losuje — powiedziałem. — Czyżby coś się zmieniło?

— Nie spędzimy całego wieczoru przy kartach. — Hoszowski uśmiechnął się jowialnie. — Czekam więc państwa jutro, powiedzmy o siódmej.

— Obiad! — rozległ się w głębi domu tubalny głos Heleny. — Znowu dzwonek się zepsuł, nie będę każdego z osobna zapraszać!

Pani Ala zmarszczyła gniewnie brwi, ale skinęła tylko głową Hoszowskiemu i Zagórskiemu i ruszyła w stronę jadalni, za nią, ociągając się, Ada, wreszcie Ewa, ja zaś zostałem jeszcze na chwilę, aby dokończyć papierosa z naszymi sąsiadami, którzy wcale nie kwapili się do odejścia.

— Jesz obiad na mieście? — spytał Zagórski Hoszowskiego. — Umówiłem się ze znajomymi w „Monopolu”, może pójdziesz z nami?

— O drugiej muszę być w szpitalu — Hoszowski spojrział na zegarek — tam coś zjem. Zresztą w taki upał ani jeść, ani pracować się nie chce, nie uważa pan? — zwrócił się do mnie.

— Nie zazdroszczę wam. — Zagórski otarł pot z czoła kraciatą chustką. — Mnie, jeśli tak można powiedzieć, nawet odpoczywać się nie chce. Jemu — wskazał na Hoszowskiego — to jeszcze dobrze, leży sobie w gabinecie i pielęgniarki go wachlują — Hoszowski pokręcił głową z udanym oburzeniem — ale panu współczuję, grzebać się w papierach w taki czas... Znalazł pan chociaż coś ciekawego? Da się z tego złożyć coś do wydania?

— Jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek przewidywać — odpowiedziałem z przesadną nieco bezradnością — zaczęliśmy dopiero porządkować materiały, a jest tego mnóstwo i sporo czasu upłynie, zanim będziemy choćby najogólniej zorientowani w stanie prac profesora.

Hoszowski usiadł na leżaku ze szklanką wody sodowej w ręce.

— Wciąż jeszcze nie mogę oswoić się z myślą, że Zygmunt już nigdy nie usiądzie w swoim gabinecie — powiedział. — Wiem, że pisał książkę, dużą pracę. Mówił, że będzie zupełnie inna, różna od wszystkiego, co do tej pory zrobił...

— To chyba prawda — odezwałem się — widać to już na pierwszy rzut oka, kiedy przegląda się materiały. Mają charakter, czy ja wiem, bardzo literacki, prace konspiracyjne, jakieś konflikty międzyludzkie, klejnoty...

Szklanka wody wysunęła się z ręki Hoszowskiego i rozprysnęła z trzaskiem na kamiennej posadzce tarasu.

— Klejnoty? — zdziwił się Zagórski. — Prawdziwe klejnoty?

— Zmęczony jestem, wszystko z rąk mi leci — usprawiedliwiał się Hoszowski, klęcząc i usiłując zebrać okruchy szkła. — Przepraszam, nie dosłyszałem, o czym pan mówił.

— Drobiazg, nic ważnego — mruknąłem i pochylilem się nad nim, aby mu pomóc. Hoszowski miał obrzmiałą, czerwoną twarz, oddychał ciężko. — Nie, skądże prawdziwe, po prostu wpadł mi w ręce fragment osiemnastowiecznego tekstu, w którym mówi się o jakichś klejnotach, wcale ich zresztą szczegółowo nie opisując. Nie pokaleczył się pan?

— Nie, na szczęście nie — Hoszowski wyprostował się i jeszcze raz spojrzął na zegarek — ale na mnie już czas. Wyszliśmy z Kazikiem — skinął głową w kierunku Zagórskiego — żeby złapać taksówkę, swój samochód dopiero pojutrze odbieram z warsztatu. Ale Ada nas zobaczyła i w rezultacie zrobiło się późno. No, trzeba iść, ja jestem człowiek pracy, nie to, co Kazik. Wstaje o dwunastej i w planie dziennym ma zjedzenie obiadu.

Zagórski rozłożył ręce.

— Jeżeli cię mój sposób spędzania wakacji denerwuje, mogę jeszcze dzisiaj wieczorem pojechać do Zakopanego i wdrapać się na Giewont. Tydzień temu siedziałem w biurze, pocilem się nad sprawozdaniem i marzyłem tylko o tym, żeby nikt niczego ode mnie nie wymagał. Chociaż... — tu posmutniał demonstracyjnie — biedny Zygmunt, pisał, że obrazi się na mnie, jeśli cały czas przesiedzę u ciebie. Umawialiśmy się na partyjkę domina... Cóż robić...

— Spędzi pan tutaj cały urlop? — spytałem zdawkowo.

— Ach, nie, tylko kilka dni. Od piętnastego mam zarezerwowany pokój w Sopcie.

— Jacek! — Ada wybiegła na taras. — Ciotka mnie po pana przysyła, zupa jest już zimna. Jeżeli pan mnie nie posłucha, ciotka poszczuje pana Heleną.

— To nasza wina! — zawołał Hoszowski. — Oszczędźcie tortur młodemu człowiekowi! Do widzenia, do widzenia!

— Biedak śpieszy się na dyżur — postękiwał, drecząc za nim Zagórski — ale dokąd ja się właściwie śpieszę?

I znikli za żywoplotem.

— Biedak! — parsknęła Ada. — Prawdopodobnie mógłby sobie kupić cały ten szpitalik, w którym pracuje-

— Tego nie wiedziałem — mruknąłem. — Zdawało mi się tylko, że w żadnym szpitalu nie zaczyna się dyżuru o czternastej.

— I nie zaprasza się w tym dniu gości na bridża — uzupełniła Ada. — Taki on ma dziś dyżur, jak ja występ w operze.

W jadalni było przedziwnie cicho i pustawo. Brakowało Mrozowskich, Janusz siedział osowiały, z opuszczoną głową i grzebał łyżką w talerzu z jarzynową zupą, pani Ala rozmawiała cicho z Ewą, brzęczały sennie muchy. Próbowaliśmy z Adą nieco rozruszać osowiałe towarzystwo, ale bez widocznego rezultatu.

Po obiedzie weszliśmy z Ewą na górę, pani Ala rozmawiała w kuchni z Heleną i Janiakiem o sprawach gospodarczych, Janusz klócił się z Adą w hallu, widać jego tłumione rozdrażnienie musiało wreszcie znaleźć jakieś ujście; nie wybrał jednak odpowiedniego partnera, bo Ada bawiła się doskonale, a Janusz podniecał się, przesadnie podnosząc głos do piskliwego dyszkantu.

— Twój wielbiciel wyraźnie nie w formie — powiedziałem.

— Mnie to nie zraża. Janusz budzi we mnie uczucia opiekuńcze — oświadczyła Ewa. — A ty lepiej uważaj na swoją wielbicielek, mam wrażenie, że nawet ciebie potrafiłaby zjeść na surowo.

— Dziękuję za to „nawet”. Ada nie budzi we mnie wprawdzie uczuć opiekuńczych, ale to całe szczęście, bo nigdy nie byłem dobrym pedagogiem. Mogę wejść do ciebie na chwilę?

— Jestem wzruszona. Na pewno chciałeś wejść do mnie, a nie do Aduni?

— Jeśli się rozmyślę, będę miał niedaleko.

— Rozumiem przez to, że mi grozisz utratą łask.

— Nic nie rozumiesz, dziecinko. Utracić można tylko to, co się posiada.

— A to pięknie. Jesteś wyjątkowo uroczym okazem dżentelmena. Proszę, wejdz, jeżeli chodzi ci o sprawy urzędowe. W innych przyjmuje się w drugim końcu korytarza.

— Ewuniu — powiedziałem, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi, a Ewa podeszła do okna, aby otworzyć je szerzej i rozsunać firanki — nie gniewaj się, jestem tobą zachwycony od chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy w drzwiach taksówki, byłem tobą zachwycony przy kolacji, śniadaniu i obiedzie, wręcę ci dziś wieczorem siedem czerwonych róż w kryształowym flaconie, jesteś ozdobą nauk historycznych w całej środkowej Europie, a być może również i wschodniej, pożyczę od Janusza pletwy i będę w nich chodził po domu, żeby wzbudzić w tobie uczucia opiekuńcze, ale posłuchaj mnie teraz uważnie, dobrze?

Usiadła na fotelu, zakładając wysoko nogę na nogę i przyjrzała mi się uważnie.

— Jeszcze się zastanowię, czy ci przebaczyć. A teraz mów, wyglądasz, jakbyś się spieszył.

— Spieszę się rzeczywiście. Za pół godziny jadę do Poznania.

— A to coś nowego. Na długo?

— Wieczorem wrócę. Chcę się zobaczyć z panią Murawską, matką Ady.

— Jej też się przedstawiś jako historyk?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale pani Murawska nie wybiera się tutaj, ani Ada do Poznania. Przez parę dni możemy się więc jeszcze pobawić. Ewa, musisz na siebie uważać. Kiedy wróciliśmy z glinianek, wszedłem na chwilę do gabinetu. Był przewrócony do góry nogami. Ktoś tam szperał podczas naszej nieobecności.

Ewa przybladła lekko.

— Znowu? — spytała z niedowierzaniem. — I to w biały dzień? Nie rozumiem. Po co? Dlaczego?

Opowiedziałem jej wszystko, czego dowiedziałem się od pani Ali o biżuterii przechowywanej w skrytce.

— Pamiętasz? — kończyłem. — Kasztelan Jeziorkowski

wspomina w swoim liście o kosztownościach, na które mieli ochotę spiskowcy. Może to oczywiście nic nie znaczyć, a jednak profesor mówił, że klejnoty są dla niego interesującym rekwizytem. Rzucił się wśród nich w oczy przede wszystkim wenecki sztylet, jak wynika z opisu, wyjątkowo pięknej roboty. Mam prośbę do ciebie. Będę się starał dowiedzieć czegoś o biżuterii w Poznaniu. Postaraj się w tym czasie przywrócić gabinet profesora do poprzedniego stanu. Zostawiam ci klucz. Jeśli będziesz przeglądać papiery, zwracaj szczególną uwagę na wzmianki o klejnotach, o sztylcie, bo tylko o nim wiemy coś bliższego. Zamknij się tam, uważaj.

Ewa ściągnęła ramiona, jakby poczuła chłód.

— Myślisz, że to klejnotów szukano w gabinecie? — spytała.
— Że śmierć profesora... że to był po prostu mord rabunkowy?

— Najbardziej z pozoru zawikłane sprawy sprowadzają się w rezultacie do motywów pospolitych. Ale nie wiem, nie wiem nawet, czy sprawca znalazł w końcu klejnoty. Dlatego proszę, żebyś uważała. Myślę, że wrócę przed zmrokiem, a dom jest teraz pełen ludzi, więc praktycznie powinno wszystko być w porządku. Ale stało się tu parę rzeczy raczej nieoczekiwanych, więc nie bądźmy zanadto pewni siebie.

— Dlaczego zamordowano profesora, jeżeli morderca nie zdobył w ten sposób klejnotów?

— Nawet nie to jest dziwne, można by znaleźć jakieś wytłumaczenie. Pytań jest więcej. Czemu nie przeszukano gabinetu od razu? Czy ktoś spłoszył zabójcę? I skąd zabójca wiedział, że klejnotów nie ma w schowku, że profesor trzyma je w gabinecie? Jeżeli rzeczywiście trzymał je w gabinecie, jeśli rzeczywiście to on wyjął kosztowności ze schowka i nie powiedział o tym siostrze. Jak widzisz, nic nie jest jasne, nie wiemy nawet, czy naprawdę chodzi tu o klejnoty. Chciałaś mi pomóc, zastanów się nad tym w wolnej chwili, dobrze? Gdyby ci się nudziło. Do widzenia. Spieszę się.

Chciała mnie jeszcze zatrzymać, ale naprawdę musiałem już jechać. Wpadłem na chwilę do swojej klitki, zmieniłem koszulę, zabrałem pieniądze i dokumenty i zbiegłem na dół. Na tarasie dogoniłem Adę. W barwnym, lekkim garniturku, z torebką i w

ciemnych okularach, najwyraźniej wybierała się na miasto.

— Także w świat? — spytała. — Tak przypuszczałam, bo nic mi pan nie zaproponował na popołudnie, a nie wygląda pan na człowieka wypranego z inicjatywy. Idę połażyć po sklepach. A pana gdzie nogi prowadzą?

— Umówiłem się ze znajomymi, ale wrócę przed wieczorem. Poszukamy taksówki?

— Postój jest za rogiem. Będzie pan przejeżdżał przez centrum?

— Jadę do śródmieścia, umówiłem się w Klubie Książki i Prasy.

— A to się z panem zabiorę.

I poszliśmy. Obejrzałem się, zanim skręciliśmy ścieżką ku furcie. Ewa stała w oknie, pokiwała mi ręką z ironicznym uśmiechem; taras był pusty, tylko firanka w pokoju pani Ali drgnęła nieznacznie, jakby ktoś ukryty za nią obserwował nas uważnie. Okna gabinetu profesora były zamknięte, w szybach odbijało się jaskrawe słońce, nasycając migotliwym blaskiem gęste, drżące w upale powietrze.

Taksówkę złapaliśmy przed postojem, w połowie alei Lipowej. Wysiedliśmy na placu w centrum miasta pośród leniwego, spoconego tłumu. Rozpalone chodniki i mury domów, zszarzała zieleń, zwiędłe kolory kwiatów, nisko nad chodnikami zwisające markizy, huk aut i tramwajów.

— Wymarzone miejsce na odpoczynek — powiedziałem. — Zawsze ma pani takie szczęśliwe pomysły?

— To niech mnie pan stąd zabierze! — roześmiała się. — Nie mam nic przeciwko temu. Pewnie jest gdzieś parę miejsc, w których można wytrzymać.

— Poszukamy ich jutro. Do widzenia, Ada.

— Do widzenia, Jacku.

Patrzyłem za nią przez moment i pomyślałem, że o wiele milej byłoby pójść z nią teraz przed siebie, niż gnać sto kilkadziesiąt kilometrów, aby zobaczyć się z jej matką. Z ciężkim więc sercem przeciąłem pasmo jezdni, gdzie na białych pasach kierowcy i przechodnie toczyli beznadziejną walkę nerwów, i znalazłem się przed Klubem Książki i Prasy Parking

zatłoczony był szczelnie, ale w żadnym z samochodów nie spostrzegłem Grzywińskiego. Wszedłem więc do Klubu, zajrzałem do czytelnicy i sali wystawowej, zastawionej piramidkami kolorowych klocków, poprzez zatłoczoną kawiarnię przedostałem się do sali księgami i tam, przy stoisku z prasą, wpadłem na Winiarskiego. Chował właśnie do teczki wyciągnięty spod lady przez miłą panią o jasnych włosach numer „Burdy”.

— Dzień dobry — powiedział, kiedy mnie zobaczył.

— Jak pan widzi, zdobyłem prezent na imieniny Elżbiety. Jeszcze kwiaty i jestem gotów. Jak tam nasz nauczyciel? Przyszedł już do siebie?

— Nie pokazał się na obiedzie, czuję, że obmyśla dla nas coś zupełnie nowego. Jest tu poza tym coś interesującego?

— Chyba nic, spodziewają się transportu dopiero pod koniec tygodnia. Warto będzie wtedy obejrzieć szczególnie książki niemieckie. Napijemy się kawy?

— Niestety, wpadłem tylko na chwilę, muszę iść. Ale wybierze się pan przecież na Lipową?

— Najwcześniej jutro przed wieczorem. Teraz będę zajęty, a jutro rano... ależ tak, to pana chyba także zainteresuje, o dziesiątej mamy posiedzenie, odłożone zresztą jeszcze z czerwca, Towarzystwa Historycznego, z udziałem historyków literatury. Mowa będzie o Oświeceniu, a to przecież bliskie naszym zainteresowaniom. Uczymy minutą milczenia pamięć profesora Kędzierskiego, dziekan będzie mówił, krótko, bo przecież temat to za świeży, o jego sylwetce naukowej. Zobacz pan także docenta Karolaka, bardzo się cieszy na spotkanie z panem.

— Dziękuję panu, przyjdę.

— I proszę nie zapomnieć o koleżance Szot...

„Tu cię boli” — pomyślałem.

— ...więc jutro o dziesiątej w gmachu Filologii na Miejskiej, sala 110.

— Będę pamiętał. Do widzenia.

— Do widzenia panu.

I przeszedł, wysoki i elegancki, z teczką pod pachą, do sali

kawiarni. Ja zaś zobaczyłem przez oszklone drzwi zajeżdżającego właśnie przed Klub szarego Fiata 1500, w którym mignął mi profil Grzywińskiego. Wyszedłem szybko w tłumie, aby nie zobaczył mnie Winiarski; otworzyły się drzwiczki i zanim je zamknąłem, wóz ruszył ostro.

— Witam — powiedział Grzywiński. — Nie mamy wiele czasu, umówili nas na wpół do piątej. Pani Murawska na szczęście jest w Poznaniu. No co, kąpałeś się?

— Żebyś wiedział. Nawet ratowałem tonących, mam dziś harcerski dzień. Zobacz, zobacz, widzisz tę dziewczynę w garniturku?

Zatrzymaliśmy się przed czerwonymi światłami na skrzyżowaniu, od chodnika dzielił nas jeszcze jeden rząd samochodów, a przed wielką szybą wystawy domu towarowego stała, odwrócona do nas półprofilem Ada, z kolorową torbą w ręce.

— Dobra! — rzekł z uznaniem Grzywiński. — Znajoma? Która? Ewa?

— Nie, Ada. Ewa właściwie jest lepsza.

— Pan kapitan to ma organizację pracy w terenie — westchnął kierowca. — Tylko koszty delegacji rosną, co?

Schowałem się za Grzywińskiego, bo Ada spojrzała w naszym kierunku, ale i tak zasłonił ją zbity tłumek, gdyby mnie zauważyła, musiałbym wymyślić historię o znajomych z samochodem, szarym Fiatem 1500. Ale już zielone światła, więc jazda. Czasu istotnie niewiele. Przepychaliśmy się jednak przez miasto blisko kwadrans, zanim wyprysnęliśmy na szeroką poznańską szosę.

Grzywiński, jak się okazało, spędzał czas, w odróżnieniu ode mnie, pracowicie. Kierowca starał się nie schodzić poniżej 120 na godzinę, my zaś rozłożyliśmy się wygodnie na tylnym siedzeniu, uchyliliśmy szyby na tyle, aby zapewnić sobie godziwą wentylację, a Grzywiński ułożył na kolanach notes i referował dane, które udało mu się zebrać. Na pierwszej stronie napisał: „Notatki do portretów”. Trzeba przyznać, że zebrał ich niemało. Karolina Murawska. *Primo voto* Komaczyńska. Przed wojną żona zawodowego oficera, który zginął we wrześniu.

Podczas wojny w Krakowie poznała profesora Kędzierskiego. Była bogata, robiła znakomite interesy, jest jednak pewne, że nie utrzymywała kontaktów z Niemcami, przeciwnie, wspomagała niejednokrotnie fundusze organizacyjne. Bardzo była urodziwa — wysoka, postawna brunetka, edukację odebrała staranną w rodzinnym dworku na Wileńszczyźnie, nie wiadomo zatem, w kogo się wrodziła, jeśli przy wystawnym trybie życia nie tylko nie straciła majątku, ale jeszcze go pomnożyła. Po wyzwoleniu Karolina przeniosła się do Poznania i wyszła za mąż za byłego przemysłowca, prowadzącego po wojnie duży sklep komisowy. Z tego małżeństwa urodziła się Ada, ale samo małżeństwo nie przetrwało nawet dwu lat. W roku 1948 profesor Kędzierski obejmuje katedrę w Poznaniu i tam spotyka ponownie rozwiedzioną już Karolinę. Biorą ślub w roku 1949 i pani profesorowa pospiesznie likwiduje swoje interesy, postępując zresztą zgodnie z aktualnym etapem rozwoju ducha dziejów. Nieobdarzony tak wyczulonym instynktem, jej drugi mąż, pan Murawski, aresztowany w związku z dużą aferą gospodarczą, dostaje się do więzienia, a w parę lat później dyskretnie umiera, umożliwiając w ten sposób swej byłej małżonce nieograniczone korzystanie ze wspólnych oszczędności, które ona podobno przechowywała. W niedługi czas po ślubie państwo Kędzierscy przenoszą się ponownie, profesor kupuje dom pod lipami, jego żona zaś zachowuje swój domek w Poznaniu, gdzie spędza zresztą zawsze parę miesięcy w roku. Mają jeszcze domek w Jastrzębiej Górze i jakiś drobiazg w Zakopanem, ale ten drobiazg tanio sprzedają znajomemu, panu Zagórskiemu. Po paru latach małżeństwa profesorowa coraz częściej i dłużej przebywa w Poznaniu, wreszcie, po roku 1956, powraca tam na stałe i z wielką energią przystępuje ponownie do interesów. Zakłada wytwórníę plastikowych sitek i grzebieni, staje się współwłaścicielką wytwórni kosmetyków, firmy ogrodniczej, wymienia się jeszcze jakieś kawiarnie czy gabinety kosmetyczne, ale to nic pewnego, wszystko jest zresztą w sensie formalnym w najzupełniejszym porządku i rozmiarów przedsiębiorstwa pani Murawskiej, która powróciła

do nazwiska nieżyjącego drugiego męża, nie sposób właściwie określić. Niełatwo też określić aktualny stan jej interesów. Przebąkuje się w Poznaniu, że pani Murawska ma poważne kłopoty finansowe.

— Ale — powiedział Grzywiński — na tym piętrze nigdy nie wiadomo, co to są kłopoty finansowe. Tak mi się zdaje, że gdybym miał kłopoty pani Murawskiej, żyłbym w luksusie do końca życia.

— Panie poruczniku — rzekł kierowca — pan się myli. Jakby pan miał jej kłopoty, dawno by pan już siedział albo poszedł po prośbie. Do pieniędzy trzeba mieć talent. Wjeżdżaliśmy już w wąskie uliczki Rydzyny. Ile razy tędy przejeżdżam, zawsze mam nadzieję, że następnym razem będę się mógł tu zatrzymać i obejrzeć pałac Sułkowskich. I teraz tak pomyślałem. Upał mniej już doskwierał, przez odsunięte szyby nie dmuchało na nas żarem jak z drzwiczek rozpalonego pieca, na niebie piętrzyły się piękne, białe obłoczki, smugi cienia przebiegały przez jezdnię.

Ada. Na kartce notesu Grzywińskiego było kilka zaledwie notatek.

— Wolę jej portret na żywo — westchnął. — To może ty mi coś o niej opowiesz?

— Nie rozmarzaj się. No, co tam masz?

— Dobrze ci mówić. Posiedziałbyś, jak ja, parę dni w dusznym biurze, w taki upał, zobaczylibyśmy, czy byś się nie rozmarzył. A więc Ada. Dwadzieścia cztery lata. Sam smak. Ukończone prawo.

— Sam smak — mruknął kierowca.

— Cicho, Pieszycy! — zdenerwował się Grzywiński. — Sami byście chcieli mieć taką dziewczynę.

— Dziewczynę to ja mam — mruknął — i dwoje dzieci. A mieć to bym chciał chatę w górach nad potoczkiem. Chodziłbym sobie na ryby, czyścił studnię, wybudowałbym sobie kominek i piekłbym w nim kielbaski.

— Racja — powiedziałem — las i potoczek mamy po prawej. Chata też tam stoi. Zatrzymajmy się, i tak dobrze jedziemy.

Poleżeliśmy w trawie nad potoczkiem, popatrzyliśmy w

niebo, coraz szczelniej pokryte chmurami. Pieszycki wyznał, że już upatrzył sobie chatkę w górach, godzinę jazdy z miasta, a Grzywiński, że Ada studiowała w Krakowie, pływała w jakimś klubie zawodniczo, a w Poznaniu nie dostała się na aplikanturę adwokacką, wobec czego ma jakieś radcostwo i zajmuje się urządzaniem sobie życia.

Za Leszmem dowiedziałem się jeszcze, że Janiak nie ma siostrzeńców ani bratanków, że piętnaście lat temu był wmieszany w aferę paskarską, ale mu niczego nie udowodniono. W Kościanie popadało. Został jeszcze doktor Hoszowski. Ginekolog, ordynator oddziału w dzielnicowym szpitalu. Praktyka na mieście. Co rok wycieczki zagranicę ze Związku Młodzieży Wiejskiej. Nieprawdopodobne pieniądze. Ma willę na Podhalu, nad jakimś zalewem.

— Sołtys mu łódką wozi najlepsze trunki sprowadzane z powiatowego miasta — mówił z podziwem Grzywiński — na wysepce rauty urządzają. Żyje i umie żyć. Pochodzi z Poznania. Kiedyś coś go łączyło z panią Murawską, jeszcze przed jej ślubem z profesorem. Ale potem zostali przyjaciółmi, jak się mówi w powieściach.

— Skąd ma takie pieniądze? — dziwił się kierowca.

— Z tej praktyki?

— Spadek jakiś dostał, czy coś podobnego — Grzywiński wertował notatki — niedługo po wojnie. Jak stanął wtedy na nogi, tak stoi po dziś dzień. Jeszcze to zbadam. Brakuje mi także Zagórskiego. I twojej Ewuni. Ale cierpliwości. Znowu leje. I Poznań na horyzoncie.

Przed budynek komendy zajechaliśmy kwadrans po czwartej. W pięć minut później wyruszyliśmy z młodziutkim podporucznikiem, aby punktualnie o wpół do piątej nacisnąć guzik dzwonka przy furtce w ogrodzeniu, za którym biała między drzewami domek Karoliny Murawskiej.

— Domek rzeczywiście nieduży — zauważył Grzywiński — i taki skromny.

Usłyszeliśmy przytłumione brzęczenie, zamek furtki ustąpił. Szliśmy wąskim chodniczkiem i patrzyliśmy na ów skromny domek, jego dwa tarasy, przeszklone ściany, podwójnej

szerokości garaż w przybudówce, na pięknie utrzymany ogród, na bielejący w głębi basen wykładany kafelkami.

— Jak Boga kocham — westchnął nasz przewodnik — kino, nie? I tak też ludzie mieszkają.

W drzwiach domu zjawiła się wysoka kobieta o krótko ostrzyżonych, czarnych włosach, w gładkiej sukience, a leżący na tarasie piękny wyżeł przeciągnął się, wstał i zajął miejsce u boku swej pani, dzięki czemu obrazek upodobił się do reklam z zachodnich magazynów lub do kadru z polskiego filmu realistycznego opowiadającego o codziennym życiu naszej inteligencji-

— Nazywam się Karolina Murawska — powiedziała dama. — Czekałam na panów.

Podala mi rękę, nad którą pochyliłem się w głębokim ukłonie, dzięki czemu moje nazwisko zabrzmiało jak nieartykułowane mruknięcie, potem jednak przedstawiłem wyraźnie moich towarzyszy Wreszcie mogłem przyjrzeć się pani domu. Powinienem tu użyć gotowej formuły, iż twarz naszej gospodyni zachowała ślad niegdysiejszej urody, ale ta formuła nie sprawdziła mi się gruntownie. Matka Ady wyglądała znakomicie, gdybym nie znał jej córki, dałbym głowę, że nie ma jeszcze czterdziestu lat, znając ją jednak, stwierdzić mogłem tylko, że niedaleko padło jabłko od jabłoni. Tak zastąpiwszy jedną formułę drugą, przekroczyłem, w ślad za panią Karoliną, próg domu i znalazłem się w hallu, gdzie zobaczyłem dekorację kolejnego kadru.

— Proszę, niech panowie siadają. — Wskazała nam niskie fotele przed kominkiem, a gdy w drzwiach w głębi zjawiła się dziewczyna w białym fartuszkach, pani Karolina skinęła jej ręką, dziewczyna zniknęła i pojawiła się znowu, pchając przed sobą stolicek na kółkach, ze szklanym blatem, na którym lśniły barwne etykiety butelek, szkło kieliszków, metal shakera, kostki lodu w metalowej miseczce. Grzywiński i podporucznik stąpali ostrożnie po puszystym dywanie, kierując się ku wskazanym im miejscom, a czyniąc to, byli tak wytworzeni, tak zatroskani o grację ruchów i niedbale uprzejmy wyraz twarzy, że omal nie parsknąłem śmiechem, a kiedy spojrzałem na

panią domu, i w jej wzroku ujrzałem błysk rozbawienia. Można to było nazwać wymianą porozumiewawczych spojrzeń, przez chwilę więc znajdowałem się w jednym obozie z panią Murawską, obok niej nawet siedziałem, mając przed sobą moich współpracowników — i nie miałbym nic przeciw temu, aby już tak zostało, gdyby nie to, że za godzinę trzeba było ruszać, aby wrócić przed zmierzchem. Pomyślałem więc jeszcze, że tam, dokąd wrócę, zastanę córkę pani Karoliny, co wprawilo mnie w jeszcze lepszy humor i przywróciło energię.

— Domyślam się — zaczęła tymczasem nasza gospodyni — że przychodzicie panowie w związku z tragiczną śmiercią mego byłego męża. Rozmawiałam już o tym z oficerami miejscowej komendy, ale zawsze jestem gotowa do współpracy tak długo, aż zabójca profesora Kędzierskiego zostanie ujęty. Wprawdzie rozeszliśmy się przed kilkoma laty, ale zachowaliśmy dla siebie wiele... sentymentu i ten straszny wypadek zupełnie wytrącił mnie z równowagi. Posłałam zresztą moją córkę, aby była przy biednej Alicji w tych ciężkich dniach, aby jej dopomogła; proszę więc, słucham panów. Co panowie piją? Może zechcą panowie sami przyrządzić sobie napoje...

Panowie zechcieli, szczególnie gorliwy był Grzywiński, rzucił się, aby przygotować nam koktajle i prysnął wodą sodową z syfonu tak nieszczęśliwie, że na szklanym blacie rozlała się jasna kałuża skapując na dywan, kilka kropel padło na sukienkę pani Karoliny, a twarz Grzywińskiego wyglądała jak po solidnym tuszu. Pani domu potraktowała wyczyn naszego salonowca pobłażliwie, dziewczyna wytarła stolik, ja zaś podałem pani Karolinie lekki szprycerek, jedyny na ten upał. Mówiliśmy chwilę o niczym, bo wciąż nie byłem pewny, w jakim stopniu chęć współpracy zadeklarowana przez Karolinę Murawską była szczerą. To co powiedziała, zabrzmiało zdawkowo, składało się w gruncie rzeczy z samych frazesów — mówiąc zaś, pani Karolina uśmiechała się uroczo i tym samym tonem wyrażała ból po stracie rozwiedzionego małżonka co zaproszenie do korzystania z darów stołu. Może to zresztą kwestia jej sposobu bycia, maski, którą przybrała, stylu, jakiemu hołduje — a może szczerą była właśnie jej obojętność,

dystans, brak zainteresowania? Pyta właśnie, czy śledztwo dało już wyniki, czy wiemy coś o zabójcy jej męża.

— Niestety, za wcześnie jeszcze na wyniki, wciąż ustalamy fakty, szukamy motywu — powiedziałem. — Dlatego także zabieramy pani dzisiaj czas. Profesor Kędzierski przechowywał w domu kolekcję starej biżuterii, kolekcję wielkiej wartości. O ile nam wiadomo, wszedł w jej posiadanie w okresie, w którym byliście państwo małżeństwem. Chciałem panią prosić o opisanie nam tej kolekcji i sposobu, w jaki profesor stał się jej właścicielem.

Pani Karolina nie zmieniła pozycji, jej twarz była nadal nieruchoma, nie schodził z niej uprzejmy uśmiech, ale wydało mi się, że teraz był to już tylko grymas, że po raz pierwszy nasza gospodyni została zaskoczona, nie ma gotowej odpowiedzi.

— Kolekcja? — powtórzyła. — Prosi pan, żebym ją opisała? Czy... czy to znaczy, że klejnoty zginęły?

— Powiedzmy raczej, że jeszcze ich nie odnaleźliśmy. Więc słucham?

— Nie rozumiem... A zatem klejnotów nie ma? Więc to był mord rabunkowy?

— Ogromnie mi przykro, ale jeszcze nie wiem. Jeśli potrafi mi to pani wybaczyć, proszę opisać klejnoty.

To ją otrzeźwiło, zmarszczyła nos, co żywo mi przypomniało Adę, sięgnęła po papierosa.

— Oczywiście, przepraszam — mruknęła. — Nie wiem, czy będę mogła pana zadowolić, nie widziałam ich wiele lat i nie jestem jubilerem ani historykiem sztuki. To były ładne rzeczy, jeżeli wybaczy pan takie kobiece określenie. Były dwie..., nie, trzy brosze, różnych kształtów, wysadzone kamieniami. Szczególnie dobrze pamiętam jedną z nich. Miała kształt liścia akantu z delikatną rzeźbą żyłek, mimo złota i kamieni wydawała się leciutka jak puch. Potem bransolety, chyba pięć albo sześć, bardzo misterne, każda inna, jedne lekkie, wąskie, inne szerokie, dość ciężkie, przymierzałam je kiedyś, kiedy... mniejsza z tym.

Pociemniało nagle, to chmura przesłoniła słońce, przez ogród przeciągnął wiatr, wzbierał szum gałęzi. Nie widziałem teraz

twarży pani Murawskiej tak dokładnie, spojrzałem na jej ręce: palce zaciśnięte były na poręczach fotela, jakby nie ustąpiło jeszcze napięcie, któremu nie chciała się poddać i którego nie mogła opanować. Grzywiński notował skrupulatnie, podniósł właśnie głowę, bo pani Karolina przerwała na chwilę i zapaliła nowego papierosa.

— Wreszcie pierścienie — podjęła pewniejszym głosem — wiele pierścieni. Męskie, duże sygnety, małe damskie pierścioneczki, czasami bardzo piękne, jakby ze złotych drucików...

— Czy nosiła je pani kiedyś? — spytałem.

— Nie, właściwie nie. Raz tylko włożyłam jeden z nich, i broszkę, o której mówiłam, na moje urodzinowe przyjęcie. W domu pod lipami. Mąż nie sprzeciwił się, ale potem zabrał je, schował i prosił, żebym nie bawiła się tymi drobiazgami, że mają one dla niego dużą wartość, a mnie nie brakuje własnej biżuterii.

— I to wszystko?

— Chyba wszystko...

— A sztylet wenecki? Nie pamięta go pani?

Palce pani Karoliny znów zaciśnęły się mocno na poręczach, ale jej głos się nie zmienił.

— Sztylet, oczywiście. — Uśmiechnęła się. — Zapomniałam o nim, przepraszam. Zapamiętałam przede wszystkim to, co było interesujące dla kobiety, co przymierzałam, co mi się podobało. Tak, był sztylet, mąż bardzo go lubił, chętnie się nim bawił, wyjmował go często. Ale nie potrafię go dokładnie opisać, nie interesował mnie tak bardzo, chyba go nawet nie miałam w rękach.

— Skąd profesor miał biżuterię?

— Ode mnie — odpowiedziała od razu. — Biżuteria była własnością mego drugiego męża. Nie żyje już.

— Wiem o tym. Czyją miał, kiedy go pani poznała?

— Tak, oczywiście tak.

— W jaki sposób ją zdobył? Nie mówił pani?

— Myślę... — zawahała się — że to były po prostu klejnoty rodzinne... Murawscy byli bardzo zamożni, od kilku pokoleń.

Mój drugi mąż był... przemysłowcem, przed wojną oczywiście, udało mu się ocalić wiele rzeczy i tę kolekcję chyba także...

— Ale nie wie pani tego na pewno?

— Tak mówił mi mój mąż. Ale oczywiście nie sprawdzałam, bo też i jak...

— Rozumiem. Wróćmy teraz do profesora Kędzierskiego. Kolekcja, jak z tego wszystkiego wynika, miała dużą wartość.

— Widział ją pan, skoro pan wie o sztylcie — powiedziała i uśmiechnęła się z pozornym zawstydzeniem. — Przepraszam, znowu pytam.

— Ależ służę pani. Kolekcji nie widziałem, o sztylcie wiem. Więc, jak mówiłem, kolekcja ma dużą wartość. Czy może nam pani określić — przepraszam, że o to pytam, ale to konieczne — tu Grzywiński uśmiechnął się nieznacznie, a i ja spostrzegłem, że dałem się wciągnąć w zaaranżowaną przez panią Murawską grę towarzyską — otóż czy może nam pani określić zasadę rozliczeń majątkowych, na podstawie których tak cenny zbiór pozostał u profesora Kędzierskiego?

Znów pojawiło się słońce i twarz Karoliny wypłynęła z cienia. Nie było już na niej uprzejmego uśmiechu, przeciwnie, pani Murawska robiła wrażenie zniecierpliwionej i wytraconej z równowagi.

— Jeżeli to pana interesuje... — zawiesiła głos.

— Bardzo mnie interesuje — powiedziałem sucho.

— Proszę... Dom pod lipami kupiłam z własnych funduszków. Do mnie także należy domek w Jastrzębiej Górze, użytkowany do ostatnich miesięcy również i przez mojego męża. Do mnie wreszcie należały klejnoty.

— Profesor Kędzierski był więc pani dłużnikiem...

— Nie sporządzaliśmy umowy o podziale majątku. Kiedy byliśmy małżeństwem, wszystko, a więc nawet i ten dom, w którym teraz jesteśmy, stanowiło naszą wspólną własność. Kiedy postanowiliśmy się rozejść, ustaliliśmy, że Zygmunt zatrzyma dla siebie dom pod lipami, ja ten, a z domku w Jastrzębiej Górze korzystać będziemy wspólnie. Zygmunt... To znaczy profesor Kędzierski nie był moim dłużnikiem. Chciał nawet spłacić mi dom pod lipami, ale nie zgodziłam się na to,

dom przypadł mu po prostu w polubownym podziale wspólnego, powtarzam, majątku. O tyle to było zresztą proste, że formalnie rzecz biorąc, każde z nas było oficjalnie właścicielem swojego domu.

— Rozumiem. A klejnoty?

— Tego nie rozstrzygaliśmy. Zygmuntovi potrzebne były w pracy, mnie nie zależało na tym, aby mieć je u siebie.

— Ale prędzej czy później musiało się to jakoś rozstrzygnąć. Za duże pieniądze wchodzi tu w grę.

— Oczywiście, suma jest spora — powiedziała z ledwo wyczuwalną nutką ironii — i nie wątpię, że pan ją za taką uważa. Zresztą nie wiem dokładnie, jaka to suma, bo nie szacowaliśmy kolekcji. Ważna była przede wszystkim jej wartość historyczna. Nie powodzi mi się źle, czego nie mam powodu ukrywać, ponieważ wszystko, co robię, jest legalne i zgodne z przepisami.

— Nie jesteśmy z wydziału gospodarczego — powiedziałem — i nie wątpię, że wszystko, co pani robi, jest legalne, tak jak nie wątpię, że wszystko, co pani mówi, jest zgodne z prawdą. — Brwi pani Murawskiej uniosły się ku górze, a w jej wzroku nie dostrzegłem przesadnej życzliwości. — Można więc chyba sformułować to w ten sposób, że kolekcję praktycznie uważała pani za wspólną własność, przechowywaną na razie u profesora Kędzierskiego. Czy tak?

— Tak — odpowiedziała sucho.

— W liście do profesora sprzed dwu tygodni zapowiadała pani swój przyjazd w sprawach majątkowych. Czy można wiedzieć, o jakie sprawy chodziło?

— O sprawy czysto osobiste — padła krótka odpowiedź.

— Jakie?

— Powiedziałam, że czysto osobiste. Nie sędzę, żeby można było coś do tego dodać.

— Mimo całej uprzejmości, z jaką zostaliśmy przez panią przyjęci, muszę przypomnieć, że nie przyjechałem do Poznania w celach towarzyskich i fakt, że rozmawiamy tutaj, a nie w komendzie, możemy na razie nazwać przypadkiem. Nie jestem rozplotkowaną przyjaciółką, która stara się naciągnąć panią na

zwierzenia.

— Nie jest pan także spowiednikiem.

— Zapisz, proszę — zwróciłem się do Grzywińskiego — że pani Murawska odmawia odpowiedzi na pytanie, dlaczego na kilka dni przed śmiercią profesora Kędzierskiego proponowała mu spotkanie.

— Nie, nie — powiedziała z trudem — pan mnie źle rozumiał. Nie odmawiam odpowiedzi... To dopiero kilka dni od śmierci Zygmunta i trudno mi mówić o sprawach dotyczących tylko nas dwojga i niemających nic wspólnego z tym, co się stało... Jeżeli to konieczne...

Nie skrucha była w jej głosie, ale złość.

— Słucham?

— Zygmunt stale powtarzał, że chce spłacić mi swój dom, że nie chce prezentów ode mnie. Odnosiłam jednak wrażenie, że nie chciał po prostu... stracić ze mną kontaktu. Wyznał mi to wreszcie otwarcie. Uważałam, że powinniśmy porozmawiać. To wszystko.

Grzywiński i podporucznik siedzieli naprzeciw mnie sztywno, odstawili szklanki, zgasili papierosy i dopiero ten widok uświadomił mi, jak bardzo i jak nagle zmieniła się atmosfera rozmowy, jak przysły pozory, po to chyba stworzone, aby wizyta nie przekształciła się w przesłuchanie, aby nie dopuścić do przekroczenia form, z takim impetem nam narzuconych. Naiwna to taktyka, a pani Karolinie Murawskiej trudno byłoby zarzucić naiwność. Może więc nie spodziewała się tych pytań? W każdym razie nie było już mowy o poprzedniej zabawie w scenki rodzajowe z życia towarzyskiego średnich klas w Polsce. Tym lepiej — pomyślałem. Pani Karolina nie wzbudzała już we mnie, jak jeszcze przed chwilą, sympatii zmieszanej z rozbawieniem. Nie przypominała mi już Ady, co przedtem tę sympatię wzmagało. Dlaczego? Co się właściwie stało? Mniejsza z tym.

— Dziękuję — powiedziałem. — Jeszcze tylko kilka pytań. Od jak dawna zna pani doktora Hoszowskiego?

Spostrzegłem ze zdumieniem, że miejsce zniecierpliwienia, agresywności, której pani Murawska nie ukrywała, zajął w niej

niepokój, jeżeli nie strach.

— Doktora... Hoszowskiego? — bąknęła. — Tak... tak... znam od dawna, bardzo dawna... Jeszcze z Krakowa, w pierwszych miesiącach po wojnie... Widywaliśmy się w Poznaniu, potem i on się przeniósł, byliśmy sąsiadami.

— Czy łączyły panią z doktorem Hoszowskim stosunki handlowe?

— Handlowe? Doktor Hoszowski jest przecież lekarzem, nie zajmuje się handlem. — Jej głos drżał, nic w niej nie pozostało z poprzedniej pewności siebie. — Po wojnie pomogłam mu trochę... ale potem on sam stanął na nogi i radzi sobie doskonale... Nie, żadnych handlowych...

— A inne?

Pani Karolina opuściła głowę. Nie zadawałbym tego pytania, niekoniecznego przecież, gdyby nie poprzedni ton naszej rozmówczyni, jego nagła zmiana i przyczyna tej zmiany, której jeszcze nie znam.

— Przyjaźniliśmy się krótko — powiedziała z trudem — ale to nie miało znaczenia.

— Dziękuję. Został jeszcze pan Zagórski. To też dawny pani znajomy?

— Czy... czy coś się stało? Dlaczego pan pyta właśnie o nich? Jaki to ma związek ze śmiercią mego... profesora Kędzierskiego?

— Ależ nic się nowego nie stało, po prostu zbieramy informacje. Więc pan Zagórski?

— Był przyjacielem Feliksa... to znaczy Feliksa Murawskiego, mego drugiego męża. Przyjacielem i współnikiem w niektórych przedsięwzięciach... Teraz pracuje, a u mnie pełni ponadto obowiązki... powiedzmy radcy prawnego. Jest prawnikiem i ekonomistą.

— Rozumiem przez to, że wypłaca mu pani wynagrodzenie.

— Oczywiście. Jest moim przyjacielem, ale to mnie nie upoważnia do bezpłatnego korzystania z jego usług. Czy interesuje pana wysokość wynagrodzenia?

— Nie. To wszystko.

Wstałem, Grzywiński i podporucznik zerwali się z widoczną

ulgą.

— Pozwoli pani, że się pożegnamy. Dziękujemy za rozmowę.

— Przykro mi, że nie mogę zrewanżować się podobną formułką — odpowiedziała z nagłą wściekłością.

— Za to odwzajemnia pani moje uczucia — skłoniłem się.

Nie podała nam ręki. Wyszliśmy w milczeniu na duszny, parujący w upale ogród.

— Niesłychane — mruknął Grzywiński.

— Zmącił jej pan styl — odezwał się już w samochodzie podporucznik — właściwie warto było na to popatrzeć. Trudno zresztą się dziwić, że jest nie w humorze. Podobno ma poważne kłopoty finansowe.

— Dowiedzcie się koniecznie, jakiej natury są te kłopoty — powiedziałem — i przekażcie informacje porucznikowi Grzywińskiemu możliwie najszybciej. To może tłumaczyć...

— Co? — spytał Grzywiński.

— Nic, nic... — mruknąłem.

A kiedy, pożegnawszy się z podporucznikiem, wyjeżdżaliśmy z Poznania, Grzywiński powiedział:

— Słuchaj, ona nie zachowywała się normalnie. Na pewno wie dużo więcej, kto wie, czy nie o śmierci Kędzierskiego...

— To nie takie proste — odpowiedziałem. — Gdyby miała z tym coś wspólnego, nie zaskoczyłyby jej zwykle w końcu pytania. Dawno przygotowałaby gotową wersję, za sprytna jest, żeby się gubić w pierwszej rozmowie.

— Może... — burknął bez przekonania Grzywiński.

I nie mówiliśmy już więcej o Karolinie Murawskiej.

Za Kościanem złapał nas deszcz. Gęstniał z minuty na minutę, wreszcie przemienił się w ulewę, zamknął nas w ścianach wody przesiąkniętych szarym światłem, ciemniejącym gwałtownie; wycieraczki nie zbierały już wody z szyb, musieliśmy stanąć. Na zachodzie migotały błyskawice, przewalał się po polach nieustanny huk grzmotów.

— Rozebrałbym się i poszedł w pole, co? — powiedziałem zachłystując się rześkim, kwaśno pachnącym powietrzem, napływającym zza uchylonej szyby.

— I pierwszy piorun cię trafi — mruknął Grzywiński. — Ja już

wyrośłem z takich pomysłów.

— Zgorzkniały, sklerotyczny starzec — westchnąłem. — Nie mam kąpielówek na zmianę. Szkoda.

Przystając co chwila, dobiliśmy do Leszna. Tam przesiedzieliśmy burzę w kawiarni. Do miasta wjechaliśmy przed jedenastą. Światła latarń odbijały się zimnym blaskiem na mokrym asfalcie. W centrum tłupy upajały się chłodem, oblegały wystawy kwiatów.

— Podwieźcie mnie na róg Lipowej — powiedziałem — nie mam ochoty szukać teraz taksówki.

Poza centrum pustki już były na ulicach. Szedłem Lipową wolno, rozluźniony, senny. Cmy krążyły wokół latarń. Pomyślałem, że przeskoczę furtkę, nie miałem ochoty budzić Heleny. Może Ewa nie będzie spała, rzucę kamykiem w jej okno, a ona otworzy mi drzwi: albo odegramy scenę balkonową, ona przyśle mi list i klucz, a ja jej pošlę orchidee, jakiz ja jestem senny...

Furtka była otwarta. Czyżby Helena nie zamykała jej z myślą o mnie? Okno Ewy na piętrze ciemne, za to na dole, w gabinecie profesora, pali się małe światełko. A więc Ewa jeszcze pracuje. Pewnie czeka na mnie. Wspiąłem się na podmurówkę i zastukałem lekko w szybę. Nic. Zastukałem znowu. Nic. Pewnie zasnęła przy tej pasjonującej pracy. Wbiegłem na taras, jedną ręką szukałem na futrynie przycisku dzwonka, drugą machinalnie nacisnąłem kławkę. Ustąpiła. Skrzypnęły drzwi, hall był ciemny, w domu panowała głucha cisza.

Podszedłem na palcach do drzwi gabinetu; uchylily się bezszelestnie. Na biurku paliła się lampa. W kręgu kremowego światła, obok przewróconej maszyny do pisania, leżała na podłodze Ewa. Rękami zasłaniała twarz. Rozrzucone, długie nogi tonęły w cieniu.

Znalazłem się przy niej jednym skokiem, przyłożyłem ucho do serca. Biło regularnie. Odetchnąłem, jeszcze czułem chłód na karku, skurcz w gardle. Wsunąłem ręce w jej włosy, unosząc głowę. Wyczułem pod palcami zgrubienie, nad prawą skronią. Jęknęła cicho. Otwarta butelka wody mineralnej stała na biurku, chwyciłem ją, chlusnąłem wodą na twarz Ewy, raz,

drugi. Wziąłem ją na ręce, ułożyłem na kozetce, rozpiąłem stanik. Jej twarz ożywiła się, drgnęły powieki. Otworzyła wolno oczy, patrzyła na mnie niezbyt przytomnie.

— Jacek — szepnęła. — Co... co się stało?

I nagle jej ręce zacisnęły się na moich, w oczach zjawilo się przerażenie.

— Sztylet — powiedziała głośno. — Sztylet wenecki...

Duch z kosą

Włączyłem telefon stojący na biurku, odnalazłem w książce numer telefonu doktora Hoszowskiego. Obudziłem go chyba. Ale otrzeźwiał szybko.

— Zaraz będę — powiedział.

— Czekam. Furtka otwarta.

Wróciłem do Ewy, usiadłem przy niej, nie pozwoliłem jej się podnieść.

— Po co lekarza — szepnęła—już dobrze się czuję. Nic mi nie będzie. Ktoś., ktoś mnie uderzył, kiedy...

— Powiesz mi wszystko później. Leż spokojnie. Nie ruszaj się. Wyjdę na taras, wprowadzę Hoszowskiego.

— Wolałabym, żebyś mnie samej nie zostawiał...

Przymknęła oczy, była blada, u nasady nosa błyszczały kropelki potu. Zwilżyłem chusteczkę, otarłem lekko jej twarz.

— Tak dobrze — westchnęła. — Jeszcze chwilę i będę mogła wstać.

Posłyszałem szczerk furtki, kroki w ogrodzie.

— Zobaczymy — powiedziałem — wolę to posłyszeć od lekarza.

Wyszedłem do hallu, otworzyłem drzwi.

— Tam, w gabinecie — mruknąłem.

Hoszowski szedł za mną bez słowa.

Zajął się Ewą, jęknęła, gdy dotknął jej skroni. Rozglądałem się po pokoju. Przewrócony stolik, obok maszyna do pisania. Teraz dopiero zwróciłem uwagę na jej podstawę. Była grubsza, solidniejsza niż te, na których osadzone są biurowe maszyny, otwarta z przodu, wąska ścianka przednia lśniła w świetle lampy, już na granicy cienia. Podniosłem maszynę, ustawiłem na biurku. Teraz masywność podstawy nie zwracała uwagi, wydawałaby się niemal naturalna, gdyby nie brak przedniej, wąskiej ścianki i otwierające się za nią ciemne, puste wnętrze.

Czy na pewno puste? Schyliłem się, zajrzałem obracając maszynę ku lampie.

— To tam — posłyszałem głos Ewy — tam były klejnoty...

Odwrociłem się gwałtownie. Ewa leżała nadal, z wielkim tamponem na skroni, Hoszowski stał nad nią, na pół pochylony, nieruchomy, ale w całej jego sylwetce, w ruchu rąk obracających bezmyślnie tampon z waty było napięcie tak silne, że nie mogłem oderwać od niego wzroku; zapadło krótkie, ciężkie milczenie, wreszcie Hoszowski dźwignął się, wyprostował, zobaczyłem jego twarz i oczy puste, bez wyrazu. Nie miałem już wątpliwości. Ten człowiek był w stanie paniki.

— Co, co tu się stało? — wyjąkał.

— Ewa przewróciła się chyba i musiała mocno uderzyć o coś głową — powiedziałem. — Była nieprzytomna, kiedy ją znalazłem. Czy to coś poważnego, panie doktorze?

— Myślę, że nie. — Usiadł ciężko na krześle, otarł czoło. — Teraz spokój, musi pani poleżeć. Zawiozę panią jutro do siebie do szpitala na badania. Może być lekki wstrząs mózgu, ale nie przypuszczam... Więc pani upadła? — zwrócił się ku Ewie. — Jak, w jaki sposób?

Patrzyła to na mnie, to na niego, wielkimi, zdziwionymi oczami. Na jej policzki wracały rumieńce, starała się zrozumieć, o co mu chodzi, ale nie bardzo się to jej udawało. Hoszowski nie dał jej czasu do namysłu.

— Pani mówiła o jakichś klejnotach — nacierał. — Muszę wiedzieć, co tu zaszło, jeżeli mam pani pomóc.

— Klejnoty znalazłam w maszynie — powiedziała Ewa niepewnie — a potem... oglądałam je i czekałam na Jacka... chciałam sobie wziąć wody, wstałam... i przewróciłam się, potknęłam, nie wiem... — Umilkła i patrzyła na mnie z niepokojem. Usiadłem zrezygnowany przy biurku, zapaliłem papierosa.

— A klejnoty? — pytał Hoszowski. Zaciskał ręce na walizeczce, jakby chciał ukryć ich drżenie. — Co z klejnotami?

— Nie wiem — odpowiedziała bezradnie — były na biurku. W dużej szarej kopercie.

Dźwignął się, ciężki, masywny, nagle postarzały o dziesięć lat,

przygarbiony.

— Nie ma ich — szepnął. — Czy pan je widział, panie Jacku? Rozłożyłem ręce w milczeniu.

— Zginęły. — Zdawało mi się, że w jego głosie była ulga. — Wynika z tego, że zginęły. Że skradziono je. Czy pani na pewno upadła?

— Na pewno — powiedziała Ewa z przekonaniem, jakby chciała nadrobić poprzednie błędy, z których rozmiarów jeszcze sobie nie zdawała sprawy. — Myśli pan, że mnie napadnięto i skradziono klejnoty? Zapewniam pana, że było, jak powiedziałam.

— W każdym razie należy zawiadomić milicję. — Już był spokojny, opanowany. — Zrobiłbym to sam, gdyby panią napadnięto. To mój obowiązek. Jeżeli jednak jest tak, jak pani mówi, resztą zajmijcie się sami.

— Może pan być spokojny — powiedziałem, wstając — zajmę się wszystkim. W końcu pana to nie dotyczy, a składanie zeznań nie należy do przyjemności.

— Ma pan rację — wstał i on — jeżeli nie było napadu, pozostaje mi tylko troska o pani zdrowie. Gdyby czuła się pani gorzej, proszę do mnie dzwonić bez względu na porę. Wpadnę jutro rano. Niech pani będzie dobrej myśli, panno Ewo, na szczęście skończyło się na strachu. Dobranoc państwu. Dobranoc.

I wyszedł szybko, jakby się spieszył. Zamknąłem za nim drzwi wyjściowe na zasuwę, wróciłem do gabinetu. Ewa siedziała pochylona, przyciskając tampon do skroni.

— Zdaje się, że zrobiłam głupstwo — powiedziała.

— Nie krzycz na mnie.

Usiadłem przy niej, objąłem jej ramiona.

— Nie będę krzychał. Nie powinnaś wspominać przy nim o klejnotach. Ale może nie stało się źle. Teraz pójdziemy na górę. Połóżysz się, prześpisz. Zaniosę cię.

Wstała ostrożnie, podtrzymawałem ją. Próbowwała się uśmiechnąć.

— Chyba pójde sama.

— Prosiłem cię, żebyś uważała. A ty się nawet nie zaniknęłaś.

Sama widzisz, że to nie są żarty.

— Więc jednak krzyczysz?

— Zasłużyłaś.

— Chcę ci opowiedzieć...

— Opowiesz na górze. Teraz chodźmy. Zamknę gabinet, potem tu wrócę.

— Sam? Nie rób tego...

— A to dlaczego? Nie mówmy więcej, chodź.

Zamknąłem starannie drzwi. Zatrzymaliśmy się na moment przed schodami i wtedy posłyszałem gdzieś w głębi domu cichy trzask, jakby przymknięto drzwi. Zaskrzypiała podłoga. Wiatr jęczał w kominie, za oknem rósł szum drzew. Zapaliłem światło, wziąłem Ewę na rękę. Nie protestowała, oparła głowę na moim ramieniu, wchodziłem wolno po schodach, trzeszczały stopnie, kołysał się przede mną wielki, niezgrabny cień. Zegar w hallu na dole zaczął wybijać godzinę. Północ.

— Pora na ducha z kosą — mruknąłem.

— Nie pleć!

W pokoju Ewy zapaliłem duże światło. Posadziłem ją na fotelu. Podeszedłem do okna, osłoniętego gęstą siatką, oblepioną ćmami. Czarne niebo na horyzoncie znowu przekreślały błyskawice.

— Pościelę ci tapczan — powiedziałem, odwracając się. — Zamknę okno i drzwi.

— Chciałabym, żebyś mnie samej nie zostawiał.

— I ja bym chciał.

— Zabrzmiało to trochę dwuznacznie. Jedną przygodę już dzisiaj miałam. Widzę w tobie opiekuna.

— Wolałbym, żebyś widziała spowiednika — mruknąłem, rozkładając pościel. — I nie spiesz się z dawaniem mi kosza. Jeszcze jesteś bezpieczna.

— Wiem — westchnęła — chciałam cię tylko sprawdzić. Więc teraz ci powiem, spowiedniku...

— Mów.

— Zeszłam do gabinetu po kolacji. Grzebałam się w papierach. Potem przyszła pani Ala, posiedziała chwilę.

— O czym rozmawiałyście?

— Czy ja wiem? O wszystkim. Ale przede wszystkim interesowało ją, czy trafiliśmy na coś gotowego, na rękopis, maszynopis, coś, co pozwalałoby mieć nadzieję, że praca profesora przybrała już konkretny kształt. Poszła przed dziesiątą.

— Nikt więcej do ciebie nie zaglądał?

— Janusz. Chciał pomóc, wygoniłam go.

— Niełaskawa dziś jesteś dla adoratorów. Kto jeszcze?

— Adunia. Pytała o ciebie, ale powiedziałam, że niełaskawy dziś jesteś dla adoraterek.

— Dziękuję, powiedziałaś prawdę.

— Rozumiem. Nie będę ci się narzucać, postaram się, aby następnym razem ogłuszono mnie daleko od ciebie.

— Nie wywołuj wilka z lasu — powiedziałem poważnie.

Drgnęła, jakby przebiegł ją dreszcz.

— Nie strasz mnie.

— Będę. Aż zrozumiesz, że musisz uważać na każdy swój krok.

— Dlaczego ci na tym zależy?

— Bo cię ubóstwiam, Ewuniu, od dziecka. Noszę na sercu twoją fotografię.

— Chyba że tak. To mi poprawia samopoczucie. A wcale z nim nie jest najlepiej. Więc na koniec zajrzał pan Mrozowski. Powiedział, że mam zupełnie fałszywą koncepcję poszukiwań, że nasza praca nie da żadnego efektu, jeżeli on nią nie pokieruje, a przy tym myszkował po wszystkich zakamarkach, wszędzie zaglądał, wszystkiego dotykał, nie wiedziałam już, co mam robić...

— I co zrobiłaś?

— Poszłam po panią Mrozowską.

— A on w tym czasie był sam w gabinecie?

— Tak. Kiedy wróciłam, siedział za biurkiem i czytał uważnie brulion z notatkami profesora: Siedział tak jeszcze parę minut, mruzczał: „to ciekawe, to bardzo ciekawe”, a kiedy wreszcie przyszła pani Mrozowska, taki był zamyślony, że dał się bez oporu wyprowadzić. Pewnie znowu powiesz, że źle zrobiłam, zostawiając go samego, ale nie miałam innego wyjścia, on by w

ogóle nie wyszedł.

— Co to był za zeszyt?

— Odłożyłam go, leży na biurku pod lampą. Ale nie wiem, który fragment czytał, bo zamknął zeszyt, wychodząc. Gdzieś tak w połowie.

— Nie zmęczyłaś się? Możesz dalej mówić?

— Przecież nie powiedziałam najważniejszego. Tyle że położyłabym się. Dobrze?

— O to mi właśnie chodziło. Pójdę na chwilę do siebie.

— Nie, nie idź. Sama nie wiem, co mi jest... Stań przy oknie. Podaj mi tylko piżamę i rozepnij z tyłu sukienkę. O, tak, dziękuję.

Znowu podszedłem do okna, otworzyłem je szeroko. Po lewej, za drzewami, migotało światło w willi doktora Hoszowskiego. Ogród huczał na wietrze, w zimnym blasku błyskawic pojawiały się i nikły kontury drzew, zapalała się i gasła głęboka zieleń trawników. Na tarasie drżały prostokąty światła. Nie zgasilem światła w hallu.

— Już — powiedziała Ewa — możesz się odwrócić.

W piżamie, bosa, wieszala sukienkę w szafie. Kiedy leżała już w łóżku, podałem jej tampony i buteleczkę, którą zostawił doktor Hoszowski. Usiadłem obok. Zapaliłem papierosa. Czulem rosnące zniecierpliwienie, niepokój, jakby moja obecność była gdzie indziej potrzebna, niezbędna, jakbym tracił niepotrzebnie czas siedząc tu beczynnienie. Zauważyła to.

— Co ci jest? — spytała.

— Nic. Powinnaś odpoczywać. Nie męczyć się.

— Mów...

— Wreszcie zostałam sama. Wszyscy siedzieli na tarasie, przyszli Hoszowski i Zagórski, aż pogwarki się skończyły, była cisza, potem lunął deszcz.

— Zamknęłaś się w gabinecie?

— No nie. Kiedy dom był pełen ludzi, nie miało to sensu, wyglądałoby dziwacznie, a potem... zapomniałam. Wreszcie, niedługo przed jedenastą, usiadłam przy maszynie. Przeczytałam sobie jeszcze raz list, który profesor przepisywał przed śmiercią. Pamiętasz:

„...a gdyby śmierć mnie wcześniej spotkała, przeklnę was po śmierci...”

— Pamiętam.

— Więc zaciekawiał mnie ten list. Przeczytałam go raz, drugi... Myślałam o tych klejnotach... O tym, co się z nimi właściwie stało... I takie głupstwa...

— Jakie?

— Pamiętasz? Franciszek Koronkiewicz był zdrajcą... Przeszedł na służbę carską. Przez niego zdekonspirowała się siatka wołyńska, potem Austriacy wpadli na trop Centralizacji lwowskiej... No i myślałam sobie takie głupstwa, byłam już zmęczona, właściwie czekałam na ciebie... Ze warto by ustalić, co stało się z Franciszkiem Koronkiewiczem, czy dosięgło go przekleństwo kasztelana Jeziorkowskiego, a jeżeli tak, to czy przed jego śmiercią, czy po śmierci... Czy te klejnoty w ogóle dotarły do Koronkiewicza, czy zostały w rodzinie Jeziorkowskich. I bawiłam się maszyną. Naciskałam lekko klawisze, dotykałam bezmyślnie podstawy. I wyczułam, że przednia ścianka tej podstawy lekko drgnęła, kiedy nacisnęłam ją równocześnie na obu rogach. Zrobiłam tak drugi raz i odsunęłam ściankę. Zobaczyłam róg szarej koperty. Wyciągnęłam ją. Wysypałam zawartość na biurko. Byłam nieprzytomna z podniecenia, przeszła mi senność, nie czułam zmęczenia. To były klejnoty. Ale moją uwagę zwrócił przede wszystkim ten sztylet. Nie znam się na tym, nie lubię broni, ale on był wyjątkowo piękny... Więc...

— Uważaj teraz, staraj się sobie przypomnieć wszystko. Od tego momentu każdy szczegół jest ważny. Która to była godzina?

— Jedenasta. Bił zegar w hallu.

— Byłem już w mieście. Za niecały kwadrans zjawię się w gabinecie.

— Więc siedziałam przy biurku i oglądałam klejnoty. Właściwie sztylet, choć były tam naszyjniki, bransolety, pierścionki. Trzymałam go w rękach, kamienie grały w świetle lampy. Nie wiem dlaczego, może pod wpływem tego listu, byłam zupełnie pewna, że to właśnie są klejnoty

Jeziorkowskich, że to o nich pisał kasztelan do kapitana-isprawnika. Bardzo chciałam, żebyś już wrócił, byłam potwornie z siebie zadowolona, po prostu pękałam z dumy. Więc kiedy posłyszałam stukanie do okna, byłam pewna, że to ty.

— Co zrobiłaś?

— Podbiegłam do okna, ale nie mogłam wyjrzeć, bo siatka przeszkadzała. Pomyślałam więc, że jesteś na tarasie i wyszłam do hallu. Ale drzwi na taras były otwarte. Jeszcze się nie niepokoiliam, kiedy nagle zgasło światło w całym domu. Po omacku wróciłam do gabinetu, już przestraszona mocno, cały dom był pełen postukiwań, trzeszczały podłogi, zrywał się wiatr na dworze, szum, zamknęłam za sobą drzwi na klucz; podeszłam do biurka i wtedy wydało mi się, że ktoś stoi blisko, bardzo blisko. Chyba krzyknęłam. I obudziłam się, kiedy nachylałeś się nade mną. Pierwszy raz ucieszyłam się na twój widok.

— Dziękuję, dobre i to. Postępowałaś niemądrze, byłaś łatwowniarna, dałaś się wyprowadzić w pole w dziecinny zupełnie sposób, na dodatek przestraszyłaś mnie, jak mało kto. Zasłużyłaś na karę, ale przedtem musisz wyzdrowieć. Śpij teraz. Ja zejdem na dół.

Zacisnęła palce na mojej ręce.

— Już cię prosiłam, nie idź tam teraz. Ja się boję. Naprawdę się boję.

— Zamknę twoje drzwi na klucz. Zajrzę, kiedy wrócę. Staraj się zasnąć.

— Wątpię, czy mi się uda.

— Już ci się oczy kleją. Dobranoc.

Zamknąłem jeszcze okno, bo burza była blisko. Wyszedłem, schowałem starannie klucz od pokoju Ewy. Trzaskało okno po przeciwnej stronie korytarza. Na niebie migotały zimne błyskawice, wszystko było gęstą, huczącą czernią. Duże krople zabębniły po szybie; kiedy z trudem zaciągnąłem zasuwy na szorstkiej futrynie, szum wiatru oddalił się, przycichł, ale trwał zacajony za ścianą domu, przenikał do wnętrza trzeszczeniem podłóg, zawodzeniem w kominach, postukiwaniem

niedomkniętych drzwi, falą odgłosów, których natury i pochodzenia nie umiałem określić. Stałem tak chwilę, aby oswoić się z ciemnością, ustalałem w myśli topografię domu. Po lewej stronie była sypialnia profesora, dalej pokój państwa Mrozowskich. Po prawej mieszka Ada, dopiero kiedy to sobie uświadomiłem, spostrzegłem jasną kreskę u dołu drzwi. W pokoju Ady paliło się światło. Przez chwilę chciałem zastukać, wejść, już wyciągnąłem rękę, ale cofnąłem ją w ostatniej chwili; Ada pewnie czyta w łóżku, jest dopiero po dwunastej. Czyjej okno było oświetlone, kiedy tu przyszedłem? Staralem się sobie przypomnieć i nie mogłem, ale przecież to nie ma znaczenia, wiem, czemu chciałem tam wejść, znaleźć się na chwilę w normalnej atmosferze, zobaczyć dziewczynę, która miała znacznie więcej zalet, niż jej matka wad. Ale nie czas teraz na to, w połowie korytarza kłębi się mętna poświata, to refleks światła palącego się w hallu; spojrzałem w dół, nie ma światła u Ady. To samo zdarzyło się przed godziną, kiedy Ewa wyszła do hallu, aby pokazać mi, co odkryła. Wyjąłem latarkę, ale jej nie zapaliłem. Ruszyłem przed siebie, pod ścianą, nasłuchując uważnie. Zatrzymałem się u szczytu schodów, wolną ręką odszukałem poręcz. Stałem tak moment, patrząc w dół, czekając na coś, co powinno się zdarzyć, a czego nie umiem przewidzieć.

Znów błyskawica, w ułamku sekundy ujrzałem pod sobą wnętrze hallu, ostre, nierzeczywiste kontury mebli, zarys otwartych drzwi gabinetu. Znów lepka ciemność, grzmot przewala się nad dachem, zjechałem po poręczy i przykleiłem się do ściany. W gabinecie ktoś był. Krążek światła latarki ślizgał się po regałach, potem znieruchomiał w miejscu, którego stąd nie widziałem, tylko słaba poświata, bijąca z biurka, wskazywała, że nocny gość zainteresował się czymś na dłużej.

Przesunąłem się wolno wzdłuż ściany ku drzwiom. Na regale za biurkiem leżała latarka, w jej świetle zobaczyłem tylko parę rąk w rękawiczkach, usiłujących otworzyć coś, co mogłoby być szkatułką, pudełkiem lub książką. I tylko zarys postaci, pochylonej nisko, przesłaniającej czarnym konturem mętny,

rozproszony blask. Ująłem w lewą rękę latarkę, prawą chwyciłem futrynę, aby jednym skokiem znaleźć się w gabinecie, kiedy nagły, ostry trzask podłogi za moimi plecami kazał mi zwinąć się w półobrocie, odchylić się, w ostatniej chwili, bo jakiś ciężki, twardy przedmiot ugodził w ścianę, pod którą stałem; nowa błyskawica rozjaśniła na ułamek sekundy wnętrze i ujrzałem białą, wysoką postać, a nad jej głową lśniące metalicznie, podłużne pasmo, jak kosę wzniesioną do uderzenia.

Znów lepka ciemność, rzuciłem się przed siebie, wymierzyłem na ślepo cios latarką, trafiłem, znów cios, tym razem w coś twardego, kanciastego, brzęknęło szkło, moja latarka nie na wiele mi się już przyda. Tymczasem szmer za plecami, człowiek, który był w gabinecie, już jest za mną. Skoczyłem ku schodom, świst nad głową, pochyliłem się, głucho uderzenie w ścianę, drugie, już byłem na górze, odwróciłem się, zatrzymałem, ściskając w dłoni bezużyteczną latarkę; lepka czerń, dudnienie grzmotu, dlaczego teraz nie ma błyskawicy? I nagle chrobot otwieranych drzwi na dole, blade światło wypelza z korytarzyka, wysoka postać w czepku, sięgającym kostek szlafroka, z wysoko uniesioną lampą naftową w dłoni. To pani Ala. Cofnąłem się, aby mnie nie zobaczyła. Podeszła ku drzwiom na taras, nacisnęła klamkę, drzwi były zamknięte. Skierowała się ku gabinetowi — gdy zajaśniała lampa u sufitu. Ktoś włączył światło. Pani Ala zatrzymała się, postawiła lampę na stole, skrzyła knot, rozejrzała się do koła. Potem podeszła do gabinetu, nacisnęła klamkę. I te drzwi były — zamknięte. Pani Ala, uspokojona, wróciła do siebie, zgasiwszy światło, ja natomiast, we wręcz przeciwnym stanie ducha, usiadłem na stojącym pod ścianą krześle, już w mroku, niewidoczny z dołu — i zapaliłem papierosa. Byłem tak zdezorientowany, że aż mnie to rozbawiło. Powtórzmy: z gabinetu profesora skradziono klejnoty. W niecałą godzinę później w domu ponownie zgasło światło, drzwi gabinetu zastałem otwarte. Ktoś był wewnątrz, nadal czegoś szukał. Kiedy chciałem spytać go o powód wizyty, zaatakował mnie... kto? Duch z kosą. W kilkanaście sekund później znowu zapaliło się światło, a drzwi

gabinetu były zamknięte. Muszę odszukać mego ducha. Tym bardziej, że pozostawił po sobie materialne ślady. Uderzył dwa razy w ścianę, trzeba obejrzeć to miejsce. Jego przyjaciel posługiwał się latarką, moja jest już bezużyteczna. Wezmę drugą, z pokoju Ewy. Ale jeśli pójdę do Ewy, zmniejszą się moje szanse. Dam im czas. A zatem pójdę bez latarki.

Nie, nie pójdę. Szczęknęły drzwi po lewej stronie, prostokąt światła padł na ścianę, a w świetle zjawiła się Ada w kusej piżamie, rozczochrana na tyle, aby nadal można było patrzeć na nią z przyjemnością. Rozejrzała się, ruszyła w moją stronę, zobaczyła czerwony punkcik jarzącego się papierosa, stanęła, oswajając oczy z ciemnością.

— Dobry wieczór — powiedziałem.

— Jakie miłe spotkanie — mruknęła. — Co pan tutaj robi?

— Palę papierosa.

— A ma pan przy sobie drugiego?

Masz ci los! Chwalilibym sobie ten zbieg okoliczności, gdyby nie zależało mi teraz na każdej sekundzie.

— Wyszła pani na papierosa?

— Nawet jestem ubrana wizytowo. Co się tu dzieje? Czytałam w łóżku, kiedy rozpoczęły się hałasy. Przewrócił się pan na schodach?

— Nie, skądże. Też posłyszałem hałas, ubrałem się wizytowo i czekam na propozycje.

Przysunęła sobie drugie krzesło, usiadła blisko. Podąłem więc jej otwartą papierośnicę tłumiąc westchnienie. Mniej żałowałem znikającej szansy, jaką dawało mi szybkie przeszukanie domu, niż faktu, że moje obowiązki nie pozwalają na pełne korzystanie z uroków sytuacji. W świetle płomyka zapalniczki, ujrzałem zaróżowioną twarz Ady, jej długie rzęsy i dekolt wart najgłębszego zainteresowania, gdy razem z kolejną błyskawicą otworzyły się bezszelestnie drzwi na wprost i stanął w nich pan Mrozowski, w długiej, białej koszuli, w białej szlafmicy na głowie, z lampą naftową w ręku; wielki, wydłużony cień jego imponującej postaci padł na przeciwległą ścianę.

— Tak — rzekł pan Mrozowski patrząc na nas z przyganą.

— Nie inaczej — zgodziłem się.

— W istocie — mruknęła Ada.

— Tak — podsumował dyskusję pan Mrozowski i cofnął się, zamykając za sobą drzwi.

Parsknęliśmy śmiechem, a wtedy drzwi otworzyły się po raz drugi i pan Mrozowski wystąpił z mniej lakoniczną oracją.

— Moi młodzi przyjaciele — powiedział — ja również byłem młody i nie zamierzam was ganić. Ja również zdobywałem względy kobiet, nie szczędząc przy tym zdrowia i życia. Zdarzyło się, że wyniosłem pannę Mrozównę na rękach z płonącego domu, innym razem zatrzymałem rozpędzone konie Ireny Jeziorkowskiej, ratowałem tonącą w rzeczce Brynicy pannę Alicję Balińską, lecz wszystkich tych czynów dokonałem podczas dnia...

— ...i po godzinach urzędowania — dodała Ada.

— ...tak, i po godzinach urzędowania. Noc przeznaczałem na spoczynek, dzięki czemu dzień nigdy nie był mi straszny. Bierzcie ze mnie przykład.

Tym razem zamknął drzwi energicznie i przekręcił klucz dwa razy.

— Nie ma rady — powiedziała Ada — przeniesiemy się do hallu.

Zeszliśmy więc na dół. Po drodze rzuciłem okiem na ścianę, dwa głębokie odpryski, jeden nad drugim, świadczyły, że przynajmniej kosa mojego ducha była przedmiotem realnym. Ada zauważyła je również.

— Coś tu się jednak działo — przystanąła, oglądając ścianę. — Naprawdę nic pan nie słyszał?

— Wróciłem z miasta, drzwi na taras były otwarte — powiedziałem. — Zatrzymałem się na górze na papierosa, nie gasiłem nawet światła w hallu. Jeśli coś tu się działo, to przed moim przyjściem.

— Drzwi były otwarte? — zdziwiła się. — I nikogo nie było na dole?

— W hallu nikogo.

— A w gabinecie? Może pana znakomita współpracowniczka jeszcze nie skończyła pracy?

— Wątpię, posłyszalaby, jak wchodzę.

— Zobaczymy na wszelki wypadek.

Na dole Ada nacisnęła klamkę, bez skutku. Wyjąłem klucz, otworzyłem drzwi, weszliśmy, zapalając światło. Nic się tu nie zmieniło od chwili, kiedy wyszedłem z Ewą, tylko na pustawym regale za biurkiem leżała książka sporego formatu, jedna z kilku stłoczonych w rogu półki; nie, nie książka, szkatułka w kształcie książki, jej wieko było otwarte, wewnątrz białeły kartki maszynopisu. Poczułem nagle podniecenie, z trudem opanowałem się, by nie podbiec do regału, nie obejrzeć teraz, zaraz maszynopisu, który tak wiele mógł wyjaśnić.

— Wracamy do hallu — powiedziała Ada. Usiadła na sofce, ściągając ramiona.

— Chłodno? — spytałem, siadając obok.

— Chłodno.

Oparła głowę o moje ramię, objąłem ją, a po minucie, może później, posłyszeliśmy bliski, ostry szczeł klucz w zamku, Ada zerwała się na równe nogi.

— Ciotka — szepnęła.

— Uciekaj. Ja cię osłaniam.

Już była na górze, gdy z korytarzyka wyłoniła się znowu pani Ala w długim, wzorzystym szlafroku.

— To pan — stwierdziła z ulgą. — Już drugi raz wychodzę, ciągle mam wrażenie, że ktoś włamuje się do gabinetu. Zasnąłam dziś wcześniej, a teraz każdy szmer mnie budzi.

— Wróciłem przed godziną — powiedziałem — a teraz zszedłem po notatki profesora, chcę je przejrzeć u siebie. Przez tę burzę nie można zasnąć.

Pokiwała głową z wyrozumiałością.

— To widać. Niech pan wytrze usta chusteczką, młody człowieku. Dobranoc.

— Dobranoc.

Wytarłem szminkę Ady w gabinecie. Czy zawsze maluje się na noc? I co teraz? Ktokolwiek tu był, nie ma go już od dawna, albo też ukrył się na tyle dobrze, że nie znajdę go bez przeszukania całego domu — a to przecież niemożliwe. Wziąłem do ręki maszynopis ukryty w kasecie imitującej

oprawę książki. Jak mogliśmy go dotychczas nie zauważyć? Stał między kilkoma tomami Brockhousa, w podobnej oprawie, doszlibyśmy w końcu do niego, ale kiedy, po ilu dniach? Zanim jeszcze przeczytałem tytuł, byłem pewny, że oto mam przed sobą pracę profesora, może niedokończoną, może pierwszą jej redakcję, ale już tekst, nie zbiór rozproszonych notatek, luźnych zapisków, nieuporządkowanych jeszcze do końca fiszek; rozprawę, którą chcieliśmy rekonstruować, domyślać się jej kształtu, podczas gdy ona — chyba — była już niemal gotowa, czekała tylko na ostatnie uzupełnienia, poprawki, przypisy. Przeczytałem tytuł: „Organizacje spiskowe na Wołyniu po trzecim rozbiore”. I notatka ołówkiem: „tytuł prowizoryczny”. Więc jednak. Odłożyłem maszynopis z westchnieniem ulgi i wtedy dopiero spostrzegłem leżącą na podłodze latarkę. Zwykłą latarkę, taką, jaką można kupić w każdym kiosku Ruchu za dwadzieścia złotych. Musiała spaść z półki, kiedy w hallu powstało zamieszanie, a potem nie było już czasu, aby ją podnieść. Zabrałem maszynopis i zeszyt z notatkami, który przeglądał przy Ewie Mrozowski. Zgasilem światło w gabinecie i hallu, zamknąłem drzwi na klucz. Na górze przystanąłem, była lepka ciemność, nierozjaśniona już światłem błyskawic; burza przeszła, rósł za to szum ulewnego deszczu. Zbliżyłem się cicho do drzwi Ady, nie, nie, bez najmniejszego zamiaru podjęcia tak mile zaczętego wątku; chciałem tylko zobaczyć, czy czyta jeszcze, czy już śpi, jako że miałem ochotę na mały spacer po domu i wołałbym, aby mi tym razem nie przeszkadzano. Szpara u dołu drzwi Ady była ciemna. Ale kiedy odwróciłem się, by pójść do swego pokoju, zobaczyłem jasną kreskę światła pod drzwiami Mrozowskich. Westchnąłem. Groziło mi jeszcze jedno kazanie tej nocy. Postaram się go uniknąć.

Kiedy znalazłem się u siebie, złożyłem pieczołowicie maszynopis profesora i zeszyt z notatkami w szufladzie mojej nocnej szafki, przebrałem się, a kiedy otworzyłem walizkę, znalazłem w niej malutką, złotą latareczkę Wonder Micro; dostałem ją kiedyś od Hanki, taki drobiazg raczej damski, ale myślała, że może mi się przydać i przyda mi się teraz

rzeczywiście.

I znowu znalazłem się na ciemnym korytarzu, ale teraz, w dżinsach, miękkich pantoflach czułem się znacznie lepiej. Na dole zatrzymałem się jeszcze chwilę, aby oswoić oczy z ciemnością; nie na wiele to się jednak przydało, chmury zakryły szczelnie niebo, tylko bełkot wody w rynnach, trzask strumieni deszczu na tarasie, głęboki, jednostajny szum w ogrodzie. Błyskając latarką, ruszyłem w głąb domu, po chwili znalazłem się w korytarzyku, z którego prowadziły drzwi — otwarte teraz — do pustej kuchni, a następnie do pokoiów Heleny i Janiaka. Raz jeszcze zapaliłem latarkę, aby przekonać się, czy drzwi z kuchni do jadalni są zamknięte, kiedy błysnęło coś metalicznie w rogu, przy białym kredensie i odkryłem opartą o ścianę długą, giętką szynę od zasłon. Obejrzałem ją dokładnie; stała przekrzywiona, jednym końcem wsunięta za kredens, drugim dotykała futryny, jakby rzucona tu niedbale, w pośpiechu; czyżby to była „kosa” mego ducha? Wyjąłem ją, oświetliłem końce — na jednym z nich, w załamaniu metalowej pokrywy tkwiła grudka świeżo ukrazonego tynku.

Kiedy znów znalazłem się w korytarzyku, zdałem sobie sprawę, że od początku szum deszczu był tu wyraźniejszy, słyszałem uderzenia poszczególnych kropli o betonowe stopnie; drzwi prowadzące na ogród były uchylone, a na czerwonym chodniku widniał wielki, mokry ślad ogromnego buta. Pochyliłem się właśnie nad nim z latarką oglądając go uważnie, kiedy padł na ścianę wielki prostokąt światła, a w progu swojego pokoju stanął Janiak, kompletnie ubrany, z pochyloną głową, zaciśniętymi pięściami. Musiał czatować za drzwiami, z ręką na klamce, bo nie słyszałem nawet zgrzytu zamka.

— A pan... pan tu co? — spytał zduszonym głosem.

— Co wy tu... po nocy... won do siebie... już!

— Powtórzcie to jeszcze raz — powiedziałem cicho.

Jednym skokiem znalazłem się przy nim, pchnąłem go otwartą dłonią tak, że znalazł się wewnątrz, wpadłem za nim, zamykając drzwi.

— To wy napadliście na mnie w hallu? — spytałem łagodnie.

— To wy okradliście gabinet profesora? To wy wpuszczacie do domu obcych ludzi? Wy?

Rozejrzałem się po pokoju. Stół, nakryty poplamionym obrusem, na nim popielniczka kipiąca od niedopałków. Żadnych szklanek, naczyń. Rozesłane łóżko, pedantycznie ułożona na poduszce piżama. Trzy krzesła wokół stołu, na podłodze mokre ślady, buty wciśnięte pod starą szafę w kącie.

Janiak stał wyprostowany, patrzył na mnie z mieszaniną przestachu i wściekłości; przez chwilę miałem wrażenie, że rzuci się na mnie, ale zdołał się opanować, rozsądek wziął górę.

— Ja nie rozumiem, co pan mówi — powiedział wolno, z namysłem. — Jacy obcy ludzie? Co skradli? Kiedy? I kto na pana napadł?

— Dobrze pan rozumie. Tłumaczyć się pan będzie przed kim innym. A na drugi raz niech pan się sto razy zastanowi, zanim pan podniesie głos, dobrze?

— Ja nie podnoszę głosu... — zaczął niepewnie. Już ochłonął, już poczuł strach. — Pan powie, co się stało, ja się tym zajmę... Już noc... Jak się człowieka wyrwie ze snu...

— Zawsze pan śpi w ubraniu?

— No nie... zdrzemnąłem się przy stole... właśnie miałem się kłaść...

— I wyszedł pan na deszcz się ochłodzić?

Spojrzał na mokre ślady, ściągnął ramiona.

— Narzędzia zostawiłem w ogrodzie — burknął. — Robiłem drzwi do altany i zostawiłem. Trzeba było przynieść, jak deszcz...

— O północy?

— Trzeba było przynieść — powtórzył bezradnie.

— Zapomniał pan zamknąć drzwi wyjściowe. Dobranoc.

I zostawiłem go, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć. Nic więcej od niego nie wyciągnę, nawet nie jestem pewny, czy któreś z moich oskarżeń rzeczywiście go dotyczy; jedno tylko wskazuje na to, że Janiak nie ma czystego sumienia; nie czekał na informację, co zostało skradzione, co stało się w domu, jakby z góry znał odpowiedź — a moje wyjście przyjął z niedowierzaniem i ulgą. A jeśli to tylko zaskoczenie? Janiak nie

był zbyt rozgarnięty, może dopiero jutro zacznie dopytywać, rozpowiadać wszystko nieproszony i zmusi mnie do ogłoszenia takiej wersji nocnych wydarzeń, która wszystkich zadowoli i nie wzbudzi równocześnie podejrzeń co do mojej roli w tym domu. Zobaczymy...

Wróciłem więc na górę, przez cichy, ciemny dom, otworzyłem pokój Ewy, wszedłem, świecąc sobie latarką. Ewa spała spokojnie, z rozrzuconymi rękami, jak dziecko. Mokry tampon zsunął się z jej skroni i leżał na poduszce, w środku wilgotnej, powiększającej się plamy. Położyłem tampon na talerzyku, stojącym koło nocnej lampki, raz jeszcze spojrzałem na spokojną twarz śpiącej — i poczułem coś na kształt niejasnych wyrzutów sumienia — zostawiłem ją przecież samą w tym domu, choć nie byłem pewien jej bezpieczeństwa. Złożyłem więc na czole Ewy ojcowski pocałunek i obiecując sobie, że będę odtąd czuwał nad nią skuteczniej, wyszedłem.

A wtedy otworzyły się drzwi po obu stronach korytarza i stanęli w nich Janusz i pan Mrozowski. Janusz patrzył na mnie z przerażeniem i rozpaczą, pan Mrozowski ze zdumieniem i podziwem. Cóż mogłem zrobić... Przekręciłem klucz w zamku, otworzyłem swój pokój i skłoniłem się nisko obserwującym mnie w milczeniu sąsiadom.

— Dobranoc panom — powiedziałem, zatrząskując za sobą drzwi, pełen obaw, że moją działalność podczas tej nocy trudno będzie utrzymać w dyskrekcji.

List do Jacka Joachima

Coś działo się dokoła mnie, coś nieokreślonego, niejasnego: tylko ruch, migotanie twarzy, jakieś gesty, których znaczenia nie mogę odczytać, jakieś słowa, zlewające się w niezrozumiałą bełkot, wreszcie wszystko, twarze, sylwetki, przedmioty zaczęło wirować wokół mnie, szybciej, coraz szybciej, ten ruch był coraz bliższy, wyraźniejszy, za chwilę mnie ogarnie, porwie z sobą...

Usiadłem gwałtownie na łóżku, przytomniałem powoli. Był jasny dzień, pokój zalany słońcem, krzyk ptaków w ogrodzie, na zegarku godzina piąta. Przepęłniało mnie ciężkie, obezwładniające zmęczenie, bolała głowa, w skroniach i nad oczami — ale wiedziałem, że już nie zasnę. Zerwałem się więc, aby nie dać sobie zbyt wiele czasu do namysłu. Krótka gimnastyka, zimny tusz w łazience i kiedy, ubrany i ogolony, stanąłem w oknie, patrząc na ogród, czułem się tak, jakbym przespał spokojnie całą noc, a dzień poprzedni spędził na plaży. Niebo było czyste, powietrze ostre i świeże, w niskim słońcu lśniły krople wody na liściach drzew, ciemne kałuże rozlewały się na ścieżkach.

Usiadłem wygodnie na łóżku, sięgnąłem po maszynopis i zeszyt z notatkami profesora Kędzińskiego. Zacząłem od zeszytu, maszynopis zostawiając sobie na później, choć był nieporównanie ważniejszy. Chciałem jednak dowiedzieć się, co wprawilo w zadumę pana Mrozowskiego tak dalece, że zapomniał o swych przywódczych skłonnościach — a potem dopiero zająć się lekturą, od której chyba trudno mi będzie się oderwać.

Otworzyłem zeszyt w połowie. Obie strony zajmowały krótkie notatki, oddzielone od siebie grubymi, czarnymi, poprzecznymi liniami, każda rozpoczynała się od nazwiska, podkreślonego czerwonym długopisem, a potem drobnym, pedantycznym

pismem profesora ciasno stłoczone daty, fakty, informacje. „Kalasanty Jeziorkowski, ur. 23 VI 1803 w Siemakowcach, syn Jana, podstolego włodawskiego, od 1811 we Lwowie, od 1821 Warszawa, szkoła podchorążych, udział w powstaniu, ranny pod Iganiami, 1832 w Dreźnie, 1833 w Paryżu, po 1840 emisariusz, ginie 1846 w Galicji”. „Anna Jeziorkowska, kuzynka Kalasantego, córka Cypriana, wnuczka kasztelana Ignacego Jeziorkowskiego, ur. 1811 w Dąbrowicy, 1830 we Lwowie zamężna za Stanisławem Horyńskim, prezesem sądu...”

Przewróciłem stronę, dwie. Tu, w pierwszej notatce, spostrzegłem kilka podkreśleń. „Ksawery Jeziorkowski, ur. 1832 w Sandomierzu, właściciel Jasienowa i klucza czernelickiego; jego córka Marianna (ur. 1855), w roku 1874 poślubiła Jana Kędzierskiego, ur. 1845, mego dziadka (podkreślone)”.

I jeszcze jedna notatka upstrzona czerwonymi podkreśleniami: „Jerzy Mrozowski, ur. przed 1870, 1898 żeni się powtórnie z Janiną Koronkiewicz, jedyną córką Stefana i Cecylii...”

Parę pozycji wstecz: „Stefan Koronkiewicz ur. 1849 w Koronkach na Wołyniu, ostatni męski potomek rodu Koronkiewiczów, sprzedaje w r. 1879 rodzinną wieś i osiada z rodziną w Lublinie...”

I wreszcie, dwie kartki dalej rozkładówka pokryta skomplikowanym systemem linii i nazwisk, za nią druga. To zarysy drzew genealogicznych rodzin Jeziorkowskich i Koronkiewiczów. Ród Koronkiewiczów wygasa na Janinie, zamężnej za Jerzym Mrozowskim, ród Jeziorkowskich, którego dzieje śledził profesor począwszy od kasztelana Ignacego Jeziorkowskiego, doprowadzony był w tym schemacie do Ignacego, urodzonego w roku 1900, jego żony Ireny z Piotrowskich (1908) i ich dwojga dzieci, Anny (1926) i Krzysztofa, urodzonego w roku 1930. Irena Jeziorkowska... To o niej mówił w nocy pan Mrozowski, wnuk chyba Janiny Koronkiewicz. Uśmiechnąłem się mimo woli, usiłując wyobrazić sobie pana Mrozowskiego, zatrzymującego konie

powozu pięknej zapewne pani Ireny, jeżeli prawda nie była prostsza i nie zdarzyło się w istocie tak, że dzielny notariusz wpadł kiedyś pod koła koczka, gdy pani Irena wyruszyła na poranny spacer. Ale po chwili przestało mnie to bawić. Zapaliłem papierosa, choć obiecywałem sobie nie palić przed śniadaniem, i zacząłem niespokojny spacer po pokoju. Więc to, co było pretekstem, pozorem, służącym usprawiedliwieniu mojej obecności w tym domu, to, co wywoływało we mnie wspomnienia studiów, dawnych przyjaźni, bibliotecznych sal, niezrealizowanych planów, niezaczętych nigdy prac — to wszystko więc, dawne, będące tylko wspomnieniem, odnawiającym się czasem sentymentem, budzące uczucia, jakich doznaje się spotykając po latach pierwszą szkolną sympatię — przybliżyło się teraz, splotło z dniem dzisiejszym, stało się, w jakże nieoczekiwany sposób, znowu częścią mojej pracy.

Odczułem to, jakby zbrukano moje najlepsze wspomnienia. Historia była dla mnie zawsze wiedzą czystą, to znaczy nie tyle zespołem procesów i faktów, co sposobem, perspektywą, z jakiej się na nie patrzy. Intrygi, zbrodnie, błędy, klęski, samotna mądrość, tragiczna głupota, wszystko, co składa się na mroczny bieg dziejów, było już dla mnie tylko spektaklem, szekspirowską sztuką, odgrywaną się oto przed moimi oczyma po raz setny czy który dla uciechy i nauki. Tej uciechy, jaką daje obserwacja zdarzeń groźnych, lecz bezpiecznie odległych, tragicznych, lecz oswojonych. Tej nauki, którą czerpią z historii świetni publicyści, mądrzy pisarze, przewidujący mężowie stanu. Moim zadaniem była rekonstrukcja brakujących lub niepełnych scen tego spektaklu, nigdy się niekończącego, w każdej epoce, w każdej dekadzie bogatego w szczegóły, nie do wyczerpania. I tak tę rolę zapamiętałem, i tak ją w sobie przechowywałem, zajmując się małymi, ludzkimi, pojedynczymi sprawami, pielęgnowałem swoją uniwersytecką przeszłość jak wiekowa urzędniczka wspominająca górną młodość w dworku na Ukrainie. I oto temat mojej pracy magisterskiej między morderstwem i kradzieżą. Patos historii i nonparelowa wzmianka w dzienniku.

Potomkowie dwu rodów złączonych wielką tajemnicą: pan Mrozowski, wykrzykujący gromkie frazesy nad głową struchlałej małżonki, i Janusz w pletwach, na czworakach z zapiaszczoną twarzą zalecający się do panny. Czy oni też tacy byli? Tylko tacy? Dumny kasztelan Jeziorkowski, mroczny zdrajca Koronkiewicz — zwykli, mali ludzie, ani odrobinę bardziej patetyczni, bardziej skomplikowani?

Upredzam fakty. Wcale nie jest pewne, że notariusz z Klocka jest rzeczywiście potomkiem ostatniej z Koronkiewiczów. Nigdzie nie jest powiedziane, że pokrewieństwo profesora z rodziną Jeziorkowskich ma jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy, którą się zajmuję. Nawet nie jestem pewien, czy skradzione klejnoty były rzeczywiście kiedyś własnością kasztelana. Wskazują na to tylko skąpe uwagi profesora, którymi zbywał siostrę, i zachowanie Mrozowskiego wczoraj wieczorem, w gabinecie. Muszę więc, jak najprędzej, porozmawiać z Mrozowskim. Muszę przejrzeć wreszcie maszynopis profesora. Być może ulegam złudzeniom, być może moja rola historyka nie będzie miała nic wspólnego z prawdziwym celem mego tu pobytu.

Spojrzałem na zegarek. Szósta. Znów ułożyłem się wygodnie na łóżku, otworzyłem maszynopis. „Uwagi wstępne”. Przymknąłem oczy. Salka seminaryjna, twarze, niektóre już zapomniane, tylko białe, owalne plamy, niektóre wyraziste, ale pozbawione imion lub nazwisk, za oknem porośnięte dzikim winem mury sąsiedniego gmachu, cisza, nad katedrą sucha twarz profesora Kędzierskiego. „Kilka uwag na wstępie...” — tak zaczynał każdy niemal wykład, z reguły zaś to, co miał do powiedzenia po naszych chaotycznych zazwyczaj, raz gorączkowych, raz ospałych i bez wyrazu seminaryjnych dyskusjach. „Uwagi wstępne”. Czytajmy więc dalej: „Dla pracy niniejszej przyjąłem metodę konstrukcyjną nieczęsto spotykaną w rozprawach naukowych. Podejrzewam nawet, że mogę zostać posądzony o skłonność do sensacji właściwszą dla historycznego powieściopisarza, niż badacza, dla którego bieg dziejów bardziej czytelny jest w zmiennym, lecz przecież poddanym swoistym prawom obrazie zbiorowości, aniżeli w

pojedynczych losach ludzkich, będących dla historyka zawsze zlepkiem przypadków, wynikiem racji i skłonności subiektywnych. Zważywszy to wszystko, autor pragnie jednak opowiedzieć historię dwu rodzin szlacheckich na przełomie XVIII i XIX wieku; historię ludzi, którzy nie decydowali wprawdzie o losach narodu, ale uczestniczyli w nich z całą możliwą intensywnością; o rodzinach Jeziorkowskich i Koronkiewiczów. Specyficzny charakter tej pracy uwydatnia również jej geneza; pierwszy zamysł powstał, gdy autor zajął się, aby zaspokoić swoją ciekawość, dziejami własnej rodziny. Lecz na tym wyczerpują się osobliwości pracy, których wyliczenie nie miało być usprawiedliwieniem. Bowiern dzieje pierwszych organizacji niepodległościowych, powstałych nazajutrz po trzecim rozbiore...”

Czytałem blisko godzinę, gdy kroki w ogrodzie, odgłosy rozmowy, trzaśnięcie drzwiami na korytarzu przywróciły mnie do rzeczywistości. Była siódma. Odkładając uważną lekturę na później, zacząłem pospiesznie kartkować maszynopis. Praca profesora, rozwijająca się w świetnie skomponowaną całość, składała się w istocie z oddzielnych szkiców; ta swoboda konstrukcji pozwalała na podjęcie wielu problemów ogólnych, które będąc koniecznym tłem dla zasadniczego wątku, równocześnie proponowały nowe odczytania zasadniczych tendencji politycznych w ruchu spiskowym po trzecim rozbiore, przynosiły nowe materiały dla dokumentacji tez. Jak wynikało ze spisu treści, będącego w istocie brulionowym planem pracy, niektóre szkice jeszcze nie były gotowe, niektóre znajdować się miały w rękopisie, niektóre w notatkach; niekompletne były przypisy, brakowało sporej części dokumentalnej, której plan powinien również znaleźć się wśród notatek. Jak z tego wynikało, tak czy inaczej było przed nami sporo jeszcze pracy; przed nami, a raczej przed Ewą, bo mój udział skończyć się mógł w każdym nieprzewidzianym momencie. Wcale mnie to nie zachwyciło.

Już chciałem — znów senny i rozleniwiony — złożyć maszynopis, gdy spostrzegłem w spisie tytuł szkicu, który podziałał na mnie jak zimny tusz. „Klejnoty kasztelana

Jeziorkowskiego”. Zacząłem gorączkowo przewracać kartki, pełen bezzasadnej jeszcze obawy, że ten właśnie szkic nie został ukończony, a jeśli nawet istniał, to nie ma go tutaj, bo został skradziony, ukryty. Istotnie, szkicu nie było. Ani w miejscu wskazanym w spisie, ani w żadnym innym. Znalazłem za to dwie kartki maszynopisu spięte spinaczem; tytuł podkreślony był czerwonym długopisem: „Spis kolekcji klejnotów kasztelana Jeziorkowskiego”. Odetchnąłem głęboko, odruchowo sięgnąłem po nowego papierosa. Pierwszą pozycję stanowił sztylet wenecki. Przystudiowałem spis i wstałem energicznie, chowając kartki do kieszeni koszuli. Jedno było już przynajmniej pewne. Skradziona kolekcja należała do kasztelana Jeziorkowskiego. Dlatego klejnoty zostały u profesora. Dlatego tak bardzo mu na nich zależało. Dlatego zabrał je do siebie. Dlatego zwlekał z oddaniem ich rozwiedzionej małżonce.

Cicho wyszedłem na korytarz, zbiegłem po schodach na dół. W kuchni Helena pochylała się nad parującymi garnkami.

— Ranny z pana ptaszek — powiedziała z uznaniem
— nie z tych, co to wylegują się w łózkach do południa.
— Pracuję od piątej, taki piękny dzień! A gdzie pan Janiak?
— Chciał mi się świtkiem wymknąć na miasto — potrząsnęła groźnie chochlą — ale go zobaczyłam! Miał mi zreperować drzwi od altany — wyjrzała przez okno — i zreperuje! Ja tam trzymam owoce aż do jesieni, do konfitur i powideł. Nie puszczę, aż skończy.

Podszedłem do drzwi na korytarz. Szyna od zasłon zniknęła.

— Głodny pan może? — zatroszczyła się Helena. Istotnie, zapach świeżego mleka, chrupiące bułki na stole obudziły we mnie wilczy apetyt. Wypiłem szklankę mleka, z bułką w ręce wymknąłem się na ulicę. Ogrody parowały w słońcu, błyszczały szyby otwartych okien, refleksy światła migotały w koronach drzew. Kupiłem gazetę w kiosku i zadzwoniłem z budki do Grzywińskiego. Wyciągnąłem go z łóżka.

— Trzeba natychmiast podjąć obserwację Janiaka — powiedziałem — załatw to zaraz. A stało się, stało. Nie, nic z tych rzeczy, wszyscy żyją. Na dziesiątą jadę na uniwersytet.

Możemy się spotkać o wpół do dziesiątej. Jest tam jakaś kawiarnia otwarta o tej porze? Dobrze, w Monopolu na górze. Cześć.

Wyszedłem z budki i wpadłem na doktora Hoszowskiego.

— Jak nasza pacjentka? — spytał.

— Chyba jeszcze śpi. Wstąpi pan?

— Wyszedłem z tym zamiarem, choć to jeszcze wcześniej. Ale o ósmej muszę być w szpitalu. Dobrze więc, że pana spotkałem, nie będę musiał budzić gospodarzy.

Doktor Hoszowski miał cienie pod oczami, twarz bladą i zmiętą, jakby nie przespał tej nocy ani chwili.

— Złe się pan czuje? — spytałem.

— Głowa mi pęka — wyznał — nic na to nie pomaga-

— Prosiła mnie Ewa — powiedziałem, otwierając furtkę — aby nie rozgłaszać jej wypadku. Powtarzam tę prośbę.

— No wie pan — uśmiechnął się blado — dyskrecja jest obowiązkiem lekarza, cóż dopiero w tak błahej sprawie. Ale milicja nie będzie dyskretna, kiedy zjedzie na śledztwo w związku z kradzieżą klejnotów.

— I ja tak myślałem. Zadzwoiłem jeszcze wczoraj, zaraz po pana wyjściu. Odszukali kogoś, kto zajmuje się sprawą profesora, i on mi także kazał zachować dyskrecję. Od wczoraj wszyscy mnie uciszają.

Hoszowski rozpogodził się nieco.

— To rzeczywiście przykre, kiedy tyle się dzieje. Ale ja, przyznam się panu, nie lubię sensacji. Wolę prostsze przyjemności. I nikt się tu nawet nie wybiera? — dorzucił od niechcenia. W jego głosie wyczułem ulgę.

— Ma ktoś przyjechać po południu, na rozmowę z Ewą i ze mną. Ale prosił, żeby go przedstawić jako znajomego. Poszaleli z tą konspiracją.

W hallu zamilkliśmy, cicho weszliśmy na piętro. Klucz od pokoju Ewy miałem w kieszeni. Ewa spała jeszcze, ale jęk zawiasów i odgłos naszych kroków obudziły ją, spojrzała na nas nieprzytomnie, potem usiadła z pochyłoną głową, tak że włosy zasłoniły jej twarz.

— Już tak późno? — spytała.

— Nie, to ja wcześniej przyszedłem — rzekł Hoszowski. — Proszę mi wybaczyć, ale musiałem panią zobaczyć przed wyjściem do szpitala.

— Będę naprzeciwno — powiedziałem, wycofując się.

A na korytarzu stali w swoich drzwiach Janusz i Mrozowski, w piżamach, z ręcznikami na szyjach, mydelniczkami w rękach i patrzyli na mnie bez słowa. Janusz z nienawiścią, Mrozowski z uznaniem.

— Dzień dobry panom — powiedziałem, kłaniając im się nisko.

Po chwili zastukał do mnie Hoszowski.

— Wszystko w porządku — rzekł. — Pozwoliłem panie Ewie wstać, ale pana proszę o przypilnowanie, aby od czasu do czasu kładła się z kompresem na skroni i w ogóle nie pracowała zbyt wiele. Przede wszystkim odpoczynek. Nie widzę potrzeby dodatkowych badań.

Trzasnęły drzwi łazienki, wyszli z niej Mrozowski i Janusz, a w sekundę po nich na korytarzu zjawiała się Ewa, w szlafroku, z rozpuszczonymi włosami, mocno zaspana i bardzo niezadowolona z tłoku.

— Dzień dobry, panie doktorze! — zawołał Mrozowski, podbiegając z wyciągniętą ręką. — Wiedziałem, że pan wstaje skoro świt, ale nigdy jeszcze nie spotkałem pana u nas tak wcześniej.

I zastygł w pozie serdecznego gospodarza, z rozwartymi ramionami, dumny, że oto tak sprytnie i wytwornie sformułował pytanie, na które nie można nie odpowiedzieć.

— Miałam w nocy wypadek — odezwała się Ewa.

— Przewróciłam się na... na schodach. Jacek się mną zaopiekował, a doktor Hoszowski powiedział mi właśnie, że mam czaszkę z kamienia i mogę uważać się za osobę niemal zdrową. Wobec czego przepraszam i idę się umyć.

— To ja przepraszam, panno Ewo! — wykrzyknął Janusz z bezgraniczną ulgą. — Czemu to ja nie mogłem pani pomóc! Nigdy sobie tego nie daruję.

— Widzisz, mój drogi, jak bezsensowne były twoje podejrzenia — rzekł surowo Mrozowski. — Nie wolno opierać

się na gołych faktach, zanim nie rozpozna się ich natury i genezy. Pan Joachim jest człowiekiem szlachebnym i należą mu się nasze gratulacje. Czy Ada też miała w nocy wypadek?

— Co takiego? — spytała Ewa spod drzwi łazienki.

— Nic z tego nie rozumiem — wyznał szczerze doktor Hoszowski.

— Panowie widzieli, jak wychodziłem w nocy z pokoju Ewy — wyjaśniłem. — Natomiast ani nie wchodziłem, ani nie wychodziłem z pokoju Ady, z czego wnioskuję, że Ada nie miała wypadku.

— Tak sądziłem; wasze spotkanie na korytarzu było przypadkowe — westchnął Mrozowski z miną człowieka, który nareszcie wszystko zrozumiał, a Ewa zatrzasnęła za sobą z hukiem drzwi łazienki. A może to przeciąg?

Hoszowski spojrział na zegarek.

— Najwyższy czas na mnie — powiedział — ale myślę, że się dzisiaj jeszcze zobaczymy.

I odszedł szybko korytarzem, nie żegnając się.

— Czy zechce mi pan poświęcić chwilę czasu? — spytałem jeszcze Mrozowskiego. — Na przykład dziś po południu? Chciałem pana prosić o pomoc w wyjaśnieniu pewnych niejasności w papierach profesora.

Słońce padło na twarz Mrozowskiego.

— Ma pan przed sobą wielką przyszłość! — wykrzyknął. — Nie waha się pan zwrócić o radę, szanuje pan wiek i doświadczenie, wiedzę i autorytet! Brak tych przymiotów decyduje o słabości wstępującej generacji. Stanowi pan chlubny wyjątek. Możemy iść do mnie natychmiast!

I chwycił w ostatniej chwili opadające spodnie pizamy, a ręcznik, mydelniczka, szklanka i szczoteczka do zębów znalazły się na podłodze.

— Wkrótce muszę być w mieście — tłumaczyłem, zbierając przybory toaletowe notariusza — a chciałbym mieć trochę czasu na spokojną rozmowę. Dlatego, jeśli pan pozwoli, zgłoszę się u pana po obiedzie.

— Klemensie! — rozległ się za nami głos pani Mrozowskiej. — Powinieneś jeszcze wymoczyć nogi w jodobromowej soli

iwonickiej. Pospiesz się!

— Ach, te obowiązki! —jęknął notariusz. — Jestem nieustannie zajęty. Czekał na pana po obiedzie.

Ewa zastukała do mnie po kwadransie.

— Wejdz — powiedziałem — coś ci pokażę.

Usadowiłem ją na łóżku, wyjąłem poduszkę, aby mogła się wygodnie oprzeć.

— Nie traktuj mnie jak ciężko chorą — zniecierpliwiła się.

— Musisz na siebie uważać. A ja dałem słowo doktorowi Hoszowskiemu, że się tobą zajmę.

— Wcale nie jestem pewna, czy na tym dobrze wyjdę. Jeżeli się nie mylę, wszyscy byli przekonani, że spędziłeś tę noc u mnie.

— Raczej część nocy. Ale nieporozumienie się wyjaśniło i Janusz odzyskał równowagę. Ja mam opinię samarytanina, a ty dziewczycy

— Mam nadzieję, że moja opinia oparta jest na trwalszych podstawach. Co mi chciałeś pokazać? I co robiłeś wczoraj, kiedy zasnąłam?

— Powiedz przedtem, jak się czujesz?

— Tak sobie. Boli mnie ta głowa, cała jestem jak połamana. Nie musisz mnie pilnować, sama wiem, że powinnam trochę poleżeć.

— Dam ci lekturę, nie będziesz się nudziła.

I położyłem jej na kolanach maszynopis profesora. Wzięła go do ręki bez specjalnego zainteresowania, przeczytała kartę tytułową, pierwsze zdanie „Uwag wstępnych” i wyprostowała się gwałtownie.

— Co to jest? Skąd to masz?

Usiadłem obok niej.

— Posłuchaj.

Opowiedziałem jej o wszystkim, co się wydarzyło, opuszczając tylko końcowy akcent spotkania z Adą jako nienależący do sprawy. Patrzyła na mnie z mieszaniną niepokoju i przestachu, a kiedy doszedłem do starcia z odkrywcami maszynopisu profesora Kędzierskiego, zacisnęła palce na mojej ręce i nie puściła jej już do końca.

— Właściwie to jest niesamowite — szepnęła, kiedy skończyłem. — Ten „duch z kosą” to przecież określenie z listu kasztelana Jeziorkowskiego... Z tego samego listu dowiedzieliśmy się o klejnotach. To chyba nie jest złudzenie ani przerosty wyobraźni, ale tu się jednak pomieszały daty, historia poplątała się ze współczesnością, nic z tego nie rozumiem, możesz mi wierzyć. Wygląda to tak, jakby profesor, rozpoczynając badania, doszedł do czegoś, co przetrwało do dzisiaj, co... Nie, to przecież nonsens.

Milczeliśmy przez chwilę. Zza okna słychać było odgłosy kłótni Heleny i Janiaka. Na wysokim, bladoniebieskim niebie rozwijała się biała wstęga znacząca lot niewidocznego odrzutowca.

— Duch z kosą to oczywiście przypadek — powiedziałem wreszcie. — Jeden z tych przypadków, które nie mają wpływu na wydarzenia, tylko nadają im koloryt. To był ktoś szczupły i wysoki, w białej koszuli, a kosa to nic innego, jak szyna od zasłon, chwycił ją pewnie w ostatniej chwili, bo była pod ręką. Mogę jeszcze dodać, że mój duch nosi buty na traktorach, ogromny numer, widziałem mokry ślad na chodniku.

— Myślisz, że to on mnie uderzył? — spytała cicho, przymykając oczy. Była blada, zmęczona, a ta rozmowa wcale jej nie pomagała.

— Nie wiem. Ale ciebie nie uderzono szyną od zasłon. Nie skończyłoby się to tak na niczym... Na szczęście. To był, tak mi się przynajmniej wydaje, jakiś przedmiot niemetalowy, duży, bez ostrych kantów. Nic takiego nie ma w gabinecie profesora. Napastnik chyba przyniósł to z sobą i zabrał.

— Ale czego szukał, jeżeli miał już klejnoty?

— Nie wiem. Nie wiem przede wszystkim, czy to był ten sam człowiek, a raczej ci sami ludzie.

— Myślisz, że... Ale to chyba niemożliwe, wynika z tego, że tłumy obcych ludzi chodziły po tym domu i nikt ich nie zauważył. Poza nami.

— Nie wiem, czy to byli obcy ludzie, i nie wiem, czy nikt ich nie zauważył. Pojadę teraz do miasta. Pójdę na posiedzenie Towarzystwa, zaprosił mnie wczoraj Winiarski. Zobaczę się

przy okazji z docentem Karolakiem. A ty się połóż i przeczytaj maszynopis. Przejrzyj także ten zeszyt z notatkami, może znajdziesz w nim coś jeszcze.

— Nie mogłabym pójść z tobą na uniwersytet?

— Mogłabyś, ale chyba będzie lepiej, jeżeli poleżysz i odpoczniesz.

Pokiwała sennie głową.

— Prawdopodobnie masz znowu rację. Trochę za często, jak na mój gust.

— Postaram się poprawić. Powiedziałem Hoszowskiemu, że dzwoniłem na milicję i kazano nam nie rozgłaszać kradzieży klejnotów. I że po południu przyjedzie do nas ktoś od nich i mamy go przedstawić jako znajomego.

— Naprawdę przyjedzie?

— Naprawdę. To mój współpracownik, porucznik Grzywiński.

— Hoszowski nie utrzyma tego przy sobie.

— To nic nie szkodzi.

— Rozumiem. Będziesz mógł spotykać się z nim bez przeszkód. Wszyscy będą wiedzieć od Hoszowskiego, że to milicjant, i nikomu nie przyjdzie na myśl, żeby i ciebie podejrzewać. Jeszcze trochę i zakłamię się na śmierć.

— A ty razem ze mną. Bo i ty się z nim będziesz spotykać.

— Trudno. Od razu wiedziałam, że źle na tym wyjdę. Ale dlaczego nie chcesz, żeby mówić o kradzieży?

— Bo sam za mało wiem. Niech się wszystkim zdaje, że nic specjalnego się nie dzieje, że śledztwo idzie niemrawo albo w ogóle utknęło. Może to nic nie da, ale zobaczymy. Prosiłem nawet Hoszowskiego, w twoim imieniu oczywiście, aby nie wspominał o twoim wypadku. I zaraz potem sama to ogłosiła publiczności na korytarzu.

— No i jak wyglądasz wobec Hoszowskiego?

— Raczej jak ty wyglądasz? Ja przekazałem tylko twoją prośbę.

— Dobrze zrobiłam, uratowałam swoją opinię. Ty się teraz zajmij opinią Ady, dobrze? Wcale mi się nie podobasz.

— Sobie też się nie podobam i to mnie bardziej martwi.

— Świetnie. Idziemy na śniadanie.

Teraz i ja posłyszałem dzwonek w hallu. Muszę powiedzieć Helenie, że właściwszy byłby gong.

Przy śniadaniu pani Ala popatrywała na mnie i na Adę, ale Ada, dzisiaj występująca w mini spódniczce i białej, elastycznej bluzeczce z dużym dekoltem, zajęta była rozmową z Januszem i nie zwracała na mnie uwagi. Przeniosła więc pani Ala wzrok na Ewę, która, choć nieco bledsza, z podkrążonymi oczami, w krótkiej, kolorowej sukience wyglądała nie gorzej od Ady — i przyglądała się jej, jakby chciała sprawdzić, czy kolor jej szminki różni się wyraźnie od szminki Ady. Ale obie dzisiaj umalowały się podobnymi kredkami. Przy mlecznej zupie nie mówiono oczywiście o niczym innym, jak tylko o nocnym wypadku Ewy i o tym, jak ją ratowałem — więc wreszcie nasza gospodyni skojarzyła sobie najwidoczniej ową szminkę na mojej twarzy z samarytańskimi czynnościami, którym się oddawałem, bo spojrzała na mnie ponownie z dawną sympatią, zaś moje wyrzuty sumienia, niezbyt zresztą gwałtowne, zagłuszył skutecznie pan Mrozowski.

— Wiem dobrze — oświadczył — czym jest kontuzja, z pozoru nawet niegroźna, jeśli się ją zlekceważy. W roku 1936 naderwałem sobie ścięgno w Worochcie...

— Klemens jeździ na nartach jak szalenciec — wyjaśniła pani Wacia.

— ...ścięgno więc, mówię, w Worochcie, a w rok później, zbiegając, również w Worochcie, górską dróżką, potężnymi susami, uszkodziłem je sobie po raz drugi. Od tego czasu muszę zwracać szczególną uwagę na prawą nogę. Przed samą wojną byłem na kuracji w Iwoniczu i do dziś dnia moczę tę nogę, dwa razy dziennie po piętnaście minut, w jodobromowej soli iwonickiej. Mogę więc panie Ewie zalecić szczególną uwagę...

— Ale chyba nie tę samą kurację — mruknąłem.

— Sam możesz włożyć głowę pod kran z zimną wodą — zdenerwowała się Ewa. — Jeżeli chcesz, żebym ci była wdzięczna, musisz traktować mój wypadek poważnie.

— Pan Jacek nie żartował! — Mrozowski uniósł wysoko łyżkę.

— Stałe okłady są niewątpliwie potrzebne. Ja...

— Tym już się pewnie zajął doktor Hoszowski — przerwała mu pani Ala. — Kiedy to się stało, panie Jacku? Przed naszym spotkaniem, czy po nim?

— Przed, oczywiście przed — powiedziałem szybko — ale nie chciałem pani niepokoić. Tym bardziej, że doktor Hoszowski niczego poważnego nie stwierdził.

Teraz znowu Ada przyjrzała mi się uważnie. Odzyskawszy więc u pani Ali opinię osoby prawdomównej, straciłem ją u Ady, z którą przecież widziałem się po wypadku Ewy. Trudno, nie jestem w stanie wszystkich zadowolić.

Po śniadaniu Janusz znalazł się przy boku Ewy.

— Odprowadzę panią do pokoju — rzekł tonem nieznośnym sprzeciwu — i będę się panią opiekował przez całe przedpołudnie.

— Kiedy ja chcę odpocząć — jęknęła Ewa, patrząc na mnie błagalnie — a poza tym mam masę pracy

— Pan Janusz na pewno nie będzie przeszkadzał ci w pracy — powiedziałem z przekonaniem — a kiedy zechcesz odpocząć, zaśpiewa ci kołysankę.

— Widzisz, Januszu? — zawołał triumfalnie Mrozowski. — Mówiłem ci, że pan Jacek sprzyja twoim zamiarom. A ty go traktowałeś jak rywala!

— W porządku! — wściekła się Ewa. — Po błogosławieństwo zgłosi się pan do Jacka po południu. Teraz zaprowadzi mnie pan na górę, a potem przyniesie mi pan mocnej kawy.

— I jabłka! — wykrzyknął uszczęśliwiony Janusz.

— I wody mineralnej — odpowiedziała Ada.

— I wody na okłady — wtrącił pan Mrozowski.

— I elenium — podsumowała Ewa.

Zajrzałem do kuchni. Janiak szukał czegoś w szufladzie kredensu. Spojrzał na mnie spode łba. Milczał.

— Widziałem tu szynę od zasłony — powiedziałem — co się z nią stało?

— Żadnej szyny tu nie było — przestraszył się. — Może Helena... Ja nie widziałem...

Dziwnie spokojniał były woźny profesora.

W hallu czekała na mnie pani Ala.

— Na pewno nic się nie stało, panie Jacku? — spytała, patrząc na mnie badawczo. — Nic pan przede mną nie ukrywa?

— Jeśli tylko będę miał coś do ukrycia — powiedziałem — natychmiast panią zawiadomię.

Pogroziła mi palcem i uśmiechnęła się, po raz pierwszy chyba, od kiedy ją poznałem.

Na górze przyłapał mnie Mrozowski.

— Czekam więc pana po południu — oświadczył konspiracyjnym szeptem — możliwie wcześniej, bo na wieczór zaprosił nas doktor Hoszowski na bridża. Mówiła mi Alicja, sama się nie udziela, co oczywiste, ale przekazała mi zaproszenie. Przed wojną w czasie wakacji spędzałem zawsze tydzień w Śniatynie, gdzie u mojego kuzyna, Kuby, grałem w bridża dwanaście godzin na dobę. Jaka szkoda, że wybuchła wojna!

A gdy wychodziłem z domu, na tarasie zastałem Adę.

— No i co? — spytała — kiedy się dowiem, co właściwie robiłeś w nocy pod moimi drzwiami? I dlaczego nie powiedziałeś mi wtedy o Ewie?

— Jeżeli moja odpowiedź była powierzchowna, spróbuję tłumaczyć się jaśniej przy następnej okazji. A poza tym — nie chciałem zmieniać tematu.

— Jesteś łobuz — oświadczyła, wyciągając się na leżaku. — Masz szczęście, że mnie to bawi. Gdzie się wybierasz? Myślałam, że się wykąpiemy.

— Doktor Winiarski zaprosił mnie na posiedzenie Towarzystwa Historycznego. Muszę pójść, bo będzie poświęcone dorobkowi profesora Kędzierskiego.

— Tylko nie sprowadzaj Winiarskiego tutaj. Wystarczy, że ty się wynudzisz; po południu musisz mną się zająć.

— Na nic innego nie mam ochoty.

I była to święta prawda.

Autobusem linii „F” dojechałem do centrum. Po nocnej burzy i deszczu było dziś chłodniej, wiał lekki wiatr, drzewa i skwery nad fosą, splukane z kurzu, błyszczały w słońcu ciemną zielenią. W Monopolu na górze było pustawo, nieliczni goście

hotelowi kończyli śniadanie, kelnerzy snuli się sennie między stolikami lśniącymi bielą obrusów. Grzywiński siedział w głębi, na stole czekała już kawa w metalowym dzbanuszk.

— Wpuszczę cię dziś do sezamu — powiedziałem, siadając. — A teraz słuchaj.

Kiedy skończyłem, wręczyłem mu opis klejnotów znaleziony w maszynopisie profesora.

— Każ to przepisać w kilku kopiach. Jedną pošlij Władowi do Warszawy, a przedtem przeczytaj mu przez telefon. Niech stanie na głowie, uruchomi kogo chce, wszystkich archiwistów w całym kraju, wszystkich emerytów i gawędziarzy, a serio mówiąc, niech każe przejrzeć nasze archiwa, pierwsze powojenne lata, i poszuka sprawy, która łączyłaby się z tymi klejnotami.

Grzywiński spojrział na mnie zdumiony.

— A jaka to sprawa łączyła się z klejnotami?

— Nie wiem.

— A skąd wiesz, że w ogóle była jakaś sprawa? I to właśnie w pierwszych latach po wojnie?

— Też nie wiem. Ale pomorduję was kolejno, jeżeli nie poszukacie. Widzisz, odnoszę wrażenie, że nikomu nie zależy na tym, ani nigdy nie zależało, aby kolekcja była dostępna, oglądana, aby o niej w ogóle mówiono. Pani Murawska, która z natury rzeczy powinna mieć najwięcej do powiedzenia, mówi tyle, ile koniecznie trzeba, i to z niechęcią. Wydaje się, że jej córce także na tym nie zależy, ale to może być złudzenie, bo jej w ogóle na niczym specjalnie nie zależy. Profesor ukrył kolekcję, badał jej pochodzenie i chyba dalsze losy, a po jego śmierci kolekcję ukradziono, i to, jak myślę, nie po to, żeby ją sprzedać.

— Tylko po co, żeby się zachwycać?

— Po to, żeby ukryć, na przykład. I nie pytaj mnie o dowody, bo to tylko przypuszczenia. Przyjedź o czwartej, dobrze? Chodziłeś ze mną do szkoły, jesteś inżynierem-chemikiem, nazywasz się, jak się nazywasz. A teraz zapłać za kawę, a ja już idę, nie mogę się spóźnić.

Przepychałem się przez zatłoczoną ulicę, niemal przebiegłem

przez Rynek, bo zegar na ratuszu bił właśnie dziesiątą, by po kilku minutach, nieco zadyszany, stanąć przed pięknym, poklasztornym gmachem Filologii, nad rzeką spokojnie płynącą, w tłumku młodzieży, rozgadanej, umawiającej się, wymieniającej uwagi o czymś niesłychanie istotnym, i tak mi się zrobiło sentymentalnie, że zapaliłem papierosa, oparłem się o mur i postanowiłem nigdzie się nie spieszyć. A młodzież to była prawdziwa, bo na uniwersytecie odbywały się egzaminy wstępne i student czwartego roku wyglądałby tu na oldboya. A cóż dopiero ja? Jeszcze chwila i rozżaliłbym się nad sobą do reszty, gdyby nie szczuplutki chłopaczek z nieco spłoszoną dziewczynką, którzy zbliżyli się do mnie nieśmiało i skłonili z szacunkiem.

— Przepraszam bardzo — powiedział chłopiec — czy kolega jest może z Koła Polonistów? Chcieliśmy się dowiedzieć o dzisiejsze konsultacje.

Rozjaśniłem się, powiedziałem, że jestem z Koła Historyków i w znacznie lepszym nastroju wszedłem na górę. Korytarz po lewej stronie był gwarny i rojny, po prawej cichy, pustawy; tam się skierowałem. Skręciłem w lewo, za róg korytarza, i na samym jego końcu, w głębi skrzydła poklasztornego gmachu, spostrzegłem grupkę osób stojących przed otwartymi drzwiami. Z tej grupki wyłonił się doktor Winiarski, w znakomicie skrojonym ubraniu z szarego tropiku, i ruszył ku mnie pustym korytarzem z wyciągniętą ręką.

— Witam pana kolegę — rzekł. — Cieszę się, że pan przyszedł.

A tuż za nim barczysta sylwetka, bujne jasne włosy, kwadratowa szczęka, tak, to Karolak.

— Od razu cię poznałem — powiedział serdecznie.

— To nie głupi komplement, ale naprawdę niewiele się zmieniłeś.

— I ja cię od razu poznałem. Dalej wyglądasz na boksera, co to wpadł na chwilę na uniwersytet, żeby poderwać dziewczynę.

Roześmieliśmy się, a Winiarski patrzył na nas z lekkim niesmakiem.

— Potem pogadamy obszerniej — rzekł Karolak — bo teraz musimy zaczynać. Mam zresztą do ciebie konkretną sprawę i

nie wiedziałem, jak cię znaleźć, kiedy spadłeś tu jak z nieba. Teraz chodź, poznasz parę osób.

— Nasze dzisiejsze spotkanie ma charakter specjalny — mówił Winiarski, prowadząc nas ku otwartym drzwiom sali. — Jest to mała sesja, poświęcona problemom życia narodowego w pierwszych latach po rozbiorach. Zaprosiliśmy także filologów, jest nasz dziekan, filozof, powinno to pana zainteresować. Dziś kończymy o pierwszej i spotykamy się ponownie jutro, rano i po południu.

A Karolak już przedstawiał mnie zebranim przy wnęce okiennej, wokół dużej, stojącej popielniczki, swoim uczonym kolegom. I koleżankom.

— Nasz dziekan, profesor Wojtasiewicz, wybitny, znawca Kanta.

Skloniłem się, profesor Wojtasiewicz miał myślące oczy za jasnymi okularami, krótko przystrzyżoną, siwiejącą bródkę przy młodej jeszcze twarzy.

— Docent Janosik, polonista, badacz ulotnej poezji politycznej oraz poezji ludowej. Musiałeś czytać jego „Folklor rybacki XV-XVIII wieku”.

— Istotnie, czytałem. Od tego czasu lepiej rozumiem moich przyjaciół wędkarzy.

Docent Janosik uśmiechnął się sardonicznie. Był szczupły, wysoki, o suchej, wyrazistej twarzy, jego profil przypominał głowy rzeźbione na pokrywkach góralskich szkatulek.

— Mogłoby z tego wynikać — powiedział — że po lekturze mojej książki o poezji politycznej zaczniesz pan lepiej rozumieć polityków. Ale to złudzenie.

— Nie jestem pewien. Wędkarze czasem bardziej mnie zadziwiają.

Jeszcze kilka nazwisk, jeszcze kilka osób, gdy zjawiała się wśród nas świetnie ubrana, filigranowa młoda niewiasta i popychając lekko docenta Janosika otwartą dłonią, zawołała:

— Kaziu, jakiś ty mądry! „Oświeć nasze ciemności — rozpuść piekielne ciemności” to rzeczywiście z Jagodyńskiego. Jakiś ty mądry!

A do profesora Wojtasiewicza podbiegła kolorowo ubrana,

miła pani o długich, kasztanowych włosach, w złotych sandałkach na opalonych nogach i wręczając mu wielką siatkę, powiedziała pospiesznie:

— Karolku, mam zamówioną kolejkę u Czesia, kup biały ser na hali i odbierz Kajtka ze szkoły, ma dzisiaj cztery lekcje. Ja po fryzjerze będę u Marysi. Pa!

— Grażynko! — wołał za nią zrozpaczony profesor Wojtasiewicz — ja mam teraz referat, a potem radę wydziału!

— Trudno! — odkrzyknęła z końca korytarza. — Tydzień się nie cesałam!

I znikła.

— Pójdę zadzwonić do sąsiadki — rzekł profesor Wojtasiewicz z błyskiem nadziei w oku. — Jej syn też ma dzisiaj cztery lekcje.

Kiedy weszliśmy na salę, okazało się, że jest nas niewiele ponad dwadzieścia osób. Docent Janosik tłumaczył coś cicho swojej efektownej koleżance. Karolak z Winiarskim ustalali szczegóły programu, a gdy wszedł rozradowany dziekan, który, sądząc z odprężenia malującego się na jego twarzy, załatwił rzecz z sąsiadką pomyślnie, gwar ucichł i można było zaczynać.

Zagał Karolak, poprosił dziekana o zabranie głosu. Profesor Wojtasiewicz krótko i ciepło mówił o swoim zmarłym tragicznie koledze. Uczciliśmy jego pamięć minutą milczenia. Potem rozpoczęła się sesja. Z początku przysłuchiwałem się uważnie referatom, potem, w miarę jak prelegenci, którzy stanowili na sali wyraźną większość, przechodzili do zagadnień coraz bardziej szczegółowych i nie zawsze związanych z tematem obrad, wpatrzyłem się w okno, zobaczyłem mur obrosnięty dzikim winem, dokoła znajome twarze, poczułem odległy, zapomniany zapach starych książek, pożółkłych rękopisów, posłyszałem szmer mojej seminaryjnej sali, głos profesora; było ciepło, leniwie, swojsko, zaraz dostanę karteczkę podawaną z miejsca na miejsce, odpiszę, jakieś dowcipy, propozycje, złośliwości, „uczymy się po południu”, „idziemy do kina”, „bądź czwartej tam i tam”, „w stołówce na obiedzie”, „nudne dziś seminarium”, nic się nie dzieje, kwitnie korespondencja na kartkach...

Ktoś trącił mnie w ramię, obejrzałem się, docent Janosik podał mi karteczkę. „Nie zasypiaj — pisał Karolak — my już mamy wprawę, wygląda, że notujemy, a naprawdę śpimy. Widać, że zapomniałeś, jak to się robi. Pójdziemy potem do mnie do Instytutu, dobrze?”

Odpisałem: „Wolałbym przedtem. A w ogóle to mi się podoba. Kim jest ten zgnębiony staruszek koło ciebie? Wydaje mi się, że go znam”.

— Zważywszy więc — mówił z katedry młody polonista — że Gorczyzewski wyjechał z Poznania 22 kwietnia, trudno przyjąć, aby w tym samym dniu napisał swój wiersz w Warszawie. Tym bardziej, że jeszcze zatrzymał się w Kaliszu, co potwierdza wzmianka w jego liście z Warszawy, datowanym 5 maja, a skierowanym do...

— Kolega po prostu źle odczytał datę — uniósł się ze swego miejsca zwalisty blondyn. — Zresztą w tym wypadku zupełnie nieistotne jest ustalenie dnia, skoro miesiąc i rok są pewne...

— Kolega zabierze głos w dyskusji — przerwał mu Karolak, a prelegent zawołał:

— Pan doktor Gryzoń niesłusznie lekceważy ścisłe ustalenie dat! Idąc tą drogą, można by nawet zakwestionować wartość mego odkrycia, polegającego na przesunięciu o trzy miesiące daty powstania satyry, o której mówiłem w pierwszej części referatu, co związane było z chorobą stryja autora; można by zakwestionować sens całej mojej pracy, poświęconej ustaleniom filologicznym...

— A można by... — zgodził się doktor Gryzoń.

— Sens nauki! — zapienił się prelegent. — Sens dokładności! Ja...

Karolak zastukał ołówkiem w blat stołu.

— Proszę o spokój! — zawołał. — Dyskusja odbędzie się jutro.

A po chwili przysłał mi kartkę. „Staruszka znasz z fotografii w prasie. To profesor Starzyński. Odkrył nieznaną fraszkę Kochanowskiego. A po kilku dniach dokonał drugiego odkrycia, że jest to znana fraszka Potockiego. Do dziś nie wrócił do siebie. Zaraz kończymy”.

Istotnie, wkrótce obrady zostały zakończone. Pożegnałem się

z moimi nowymi znajomymi, którzy chcieli nas zabrać na kawę do klubu uniwersyteckiego, po czym z Karolakiem oraz Winiarskim poszliśmy do Instytutu Historii, mieszczącego się na sąsiedniej ulicy.

Po drodze opowiedziałem Karolakowi zmyśloną historyjkę, z której wynikało, że parę lat siedziałem na głębokiej prowincji wskutek komplikacji rodzinnych, a potem pracowałem w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, by ostatnio dopiero podjąć pracę w Instytucie, wrócić do tematów, zarzuconych przed tyłoma laty — i czułem, że w ostatniej partii mojej opowieści, gdy mowa była o satysfakcji, jaką mi daje powrót do dawnych zainteresowań zjawił się w moim głosie po raz pierwszy ton autentycznej szczerości.

Na niebie pojawiły się białe, pierzaste obłoczki, lekki wiatr sprawiał, że upał wydawał się znośny; za to budynek Historii był pusty, mroczny i chłodny, tylko woźny kiwał się sennie w portierce.

— Wybieram się dzisiaj na Lipową — rzekł Winiarski, przystając na pierwszym piętrze. — Doktor Hoszowski spotkał mnie wczoraj wieczorem i zaprosił na dzisiaj na bridża. Pójdziemy więc razem.

— Widziałem się dzisiaj z doktorem Hoszowskim — powiedziałem. — O bridżu nie wspominał, ale może uznał, że już jesteśmy umówieni. Więc się nie żegnam.

I pomyślałem o minie Ady, kiedy zobaczy Winiarskiego.

Karolak wprowadził mnie do swego gabinetu, obszernego, z dwoma oknami wychodzącymi na kamienne podwórze, usiedliśmy w fotelach obok wielkiego biurka, założonego stosami papierów i książek. Z jednego ze stosów zdjął mój gospodarz wąską białą koper-tę.

— Zobacz — rzekł — co znalazłem w biurku profesora Kędziarskiego.

Adres, skreślony ręką profesora: „WP mgr Jacek Joachim. Warszawa”.

I, ołówkiem, znak zapytania.

Twarcz zdrajcy

— Kiedy ten list został napisany? — spytałem wolno.

— Przed trzema tygodniami — odpowiedział. — Nie gniewaj się, przeczytałem, nie tylko datę. Nie wiedziałem przecież, gdzie cię szukać.

Trzymałem chwilę kopertę w rękach, nie otwierając jej. Znowu oto dzieje się coś, czego nie rozumiem. Znowu wraca przeszłość, z którą ostatecznie zerwałem. Wkracza w dzień dzisiejszy, niepokojąca, niezrozumiała, zaborcza. Nie mogę od niej uciec, co więcej, nie chcę uciekać. Mój pobyt tutaj, taki jak w innych miastach, niczym z pozoru od nich się nieróżniący, nagle przestał oznaczać jedną jeszcze sprawę, którąś tam kolejną pracę — zmuszał do zastanowienia się nad sobą, do zrozumienia, że z niczym naprawdę nie można zerwać, skończyć, niczego wykreślić na zawsze, bo w każdym okresie życia zyskuje się coś, czego nie wolno stracić. Dom profesora Kędzierskiego przypomniiał mi moje studia, młodość prawdziwą, nie tę, którą wmawiamy sobie później, aby się pocieszyć — i nie mogę się przed tym bronić, muszę wejść z powrotem w dawną rolę, podjąć przerwane wątki, przyjaźnie, poszukiwania, aby sprostać zadaniu, które mnie tu sprowadziło.

Myślałem przedtem, że mój przelotny — nie pierwszy już zresztą — powrót do skóry historyka jest tylko w miarę zabawną maskaradą, ubocznym nurtem ważnej sprawy, rozrywką — jednakże wszystko, co się wydarzyło, zdawało się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym. Dotyczyło mnie osobiście. Wciągało coraz bardziej w coś o wiele szerszego niż przypadek zabójstwa.

W ciszy, dzwoniącej w uszach, szczęk zapalniczki gospodarza zabrzmiał jak wystrzał.

— Przeczytaj — powiedział, podsuwając mi ogień.

List napisany był ręcznie, na dwu stroniczkach niewielkiej kartki papieru opatrzonej nadrukiem z nazwiskiem i adresem profesora.

Szanowny Panie Magistrze!

Niedługo minie dziesięć chyba lat od chwili, kiedy kontaktowaliśmy się po raz ostatni. Zmartwiłem się na wiadomość, że zrezygnował Pan z kariery naukowej, że opuścił Pan uniwersytet. Nie miałem nawet możliwości dowiedzieć się, jakie Panem powodowały motywy; gdybyśmy wówczas porozmawiali, być może udałoby mi się nakłonić Pana do zmiany decyzji. Uważałem i uważam, że była ona niesłuszna, że miał Pan coś do zrobienia w zawodzie, który Pan obrał jako pierwszy. No cóż, to już przeszłość. Nie wiem nawet, i nie wie nikt z moich znajomych, co Pan teraz porabia. Nawet ten list piszę, nie znając Pana adresu; wezmę go z sobą do Warszawy i tam postaram się zaadresować.

Chodzi mi zaś o pewien szczegół, niezmiernie dla mnie ważny, i myślę, że właśnie Pan może mi pomóc w ustaleniu prawdy. Jest to zresztą, nie wykluczam, tylko złudna nadzieja badacza, który wyczerpawszy wszystkie dostępne sobie środki, wierzyć zaczyna w cudowne przypadki. Rzecz w tym, że czytałem ostatnio na nowo, i nieraz potem do niej zaglądałem, pracę Pana o ideologii Towarzystwa Republikanów Polskich, pracę zaczęłą jeszcze pod moją opieką. Dziś, po ponownej lekturze, cenię ją zresztą równie wysoko jak wówczas. Sam zaś zająłem się tą problematyką szerzej, doszedłem do pewnych wyników; jeśli uda mi się Pana odnaleźć, z przyjemnością z Panem o tym porozmawiam (jeżeli jeszcze te sprawy Pana interesują). Otóż na stronie 72 (dysponuję nadbitką ze „Studiów Historycznych”) w przypisie 112 pisze Pan, co następuje: „Specjalny wysłannik ambasadora francuskiego w Stambule przywiózł wówczas wiadomości, które spowodowały pośpieszną likwidację m. in. siatki konspiracyjnej w powiecie dąbrowskim. W tej sytuacji... itd, itd.” Otóż nie udało mi się — choć sam fakt likwidacji siatki potwierdza kilka

przekazów, mam również informacje o wędrówkach wysłanników Dubayeta — nie udało mi się zatem powiązać tych faktów, a przede wszystkim ustalić, jakie to mogły być informacje. Pozostaje tylko wzmianka w pracy Pana.

Czy byłby więc Pan w stanie podać mi źródło tej informacji? Wiem, że po tylu latach, po, być może, zniszczeniu lub zagubieniu notatek, nie będzie to łatwe. Proszę mi jednak wierzyć, że informacja ta, choć z pozoru drobna, ma wyjątkowe dla mnie znaczenie. Stąd mój list i nadzieja, że odnajdzie on Pana, Pan zaś zechce nawiązać przerwany kontakt z przedmiotem swoich dawnych zainteresowań, a także zawsze

Panu życzliwym... ”

Wyciągnąłem się w fotelu, przymknąłem oczy. Gdzie są moje notatki? Gdzieś na strychu, w piwnicy, w jakimś zakurzonym kufrze w domu mojej matki, bo na pewno nie w moim mieszkaniu? Czy są zresztą jeszcze? „Specjalny wysłannik ambasadora francuskiego w Stambule...” Muszę zajrzeć do swojej pracy... Tak niewiele pamiętam...

— Poszukam — powiedziałem półgłosem, do siebie. Otrzeźwił mnie niewesoły śmiech Karolaka.

— I co zrobisz, kiedy znajdziesz? — spytał.

— Nie zapominaj, po co tu przyjechałem — odpowiedziałem poważnie. — Staramy się przygotować pracę profesora do druku. Jeżeli ta informacja miała dla niego znaczenie, może uda mi się ustalić, jakie.

— Przygotować do druku? — zdziwił się. — Co przygotować? Przecież to chyba notatki, materiały, prosek...

— Nie, to maszynopis. Niekompletny jeszcze, ale pewien jestem, że brakujące rozdziały znajdę w rękopisie, niektóre zaś będzie można zrekonstruować. Za wcześniej jeszcze na pewno, ale ta praca, jak myślę, została w zasadzie ukończona. Profesor wyjaśniał już tylko szczegóły, uzupełniał część dokumentacyjną.

Karolak podniósł żywo głowę.

— Naprawdę? Nie mylisz się? Więc jednak? Profesor nie

rozmawiał z nikim o swojej pracy, wiedzieliśmy tylko tyle, że nad tym siedzi, już chyba trzy lata, a kiedy pytaliśmy, uśmiechał się i mówił, żebyśmy zaczekali, że chce nam sprawić małą niespodziankę, ale długo jeszcze musimy być cierpliwi. A ty mówisz, że maszynopis !

Opowiedziałem mu o tekście, który czytałem tego ranka, a także o innych materiałach, znalezionych w gabinecie, opowiedziałem tyle, ile sam wiedziałem, pomijając oczywiście historię klejnotów, a także sposób, w jaki maszynopis wpadł w moje ręce. A potem już byliśmy głodni i Karolak zabrał mnie, zgodnie z wczorajszą umową, do siebie na obiad. Zadzwoniłem do pani Ali, zawiadomiłem ją, że wrócę o wpół do czwartej i poprosiłem, aby przekazała tę wiadomość Ewie i panu Mrozowskiemu. Pomyślałem z żalem, że znów nie uda mi się chyba wyprawa z Adą na glinianki.

Karolak mieszkał niedaleko, na sporym placu, obudowanym nowoczesnymi blokami. Miał trzypokojowe mieszkanie, ale kiedy przed obiadem chcieliśmy wejść do jego pracowni, musiał wśliznąć się tam pierwszy, wsunąć krzesło pod biurko i dopiero wtedy można było otworzyć drzwi. Jego żona była roslą brunetką o pełnej, pogodnej twarzy, a córki właśnie wróciły z podwórza i nie można było się z nimi przywitać, dopóki nie odszorowały się w łazience.

Było gorąco i duszno mimo otwartych okien, zapachy dobiegające z kuchni, skrytej przemyślnie w rogu większego pokoju za oszkloną ścianą, krążyły po całym mieszkaniu, na szczęście były to przyjemne zapachy, a i obiad znakomity, dzięki czemu mieszkanie nie wydawało mi się aż tak niewygodne, jak powiadali gospodarze. Tyle że oni częściej i dłużej w nim przebywali.

Po obiedzie usiedliśmy jeszcze przy kawie w klitce gospodarza i wróciliśmy do przerwanej sprawy.

— Muszę ci powiedzieć — wyznał Karolak — że na nas wszystkich nie najlepsze wrażenie zrobił fakt, iż porządkowanie papierów profesora Kędzierskiego i przygotowanie do druku jego pracy nie zostało powierzone miejscowym współpracownikom. Mnie to oczywiście nie obchodzi, nie moja

epoka, to znaczy nie mój pysk i nie moje buraczki, ale Winiarski był rozwścieczony i wcale mu się nie dziwię. Pracował razem z profesorem, przygotował pracę habilitacyjną o polityce zagranicznej Francji w czasach Dyrektoriatu i jej związkach z Polską, odczuł to więc jako niesprawiedliwość.

Rozłożyłem ręce.

— Jak się łatwo domyślasz, nic na to nie mogę poradzić. To nawet nie była decyzja kierownika pracowni, który jest za granicą, tylko dyrektora administracyjnego. Chyba się wzięła stąd, że profesor miał wydać pracę w cyklu redagowanym w Instytucie, a wiesz, co się dzieje w takich sytuacjach: spór o kompetencje, o prawo własności i przy okazji o wszystko. Na szczęście ja w tym nie brałem udziału.

— Mówiłem, że niewiele mnie to obchodzi — machnął ręką — a w ogóle myślę, że w sumie nie stało się źle. Wy oboje z panią Szot siedzicie w tej samej problematyce, a list profesora do ciebie to prawie jak coś w rodzaju niezamierzonego testamentu. No i przy okazji nareszcie się spotkaliśmy.

— Winiarski zresztą zachowuje się znakomicie — przyznałem.

— Zaproponował nam pomoc, ale wcale nie usiłuje jej narzucić. Bywa w domu profesora, utrzymuje kontakty z jego rodziną, dyskretny, zdystansowany, ale życzliwy. Wzór dobrych manier.

— Teraz chyba nie jest taki bezinteresowny — roześmiał się Karolak. — Kilka razy wspominał mi o twojej współpracy. Rzeczywiście taka ładna?

— Nie narzekam. Przyjedź, to zobaczysz. Jeszcze jest pasierbica profesora, także warta obejrzenia.

— Ada? Ja ją znam, jeszcze jak tutaj chodziła do szkoły. Już wtedy nie mogła opędnąć się od chłopaków. Ale serio mówiąc, na Winiarskim rzeczywiście zrobiło to duże wrażenie. On w końcu najbliżej współpracował z profesorem. Wrócił z gór dzień po zabójstwie, dowiedział się dopiero na uniwersytecie. Myślałem, że zemdleje; parę dni chodził jak ścięty.

— Taki był przywiązany do profesora? Ada w to nie wierzy.

— Ada mu dokuczała jeszcze wtedy, kiedy tu z matką mieszkała. Nie chodzi zresztą o przywiązanie, Winiarski nie jest sentymentalny. Rzecz ma także aspekt praktyczny. Profesor

utorował mu drogę, nawiązywał kontakty, załatwił roczny kontrakt na uniwersytecie w Nancy. Kto wie, czy Winiarski nie ma zamiaru w ogóle popracować na uniwersytetach zagranicznych? Trzymał się profesora i wiedział, co robi. Zrobił pracę habilitacyjną, ale chce ją jeszcze uzupełnić we Francji. A potem? Jeszcze parę międzynarodowych zjazdów, referatów na tych zjazdach, jeszcze parę kontaktów i stanąłby na nogi, jak mało kto z historyków. Jak nasi matematycy i fizycy, nie humaniści.

— Taki zdolny nasz Winiarski? Robi wrażenie, jakby zdawał sobie z tego sprawę.

— No wiesz — uśmiechnął się Karolak — doktorat miał mizerniutki, ale talenty liczne, także towarzyskie. Umiał stać się niezbędny dla profesora. Zresztą zdolny na pewno jest. Podobno jego praca habilitacyjna, o polskich aspektach polityki zagranicznej Francji w okresie Dyrektoriatu, jest rewelacyjna. Wyrobił się. W końcu nieprzypadkowo jedzie do Nancy. Ja tam to mówię bez zawiści, robię swoje i niczego nikomu nie zazdroszczę, jak chłopak ma talent, niechże mu się darzy.

— Słyszałem o innym utalentowanym chłopaku. Nazywa się Jan Tomczyk. Miał podobno poważny konflikt z profesorem.

— Słyszałeś o nim? — zdziwił się Karolak. — Zresztą nic dziwnego, to była duża afera na naszym uniwersytecie. Zresztą częsta historia. Uda coś się szczeniakowi raz i drugi, to myśli, że Pana Boga złapał za nogi i że wszystko mu wolno. To zresztą pupil Winiarskiego, on sam go wyciągnął i pewnie najmocniej to odczuł. Sprawa Tomczyka, swoją drogą, dobrze o Winiarskim świadczy. Profesor tym się przejął, to fakt.

— Możesz mi opowiedzieć, jak to właściwie było? Chyba że nie bawisz się w uniwersyteckie plotki.

— Dlaczego, możemy pogadać... No więc ciągnął go Winiarski, już od trzeciego roku. Na czwartym Tomczyk zrobił dobrą pracę seminaryjną, Winiarski załatwił mu druk w „Studiach Historycznych”. Masz pojęcie, co to dla takiego chłopaka? Wydawało się, że ma załatwiony staż i asystenturę, więc zaczął się puszyć, pyskować, popijać, coś z dziewczętami, coś z wódką, nie wiem dokładnie, tak mówili. No i piąty rok, a

praca magisterska niegotowa, choć strasznie dużo o niej mówił blisko przez dwa lata. Winiarski jeszcze raz mu pomógł, przekonał profesora, przyjęli mu tę drukowaną pracę seminaryjną jako magisterską. No to Tomczyk, który przedtem trochę przygasł, znowu podniósł głowę, uznał się za pracownika naukowego, krytykował profesorów, adiunktów, asystentów, w końcu na jakiejś zabawie w akademiku upił się, podobno zabierał się siłą do jakiejś dziewczyny, a kiedy Winiarski go przegonił, potem na sali trzasnął go w twarz. Profesor już był zdecydowany dać sobie spokój z Tomczykiem, a ta ostatnia historia przeważyla szalę i Tomczyk po dyplomie pożegnał się z uniwersytetem, parę tygodni temu. Od tego czasu nazywają Winiarskiego obrońcą cnoty studenckiej. Na autorytecie w każdym razie nie zyskał.

— A profesor? Do niego chyba Tomczyk miał największe pretensje?

— Na pewno. Cóż profesor? Wiesz, to jeszcze stara szkoła, pamiętasz go. Zachowywał dystans, ze studentami specjalnie się nie bratał, utrzymywał z nimi kontakt raczej przez niższych pracowników naukowych. Ale Tomczyka nawet podobno chciał wciągnąć do współpracy przy swoich własnych badaniach, to też pewnie zasługa Winiarskiego. Nie wiesz, jak starzy profesorowie reagują, kiedy student ośmiela się ich krytykować. I jak lubią u młodzieży wodę sodową. Nie wiem, może postąpił zbyt pochopnie, ale myślę, że miał rację. Mówili, że Tomczyk odgrażał się profesorowi.

Weszła żona mego przyjaciela, ale nie miała gdzie usiąść, przenieśliśmy się zatem do większego pokoju, a koło trzeciej, kiedy wiatr ucichł, upał zgęstniał, pożegnałem się z gospodarzem i brnąłem w nieruchomym powietrzu, w obłokach kurzu, ku postojowi taksówek. Nie miałem ochoty na tramwaj albo autobus. Nie miało ochoty, oprócz mnie, jeszcze co najmniej kilkadziesiąt osób, nie stanąłem więc w kolejce, tylko ruszyłem przed siebie, jako że ponad wszystko nie znoszę kolejek i w tym zakresie trudno mnie nazwać realistą obdarzonym poczuciem społecznej dyscypliny Taksówkę złapałem na sąsiedniej ulicy i po dwudziestu minutach zjawiłem się na

Lipowej.

W domu było cicho i sennie. Nad tarasem drgało rozpalone powietrze, porzucona, otwarta książka i ciemne okulary Ady leżały na kolorowym leżaku, w hallu pusto, tylko z głębi domu dobiegał szum wody i szcęk zmywanego naczynia. Umyłem się w łazience zimną wodą, przebrałem się w swoim pokoju i wtedy Janusz zapukał do drzwi.

— Ewa pana prosi — rzekł raźnie i widać było, że już naprawdę nie uważa mnie za rywala. Wcale mi to nie sprawiło przyjemności, z czego wyciągnąłem wniosek, że jednoznaczność uczuć nie jest moją najmocniejszą stroną.

Ewa siedziała na tapczanie, wygodnie oparta na spiętrzonych poduszkach, nogi przykryte miała jakąś wzorzystą, lekką narzutą i wyglądała tak, że miałem przez moment najszczerzą ochotę wyrzucić Janusza z pokoju, aby mi się tu nie pętał ze swoją triumfującą miną.

— Jestem prawie po lekturze — powiedziała, wskazując na maszynopis, leżący obok niej. — Powinniśmy porozmawiać o naszym planie pracy, sytuacja się przecież poważnie zmieniła.

— Jak się czujesz? — spytałem.

— Zupełnie dobrze, ale Janusz nie pozwala mi wstać.

— Tak — oświadczył Janusz z powagą i surowością, które skrywały gwałtowność uczuć — Ewunia musi bardzo na siebie uważać.

— To ładnie, że Januszek tak dba o Ewunię — odpowiedziałem — ale czy Januszek pozwoli, że porozmawiam z Ewunią o sprawach zawodowych?

Spojrzał na zegarek, a Ewa, sam nie wiem dlaczego, schowała głowę pod narzutę.

— Dokładnie dziesięć minut — rzekł — dłuższa rozmowa mogłaby Ewunię zmęczyć.

— Będę Ewunię oszczędzał — zobowiązałem się.

— Pana za to proszę również o przysługę. Czy nie zechciałby pan zajrzeć do państwa Mrozowskich? Jestem z wujem pana umówiony na rozmowę. Jeśli może mnie teraz przyjąć, będzie pan mógł zająć się Ewunią nawet za pięć, nie za dziesięć minut.

Rozjaśnił się.

— Oczywiście! — wykrzyknął. — Sam wuja przypilnuję, żeby był gotów, jeżeli jeszcze śpi po obiedzie.

I wybiegł z pokoju. A Ewa odrzuciła narzutę, podciągnęła kolana pod brodę i roześmiała się głośno.

— Czy mi się zdawało, czy jesteś zły? — spytała.

— Zdawało ci się oczywiście.

— Widzisz, jakiego mam rycerza? Wcale nie jestem zdana na twoją łaskę i niełaskę.

— Całe szczęście.

— Janusz jest nadzwyczajny. Biega po domu i znosi mi smakołyki. Kiedy czytam, siedzi w kątku i patrzy na mnie znad gazety. Czasami otula mnie narzutą i raz chciał pocałować w czoło, ale źle wycelował i pocałował poduszkę. Stracił przy tym szklanekę z wodą mineralną.

— W ten sposób wypiliście bruderszaft.

— Żebyś wiedział. Przynajmniej traktuje mnie z uwielbieniem należnym kobiecie, nigdzie beze mnie nie wędruje i nie ma przede mną tajemnic. Jaka z tego wypływa nauka?

— Że powinienem pocałować twoją poduszkę. Mogę tego nie robić?

— Nie, ty jednak jesteś zły. Nie chodź tak po pokoju, tylko mi migasz przed oczami. Usiądź na chwilę. Tutaj.

— Posłuchaj — powiedziałem, siadając obok niej na tapczanie — straciłem pół dnia, ale wcale tego nie żałuję. Miałem chwilę wspomnień. Teraz muszę zabrać się do pracy. Niedługo przyjedzie Grzywiński, mój współpracownik. Potem zjawi się pewnie jeszcze jeden twój wielbiciel, pan Winiarski. Musimy mu pokazać, co znaleźliśmy Cierpi, że nie jemu powierzono tę pracę, i ma trochę racji. Wieczorem, niewykluczone, będziemy mieli bridża u doktora Hoszowskiego. Dasz radę?

Milczała, przyglądając mi się z lekkim uśmiechem, więc i ja zapomniałem, o co pytałem, a kiedy wreszcie chciała coś powiedzieć, westchnąwszy tylko nad własnym brakiem stanowczości, uniemożliwiłem to jej gruntownie, i było tak do chwili, kiedy Janusz zastukał do drzwi, a przyszedł o wiele za prędko i prawdę powiedziawszy, mógłby już w ogóle nie

przychodzić.

— Uciekaj — szepnęła Ewa — bo się nam zupełnie załamie. Całe szczęście, że się dziś nie malowałam.

Janusz zastukał po raz drugi i nie czekając, otworzył drzwi.

— Wuj czeka na pana — zaanonsował.

— Czy aby zupełnie go pan rozbudził? — spytałem.

— Przerwał mi pan w pół zdania.

— Jacek! — rzekła Ewa z groźbą w głosie.

— Niechże pan dokończy! Wuj poczeka! — zawołał Janusz z takim bezmiarem dobrej woli, że niemal zrobiło mi się przykro, a Ewa spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Wstaję — powiedziała stanowczo — dość się nakurowałam. Janusz, podaj mi pantofle.

— Nie rób tego, Ewuniu! — wykrzyknął. — Powinnaś leżeć cały dzień.

— Podaj mi pantofle — powtórzyła.

— Radzę panu ustąpić — powiedziałem. — Z pewną dozą łagodności będzie panu do twarzy.

I wyszedłem.

Pan Mrozowski czekał na mnie, stojąc, jedną ręką wsparty o okrągły stolik, w pozie męża stanu, który pozuje do portretu.

— Witam pana — rzekł, wskazując mi krzesło przy stoliku. W tej samej chwili szczęknęły drzwi i zjawiała się pani Wacia z tacą, na której dymiły filiżanki kawy i złożyły się pączki spiętrzone w sporą piramidkę na okrągłym półmisku. Tacka znalazła się na stole, obie wysokie, układające się strony zasiadły naprzeciw siebie, a pani Wacia przycupnęła na foteliku w kącie z robótką szydelkową w ręku, postawą i każdym gestem podkreślając rolę skromnego i milczącego świadka wielkich wydarzeń, poza którą to rolę nie zamierzała wychodzić.

— Tak — oświadczył pan Mrozowski, podsuwając mi cukier — tak oto — dodał, słodząc kawę — tak oto zatem — dokończył, nakładając sobie trzy pączki na talerzyk.

A w głosie jego tyle było powagi i dostojności, że nie pozostało mi nic innego jak milczeć i czekać w skupieniu na ciąg dalszy. Milczałem więc, rozglądając się po pokoju. Był spory, słoneczny. Dwa wielkie łoża, przykryte kapami,

zajmowały jedną ze ścian. Na drugiej, za którą znajdowała się łazienka, stała spora szafa, zakrywając częściowo wąskie drzwi. Normalne drzwi znajdowały się natomiast w ścianie przeciwnie-głej, a obok nich niewielka toaletka; jeszcze jakieś foteliki, krzeselka, wreszcie nasz stolik na środku sprawiały, że pokój wydawał się przytulny i wygodny, choć niezbyt starannie urządzony.

— Tak oto zatem — przerwał napięte milczenie pan Mrozowski — przychodzi nam pomówić o sprawach, które uważam za zasadnicze. Dotyczą bowiem pracy mego zmarłego kuzyna. Nie wiem, czym się zajmował, ale jestem pewien, że będę mógł panu pomóc.

I zawiesił głos. Uznałem więc, że mogę się odezwać, nie psując mu scenariusza.

— Wczoraj wieczorem — powiedziałem — przeglądał pan notatki profesora. Uznał je pan za szczególnie interesujące. Wie pan zatem, czym się zajmował.

Przerwałem, ale Mrozowski milczał. Patrzył na mnie spod przymrużonych powiek, skupiony, poważny, odmieniony. Gdzieś się podziały jego pozy, krzykliwość, agresywność, zostało napięcie, w spojrzeniu zimna rozważa, przyczajenie, gotowość do odparcia ciosu. Czyżbym się mylił? Czyżby notariusz z Kłocka chował za maską pajaca inną, własną twarz, której nie znam, biorąc za dobrą monetę wszystko, co mi podsuwał, co chciał, abym o nim myślał?

Trwało to moment. Na oblicze pana Mrozowskiego powróciła pełna godności pewność siebie, znów uniósł głowę, patrząc na coś, co znajdowało się za mną i nade mną, wydał policzki; trudno uwierzyć, że to, co widziałem przed chwilą, nie było złudzeniem, wybrykiem wyobraźni; gdybym przed chwilą patrzył w inną stronę, nie obserwował bacznie mego rozmówcy, mógłbym przysiąc, że nawet śpiąc, nie zmienia wyrazu twarzy.

Obejrzałem się. Pani Wacia siedziała sztywno, trzymając robótkę w znieruchomiałych palcach, przybladła, nie spuszczała wzroku z męża. Kiedy poczuła na sobie moje spojrzenie, jej palce podjęły mechaniczny ruch, druty błysnęły w słońcu, jakby zepsuta maszyna ruszyła nagle, dotknięta ręką

mechanika.

— Wiem oczywiście, czego dotyczyły notatki — rzekł Mrozowski — i co mnie w nich zainteresowało. Nie wiem jednak, o czym traktuje praca Zygmunta, jeśli w ogóle istnieje.

— Istnieje — powiedziałem — i dotyczy dramatycznych dziejów dwu rodzin szlacheckich: Jeziorkowskich i Koronkiewiczów.

— Klemensie! — wybuchnęła pani Wacia — nie myliłeś się!

I ucichła, przyłożywszy otwartą dłoń do ust. Z lękiem spojrzała na męża. Mrozowski zaczerwienił się lekko, spiorunował wzrokiem niesforną małżonkę, ale wątek podjął gładko.

— Ja się nigdy nie mylę — przypomniał — ale to były przypuszczenia, supozycje, wnioski, oparte na nikłych przesłankach, teraz dopiero słowa pana Jacka dają nam pewność. A więc Zygmunt pisał o dwu rodzinach — naszych rodzinach! — i spojrzał na mnie kątem oka, badając wrażenie, jakie na mnie wywarła ta informacja.

— Wiem — odpowiedziałem i na twarzy Mrozowskiego odmalował się zawód. — Ja również przeglądałem te notatki. Czy profesor zwracał się do pana z prośbą o informacje, o jakieś rodzinne dokumenty, pamiątki? Czy rozmawiał z panem na ten temat? Czy na czymś zależało mu szczególnie?

I znów spostrzegłem błysk czujności w spokojnym wzroku Mrozowskiego i byłem pewien, choć się nie odwracałem, że druty ponownie znieruchomiały w palcach pani Waci.

— Tak, oczywiście — rzekł Mrozowski. — Pisał do mnie niejednokrotnie. Przed trzema... nie, czterema laty był nawet u nas w Kłocku. Ofiarowałem mu wówczas stary portret rodzinny, z końca XVIII wieku, mego dalekiego przodka. Niestety nie miałem papierów, dokumentów, ileż tego przetrwało w polskich rodzinach przez wojnę, wędrówki ludów, pożary, zniszczenia? Było kiedyś trochę rodzinnych pamiątek, sztychów, listów, sztambuchów, pamiętników, w naszym przedwojennym domu, ale to wszystko przepadło, proszę pana, przepadło...

— Wszystko! — westchnęła pani Wacia. — Na przykład

piękne paryskie koronki, przed samą wojną szyła z nich suknię, a także perski dywan, autentyczny, kupiłam na Targach Wschodnich we Lwowie. Cóż tam były za wspaniałe rzeczy, proszę pana, na tych targach, jaka chałwa cudowna...

— ...i rachatłukum! — jęknął z rozkoszą Mrozowski.

— ...i rachatłukum! — powtórzyła pani Wacia.

— Rachatłukum i tak nie miało szans na przetrwanie wojny — powiedziałem stanowczo. — Rozumiem zaś z tego, że poza portretem nie mógł pan profesorowi dostarczyć innych materiałów dla jego pracy.

— Tyle, co pamiętam — rozłożył ręce — a pamięć mam znakomitą. Nie wiem, czy panu już o tym wspominałem. Więc opowieści mego ojca i dziadka, stryjów i ciotek, rodzinne legendy, zamierzchłe wspomnienia...

— Zygmunt wszystko notował — podchwyciła pani Wacia — interesował się każdym szczegółem...

— Czy pytał państwa również o rodzinę Jeziorkowskich?

Znów moment milczenia, krótszy niż poprzednie.

— Znałem rodzinę Jeziorkowskich — rzekł pan Mrozowski — znałem przed wojną, w czasach mej młodości, i później, w pierwszych powojennych latach...

— Jeśli będziesz opowiadał o panie Irenie, pozwól, że wyjdę z pokoju — powiedziała z godnością pani Wacia.

Mrozowski poczerwieniał z dumy

— Waciu, kochanie — rzekł — jesteś wiecznie młoda z tą swoją cudowną zazdrością. Irena Jeziorkowska była młodą mężatką, gdy ją uratowałem, i nasza wzajemna sympatia wcale nie groziła rozbiciem jej małżeństwu, tak jak nie przeszkodziła naszemu... Później zaś, po wojnie, byliśmy już wszyscy tylko starymi, ciężko doświadczonymi przyjaciółmi...

— To prawda — pani Wacia uniosła ku oczom chusteczkę, wzruszona zapewne wspomnieniem burz młodości. — W dodatku ta straszna tragedia... Biedaczka potrzebowała naszej opieki...

— Jaka tragedia? — spytałem.

— Zygmunt też się tym interesował — rzekł sucho Mrozowski — choć rzecz to w zasadzie banalna. Czasy były niespokojne, 46

rok. Mąż Ireny, Ignacy, został zamordowany przez nieznanych sprawców... To zamierchłe dzieje... Na czym więc stanąłem?

— Jeszcze chwilę — poprosiłem. — Gdzie miało miejsce to morderstwo? I co się dzisiaj dzieje z panią Ireną Jeziorkowską?

— Z Ireną straciliśmy kontakt — wyjaśniła pani Wacia, podczas gdy jej mąż popijał drobnymi łyżkami wystygłą kawę — już wiele lat temu. Ale żyje chyba, zresztą nie wiem... Jej syn, Krzysztof, jest dziennikarzem, mieszka w Warszawie. A Hania wyszła za mąż... za kogo wyszła za mąż?

— Nie pamiętam — powiedział Mrozowski. — Mniejsza z tym. Więc...

— Przepraszam, ale gdzie zostało popełnione morderstwo? — nie ustępowałem.

— W Hrubieszowie — rzekł Mrozowski. — Chciałem więc dodać...

— Czy nie wiązała się z nim sprawa klejnotów? — zaryzykowałem. — Pięknej kolekcji starych klejnotów?

I wtedy rozległ się za moimi plecami głuchy łoskot, to pani Wacia osunęła się na ziemię, wypuszczając z rąk robótkę. Zerwałem się na równe nogi, ale pan Mrozowski był szybszy. Jednym susem dopadł szafki nocnej, porwał karafkę z wodą i całą jej zawartość wylał na twarz żony. Pani Wacia siedziała sztywno na podłodze, oparta plecami o ścianę, z głową uniesioną ku górze i patrzyła na sufit spod półprzymkniętych powiek nieruchomymi białkami oczu. Wyglądało to dość zaskakująco. Woda jednakże zrobiła swoje, twarz zemdlonej ożywiła się, tęczęwki oczu wróciły na swoje miejsce, zarumieniły się policzki.

— Czyżbym zemdląła? — spytała słabym głosem.

— Poniekąd — rzekł surowo pan Mrozowski — i przeszkodziłaś nam w rozmowie. W Zaleszczykach w trzydziestym ósmym zjadłaś po prostu za dużo winogron. Tamto omdlenie rozumiałem. Tego nie rozumiem. Mam nadzieję, że to już się nie powtórzy.

Posadziliśmy panią Wacie na krześle, szybko wracała do siebie.

— Obawiam się, że dalsza rozmowa zmęczyłaby panią —

powiedziałem. — Dokończymy przy innej okazji.

— Jeszcze chwileczkę — sprzeciwił się Mrozowski.

— Portret mego przodka wisi w sypialni Zygmunta. Tu, za tymi drzwiami. Na pewno zechce go pan obejrzeć.

— Czuję się już dobrze —jęknęła pani Wacia. — Proszę się o mnie nie martwić, ja siebie znam. To głupstwo. Jeszcze tylko chwilę posiedzę.

— Radziłbym pani jednak się położyć — powiedziałem z troską w głosie — i przy okazji zasięgnąć opinii doktora Hoszowskiego. Jeżeli pan pozwoli — zwróciłem się do Mrozowskiego — chętnie obejrzę portret. I potem się pożegnám.

— Proszę — rzekł notariusz.

Otworzył drzwi, przepuszczając mnie przed sobą. Znaleźliśmy się w dużym, jasnym pokoju, urządzonym z najwyższą prostotą. Tapczan w rogu, przykryty szarą narzutą, przy nim stolik z radiem, obok niewielka półka z książkami. Przed tapczanem dywan, w kącie wielki klubowy fotel, nad nim stojąca lampa. I prosta szafa w przeciwległym rogu pokoju. Ściany natomiast nie były puste. Jeden zwłaszcza obraz zwracał uwagę. Bogato złożone ramy, poczerniałe płótno. Wisiał nad półką z książkami, jasno oświetlony padającym z okien światłem.

— To on — rzekł Mrozowski. — Mój daleki przodek po kądzieli. Franciszek Koronkiewicz z Dąbrowicy na Wołyniu, kapitan-isprawnik powiatu dąbrowickiego. Nie ukrywam, że chciałbym odzyskać ten portret. Pożyczyłem go Zygmunтови, choć nie jestem pewien, czy uważał to za pożyczkę.

Podszedłem bliżej, patrzyłem w milczeniu. Więc to on. Franciszek Koronkiewicz. Zaufany Deputacji, dusza spisku wołyńskiego. Autor listów i raportów, wysyłanych na ręce Franciszka Ksawerego Dmochowskiego, przyjaciel generała Chackiewicza, zaufany kasztelana Mniewskiego. Zdrajca, który poszedł później w służbę rosyjską, gdzie spotkał się z Ksawerym Dąbrowskim, zradzieckim przywódcą Związku na Wołoszczyźnie; z nim także wcześniej pozostawał w zażyłości. Więc tak wyglądał Franciszek Koronkiewicz. W czarnym,

zapiętym pod szyją surducie, o wąskiej, surowej, ascetycznej twarzy, gładko zaczesanych na czoło włosach. Z jego rysów, wyrazistych, ostrych, przebijał upór i zaciętość. Była to twarz człowieka chorobliwie ambitnego, zżeranego jakimiś nierealnymi pragnieniami, gotowego zapłacić każdą cenę, aby zaspokoić swoją głodną nadzieję. A równocześnie była w tej twarzy pozorna układność, chytryść zdolna do maskowania prawdziwych uczuć; Franciszek Koronkiewicz umiał zapewne, kiedy chciał, budzić zaufanie, przekonywać żarliwością swoich przekonań. Ufał mu przecież kasztelan Jeziorkowski, ufali członkowie Centralizacji lwowskiej. To o nim przecież pisał... pisał... Przymknąłem oczy, na dnie pamięci zjawily się równe rządkie pedantycznego pisma, znowu zapach biblioteki, gdzie to czytałem, coś bardzo podobnego do tego, co teraz myślę o Franciszku Koronkiewicz... „Czy byłby pan w stanie podać mi źródło tej informacji?” — pytał profesor Kędziński. To nazwisko, ten rękopis dopięty do zbioru o pół wieku późniejszego, rękopis, na który wpadłem przypadkiem; więc to nazwisko... Podwórce poklasztorne gmachu, ściany obrosnięte dzikim winem, z fantazyjną studzienką pośrodku. To miasto, stara biblioteka, oprawne w skórę rękopisy...

— Podoba się panu, jak widzę — usłyszałem głos Mrozowskiego. Drgnąłem, znowu spojrzałem na portret. Przez moment zdawało mi się, że Franciszek Koronkiewicz patrzy na mnie uważnie, spod ciężkich nieco, jakby napuchłych powiek, i w tym spojrzeniu, spokojnym, badawczym, skrytym, odkryłem znowu coś znajomego, coś, co kazało mi myśleć o dniu dzisiejszym, o ludziach, z którymi się stykam, których codziennie widuję, nie umiem jednak rozpoznać w ich twarzach tego, co widzę w twarzy człowieka z portretu. W twarzy zdrajcy.

Godzina zero dziesięć

— Tak — usłyszeliśmy głos pani Waci — jest tutaj.

I zupełnie już rażna małżonka notariusza zajrzała do pokoju.

— Helena pana szuka — powiedziała. — Ma pan gościa.

Zbiegłem do hallu. Na sofce pod ścianą siedział Grzywiński, pani Ala zabawiała go rozmową.

— Nie wiedziałam, że ma pan tu tylu znajomych — zwróciła się do mnie. — Teraz rozumiem, dlaczego tak rzadko jest pan w domu.

— Dzisiaj byłem na posiedzeniu Towarzystwa Historycznego — usprawiedliwiłem się — a mój szkolny kolega jest chemikiem.

— Zupełnie mi obca dziedzina — westchnęła pani Ala.

— Niezupełnie — powiedziałem. — Mój przyjaciel pracuje w wytwórni kosmetyków. Chętnie odpowie pani na wszystkie pytania, a uwag pewnie ma pani sporo.

— To wspaniale! — wykrzyknęła pani Ala. — Nareszcie się dowiem, czy krem „Mirana” nadaje się do suchej cery. I jak jest z tymi uczuleniami na niektóre kremy? Czy pan wie, że po „Mastodoncie” zawsze robiła mi się wysypka i w końcu musiałam przejść na „Miranę”?

Grzywiński patrzył na mnie wzrokiem mordercy. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony.

— Proszę pani! Proszę pani!

Helena ciężkim cwałem przemierzała hall.

— Proszę pani! Ciasto na strucel wyleciało!

— Biegnę! — zerwała się pani Ala. — Bardzo pana przepraszam! Wrócimy do tematu przy okazji. Cieszę się, że pana poznałam.

I obie niewiasty opuściły hall.

— Chodź do mnie — powiedziałem do Grzywińskiego. Otarł pot z czoła i poszedł w milczeniu.

— No wiesz — rzekł, siadając na łóżku — zapraszasz mnie do domu, w którym mieszkają dwie znakomite dziewczyny, w rezultacie natykam się na starszą panią i twoje wątpliwe dowcipy. Ostrzegam, że się będę bronił.

— Masz prawo i obowiązek. A teraz szybko mów. Co z Janiakiem?

— Wyszedł z domu wkrótce po tobie. Pojechał tramwajem na ulicę Krakowską, pod numerem 172 pytał o... — zajrzał do kartki — Mariusza Koźlaka. Koźlaka nie było. Janiak zostawił dla niego karteczkę, wsiadł w tramwaj i wrócił. Od tego czasu nie wychodził z domu.

— Koźlak?

— Chciałeś, żebym działał energicznie, to się teraz nie dziw. Koźlak, urodzony 1948, pojechał do Żarowa, do kolegi.

— Pracuje?

— Chodził do technikum samochodowego, przerwał, nie pracuje. Karany za drobne kradzieże. Więc pojechał do Żarowa. Kolega to Jan Fligierski, o rok młodszy, robotnik sezonowy, teraz także nie pracuje.

Kazałem ich znaleźć, no to ich znaleźli. Jak wynosili pierzynę z jakiegoś mieszkania.

— Przeszkadzasz ludziom w pracy. Zatrzymali ich?

— Oczywiście. Kazałem tu ich przywieźć. Pogadasz z nimi?

— Jutro. Rozmawiałeś z Olszewskim? Przewidywałeś mu spis klejnotów?

— Tak. Będą szukać. Tu masz oryginał spisu i kopie.

— Zadzwoń do niego jeszcze dziś. Powiedz, żeby postarał się odnaleźć teczkę sprawy o zabójstwo Ignacego Jeziorkowskiego, rok 46, w Hrubieszowie.

— To w związku z tymi klejnotami?

— Możliwe. Zobaczymy. Zapisaleś?

— Zapisalem.

Stukanie do drzwi.

— Spełnią się twoje marzenia — mruknąłem, otwierając.

W progu stanęła Ewa. Za jej plecami zobaczyłem rozpromienioną twarz Janusza.

— Pan nie jest sam? — zawołał. — W takim razie zostawiam

Ewę chwilowo pod pana opieką. Biegnę po wodę mineralną.

— Dziękuję za zaufanie — skłoniłem się.

Grzywiński zerwał się i poprawił krawat. Przedstawiłem go ceremonialnie. Przysunął Ewie fotel, wypytywał ją o zdrowie, chwilę jeszcze rozmawialiśmy o sprawach zajmujących nas najbardziej — po jakimś jednak czasie przeszliśmy na tematy obojętne i był to dla mnie prawdziwy wypoczynek, nie tylko zresztą dla mnie, bo bawiliśmy się wszyscy doskonale, a gdy pojawił się stęskniony za Ewą Janusz, i on nie zepsuł nam nastroju. Okazał się nawet zupełnie sympatyczny, kiedy zaczął opowiadać o swojej pracy i pozazawodowych zainteresowaniach. Janusz, jak się okazało, poza pracą naukową na AGH, był grotołazem, zdobywał jaskinie nie tylko w Tatrach, ale też w Alpach, Pirenejach, w Afryce Północnej i na Kaukazie. Mówił też bardzo ciekawie o wszystkich tych jaskiniach, o technikach ich zdobywania, potrafił stworzyć nastrój, kiedy dochodził do momentów dramatycznych; gorzej było niestety z opisem krajów, jakie przy okazji zwiedził, ponieważ oglądał je wyłącznie z perspektywy restauracji i luksusowych hoteli, nie dlatego bynajmniej, aby stać go było na spędzanie w nich czasu, jadał bowiem i mieszkał nad wyraz skromnie, ale to właśnie były rzeczy, które go naprawdę fascynowały. Wchodził więc do błyszczących szykiem i blichtrzem wielkich westybuli, kiwał niedbale głową umundurowanym portierom, a jeśli byli zbyt ciekawi, wyjaśniał im, że zamierza się zorientować w warunkach, aby następnym razem tu właśnie się zatrzymać, w najgorszym zaś razie wymieniał w hallu dolara na miejscową walutę — i zapadał w swój wymarzony świat. Siadał w fotelu, rozkładał gazetę, słuchał szumu rozmów, obserwował krzątanicę portierów, boyów, pokojówek, łowił uchem strzępy dialogów z recepcji — i tak zapamiętał Casablankę i Rabat, Genewę i Marsylię, kolorowy obłoczek z prospektów, który go bawił naprawdę. Góry i luksus — taki tylko kontrast wydawał mu się ideałem sportowego wakacyjnego życia. Wrócił zresztą z ostatniej wyprawy, tym razem w Rodopy, przed kilkoma dniami, dokładnie w dzień po śmierci stryja. Obiecał pokazać nam

zdjęcia. Nie pozwolił nikomu dojść do słowa. Nie przerwał nawet, kiedy zastukała pani Ala.

— Nie za ciasno wam tutaj? — spytała, zaglądając.

— Może zejdziecie na dół? Helena poda kawę albo herbatę. A poza tym przyszedł doktor Hoszowski, chciałby zobaczyć panią Ewę.

— Doktor Hoszowski? — rozległ się za jej plecami radosny głos Mrozowskiego. — A to się świetnie składa! Pomyślałem właśnie, jak dobrze byłoby zagrać w bridża!

I posłyszeliśmy szybko oddalające się kroki spragnionego rozrywki notariusza.

— No to cześć! — powiedziała Ewa. — Znosi się na uroczy wieczór.

— Nie narzekaj — mruknąłem. — Mógł to nam zaproponować.

— Przesadzacie — strofowała nas dobrodusznie pani Ala, kiedy schodziliśmy na dół — Klemens gra zupełnie dobrze i w ogóle można się do niego przyzwyczaić. Jeżeli się bardzo chce — dokończyła ciszej i znowu spostrzegłem w jej wzroku błysk rozbawienia, który ożywił tę twarz i przywrócił jej na chwilę pogodę i łagodność, która przedtem stale chyba na niej gościła. A gdy zeszliśmy na dół, zatrzymała mnie na chwilę i spytała:

— Nie wpadnie pan do mnie na chwilę? Nie wiem, co się dzieje, a od wczoraj zamieniliśmy tylko kilka słów.

— Przyjdę przy pierwszej okazji — powiedziałem — jeśli pani pozwoli. Ja także chciałem z panią porozmawiać.

Hoszowski zrezygnował z badania Ewy, kiedy dowiedział się, że pacjentka czuje się doskonale. Sam zresztą wyglądał na potrzebującego pomocy lekarskiej. Błady, z podkrążonymi oczami, ale już nie ospały i przygnębiony jak rano, przeciwnie, nienaturalnie jakby podniecony, pełen energii, która nie znajdowała ujścia, dyktowała mu więc ruchy kanciaste i gorączkowe, nie pozwalała usiedzieć na miejscu, zmieniła flegmatycznego i dobrodusznego lekarza w kłębek nerwów, a także w causera, niepozwalającego nikomu dojść do głosu.

— Ależ u mnie, oczywiście u mnie — mówił do Mrozowskiego, kręcąc w palcach guzik swojej marynarki. —

Wczoraj jeszcze zaprosiłem państwa na bridża i sprawę uważam za zamkniętą. O siódmej, dobrze? Panie Jacku, umówiliśmy się wczoraj, prawda? Zabierzemy także moją piękną pacjentkę, nie powinna się przemęczać, ale za to będzie miała na miejscu opiekę lekarską. Złożymy dwa stoliki. Panna Ewa, Ada, pan Jacek i ja, pan Mrozowski, Henryk Zagórski, doktor Winiarski i Janusz.

— Doktor Winiarski będzie także? — spytała Ewa.

— Spotkaliśmy się wczoraj na mieście, zaprosiłem go.

— A więc dobrze? O siódmej czekam. Może i pan... — zwrócił się niezdecydowany do Grzywińskiego, ale Grzywiński wymówił się umówionym spotkaniem. Hoszowski zresztą popatrywał nań bystro już od chwili, skojarzył sobie widocznie moją poranną relację z jego obecnością i nie uważał go za chemika. Jeszcze Janusz oświadczył, że życzy sobie grać z Ewą, jeszcze Mrozowski zastrzegł, że składy czwórek będą się zmieniać, ponieważ każdy powinien mieć możliwość skorzystania z jego doświadczenia, kiedy Hoszowski zaczął się żegnać, równie pospiesznie i gorączkowo, jak nas poprzednio zapraszał, i wyszedł, zanim Helena wniosła na tacy parujące filiżanki herbaty.

Niebo tymczasem zaciągnęło się szarymi wysokimi chmurami, upał zelżał, zrywał się wiatr, coraz chłodniejszy, pociemniało, choć godzina była jeszcze wczesna. Piliśmy w hallu herbatę, Janusz i Grzywiński obsiedli Ewę, patrząc na siebie z ukosa, pan Mrozowski bawił mnie opowiadaniem o swoich przedwojennych bridżowych przewagach, o kuzynie Kubie, z którym stracił kontakt przed trzydziestu laty, a pani Ala wyszła do kuchni przypilnować pieczenia ciasta. Ada nie pokazywała się.

Zeszła wreszcie pani Mrozowska i zdominowała rozmowę niesłychanie długą opowieścią o smażeniu konfitur z dzikiej róży, co więcej, rzecz się działa przed wojną na Polesiu i zadaliśmy sobie sporo trudu, zanim udało się nam zmienić temat. Wreszcie Grzywiński podniósł się, patrząc na zegarek, a wtedy posłyszeliśmy szcęknięcie furtki, kroki, głosy w ogrodzie i na tarasie zjawiała się Ada z panem Zagórskim i

doktorem Winiarskim.

— Spotkaliśmy się w autobusie — powiedziała. — Gdyby trasa była nieco dłuższa, doktor Winiarski zdążyłby mi streścić wszystkie referaty z dzisiejszej sesji. Na szczęście skończyło się na dwóch.

— Odpowiadałem tylko na pytania pana Zagórskiego — wyjaśnił Winiarski z pozorną cierpliwością, widać jednak było, że bliski jest wybuchu. — Co więcej, nie usiłowałem bynajmniej wciągnąć pani do rozmowy, tym bardziej że siedziała pani przed nami.

— Ależ wciągnął pan do rozmowy pół autobusu! Pewnie już teraz konduktorki szepcą sobie na mieście do ucha, że pewien pan twierdził, jakoby Kościuszko w roku 1807 jednakowoż zamierzał powrócić do kraju.

Winiarski machnął niecierpliwie ręką, a Zagórski, nie krępując się, śmiał się jowialnie, nie on jeden zresztą, Winiarski w rezultacie wyszedł na taras i zapalił papierosa, wyniosły i obrażony, a Ada rzuciła na fotel torebkę i apaszkę i przyjrzała się uważnie Grzywińskiemu, który od chwili już wpatrywał się w nią jak urzeczony; najwyraźniej zrobiła na nim spore wrażenie.

— Pana jeszcze nie znam — powiedziała Ada, wyciągając rękę do Grzywińskiego i nie miałem już wątpliwości, że Zagórski zdążył jej powtórzyć wszystko, co słyszał od Hoszowskiego, a incognito Grzywińskiego zostało tym samym złamane. Ale Grzywiński tego nie wiedział i zachowywał się tak, jakby Ada była pierwszą dziewczyną w jego typie, jaką spotkał w tym roku.

— Nie jestem historykiem, więc z góry obiecuję nie wspominać pani ani słowem o Kościuszcze — oświadczył.

— Przyjechałem odwiedzić pana Joachima, ale nie przypuszczałem, że — z żalem — nie będę go mógł uznać za największą atrakcję tego domu.

— Rozumiem z tego, że się panu podobam — powiedziała Ada — i jestem panu niezmiernie wdzięczna za podtrzymanie mnie na duchu. Chyba że miał pan na myśli także moją znakomitą znajomą. — Skinęła głową w kierunku Ewy.

— W tym wypadku dzielimy tę wdzięczność po połowie.

Grzywiński zaczerwienił się, więc uznałem, że powinienem mu pomóc.

— Mój przyjaciel słynie z chińskiej uprzejmości — oświadczyłem — i nie należy brać tego, co mówi, dosłownie. Chciał po prostu powiedzieć, że jest chemikiem, a nie historykiem, i że nigdy nie uważał mnie za kobietę. Nie wiem tylko, czemu tego żałuje.

— Dodałabym jeszcze — wtrąciła Ewa — że nie ośmieliłabym się pretendować aż do połowy należnego pani uznania, szczególnie w oczach specjalisty od kosmetyków, jakim jest pan Grzywiński.

— Ty zmij — powiedziała do mnie Ada, podczas gdy Grzywiński, jak mi się wydawało, marzył o tym, aby być daleko — tak mi płacisz za entuzjazm z jakim cię podejmuję. Bo do pani nie mam pretensji, bądź co bądź bawimy się w rywalki, a pani kosmetykom także nie mam nic do zarzucenia.

— W porządku! — roześmiała się Ewa i podały sobie z Adą ręce, a ja odetchnąłem z ulgą, jako że wcale nie marzyłem o konflikcie między dziewczynami używającymi rzeczywiście kreków do warg o podobnym smaku.

— Nareszcie pojąłem, o co chodzi! — wykrzyknął Mrozowski. — Muszę stwierdzić, że młodzież dzisiejsza nie ma pojęcia o precyzyjnym wyrażaniu swoich myśli. Nasz gość produkuje kosmetyki, które się paniom podobają, a których pan Joachim nie używa. Muszę więc powiedzieć, że nic nie dorówna kosmetykom firmy „Doktor Krępski”, w jakie zaopatrywałem żonę przed wojną w Kołomyi.

— Klemensie! — jęknęła pani Wacia. — Przypomniałeś mi najlepsze nasze lata!

— Muszę już niestety iść — rzekł Grzywiński, żegnając się ze wszystkimi z niejakim pośpiechem. — Mam nadzieję, że mnie odprowadzisz — dodał, stając przede mną.

— Jeżeli mamy dziś wieczorem przyjęcie — powiedziała Ada — idę do siebie zrobić się na bóstwo.

— Cóż dopiero ja! — wykrzyknęła Ewa, chwytając się za głowę. — Po tym wszystkim wyglądam jak straszdyło. W

dotatku skończył mi się puder.

— Pożyczę pani — ofiarowała się Ada — mam niezły, choć nie taki, jak z firmy „Doktor Krępski” w Kołomyi.

I poszły w zgodzie na górę. Odprowadziłem Grzywińskiego do furtki.

— Za ten pomysł z kosmetykami masz u mnie kreskę — rzekł, kiedyśmy się żegnali. — Mało brakowało, a byłbym się ośmieszył. A w ogóle nie dajesz mi szansy. Dwóch i tak nie poderwiesz!

— Skąd wiesz? — spytałem, a kiedy Grzywiński jęknął ze zgrozą, dodałem pogodnie: — Jestem zupełnie pewien, że podobałeś się Adzie. Widziałem jak ci się przyglądała.

— Zauważyłeś to także? — Rozpogodził się. — Zresztą obie dziewczyny mają klasę. I obie mi się podobają.

— Która bardziej ?

— Nie wiem — wyznał. — A tobie?

— Także nie jestem pewien.

I pożegnaliśmy się, umawiając się na poranny telefon.

Było coraz chłodniej, drzewa szumiały na wietrze, ciemniało niebo. Pomyślałem, że najchętniej zostałbym w domu, usiadł w fotelu z maszynopisem profesora na kolanach i kieliszkiem dobrego alkoholu w ręku, czytałbym i słuchałbym wiatru, zamieniając od czasu do czasu kilka słów z Ewą, będącą niedaleko, w zasięgu wzroku... Lub z Adą, trzymającą otwartą książkę na kolanach, ale gotową w każdej chwili przerwać lekturę...

Z Ewą więc czy z Adą? Pełen niepewności wszedłem na taras, gdzie doktor Winiarski siedział na trzcinowym fotelu i rozmawiał z panem Zagórskim, również ubranym wizytowo, nieruchomym, z półprzymkniętymi oczyma, z dymiącą fajką w potężnej dłoni. Teraz dopiero zauważyłem, że Zagórski, mimo swego wieku, budowę miał niemal atletyczną: szerokie bary, sploty mięśni na karku, długie, mocne nogi.

— Nie rozumiem — mówił Winiarski — dlaczego ta młoda osoba spędza czas tutaj, a nie, powiedzmy, nad morzem. O ile mi wiadomo, nigdy nie była przywiązana do profesora Kędzierskiego, żeby użyć możliwie najłagodniejszego

określenia. Nie ma więc powodu demonstrować swojej obecności w domu żałoby, co wprawdzie jest określeniem staroświeckim, ale oddającym dokładnie to, co mam na myśli.

— Przesadza pan — rzekł Zagórski, wystukując fajkę nad popielniczką. — Ady nie trzeba tak poważnie traktować. Zawsze robi takie wrażenie, jakby się śmiertelnie nudziła i wszystkim miała to za złe, ale to właściwie dobra dziewczyna.

— Obaj panowie znają ją od dziecka, prawda? — powiedziałem, siadając przy nich. — I macie tak różne zdania. To właściwie dobrze o niej świadczy.

— Ja tam jej nigdy nie lubiłem. — Winiarski wzruszył ramionami. — Zresztą wcale jej dobrze nie znam. Kiedy tu mieszkała, chodziła do szkoły i nie zwracałem na nią uwagi, pamiętam tylko, że była arogancka i leniwa, profesor ciągle popędzał ją do lekcji, bo matka tym się nie przejmowała. Potem straciłem ją z oczu na lata. Dopiero teraz...

— Ja za to znam Adę dobrze i rzeczywiście od dziecka — mruknął Zagórski — i może mi pan wierzyć, panie doktorze, że nie broniłbym jej, gdybym nie był przekonany, że się pan myli.

— Może pomówimy o czymś przyjemniejszym? — zaproponował Winiarski, wcale nieudobruchany. — Jak się czuje panna Ewa? Pan kolega nie wspomniał mi nawet, że miała wypadek! Spytałbym ją sam, ale nie wiem, czy nie ma u niej przypadkiem tej osóbkki, która chciała jej pożyczyć puder.

— Ewa przebiera się chyba. — Podniosłem się. — Co mi przypomina, że i ja powinienem to zrobić.

Po drodze wstąpiłem jeszcze do pani Ali. Siedziała za biurkiem, porządkując jakieś kwity i dokumenty. Spojrzała na mnie ponad okularami, które opadły jej na koniuszek nosa.

— Nareszcie pana widzę — westchnęła, odkładając na bok tekturową teczkę. — Tam w hallu nie chciałam się nawet pokazywać, taki tłum. Ciągle jeszcze trudno znoszę większe zgromadzenia i towarzyskie pogawarki.

— To oczywiście. Myślę, że powinna pani wyjechać na jakiś czas, gdziekolwiek, kiedy to tylko będzie możliwe. Prędeż pani wróci do równowagi.

— Tak — powiedziała w zamyśleniu — wrócić do równowagi.

Trudno to sobie wyobrazić, a przecież ja rzeczywiście kiedyś wrócę do równowagi. Najcięższe przeżycia zacierają się, odsuwają... Bola, ale można z nimi żyć.

— Trzeba z nimi żyć.

— Siądźmy tu, na sofce. Tylko z panem mogę naprawdę porozmawiać o Zygmuncie. Chwilami mi się zdaje, że jestem w pensjonacie pełnym ludzi; ja ich trochę znam, a oni mnie, ale w gruncie rzeczy jesteśmy sobie zupełnie obojętni. Kłębiam się dokoła, rozmawiam, bawię się nawet, a ja patrzę na to ze ściśniętym gardłem i nawet nie umiem nic powiedzieć. Co więcej, oni myślą, że spełniają dobry uczynek, a oddaliby mi prawdziwą przysługę gdyby zostawili mnie samą. O niczym tak teraz nie marzę jak o tym, żeby wreszcie wyjechali, przestali przychodzić. Tylko Ewa i pan, pracujący nad notatkami Zygmunta, i ja między wami. Nie miałabym wrażeń, że wszyscy moi goście chcą zakrzyczeć, zatrzeć jak najszybciej wspomnienia o Zygmuncie...

Milczeliśmy chwilę. Czy i ja nie ponoszę winy, choć moja wina innego jest rodzaju? Ale i mnie bawił ten ruch, ci ludzie, i ja chwilami zachowywałem się tak, jakbym przyjechał tu na wakacje. Wiem, to jest mi potrzebne, w pierwszych dniach kiedy nie znam jeszcze prawdy, a staram się rozpoznać sytuację, wejść w nią, znaleźć się w niej bez reszty, pograć w niej po uszy, być jednym z ludzi, z którymi przestaję, niczym się od nich, w miarę możliwości, nie różnić — i potem dopiero, w momencie, którego nie można przewidzieć, otrząsnąć się, zrzucić wszystkie maski, jakie każe mi wkładać moje otoczenie, już nie poddawać się biegowi wypadków, tylko je wyprzedzać, nie rozpoznawać sytuacji, lecz je stwarzać... Dlatego początki śledztwa znaczy zawsze leniwy bieg zdarzeń, aż spiętrzą się nagle, wzbiorą, toczyć się zaczną błyskawicznie... Kiedy nadejdzie ta chwila? Nie wiem, nie wiem... Wydaje mi się jednak, że jest już niedaleko, przeczuwam ją, choć nie potrafię jeszcze odpowiedzieć na wiele pytań, chociaż wciąż jeszcze wiem tak mało...

— Ewa znalazła klejnoty wczoraj wieczorem — powiedziałem.

— Napadnięto ją. Klejnoty zostały skradzione.

Pani Ala drgnęła, spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. Opowiedziałem jej teraz o wszystkim, o czym wiedzieć powinna. Powinna także dlatego, aby nie dać się zwieść wakacyjnej atmosferze, jaką wnieśli w jej dom goście, rodzina i przyjaciele. Aby wiedziała, że nic jeszcze nie jest skończone, żaden rachunek nie zamknięty.

— To, co się tu dzieje — kończyłem — niech pani nie zwiedzie. Ta wesołość, ta atmosfera pensjonatu to pozory. Chwilami mam wrażenie, że niemal każdemu o coś tu chodzi, że prawie każdy coś ukrywa, gra jakąś rolę. Odnalazł się maszynopis profesora, jest prawie pewne, że jego praca nie poszła na marne. Niech to na razie panią pocieszy. Proszę, niech pani będzie cierpliwa. To już długo nie potrwa. Tym bardziej bądźmy ostrożni. Pani Ala skinęła poważnie głową.

— Dziękuję, że mi pan to powiedział. Nie jestem przestraszona. Przeciwnie, to mi dodaje sił. Może pan na mnie liczyć, jeżeli tylko będę panu potrzebna.

— Niewiele wiem o państwu Mrozowskich. Jaki był ich stosunek do brata pani? Czy pani im ufa?

— Tak — odpowiedziała bez wahania. — Klemens jest ciotecznym bratem Zygmunta. Przez pewien czas, w dzieciństwie, wychowywali się razem. Nigdy nie tracili z sobą kontaktu. Wydaje mi się, że to dobry i porządny człowiek.

— A Janusz?

— Zna go pan. — Wzruszyła ramionami. — Cały jest jak na dłoni. Karol, nasz brat, zginął w czasie wojny. Zygmunt i ja pomagaliśmy matce Janusza. Ale on sam... Zawsze był poprawny, przyjeżdżał czasami, ale nie sądzę, aby go to wszystko za bardzo obeszło...

— Ada?

Pani Ala zmarszczyła brwi.

— Nie znosiła ojczyma — powiedziała niechętnie — ani on jej. Ale mimo wszystko wydaje mi się, że to nie jest zła dziewczyna.

— Już to dzisiaj słyszałem — powiedziałem, podnosząc się.

Rozdzwoniły się zegary stojące na komódkach, wiszące na ścianach. Uderzenia niskie i chrapliwe, wysokie i dźwięczne.

— Wpół do siódmej. — Pani Ala podniosła się także. — Jeżeli

nie chcecie się spóźnić, musi się pan pospieszyć.

Na korytarzu pierwszego piętra spotkałem Adę wychodzącą z łazienki. W płaszczu kąpielowym, z mokrymi, ściśle przylegającymi do głowy włosami, z świeżą, nieumalowaną twarzą, kropelkami wody, spływającej z włosów na czole, wyglądała jak dziewczynka.

— Nie mogę cię teraz zaprosić — powiedziała cicho

— Ewa jest u mnie. Widzisz, co dla ciebie robię? Goto wam się z nią nawet zaprzyjaźnić.

Dotknęła chłodnym, mokrym czołem mojego czoła i pobiegła do siebie. Westchnąłem ciężko nad swoim trudnym losem i zacząłem się spieszyć, jako że czasu zostało już mi niewiele. Wziąłem tusz, ogoliłem się, przebrałem, a kiedy byłem już gotów, ruch powstał na korytarzu i zapukano energicznie do moich drzwi.

— Czekamy na pana — rzekł Janusz. — Nasze dziewczyny okazały się punktualne.

— Nasze? — spytałem. — Dziękuję, że mnie pan przypuścił do spółki.

Świeżo upieczone przyjaciółki czekały w hallu. Ich widok mógł nawet antyfeministę przyprawić o entuzjazm.

— Jeszcze chwila! — zagrzmiął z góry Mrozowski.

— Powinniśmy wyjść razem.

Pani Ala wyszła do nas w przybrudzonym fartuszk.

— Myślę, że dzisiaj się już nie zobaczymy — powiedziała. — Bawcie się dobrze.

Z kuchni dobiegł potężny krzyk Heleny:

— Gdzie do ciasta z takimi rękami? Wyszorujcie się najpierw, zanim wejdziecie do kuchni!

— I tak będzie zakalec! — odszczeknął się Janiak, już z korytarza.

Wyruszyliśmy całą gromadą, z panem Mrozowskim na czele. Było coraz chłodniej, dziewczęta zarzuciły szale na ramiona. Droga na szczęście nie była daleka. W ogrodzie spotkaliśmy Zagórskiego, trzymał za obrozę wielkiego wilczura.

— On jest wściekły! — wykrzyknął Mrozowski. — Poznaję po oczach!

— Przeciwnie — wyjaśnił Zagórski — jest za dobry. Trzymam go, żeby nie lizał was po twarzy.

Willa Hoszowskiego była duża, stara i mroczna. Gospodarz przywitał nas w hallu, po czym rozsunał oszklone drzwi i znaleźliśmy się w salonie, pełnym pięknych, secesyjnych mebli, fantazyjnych stolików, foteli, serwantek. U sufitu rozbłysnął kryształowy żyrandol, choć przecież było jeszcze jasno. Na dwu stolikach leżały nowe, lśniące fabrycznym opakowaniem talie kart, bloki papieru i miękkie ołówki. W rogu, na trójkątnym kredensiku czy barku pobłyskiwały kolorowe etykiety butelek: martini, dzin, whisky, syfony z wodą sodową, koniaki: salignac i martel; migdały, słone paluszki, otwarte puszki z korkami śledziowymi, kostki sera, półmisek wędlin. Na stoliku obok piętrzyły się stopy owoców. Wieczór zapowiadał się nie najgorzej.

Hoszowski stał już z kieliszkiem w rękę, przygotowując się do toastu. Zjawił się wreszcie Zagórski i byliśmy w komplecie.

— To będzie rzeczywiście tylko coś na kształt toastu — rzekł Hoszowski — bo chociaż cieszę się bardzo, widząc państwa u siebie, nie mamy poza tym powodów do radości. Kiedyś, na pewno, zdobędziemy się na to, żeby myśleć o wszystkim, co się wydarzyło, spokojnie, i mam nadzieję, że spotkamy się tutaj w tym samym gronie i w lepszych nastrojach. Wasze zdrowie.

Ale wyraz jego twarzy przeczył smętnej treści toastu. Hoszowski był pewny siebie, niemal triumfujący. Kiedy wychyliliśmy kieliszki, napełnił je szybko, chodząc z wysoko uniesioną butelką, z każdym ze swych gości wymieniał kilka zdań, zdradzających wcale dobry humor, wreszcie zatrzymał się przy Ewie i oświadczył, że traktuje ją jako pacjentkę i nie opuści przez cały wieczór, tego bowiem wymaga od niego etyka zawodowa. Nie zachwyciło to Janusza.

— Ewa jest dzisiaj pod moją opieką — oświadczył

— czuвам nad nią od rana i myślę, że jest zadowolona. Prawda, Ewuniu?

— Prawda — westchnęła — dlatego wydaje mi się, że możesz ode mnie odpocząć.

— Nigdy — rzekł stanowczo.

— A zatem wybór należy do pani — powiedział Horszowski, rozkładając ręce. — Młodzi ludzie są dzisiaj bardzo pewni swojej przewagi, ale my, starsze pokolenie, nie mamy zamiaru ustępować bez walki. Na kogo się więc pani decyduje?

— Ależ na pana, panie doktorze, oczywiście na pana

— Ewa wsunęła mu rękę pod ramię. — Potrzebna mi dzisiaj ojczowska opieka.

— Dobrze i to — roześmiał się. — Od czego więc zaczniemy? Od koreczków?

Ada naląła koniaku do czystego kieliszka i podała go Januszowi.

— Zachowaj się jak mężczyzna — powiedziała. — Upij się, a nie rozpaczaj.

— Odczep się! — warknął. Ale wypił i znowu napełnił sobie kieliszek. Zanosił się na dramat miłosny.

Kątem oka spojrzałem na Winiarskiego. Stał w kącie, w wystudiowanej pozie, oparty lekko o piękną serwantkę, z kieliszkiem w ręce, i przyglądał się nam z nieukrywaną ironią. Obok niego siedział w fotelu Zagórski. Wpatrywał się tępo przed siebie, popijając dżin z tonikiem z wysokiej szklanki. Krople potu pobłyskiwały mu nad krzaczastymi brwiami. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że od chwili, kiedy zszedł do nas, nie odezwał się Zagórski ani słowem; robił wrażenie człowieka, który czeka tylko na okazję, aby się wymknąć i położyć, tak źle się czuje, czy też tak bardzo jest zmęczony Mrozowscy natomiast urzędowali przy stoliku pod oknem, na który przenieśli sobie znaczną część specjalów zgromadzonych na szerokim blacie barku. Milczeli i jedli. Jedli i milczeli.

— A dlaczego, do diabła, nikt o mnie nie walczy?

— powiedziała Ada, stając przy mnie. — Jeszcze trochę i upiję się jak Janusz.

— Będę ci towarzyszyć.

— Od czego zaczynamy?

— Od dżinu.

— Jestem tego samego zdania. Nawet Winiarski wpatruje się w twoją Ewunię jak kot w polędwicę. Zrobię jej na złość i wypiję z tobą oficjalny bruderszaft.

— Nie wiedziałem, że jesteś taka legalistka. Ale rozumiem twoją intencję. Czego więc, toniku?

— Oczywiście. Słuchaj, nie podoba mi się twój tonik. Teraz stukniemy się szklaneczkami i możesz mnie pocałować.

— Widzę, że jesteś zdolna do poświęceń.

— Właśnie.

— Ja także, na szczęście.

— Jacek...

— Czy to nie za wcześnie? — spytała Ewa.

— Udało się — powiedziałem. — Wypijcie i wy. Żyjemy w erze negocjacji.

— On uważa, że nas poróżnił — wyjaśniła Ada — i proponuje nam ugodę. Wyprowadzimy go z błędu?

— Natychmiast. Panie doktorze — zwróciła się ku Winiarskiemu — przyłączy się pan do nas? Jacek ma stanowczo za wiele obowiązków towarzyskich.

— A toś mi pomogła! — jęknęła Ada i zamilkła, bo Winiarski już był przy nas. Panie dopełniły więc formalności, ja zaś podszedłem do Hoszowskiego, kątem oka obserwując ożywienie doktora Winiarskiego, gdy znalazł się w pobliżu Ewy.

— Jeszcze pół godzinki i usiądziemy do bridża — powiedział Hoszowski, ocierając czoło chusteczką. — Gorąco prawda?

— Gorąco — zgodziłem się. — Miałem nawet wątpliwości, czy powinniśmy się dziś spotykać. Nie sądzi pan, że powinna raczej leżeć, niż bawić doktora Winiarskiego?

— Och, przecież nic jej nie jest — rzekł jowialnie.

— A Winiarskiego, jak widzę, stanowczo pan nie docenia. To on usiłuje ją bawić, a, zdaje się, umie i lubi to robić. Choć więcej ma wprawy niż szczęścia.

— Dlaczego? Nie wygląda na pechowca.

— A jednak... Nie zauważył pan, że chadza samotnie, chociaż nie wygląda na mizoginistę? I za coś jednak oberwał od studenta, czy asystenta, którego profesor później wyrzucił. Pewnie nie wstawił się za nim u profesora.

— Mówiono mi o tym. Myśli pan, że tu chodziło o kobietę?

— A nie wiem, nie wiem — wycofał się. — Wydaje mi się tylko, że to jedyny możliwy powód, dla którego student może

uderzyć w twarz adiunkta. A pan? Co pan o tym myśli?

— Nie wiem. Nigdy nie byłem adiunktem, a jako student także nie policzkowałem wykładowców. Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe.

— Ja też się i nie spodziewałem, że mi pan serio odpowie — roześmiał się. — Zresztą niewiele mnie to obchodzi.

— Nie lubi pan Winiarskiego — powiedziałem lekko.

— Inaczej bym to określił — podjął mój ton, choć jego uśmiech był sztuczny i wymęczony. — Ja po prostu bardzo niewiele osób lubię. I nie moja to wina. Napijemy się?

— Napijemy.

— Przy drugim kieliszku znalazł się przy nas Zagórski. Pociemniało już, słońce błyskało przez szczeliny w gęstych chmurach nad horyzontem, w szybach uchylonych okien; Winiarski nastawił adapter. Tom Jones śpiewał o zielonych trawach ojczystego domu, Ada śmiała się głośno, Ewa rozmawiała z ożywieniem z Winiarskim, tylko Mrozowscy w milczeniu pochłaniali owoce.

— Czas już wyjechać z miasta — powiedział Zagórski. — Dziwię się, że jeszcze tu siedzisz. Jakbym miał taki domek jak ty na Podhalu, nie byłoby mnie tutaj od czerwca do września.

— Na domek trzeba zapracować — rzekł gwałtownie Hoszowski. — Nie każdemu pieniądze rodzą się z pieniędzy. Wszystko kosztuje i na wszystko mam te dwie ręce — wyciągnął je przed siebie, nagłym ruchem celując w pierś Zagórskiego.

— No nie przesadzaj. — Zagórski był spokojny, co więcej, uśmiechał się dobrodusznie, ale w jego wzroku było coś ostrego, wrogiego, co przeczyło brzmieniu głosu. — Nie tylko rękami pracowałeś, ale i głową. Z pensji nikt jeszcze spokojnie sobie nie pożył.

— Dlaczego? — spytał Hoszowski. — Przecież bierzesz pensję i wcale się nie skarżysz. Przynajmniej nie słyszałem. I mam nadzieję, że nie usłyszę.

— Nadzieję — westchnął Zagórski. — Mój drogi, jakich to nadziei człowiek się wyzbywał. Nawet wtedy, kiedy mu się zdawało, że za chwilę zrobi szlema. A poza tym myślę, że pana Jacka nie interesują nasze poglądy na źródła twoich dochodów.

Hoszowski poczerwieniał, odstawił pełny kieliszek na stolik.

— Tak — rzekł beładnie. — Tak, tak, zapewne. Nawet twoje dochody nie są warte, aby o nich mówić. Przy kimkolwiek.

Obaj panowie najwyraźniej nie panowali nad sobą, przez co moje położenie wcale nie stawało się łatwiejsze.

— Ponieważ zaś moje dochody nawet we mnie budzą zgrozę — powiedziałem — załóżmy, że każdy z nas ma i tak mniej, niż mu potrzeba, i skończmy ten koniak.

Obaj oponenci oprzytomnieli, równocześnie uśmiechnęli się sztucznie i równocześnie ujęli kieliszki.

— No to na zdrowie!

Ale wzrokiem życzyli sobie raczej pewnych niedomagam I wypiliśmy.

Tymczasem pan Mrozowski ocierał starannie usta serwetką, a kiedy skończył, wstał energicznie.

— Przyłączam się do toastu — rzekł. — Zdrowie, oto czego nam trzeba. Nie zastąpią go sukcesy, pieniądze ani klejnoty.

— Słyszał więc wszystko, choć siedział daleko.

— Klejnoty? — zdziwił się Zagórski. — Dlaczego mówi pan o klejnotach?

— Klemensie! — nienaturalnie głośno powiedziała pani Mrozowska. — Alkohol jest dla ciebie zabójczy! Jeszcze nie wypiełeś, a już jesteś wstawiony!

Tym razem, o dziwo, notariusz nie wybuchnął. Zmieszał się nawet.

— Ależ ja niczego nie powiedziałem — usprawiedliwiał się. — Nie chodziło mi o żadne konkretne klejnoty. To był przykład, tylko przykład.

— Tak też myślałem — pokiwał głową Zagórski, patrząc uważnie na Hoszowskiego.

— Czas na bridża. — Notariusz odzyskiwał wenę.

— Czas najwyższy. Losujemy czwórki. Ja się tym zajmę.

— Jeżeli państwo pozwolicie, dołączę za chwilę — powiedział Hoszowski. — I tak chyba nie wszyscy mają ochotę na karty.

— Ja też pauzuję — zastrzegłem się szybko. — Za wcześniej jeszcze i za gorąco.

Mrozowski siedział już przy stoliku, Zagórski, ociągając się,

zasiadł przy nim. Pani Wacia, przynaglona niecierpliwym spojrzeniem męża, westchnęła tylko ciężko.

— Ada! — zawołał pan Mrozowski. — Grasz ze mną! Masz wielką szansę, staraj się ją godnie wykorzystać.

— Litości! — jęknęła Ada. — Właśnie chciałam wyjść z Jackiem na spacer do ogrodu!

— Słusznie! — rozpromienił się Janusz, który stał do tej chwili niezmiennie przy Ewie w charakterze stolika, z talerzem z zakąskami w jednej a kieliszkiem Ewy w drugiej ręce, cierpliwie znosząc zaloty Winiarskiego do wybranki swego serca. — Adzie bridż nie sprawia przyjemności, panu Jackowi także. Może w takim razie pan doktor z państwem zagra? — zwrócił się ku Winiarskiemu z nadzieją w oczach.

Mrozowski odwrócił się gwałtownie, odsunął na czoło okulary i przyjrzał się Januszowi dokładnie.

— Janusz — rzekł. — Tak, Janusz. Ty masz chyba największe braki. Ty z nami zagrasz!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Ewa i Ada zmusiły opierającego się Janusza do zajęcia miejsca naprzeciw notariusza.

— Widzisz, jaki biedny jest mój rycerz? — szepnęła mi Ewa do ucha. — Ty nie byłbyś zdolny do takich poświęceń. Do żadnych poświęceń. Znowu mi się nie podobasz.

— Czy mogłabyś wydawać tygodniowe komunikaty? — spytałem. — Te zmienne wiadomości co dwie godziny przyprawią mnie o nerwicę.

— W ogóle nie będę wydawała komunikatów — powiedziała surowo. — Idę z Winiarskim na spacer. Wolę prawdziwych historyków.

Upał to czy zmęczenie? Byłem niespokojny, zniecierpliwiony i Ewa to zauważyła. Może wzięła to za zazdrość? Nie sędzę. Sam zresztą nie wiedziałem, czemu przypisać swój nastrój. Było tak, jakby w moim otoczeniu zaszły nieuchwytnie, lecz ważne zmiany, jakbym wiedział o tym na pewno, a równocześnie nie mógł określić, na czym one polegają. Coś się stało, coś stało się na pewno, ale nie wiem co. Coś przeoczyłem, czegoś nie zauważyłem, nie zapamiętałem, w rezultacie znowu

nie będę mógł wyprzedzić wypadków, ba, nawet ich przewidzieć! Zapaliłem papierosa, przyjrzałem się uważnie gościom doktora Hoszowskiego.

Ktoś zapalił już światło, ozdobny żyrandol émił żółtawym blaskiem, zmieszonym z ostatnimi refleksami słońca na uchylonych oknach, w tym dziwacznym oświetleniu ludzie, na których patrzyłem, wydali mi się nierealni jak manekiny na sklepowej wystawie, obcy, niepokojący. Cztery postacie przy bridżowym stoliku

— zastygłe teraz w bezruchu, z kartami w rękach. Mrozowski, w okularach na koniuszku nosa, skupiony, milczący; Zagórski, patrzący uważnie gdzieś ponad głowę pani Mrozowskiej, Janusz wreszcie, spięty, zdenerwowany, wybijający palcami na blacie stolika rytm piosenki, sączącej się z głośnika adaptera. W głębi, oparci łokciami o wysoki brzeg kredensu, Hoszowski i Winiarski z kieliszkami w rękach. Hoszowski mówi coś szybko i stanowczo, widzę tylko ruch jego warg, mówi więc szeptem. Czyżby teraz Winiarskiemu z kolei zwierzał się ze swych kłopotów? Winiarski słucha, zastygły w bezruchu. Pod oknem, na kanapie, Ewa i Ada. Słyszą ich rozmowę. Mówią o letnich kostiumach. Ale Ada patrzy na Hoszowskiego.

— Przestań, Janusz! — syknął Mrozowski. — Nie pozwalasz się skupić!

Ręka Janusza znieruchomiała.

Odstawiłem kieliszek i podszedłem do gospodarza. Obraz ożywił się, jakby ruszył zepsuty projektor. Ada i Ewa wstały z kanapki, Mrozowski położył kartę na stole, szybko opadły na nią trzy następne.

— Mamy swoje! — zawołał Mrozowski. — Patrzcie, młodzi, i uczcie się!

Hoszowski powitał mnie zmęczonym uśmiechem.

— Może rzeczywiście przejdziemy się po ogrodzie?

— zaproponował.

— Póki się nie wyroją komary — mruknęła Ada.

— U nas jeszcze można wytrzymać — powiedział Hoszowski — we wschodnich dzielnicach jest najgorzej, roją się nad rzeką. Ale i tak kazałem założyć siatki na zewnętrzne okna. Muszę je

przymknąć, skoro zapaliliśmy światło.

— A ja chcę zobaczyć Korę — oświadczyła Ada.

— Ja też! — zawołała Ewa. — Nie wiem dlaczego, ale zawsze marzyłam o papudze! A w ogóle muszę się wybrać do ptaszami w waszym ZOO. Cuda o niej słyszałam.

— Chętnie panią zawiozę — ofiarował się Winiarski — proszę tylko podać termin.

Usłyszałem za plecami ciężkie westchnienie Janusza.

— Przejdziemy więc do gabinetu — rzekł Hoszowski. — Nie będziemy przeszkadzać bridżistom. A Kora się ucieszy. Lubi gości.

Poprowadził nas przez mroczny hol i schodami na piętro. Z niewielkiego podestu nad schodami troje drzwi prowadziło do pokoi. Hoszowski otworzył najbliższe.

— Nie smutno panu samemu w takim dużym domu? — spytała Ewa.

— Dużym? — zdziwił się przekornie. — To niewielki domek. Tu jest mój gabinet i dwa małe pokoiki, sypialnia i, powiedzmy, garderoba. A na dole salonik, kuchnia i jeszcze jeden pokój, miałem tam gabinet lekarski, zanim nie zrezygnowałem z prywatnej praktyki. Teraz tam się zatrzymał Zagórski.

Weszliśmy do gabinetu, Hoszowski zapalił światło.

— Koh-ra! Koh-ra! Koh-ra! — usłyszeliśmy.

— Moja maleńka! — zawołała Ada, podbiegając do dużej klatki w kącie. — Pamiętasz mnie jeszcze? Siadałaś mi zawsze na palcu!

— Koh-ra! — odpowiedziała papuga, nastroszywszy pióra.

— Nie wydaje się, żeby panią zbyt dobrze wspominała — mruknął Winiarski.

— Przestraszyła się, bo spojrzała na pana — parsknęła Ada. — Papugi znają się na ludziach.

— Nie wiem, jak to mam rozumieć — obraził się Winiarski.

— Koh-ra — powiedziała papuga.

— Po prostu nie lubi pan zwierząt — wycofała się Ada — i ona to czuje.

Rozejrzałem się dokoła. Jedną ścianę gabinetu zakrywał szczelnie regał wypełniony książkami. Stało przed nim duże,

ciężkie biurko, fotel z wysokim oparciem, na biurku połyskiwał telefon. Dwa ciężkie klubowe fotele wokół zdobnego stolika o secesyjnym ornamencie, miękki dywan na podłodze i parę obrazów, chyba Kossaka, na ścianach — to było już wszystko, jeśli nie liczyć wysokiej, złotej klatki, wokół której skupiliśmy się po wejściu.

— Kora jest zdenerwowana takim najściem — powiedziałem. — Pozwólmy jej się oswoić z naszą obecnością. Mogę przejrzeć książki, panie doktorze? To brzydki nałóg, ale nie umiem się go pozbyć.

— Bardzo pana proszę — rzekł z roztargnieniem Hoszowski. — A jeżeli coś pana zainteresuje, chętnie panu pożyczę. Bałagan tam, nie mam teraz czasu na zajmowanie się biblioteką...

Biblioteka Hoszowskiego istotnie mnie zajęła. Nie, nie dlatego, aby zawierała szczególnie cenne książki, aby gromadziła pozycje z jakiejś określonej a interesującej dziedziny. Nowości w niej niemal nie było — i w tym właśnie tkwił jej urok. Na półkach, w ciasnych rzędach stały porządnie oprawione, niemal wyłącznie przedwojenne wydawnictwa najrozmaitszego rodzaju, głównie jednak beletrystyczne; jakieś romanse i powieści z życia wyższych sfer, kiedy to nazwiska autorów budzą tylko w pamięci odległe wspomnienia nieistniejących bibliotek w rodzinnych domach, powieści podróźnicze i kryminalne w ogromnych ilościach, ale także Biblioteka Wiedzy, Biblioteka Laureatów Nobla, „Pisma Zbiorowe” Josepha Conrada, a obok nich znowu komplet „Ilustrowanych Powieści Podróżniczych” Karola Maya. Że nie wspomnę o osobno stojących: Bibliotece Groszowej i Bibliotece Dzieł Wyborczych, że... z trudem oderwałem się od półek.

— Niech pan tutaj spojrzy — posłyszałem głos Winiarskiego.

Na dole, w równych stosach, leżały oprawne roczniki czasopism. Jęknąłem z zachwytu. Był tam „As”, „Na szerokim świecie”, inne jakieś magazyny w różnych formatach, w różnych rodzajach niezmiennie bogatych opraw...

— Zawsze o czymś takim marzyłem... — powiedział Winiarski cicho. — Na dole w pracowni wszystko, co potrzeba do pracy, a

na górze prywatna biblioteczka z takimi rupieciami...

— I kiedy już na nic pan nie ma ochoty — podjąłem

— może pan wymknąć się na górę, zamknąć na klucz, rozłożyć rocznik „Asa”...

Staaliśmy przy oknie, patrząc na ciemniejący ogród. Wśród rozrośniętych lip czerniał ostrym konturem dom profesora Kędzierskiego. W żadnym oknie nie paliło się światło. Za naszymi plecami Ewa i Ada przemawiały do papugi.

— Nie uważa pan, że przeglądanie starych czasopism to najprostszy sposób, aby zdobyć poczucie przewagi? — ciągnął Winiarski. — Nie jesteśmy ani lepsi, ani szczęśliwsi od tych ludzi, którzy to wtedy czytali, ale znamy dalszy ciąg. Występujemy w roli sędziów, którzy umieją ocenić słuszność przewidywań, trafność komentarzy, nieskuteczność recept, naiwność publicystów, tępy optymizm oficjeli... Wiemy, co stanie się z nimi, z ich pokoleniem, z ich obyczajem, hierarchiami, idolami, złudzeniami, modelami...

— To właśnie pozycja historyka — powiedziałem.

— Tylko że w naszym zawodzie poczucie przewagi przeszkadza, myli perspektywy, nie pozwala na zrozumienie rzeczy naprawdę ważnych. Bo przecież jesteśmy od tamtych ubożsi: oni rozważali wiele możliwości i wiedzieli, że każda z nich ma jeszcze jakieś szanse. My znamy już tylko tę jedną jedyną, przeważnie wcale nie najlepszą...

— Czyja wiem... — rzekł niepewnie Winiarski. — Kiedy działa się konsekwentnie, kiedy wybiera się świadomie jedną możliwość, ma się takie samo poczucie przewagi, jak wtedy, gdy patrzy się na wszystko z perspektywy lat. Ci ludzie, którymi się zajmujemy, budzą nasz szacunek, jeżeli potrafią wykazać się taką konsekwencją: inni, to jest prawie wszyscy, budzą już tylko uczucie przewagi. My jednak naprawdę w jakimś sensie jesteśmy ich sędziami. Mówią często: historia nas oceni. Nie historia, lecz historycy.

— Szanuje pan konsekwencję — mruknąłem — a nie stawia pan przy niej jeszcze jakiegoś znaku? Ujemnego lub dodatniego?

— Nie jestem moralistą. Jeżeli mówię, że szanuję

konsekwencję, to znaczy, że szanuję fakty.

— Co w rezultacie zaprowadziło nas dość daleko od roczników „Asa” — powiedziałem. — Nie myśli pan, że warto skorzystać z propozycji doktora Hoszowskiego? W końcu mamy teraz wakacje.

— A oczywiście — zapalił się. — Całe szczęście, że znalazłem w panu bratnią duszę.

— Koh-ra — zaskrzeczała papuga. Siedziała już na palcu Ady.

— Mnie także będzie różnie. Zawsze na mnie patrzą jak na raroga, kiedy się przyznaję, co lubię czytać dla rozrywki.

Przystaliśmy przed półką.

— Czasopisma są za ciężkie — mruknął Winiarski.

— Zostawimy to na później.

— To samo dotyczy Biblioteki Laureatów Nobla — powiedziałem.

I równocześnie sięgnęliśmy po Karola Maya. Ja wziąłem „Przez pustynię”, Winiarski „Nad Rio de la Plata”. Ja po namyśle dołożyłem sobie „Przez dziki Kurdystan”, on — „W Kordylierach”. Po czym spojrzeliśmy na siebie z wzajemną sympatią.

— Który to raz? — spytał dobrodusznie Hoszowski.

— Nie potrafię powiedzieć — przyznałem się. Winiarski uśmiechnął się tylko.

Papuga siedziała teraz na palcu Ewy. Ada gładziła ją po skrzydłach.

— Czas zejść do bridżistów — powiedział Hoszowski.

— I napić się czegoś — dodała Ada. Ewa włożyła papugę do klatki.

— Koh-ra — usłyszeliśmy jeszcze, wychodząc.

— Nie jest za bardzo rozmowna — powiedziałem na schodach.

— Gadatliwe papugi to mit — rzekł Hoszowski. — Moja powtarza w kółko swoje „koh-ra” i skrzeczy. Ale to pocziwe stworzenie. Lubimy się.

Na dole właśnie skończył się rober. Skupiliśmy się znowu przy kredensie i nakrytych stolikach. Hoszowski i Zagórski zamknęli okna zaopatrzone w siatki, mimo to komary i ćmy

krażyły wokół żyrandola, brzęczały nad uchem. Zagwizdał wiatr w kominie, wydeły się zasłony. Na górze trzasnęły niedomknięte drzwi.

— Trzeba sprawdzić okna w całym domu — powiedział Hoszowski.

— Pomogę panu — ofiarował się Winiarski. Stałem z Mrozowskim w kącie, z talerzykiem w jednej, kieliszkiem w drugiej ręce.

— Następnego robra zagram z panem — rzekł Mrozowski. — W tamtej czwórce nie miałem partnera.

— Wydawało mi się, że pan Zagórski gra dobrze — powiedziałem.

— Dobrze? — Wzruszył ramionami. — Hazarduje się. Licytuje, jakbyśmy grali o duże sumy. I wie pan, do czego doszło? Na koniec zaproponował, żebyśmy zagrali w pokera! O solidną stawkę.

— Widocznie ma kłopoty finansowe — uśmiechnąłem się — i uważa się za dobrego pokerzystę.

— Skądże! To była, proszę pana, błazenada! Nie miałem dziś szczęścia, chociaż grałem najnowszymi konwencjami! Chciał to wykorzystać i narazić mnie na straty!

— A właśnie, kto w końcu wygrał robra?

— On — burknął. — On z moją żoną. Nieporozumienie! Kompletne nieporozumienie. Zresztą nie znoszę gry o pieniądze. Gra się dla idei gry.

— A jeśli ideą gry są pieniądze?

— Wtedy — powiedział poważnie — sytuacja się zmienia. Dla gracza i dla partnera. I obaj muszą ją akceptować.

— Z tego wynika, że grywał pan kiedyś o pieniądze?

— Ale nie w karty. I nie błaznowałem jak pan Zagórski.

— A jeśli błazenada to część gry?

— Na to stać tylko znakomitych graczy. A Zagórski do nich nie należy.

Spojrzałem na niego kątem oka. Na twarzy Mrozowskiego nie było zwykłej pogodnej pewności siebie, jego rysy stwardniały, we wzroku zjawilo się znowu coś ostrego, twardego, zimnego, jakbym patrzył na obcego, nieznanego mi zupełnie człowieka.

Drgnął, wyczuł widocznie mój wzrok; zwrócił się ku mnie błyskawicznie, miękkim ruchem — i już pojawił się jego zwykły uśmiezek, wyraz twarzy znamionujący poczucie wyższości i zadowolenie z siebie; lekko odęte policzki, uniesiona o stopień za wysoko głowa.

— Znakomity gracz może przegrać robra — powiedział zwykłym już głosem — ale swoją klasę pokaże w następnych. Będzie pan miał okazję to zobaczyć.

I ruszył po nową porcję ziemnych orzeszków.

— Masz ochotę na bridża? — spytała Ada, podchodząc. — Przyznam się, że mam już tego dość. Zdawało mi się, że się rozerwę, a wcale tu nie jest zabawnie. Wolałabym leżeć w łóżku i czytać jakąś głupią powieść. W najgorszym wypadku przejść się z tobą po ogrodzie.

— To chodź. Ja też myślę, że nie czas na przyjemności.

— A to dziękuję! Czy ty dla wszystkich jesteś taki miły, czy tylko dla mnie?

— Przekonaj się sama.

Ale zjawiała się przy nas Ewa.

— Jak się czujesz, kochanie? — spytała Ada z nieoczekiwaną, ale i nieudawaną serdecznością. — Nie boli cię głowa?

— Właściwie nie, ale nie czuję się dobrze. Odetchnijmy świeżym powietrzem, dobrze? Na dworze jest już chyba chłodniej niż w domu.

Odetchnęliśmy w czwórkę z Januszem, który zobaczywszy, że wychodzimy, dogonił nas w hallu. Było ciemno, wietrznie, świeżo. Szumiały drzewa, błyskały między nimi, w głębi, światła sąsiednich domów. Staliśmy chwilę w miejscu, aby oswoić się z ciemnością.

— Nie bardzo wiem, jak tu się ruszać — mruknęła Ewa. — Jeszcze się potknę i doprawię do reszty

— Ewuniu, proszę, nie oddalaj się ode mnie — rzekł stanowczo Janusz — i daj mi rękę.

— Januszk, nie dam ci ręki — odpowiedziała Ewa spokojnie — i proszę, oddal się ode mnie.

— Ta ścieżka prowadzi wokół domu — odezwała się Ada — przejdźmy tam, od frontu jest jaśniej, na ulicy palą się latarnie.

Poszliśmy ostrożnie ścieżką. Na górze okno gabinetu Hoszowskiego rzucało prostokąt światła na żywopłot. Spostrzegłem w nim ciemną wyrwę, a w głębi wyrwy metaliczny odbłask stalowej siatki.

— Tam jest furka czy tylko miejsce do rozmów z sąsiadami? — spytałem.

— Furka — powiedziała Ada. — Często nią chodziłam, kiedy tu mieszkałam. Przeważnie była otwarta. Hoszowski kazał ją zrobić, żeby łatwiej mu było do nas przechodzić.

— Zobaczmy, jak jest teraz — zaproponowała Ewa. — Dlaczego jej nie widziałam z okna korytarza?

— Bo jest pod drzewem — wyjaśniła Ada. — Możemy zobaczyć.

Ewa ujęła moją rękę, poszliśmy ku furtce. Ada nacisnęła kłamkę.

— Zamknięta — powiedziała.

— Ciotka chyba już śpi — rzekł Janusz. — Patrzcie, jak tam ciemno.

Na błyszczące, kosmate listki morwy padł cień. Odwróciłem się. To Hoszowski, odwrócony plecami. Gestykuluje, oddala się, znika.

— Idziemy dalej — powiedziała Ewa, nie puszczając mojej ręki.

Na górze zgasło światło.

— Gdzie jesteś, Ewuniu? — zawołał Janusz.

— Tutaj! — odpowiedziała Ada, naśladowując głos Ewy. Palce Ewy zacisnęły się na mojej ręce.

— Cicho — szepnęła.

— Teraz naprawdę musisz uważać — pogadywał — Janusz w ciemności. — Podaj mi rękę, o tak. Idziemy w stronę ulicy.

— Zaraz was dogonimy — powiedziałem głośno. — Idźcie ostrożnie.

Posłyszeliśmy ich oddalające się kroki. Ewa oparła głowę na moim ramieniu, a że sprawiło mi to przyjemność, westchnąłem tylko nad słabością swego charakteru i na dłuższą chwilę przestałem myśleć o Januszu, Adzie, Hoszowskim, i w ogóle o wszystkim. A kiedy wreszcie uniosłem głowę, ujrzałem Janusza

i Adę wkraczających w rozchybotany krąg światła ulicznej latarni.

— Ewa, spójrz — szepnąłem.

Janusz obejmował ramiona Ady, szedł z twarzą wtuloną w jej włosy, z zamkniętymi chyba oczami, bo potknął się nagle na ścietym pieńku, zachybotał i gdyby nie energiczna interwencja partnerki, znalazłby się niechybnie na ziemi.

— Co... co to znaczy! — wrzasnął. — Co ty tu robisz?! Czego ode mnie chcesz!

— Słucham twoich wyznań — odpowiedziała zimno Ada — i chcę żebyś nie włąził na drzewa.

— Ewa! — zawołał Janusz rozpaczliwie. — Ewa, to nieporozumienie! Ja ci wszystko zaraz wyjaśnię!

Nadchodziliśmy właśnie, krztusząc się ze śmiechu.

— Nie musisz mi niczego tłumaczyć — powiedziała Ewa nienaturalnie podniesionym głosem. — To, co widziałam, zupełnie mi wystarczy.

— To przez nią, przez tę zmiję! — wściekał się Janusz.

— Ona mi podała rękę. Nie odezwała się słowem, tylko coś pomrukiwała.

— Powinna była jęczeć — oświadczyła Ada. — Ugryzłeś mnie w ucho.

— Dziękuję ci! — roześmiała się Ewa. — Przynajmniej wiem, czego po Januszu oczekiwać.

— Ja zawsze wiedziałam — westchnęła Ada. — Nawet nie usiłował mnie... przepraszam, ciebie pocałować.

— Ty... ty... — zakrztusił się Janusz. I wbiegł pędem na oświetlony taras.

— Zdaje się, że będziesz miała przez jakiś czas spokój — powiedziała Ada. — Mój kuzynek to wyjątkowy bęcwał. Chodźmy za nim, jeszcze się upije z rozpaczy.

A na tarasie przyjrzała mi się uważnie.

— Nie — powiedziałem — nie mam szminki na twarzy. Zresztą Ewa nie malowała się na wieczór.

— Jacek za to jest wyjątkowo niesympatyczny — stwierdziła Ada. — Nie uważasz?

— Uważam — zgodziła się Ewa.

Janusz istotnie stał przy bufecie i nalewał sobie ginu do szklanki. Winiarski rozmawiał z Mrozowskim, ujrzawszy nas, ożywił się, podszedł do Ewy, usadowił ją na fotelu i przysunął sobie krzesło. Hoszowskiego i Zagórskiego nie było.

— No i co teraz? — spytała Ada. — Urwiemy się czy zaktywizujemy się towarzysko?

— Zajmę się Januszem — powiedziałem — bo rzeczywiście będą z nim kłopoty.

— A poza tym wolałbyś ze mną nie mieć kłopotów, prawda?

— Już mam kłopoty. Chyba też się upiję, ugryzę w ucho panią Mrozowską i powiem jej, że cię uwielbiam. Chcesz?

— Spróbuj! — roześmiała się. — Ciocia Wacia uważa, że powinnam się ustatkować. Jeszcze zacznę nas swatać!

— W porządku. Upiję się w samotności.

— Nie powinnam cię była zostawiać samego z Ewą — westchnęła. — Jak widzę, postanowiłeś, że się ze mną nie ożenisz.

— Znieś to dzielnie, kochanie. I miej nadzieję.

— Dobrze, dobrze, pleciugo. Tylko się rzeczywiście nie upij. Jeden Janusz wystarczy.

— Ja też tak myślę.

Ale Janusz wcale nie robił wrażenia, że pije z rozpaczy. Doprawiał sobie gin tonikiem, kosztował, zagryzając migdałami, znów zmieniał proporcje.

— Nie myśli pan — powiedział — że przydałby się teraz bigos i czysta wódka? Te wszystkie smakołyki dobre są na dyplomatyczne przyjęcia, ale my się nieprędko do nich przyzwyczaimy. Spróbuje pan?

— Chętnie. Tylko przypominam, że to zdradliwa mieszanina. Pije się jak oranżadę, a potem zwala z nóg.

— Wiem — roześmiał się — ale ja mam mocną głowę. Choć na to nie wyglądam.

I znowu, jak przed chwilą w rozmowie z Mrozowskim, wydało mi się, że właściwie zupełnie nie znam tych ludzi, spotkanych tu przypadkowo, przed trzema dniami, z pozoru łatwych do określenia, podsuwających usłudze formułki, w jakich można ich bez trudu zamknąć, w rzeczywistości zaś

skrytych, zajętych własnymi sprawami, których nie znam. Na twarzy Janusza błąkał się ironiczny uśmiezek, nie było w niefortunnym adoratorze Ewy śladu wzburzenia, które tak demonstracyjnie okazywał, lecz przeciwnie, spokój, dystans, chłód.

— Ewa i Ada używają podobnych kosmetyków — rzekł Janusz — ale mimo to trudno je z sobą pomylić, prawda?

I spojrział na mnie badawczo.

— Nie wiem, czy trudno — odpowiedziałem lekko — ale myślę, że warto.

— Możliwe — uśmiechnął się. — To też jest koncepcja.

Trzasnęły drzwi, w progu stanął Hoszowski, mrużąc oczy, jakby wyszedł z ciemności.

— Przepraszam państwa bardzo. — zawołał. — Chyba już najwyższy czas na bridża.

Po chwili siedzieliśmy więc przy stolikach. Grałem z Mrozowskim, bo takie życzenie wyraził stanowczo notariusz, przeciw Ewie i Winiarskiemu. Nie losowaliśmy zatem, a kiedy Ewa rozdała karty, zjawił się Zagórski i drugi stolik mógł również rozpocząć grę. Zegar wybił dziesiątą, wiatr ucichł. Brzęczały komary, kłęby dymu unosiły się ku sufitowi.

Mrozowski, wbrew moim oczekiwaniom, nie udzielał nikomu nauk. Grał uważnie i przytomnie, w rezultacie wygraliśmy robra, przeciwnicy odgrywali, wygraliśmy podwójnego. Szybko to poszło.

— No tak — powiedział Mrozowski. — Macie dość, moi kochani?

— Zmienimy skład — powiedziała Ewa — i miejsca.

— Jak tam u was? — spytał Hoszowski, wstając od sąsiedniego stolika. — Bo ja leżę na całej linii.

— Też tak myślę — rzekł Zagórski, który grał przeciw niemu.

— Pierwszego robra zawsze przegrywam — uśmiechnął się Hoszowski — ale potem sytuacja się zmienia. Miałeś chyba okazję przekonać się, jak to wygląda.

I zaczął rozdawać karty. Ja tym razem grałem z Ewą przeciw Mrozowskiemu i Winiarskiemu. Zakończyłem grę efektywnym szlemikiem.

— Popelniliście mnóstwo błędów — oświadczył Mrozowski — i tym mnie zmyliliście. Ja wasze odzywki w licytacji rozumiałem zgodnie z regułami, wynikało z nich, że nic nie macie w kartach. Dlatego moim obowiązkiem było kontrować. To jest chaos, bałagan! Ze sportowego punktu widzenia wasza wygrana jest bezprawna.

— Przypomina pan tego angielskiego admirała — powiedział Winiarski — który przegrał bitwę z Włochami i tłumaczył, że wszystko wzięło się z niezajomości sztuki wojennej u przeciwnika. Zamiast wykonać przepisowy zwrot i dostać salwę w burzę, Włosi wyczyniali jakieś przedziwne rzeczy i nie dali się trafić!

— Błąd! — zaperzył się Mrozowski. — I to pan mówi, mój partner? Za każdym razem wiedziałem, co pan ma w kartach!

— Tylko że ja nic nie miałem — wyjaśnił Winiarski.

— To nie ma znaczenia! Zresztą jeśli nawet pańską anegdotę potraktować poważnie, przyzna pan, że angielskie tradycje morskie są nieco lepsze niż włoskie.

— Czujemy się pokonani — powiedziałem, wstając.

— Moralnie pokonani.

— Ja się czuję pokonana nawet fizycznie — mruknęła Ewa. — Jestem już naprawdę zmęczona. Czas na nas, Jacek. Zorganizuj to jakoś.

— No i co? — spytał Hoszowski Zagórskiego przy sąsiednim stoliku. — Jak teraz wyglądasz? Wygrałem z trzydziestu.

Zegar uderzył raz. Wpół do dwunastej.

— Dziękujemy panu — powiedziałem do Hoszowskiego. — To był przyjemny wieczór i każdemu z nas w jakiś sposób potrzebny. Ale zrobiło się późno.

— Dla mnie był to w dodatku w pewnym sensie wieczór pożegnalny — rzekł Winiarski. — Dostałem dziś wiadomość, że nadeszła wiza i zapadły ostateczne decyzje co do mego wyjazdu do Nancy. Jeżeli nic się nie zmieni, pojutrze wieczorem wyjadę.

— Zazdroszczę panu — westchnął Hoszowski. — Taki wyjazd to prawdziwa szansa. Zawodowa i prywatna.

— Dlaczego prywatna? — zdziwił się Winiarski

— Bo to wypoczynek, jakiego nigdzie pan nie zazna. Ja

dlatego kupiłem sobie domek na Podhalu. Chodzi mi o to, że tylko zupełne oderwanie się od wszystkiego, co nas nęka na co dzień, może uchronić człowieka od nerwicy. Niby wszyscy to wiemy, ale nie wszyscy możemy sobie na to pozwolić.

— Trzeba mieć rozum albo pieniądze — rzekł ponuro Zagórski.

— Albo jedno i drugie — uciął Hoszowski.

— Nie jestem zadowolony — oświadczył Mrozowski wstając. — To oczywiście nie pod pana adresem, drogi panie doktorze, wieczór był, jak już powiedział pan Jacek, ogólnie rzecz biorąc, przemiły, ale pech w grze potrafi zepsuć najlepszy nastrój.

— Jesteś zbyt wrażliwy, Klemensie — wtrąciła pani Wacia. — Nigdy w kartach nie miałeś szczęścia. Jeszcze twój kuzyn, Kuba, powiadał, że gdyby miał takie szczęście, jak ty pecha, byłby milionerem.

— Nie wspominaj mi Kuby — rzekł surowo Mrozowski. — On jeden mnie rozumiał. Raz w Zaleszczykach graliśmy szlema i leżeliśmy bez dziesięciu. To były czasy.

W gwarze rozmów, w zamieszaniu, przestawianiu krzesel, przy szmerze komplementów i zapewnień, że wszystko, co ofiarował nam gospodarz, w najprzedszymszym było gatunku, przeszliśmy do hallu. Na brzegu kominka spostrzegłem dwa tomy Maya, które pożyczyłem od Hoszowskiego. Odłożyłem je tam, schodząc na dół, i byłbym w końcu zapomniał, gdyby nie przypadek; nie, nie zapomniałbym, Winiarski spojrział na mnie porozumiewawczo, chowając dwa identycznie oprawione tomy do aktówki.

— Muszę się spieszyć z lekturą, żeby oddać je przed wyjazdem — szepnął. — Pan ma więcej czasu, ale na kominku niech ich pan nie zostawia.

— Dziękuję, też mam zamiar dzisiaj jeszcze poczytać.

Zagórski stał w kącie nie ukrywając nawet ziewania.

— Sam nie wiem czemu — powiedział, żegnając się ze mną — ale potwornie jestem zmęczony. A przecież między robrami napiłem się kawy.

— To odprężenie. Zawsze na wakacjach chodzimy spać z kurami. A pan przecież jest na wakacjach.

— A to prawda — roześmiał się. — Wie pan, że mi to na myśl nie przyszło. Dobranoc.

Hoszowski odprowadził nas do drzwi, wpuścił psa, który buszował dotychczas po ogrodzie i zaniknął go w piwnicy. Noc była świeża, ciemna, chłodna.

— Dziękuję państwu — mówił Hoszowski, stojąc w drzwiach — mam nadzieję, że się jeszcze w tym domu zobaczymy na kolejnym bridżu. Furtkę proszę zatrzasnąć. Dobranoc.

Obejrzałem się po paru krokach. Zobaczyłem tylko jego sylwetkę, o ostrych konturach, jakby wyciętą z czarnego papieru, w jasnym prostokącie drzwi. Cofnął się, drzwi szczerknęły, zgasła mleczna kula lampy nad futryną. My weszliśmy już w krąg światła ulicznej latarni.

— Przejdźmy się jeszcze — zaproponowała Ada. — Dziesięć, piętnaście minut, dobrze? Jestem jak zaczadziła od upału, papierosów i alkoholu.

— O tej porze? — oburzył się Mrozowski. — Nigdy, moi drodzy. Najwyższy czas na sen. Zrobiło się chłodno i późno.

— Kiedy to dobry pomysł — ożywiła się Ewa. — Odprowadzimy pana do taksówki, dobrze?

— Będzie mi bardzo miło — rzekł Winiarski.

— Niestety, idziemy w przeciwną stronę — oświadczyła Ada.

— Dojdziemy do glinianek i z powrotem. Dość mam dreptania po chodnikach.

— Oczywiście, proszę się mną nie krępować — powiedział zimno Winiarski. — Możliwe, że pójde piechotą w kierunku placu Powstańców i będę łapał taksówkę po drodze. Dobranoc, dziękuję państwu. Pani Ewo, może jutro zajrzy pani na naszą sesję z panem Jackiem? Będę bardzo rad.

— Przyjdę na pewno — powiedziała Ewa. — Dobranoc panu.

Przez chwilę jeszcze słyszeliśmy kroki Winiarskiego, znikł za kolejnym kręgiem światła. Państwo Mrozowscy ruszyli rażno ku domowi, my poszliśmy jeszcze w stronę glinianek, z przyjemnością wdychając chłodne, rześkie powietrze. Rozmawialiśmy leniwie o niczym, Janusz nie próbował już zniknąć z Ewą w ciemnościach, Ada, rozleniwiona i małomówna, nie starała się wyprowadzić go z równowagi;

zawróciliśmy na placyku, nie wchodząc już na ścieżkę i łąki, bo Ewa była jednak zmęczona, a i my, po tym gorącym dniu, po alkoholowym wieczorze nie mieliśmy już nic przeciw temu, aby wreszcie znaleźć się w łózkach. Spostrzegłem, że milknę w środku zdania, że ciężą mi powieki, to ta ostatnia noc, tylko trzy godziny snu, dzielące dwa pełne zdarzeń dni, dni, podczas których poruszałem się w gąszczu faktów i fackików, drobnych, ulotnych, najczęściej nieważnych — a jednak chwilami wydawało mi się, że właśnie w tym potoku codzienności, w tym, co przewija się przez rozmowy, w żartach, informacjach, plotkach, docinkach, spięciach kryje się jeszcze dla mnie nieostry, jeszcze niedający się uchwycić, ale już obecny kształt prawdy o tych ludziach, o ich zamiarach, planach, intencjach. Czy jest tak rzeczywiście, czy tylko uspokajam siebie, tłumaczę przed samym sobą brak punktu zaczepienia, roboczej choćby hipotezy, która nadałaby kierunek śledztwu? Odpowiem sobie na to rano, rano, kiedy nareszcie będę wyspany.

— Zdaje się — szepnęła mi do ucha Ewa — że i ty masz dość. Pierwszy raz milczysz już od dwu minut.

— Przedwczoraj pierwszy raz mnie zobaczyłaś — powiedziałem. — Jeszcze cię czeka wiele niespodzianek.

— Nie szeptać — mruknęła Ada — nie rozmawiać. Idziemy spać.

— Przez ten spacer — ziewnął Janusz — jestem już gotowy. Naprzód piłem i od razu mam kaca. Zupełny idiotyzm. A gdzie to, co w środku?

Wiatr szumiał w ogrodach, poczułem na czole krople deszczu. Skrzypnęła furтка, okna były ciemne. Spojrzałem w stronę willi Hoszowskiego, i tam nie paliły się już światła.

— Trzeba by jakoś zamknąć tę furtkę — powiedział Janusz. — Helena będzie się wściekać.

— To niech się wścieka — burknęła Ada. — Straszna przeszkoda, taka furтка, gdyby ktoś naprawdę chciał wejść.

Drzwi na taras były zamknięte.

— Masz klucze, Ada? — spytałem.

Szukała po ciemku w torebce, mamrocząc pod nosem coś niezbyt pochlebnego o wuju Mrozowskim.

— Mam — westchnęła wreszcie. — Obejdzie się bez burzy, nie obudzimy Heleny.

— Całe szczęście — mruknęła sennie Ewa. — Zasypiam, stojąc.

Zapaliliśmy światło w hallu, zatrzasnęliśmy drzwi.

— Która godzina? — spytała Ewa.

— Dziesięć minut po północy — odpowiedziałem.

Skierowaliśmy się ku schodom, kiedy zadzwonił telefon. Byłem najbliżej, podszedłem szybko, podniosłem słuchawkę.

— Co za wariat? — wyrzekła Ada ze schodów. — Zbudzi ciotkę i cały dom.

— Słucham — powiedziałem.

— Pan Joachim? Szczęśliwie się składa. Pomyślałem, że właśnie wracacie ze spaceru i jeszcze pana złapię. Tu Winiarski. Strasznie pana przepraszam, dopiero po powrocie do domu zobaczyłem, że pomyliłem książki, moje także leżały na kominku. W rezultacie mam „Przez pustynię” i „W Kordylierach” i pan także po jednym tomie z każdego cyklu. Wszystko przez te podobne oprawy.

— Głupstwo — powiedziałem. — Jutro na sesji wymienimy drugie tomy. Widzę, że wrócił pan bez kłopotów.

— Zaraz za rogiem złapałem taksówkę. Jeszcze raz przepraszam i dobranoc.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem ku schodom.

— Obaj jesteście pomyleni — powiedziała Ewa. — Nie dosyć, że czytacie niepoważne głupstwa, jeszcze robicie z tego problemy.

— Nie masz racji — zaprotestowałem — nastawiłem się na cykl arabski i właściwie jestem wściekły na Winiarskiego. On to rozumie, bo też jest rozczarowany.

Ada nakreśliła palcem kółko na czole.

— Ja to też rozumiem — rzekł Janusz — wielu taterników czyta Maya i bardzo go sobie cenią. Na przykład Jaszcz. I wcale mu tego nie mam za złe.

— Tego to i ja mu nie mam za złe — powiedziałem.

— Cicho — syknęła Ewa — cały dom śpi. Chodźmy wreszcie.

Ruszyliśmy na górę, kiedy znowu zadzwonił telefon.

— Powariowali — wściekła się Ada. — Teraz pewnie Hoszowski nas poinformuje, że nie może znaleźć waleta kier. Szybko, Jacek.

Już byłem przy telefonie.

— Słucham — powiedziałem. Cisza.

— Słucham — powtórzyłem.

Chciałem odłożyć słuchawkę, kiedy dobiegł mnie niewyraźny szelest, odgłosy szamotania — i znowu cisza.

— Zostaw, pewnie pomyłka — zawołała Ewa. Wtedy usłyszałem.

— Koh-ra! Koh-ra! — Gwałtowny szelest i znowu:

— Koh-ra!

— Halo — powiedziałem głośno — halo! Panie doktorze!

— Koh-ra! — odpowiedziała papuga. — Koh-ra!

Skrytka nr 512

— No, co tam? — spytała niecierpliwie Ada. Odłożyłem wolno słuchawkę na stolik.

— Nie podoba mi się to — powiedziałem.

Ewa, która była już na górze, cofnęła się o parę stopni, przechyliła się przez poręcz.

— Co ci się nie podoba?

— Słyszać tylko papugę. Myślę, że to nie ona dzwoniła, a Hoszowski nie robiłby takich kawałów. — Panie Januszu — zdecydowałem się nagle — pójdziemy tam. Szybko.

— Zwariowaliście? — zaprotestowała Ewa. — Będziecie dobijać się do obcego domu po północy? A jak wam nikt nie otworzy, to wejdziecie oknem?

— Wejdzmy oknem — odpowiedziałem. — A więc? Pójdzie pan ze mną?

Janusz zawahał się, ale spojrzał na Ewę i postanowił być mężczyzną.

— Idę — odpowiedział krótko. Ada podeszła do mnie, była blada.

— Myślisz... — zaczęła niepewnie — myślisz, że coś się stało? Dlaczego?

— Nie wiem dlaczego.

Byłem już przy drzwiach. Ewa westchnęła ciężko, zeszła na dół, usiadła w fotelu.

— Zaczekam tu na was — powiedziała.

Na tarasie zobaczyłem, że Ada idzie z nami. Okna Hoszowskiego były ciemne. Padał deszcz. Zatrzymałem się.

— W kuchni na murku widziałem latarkę — zniżyłem głos, jakby ktoś, zaczajony w ciemności, mógł nas podsłuchać. — Ada, weź ją.

Zawróciła bez słowa.

Czekaliśmy z Januszem w milczeniu. Ogród pełen był szumu

i trzasków. Kiedy przycichł wiatr, usłyszeliśmy stłumione szczekanie.

— To pies Hoszowskiego — powiedziałem. — Dobija się do drzwi piwnicy.

Wróciła Ada, podała mi latarkę. Zszedłem z tarasu i skierowałem się w lewo.

— Gdzie idziesz? — zawołała Ada. — Widziałeś, że ta furтка jest zamknięta!

— Ta od ulicy także. Szkoda czasu, chodźcie.

Byłem zdenerwowany, każda chwila wydawała mi się droga. Coś się stało, coś się musiało stać. Mój nastrój udzielił się Adzie, Janusz próbował jeszcze protestować.

— Nie będziemy chyba przechodzić przez ogrodzenie — powiedział — to nie byłoby w porządku. Trzeba jakoś skontaktować się z doktorem Hoszowskim, dowiedzieć się...

— Jak? — spytałem. — Telefonicznie? Porozmawia pan z papugą. Szybciej.

To tutaj. W bladym krążku światła pobłyskuje w wyrwie żywoplotu siatka furtki. Podałem latarkę Adzie, po paru sekundach byłem po drugiej stronie. Po mnie szła Ada, przeszkadzała jej sukienka, ale dała sobie radę. Janusz przerzucił nam latarkę, pokonał przeszkodę z gracją godną grotolaza. Zbliżyliśmy się do domu. Słysać było wyraźnie szczekanie.

— Wymordowali ich, czy co? — mruknął Janusz.

— Czemu żaden nie uspokoi psa?

— Nie mów głupstw — syknęła Ada. Zadzwoń do drzwi, raz, drugi. Nikt nie otwierał, nie zapaliło się wewnątrz światło. Tylko wzmoгло się szczekanie psa. Ostro dźwięczał dzwonek w pustym hallu.

— Zaczyna padać — powiedział bezmyślnie Janusz.

— Prócz tego mamy dziś czwartek — zirytowała się Ada. — Co robimy, Jacek?

— Może oni po prostu mocno śpią — rzekł niepewnie Janusz.

— Możliwe — zgodziłem się — ale chcę być pewny. Spróbujemy od tyłu.

Rzeczywiście deszcz wzmagał się. Chłodne krople spływały

mi po karku za koszulę. Tylne drzwi także były zamknięte. Skierowałem światło latarki w górę. Okna pokoju na górze — sypialni Hoszowskiego — były otwarte.

— Chwileczkę — powiedział Janusz — to jest, zdaje się, zatrzask. Spróbuję coś zrobić.

Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej garść rupieci, jakieś śrubki, drut, a także cienki, giętki pasek stali. Poświeciłem mu.

— Nie wiedziałam, że jesteś włamywaczem — mruknęła Ada.

— W moim domu mam także zatrzask, a czasami zapominam kluczy. Jestem już prawie specjalistą.

Wsunął pasemko stali w szparę między futryną a drzwiami na wysokości zamka. Potem pchnął drzwi otwartą dłonią.

— Proszę — rzekł.

Wszedłem pierwszy. W hallu było ciemno, zasunięte zasłony, porzucone filizanki na stoliku w rogu, na kominku odstawiony przez kogoś kieliszek do połowy napełniony koniakiem. Z kuchni słychać było szczekanie, drapanie w drzwi.

— Halo! — zawołała Ada.

Stała tuż za mną, ze ściągniętymi ramionami, blada. Janusz rozglądał się niespokojnie.

— Koh-ra! Koh-ra! — rozległo się na piętrze. Skierowałem się ku schodom. Na górze zatrzymałem się przed drzwiami gabinetu. Usłyszałem łopot skrzydeł papugi objijającej się po klatce. Nacisnąłem klamkę, wszedłem. Krążek światła przesunął się z klatki, wypełnionej szeroko rozpostartymi skrzydłami ptaka, w stronę biurka. Siedział przy nim Hoszowski z głową opartą o blat. W rękę trzymał słuchawkę telefonu. Podeszedłem bliżej. Na nienaturalnie wygiętych plecach lekarza błyszczały kłębkami kolorowych iskier podłużny kształt. Nachyliłem się. Pod lewą łopatką, wbity aż po jelec, tkwił sztylet o rękojeści pokrytej misternym ornamentem, ozdobionej trzema pięknymi kamieniami. Na jasnym tropiku marynarki rozlała się czerwobrunatna plama świeżej krwi.

— Sztylet — powiedziałem cicho. — Sztylet wenecki.

— Ada! — zawołał Janusz. — Zwariowałaś? Co ci jest?

Odwróciłem się powoli. Ada zemdliała. Janusz trzymał ją w objęciach. Twarz Ady była biała, kropelki potu lśniły na jej

czole. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę, przez chusteczkę nacisnąłem kontakt, rozbłysło światło u sufitu.

— Niech ją pan położy na dywanie — powiedziałem. Ująłem ostrożnie, ciągle przez chusteczkę, karafkę z wodą, stojącą na stoliku w rogu. Chlusnąłem wodą na twarz Ady. Drgnęła, otworzyła oczy.

— Co się stało? — szepnęła.

— Zejdiesz teraz na dół. Janusz ci pomoże. Zaczekajcie w hallu, zaraz tam przyjdę.

— Trzeba zawiadomić milicję — rzekł Janusz — niczego nie dotykać.

— Staram się właśnie. Idźcie.

— A pan? — spytał Janusz.

Robił takie wrażenie, jakby w ogóle nie widział ciała Hoszowskiego, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało. Był chłodny, czujny, opanowany. Gdzie się podziała jego mazgajowatość, niezdarność, płacziwość?

— Postaram się wezwać milicję. Szybko, szkoda czasu.

Ada wstała z trudem, przy naszej pomocy, starała się nie patrzeć w stronę biurka. Oparła się na ramieniu Janusza. Janusz w progu zatrzymał się jeszcze i obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

Usłyszałem jakiś szmer w słuchawce, tkwiącej w odrzuconej ręce Hoszowskiego. Pochyliłem się nad biurkiem.

— Halo! — Poznałem głos Ewy. — Halo! Jacek!

— Ewa? Posłuchaj mnie. Potem ci powiem, co się stało. Hoszowski nie żyje. Zaczekaj, trzymaj się, jesteś mi potrzebna. Uważaj, dyktuję ci numer — wyjąłem notatnik z kieszeni — zapisz: 76 97 27. Poprosisz porucznika Grzywińskiego. Powiesz, żeby wziął ekipę, kolegę od sprawy profesora Kędzierskiego i natychmiast tu przyjechał. Uważaj, odłóż słuchawkę, ja tutaj nacisnę widelki. I wtedy dzwoń. Zrozumiałaś wszystko?

— Zrozumiałam — powiedziała tylko.

Nacisnąłem — wciążyłem przez chusteczkę — widelki.

W słuchawce zabrzmiał sygnał centrali.

Rozejrzałem się dokoła. Na pierwszy rzut oka wydawało się,

że nic tu się nie zmieniło, że pokój wygląda dokładnie tak, jak wtedy, kiedy byłem w nim po raz ostatni. W popielniczce na stoliku leżał jeszcze niedopałek papierosa, którego tu wypaliłem. Na regale luki po książkach, które pożyczyliśmy. Nierówno odłożony na dolną półkę rocznik „Asa”. A jednak wciąż nie mogłem pozbyć się uczucia, że umknął mojej uwadze jakiś drobny, niezauważalny niemal szczegół, coś, co pomogłoby mi choć w części zrozumieć, dlaczego, a przynajmniej jak to się stało.

Minęło już podniecenie i to nieznośne, mdlące uczucie porażki, kiedy to, pewny, że przeciwnik nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, że dzieje się wokół mnie coś, czego nie potrafię jeszcze zrozumieć, cały ten czas czekałem na uderzenie, nie wiedząc, z jakiej strony nadejdzie — a gdy nadeszło, stanąłem znowu na początku drogi, zaczynam wszystko od początku, wciąż bezradny, zabłąkany w gąszczu faktików, pozbawiony zaś informacji, które mogłyby nadać właściwy kierunek moim poczynaniom. Jestem tu jednak zaledwie od dwu dni — on natomiast, czy oni, przygotowywali się od dawna, trzymają wciąż w rękach wszystkie nici, znają przeszłość swoją i swoich ofiar, a w terażniejszości dostrzec mogą to, co dla nich ważne, odrzucając plewę przypadkowych zdarzeń, słów i sytuacji. Ich więc, czyjego przewaga była przewagą naturalną. Ale działając — dostarczał mi poszlak, choćby nie wiem jak starannie zacierał po sobie ślady. Teraz zaś w równie naturalny sposób będzie musiał przejść do defensywy. Straci przewagę inicjatywy. Ja ją zyskam. Jeżeli, oczywiście, osiągnął już to, co chciał osiągnąć. Jeżeli wszystkie moje trudności nie mają źródła w fakcie, że splot przyczyn, jakie doprowadziły do obu tych zabójstw w sąsiednich domach, nie jest bardziej złożony, bardziej zróżnicowany, niż mogłem to przypuszczać. Wciąż jeszcze nie mam przecież prawa uważać, że oba morderstwa łączą się z sobą inaczej, jak tylko w czasie — i w przestrzeni.

Zapaliłem papierosa, podszedłem do okna. Między drzewami prześwitywała mleczna, rozpylona w deszczu poświata — to na taras willi profesora Kędzierskiego padało światło z hallu.

Ujrzałem w tym świetle ciemną, niewyraźną sylwetkę. To Ewa. Uniosłem rękę, odpowiedziała mi tym samym gestem. Cofnęła się. Monotonnie bębniły po dachu i blachą wykładanych parapetach wielkie krople ciepłego deszczu.

Zaskrzeczała papuga. Podszedłem do klatki. Ptak siedział nastroszony, nieufny, błyskał czerwonym okiem. On widział. Widział wszystko.

— No, Kora — szepnąłem bezmyślnie — powiedz coś więcej. Cokolwiek.

— Koh-ra! — odpowiedziała papuga, rozkładając fioletowo-purpurowe skrzydła, przekrzywiając krótką, żółtą szyję.

Zeskoczyła z drążka, zachwiała się. Pazury lewej nogi utkwily w szerokiej szparze w dnie klatki. Szarpnęła, aby wyswobodzić nogę, raz, drugi. Szpara rozszerzyła się. Patrzyłem uważnie. Papuga, jednym machnięciem skrzydeł, powróciła na drążek. Dno klatki było podwójne. Górna warstwa odsuwała się jak wieko szkolnego piórnika. Już wiem, który szczegół został tu zmieniony. Uśmiechnąłem się: jak w rysunkach „Przekroju” — „wyteż wzrok i znajdź 20 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki”. Klatka stała odwrócona drzwiczkami do ściany. Przedtem drzwiczki zwrócone były na pokój.

Część skrytki, widoczna przez szparę, była pusta. Nic tu więc po mnie. Wkrótce powinna nadjechać ekipa. Wyszedłem, nie gasząc światła.

W hallu paliła się stojąca lampa przy kominku. Ada siedziała w fotelu, trzymała w ręku kieliszek. Janusz stał obok, również z kieliszkiem w ręku.

— Nalejcie i mnie — powiedziałem.

— Wezwał pan milicję? — spytał Janusz. — Nie powinien pan był ruszać telefonu.

— Nie ruszałem. Ewa wezwała.

Wypiłem koniak jednym haustem, jak wódkę. Znowu czułem ciężkie, zaczajone zmęczenie. Nie wolno mi się poddać.

— Gdzie jest Zagórski? — szepnęła Ada.

Siedziała z głową odrzuconą na oparcie, wciąż blada.

— Jak widzisz, nie na wszystko jestem odporna — próbowała się uśmiechnąć — a Hoszowskiego znałam od dziecka. I ten

sztylet...

— Ten sztylet znasz także, prawda?

— Widziałam go u matki... U ojczyma także... Jak myślisz, muszę tu chyba zostać do przyjazdu milicji? Czy mogę wrócić do domu? Na pewno nie zasnę, ale chciałabym się położyć.

— Musisz zostać — powiedział Janusz stanowczo. Podszedłem do drzwi w rogu, otworzyłem je. Kuchnia.

Stosy brudnego naczynia pobłyskują w półmroku. Kieliszki, półmiski, pokrajany chleb.

— Niech pan nigdzie nie zagląda — odezwał się Janusz. — Może pan pozacierać ślady.

— Ślady czego? — spytałem, podchodząc do następnych, ukrytych za załamaniem ściany drzwi. — Pan także czyta indiańskie powieści?

Nacisnąłem klamkę, ustąpiła. Stałem w progu średniej wielkości pokoju. Na szerokim tapczanie leżał Zagórski. W spodniach, butach, rozpiętej koszuli, w przekrzywionym i rozluźnionym krawacie. Marynarka nieporządnie zwisała z poręczy krzesła. Zagórski leżał wyprostowany, z rękami splecionymi na brzuchu, nieruchomy, jak upozowana kukła.

— Co... co tam znowu? — jęknęła Ada.

Jednym skokiem znalazłem się przy tapczanie. Pochyliłem się nad leżącym. Odetchnąłem. Zagórski oddychał ciężko, regularnie. Spał. Po prostu mocno spał.

Ująłem go silnie za ramię, potrząsałem raz, drugi. Drgnął, otworzył oczy, patrzył chwilę nieprzytomnie.

— Niech pan wstanie — powiedziałem głośno. — To ja, Joachim — dodałem widząc, że mnie nie poznaje. — Niech się pan obudzi!

— Wszystko w porządku? — spytał Janusz z progu.

— W porządku. Niech pan uspokoi Adę.

Zagórski ziewnął szeroko, podniósł się, przytomniejąc.

— Jeszczeście nie poszli? — spytał bełkotliwie. — Nie będę już grał. Źle się czuję.

— Niech pan wstanie — powtórzyłem. — Musi pan wstać.

— Co się stało? — ziewnął znowu. — Chwileczkę, zaraz przyjdę do siebie.

Usiadł, tarł oczy rękami. Podąłem mu szklanę wody z karafki stojącej na stoliku. Wypił łapczywie, łykając głośno. Wstał z trudem, chwiejąc się. Dotknął szyi, wyczuł krawat, spojrzał na siebie.

— Nawet się nie rozebrałem — mruknął. — Ale zważyło mnie z nóg. — I innym już głosem — A więc, co się stało?

— Doktor Hoszowski nie żyje — powiedziałem. — Proszę przejść do nas, do hallu.

Żałowałem, że wchodząc, nie zapaliłem światła. Twarz Zagórskiego tonęła w półmroku, widziałem tylko ciemny zarys głowy.

— Nie... nie żyje? — wyjąkał. — To niemożliwe. Serce?

— Nie, nie serce. Chodźmy.

Ruszył bez słowa. Weszliśmy do hallu. Ada stała przy fotelu, patrzyła na nas z niepokojem. Zagórski zmrużył oczy. Na jego spodniach rysowały się wyraźnie nienaganne kanty. Czy tak by wyglądały, gdyby spał w nich od godziny?

— On... — powiedziała Ada — on... został zamordowany.

— Sztyletem weneckim — dodał spokojnie Janusz.

Zagórski zbladł. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, o coś zapytać, ale potrząsnął głową, podszedł do stolika, nalał sobie pełny kieliszek i wypił go duszkiem. Szumiał deszcz za oknami, chłupot wody w rynnach, trzask kropel rozpryskujących się na tarasie. Zagórski skierował się ku schodom.

— Niech pan zostanie — powiedziałem. — Nikt nie powinien tam wchodzić do przyjazdu milicji.

Odwrócił się wolno, z ręką na poręczu.

— Ale wy tam byliście — mruknął.

— Tak, byliśmy — zgodziłem się. — Dzięki temu mogłem pana poinformować, co dzieje się w domu, w którym pan mieszka.

Zagórski zastygł w bezruchu.

— Spałem — powiedział wolno.

— I to dość mocno. Zaczekamy tutaj.

Zawrócił bez słowa, usadowił się w fotelu. Oczekiwałem, że będzie pytał, snuł refleksje i przypuszczenia, ale Zagórski

milczał. Milczeliśmy i my. Usiadłem na poręczy fotela Ady, chwyciła moją rękę, zacisnęła na niej palce. Janusz przysunął sobie krzesło do stolika, nalał wody do szklanki, popijał drobnymi łykami.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedział, jakby do siebie.

— Ani ja — odezwał się Zagórski. — Czy wam się, moi młodzi, nie przywidziało? I jak się tutaj dostaliście? Teraz pamiętam, że wyszliście, wszyscy. Ja powiedziałem dobranoc i poszedłem do siebie.

— Nie przywidziało nam się — mruknąłem. — Chodź, Ada, zrobimy kawy.

Weszliśmy do kuchni, zostawiając otwarte drzwi, z których widać było początek schodów. Ada zaczęła się krzątać, na jej twarzy pojawiły się lekkie rumieńce.

— Nie myj szklanek — powiedziałem. — Zobacz, czy są czyste.

Zaszumiał czajnik na gazowej kuchence, po chwili z tacą, na której dymiły cztery szklanki mocnej kawy, wróciliśmy do hallu. Dopijałem swoją, kiedy Zagórski wstał i wyjrzał przez okno.

— Ktoś przyjechał — oznajmił.

Znowu zaszczekał pies, usłyszeliśmy chrobot pazurów drapiących drzwi do piwnicy.

— Obudził się — mruknął Zagórski.

— Nie spał i przedtem — powiedziałem, idąc ku drzwiom. — Słyszeliśmy jego szczekanie z ogrodu. Tylko pan go nie słyszał.

Zagórski, zwałisty, przygarbiony, spojrział na mnie ostro spod krzaczastych brwi.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — wycedził.

— Dokładnie to, co powiedziałem.

Wyszedłem na taras. Przed domem stała karetka milicyjna, za nią warszawa. Deszcz ustawał, uniosłem twarz ku górze, tylko pojedyncze krople, pomarańczowy księżyc wygląda zza chmur. Podbiegłem do furtki, otworzyłem.

— Twoja Ewa mówiła prawdę? — spytał Grzywiński, nieogolony, rozczochrany.

— Prawdę. Słuchaj, jeszcze im nie mów, kim jestem. Adę i Janusza odeślij do domu, mnie każesz zostać. Jest lekarz?

— Zaraz przyjdzie — powiedział szczupły szatyn, witając się ze mną. — Kapitan Marciniak z komendy wojewódzkiej.

— Będziemy współpracowali, tak? Chodźmy, potem opowiem wam o szczegółach.

Marciniak był w mundurze, wszedł więc pierwszy, za nim Grzywiński, za nimi ich ludzie z aparatami i sprzętem potrzebnym do oględzin.

— Nasz specjalista od kosmetyków — powiedziała Ada.

— Porucznik Grzywiński z Komendy Głównej — skłonił się przed nią Grzywiński.

— Wiedziałam.

— Naprawdę?

— I ja wiedziałem — odezwał się Zagórski. — On... on nam powiedział.

I wskazał na schody.

— Państwo przyszlście z panem Joachimem, prawda? — spytał Grzywiński. — Proszę wracać do domu. Zobaczymy się jutro, czy raczej dzisiaj. Pan Joachim zostanie. Pan, oczywiście, także — zwrócił się do Zagórskiego.

— To dobrze — powiedziała Ada. — Ledwo trzymam się na nogach.

Janusz zawahał się, spojrział na Grzywińskiego, na mnie.

— My wyszliśmy stamtąd pierwsi — rzekł wreszcie.

— Pan Joachim został tam jeszcze dłuższą chwilę.

— Dziękuję, że mi pan o tym powiedział — skłonił się Grzywiński. — Dobranoc panu.

— Gdzie są zwłoki? — spytał Marciniak.

— Na górze, pierwsze drzwi na lewo.

Ruszył ku schodom, prowadząc swoją ekipę. Ada, przechodząc koło mnie, zatrzymała się na moment.

— Szkoda, że musisz zostać. — Jej głos przytłumił odgłos kroków na schodach, gwar rozmów. — Chciałabym, żebyś był teraz ze mną. Ja... — dodała prawie niedosłyszalnie — ja... ja się boję.

— Przyjść, kiedy będę mógł — powiedziałem. — Postaraj się zasnąć.

— Nie zasnę.

I wyszła. Janusz ruszył za nią.

— Ja też pójdę się położyć — rzekł Zagórski. — Jeżeli nie jestem teraz panu potrzebny.

Grzywiński spojrzał na mnie pytająco.

— Zostanie pan tutaj — powiedziałem. — W pokoju pana przeprowadzimy rewizję.

— Co takiego? — zdumiał się. — Co pan powiedział? — W jego głosie była rosnąca wściekłość. — Pan nie ma...

— Kapitan Joachim — przerwał mu ostro Grzywiński — prowadzi z ramienia Komendy Głównej śledztwo w sprawie zabójstwa profesora Kędzierskiego, a teraz także doktora Hoszowskiego. On tu decyduje.

Zagórski przygasł nagle, zgarbił się.

— Nie... nie wiedziałem — wybelkotał. — Pan jest z milicji? Nie wiedziałem... — powtórzył bezradnie.

— Niech któryś z waszych ludzi posiedzi w hallu z panem Zagórskim — powiedziałem. — My przejdziemy na górę.

W gabinecie Hoszowskiego pracował fotograf i daktyloskopowe. Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju. Stał tam tapczan, przy nim stolik, w rogu wielki, klubowy fotel pod stojącą lampą. Zajrzałem do następnego pokoju; był mały, wąski ze ściętym sufitem; prawa, najdłuższa ściana obudowana była szafami, naprzeciw nich, pod oknem, stała niska sofka, dywanik przed nią — i to wszystko. O wiele piękniejszy dywan leżał na podłodze sypialni, na ścianach wisiały obrazy; przyjrzałem im się i gwizdnąłem z podziwem. Gierymski, wczesny Malczewski, dwa portrety Witkacego, jeszcze jakiś Kossak, małe pejzażyki Filipkiewicza, a także jeden Strzeмиński.

— Nie był to ubogi człowiek — rzekł z zadumą Grzywiński.

Zajrzałem do gabinetu.

— Zróbcie wprzód klatkę z papugą — zawołałem.

— Chcę ją obejrzeć.

Wszedł Marciniak, usiedliśmy, zapaliłem papierosa. Opowiedziałem im szczegółowo dzieje tego wieczoru. Kiedy skończyłem, milczeliśmy chwilę. Przetarłem oczy, spojrzałem na zegarek. Kwadrans po pierwszej.

— Nie spodziewałeś się tego, prawda? — spytał Grzywiński.

— Myśli pan, że oba te zabójstwa mają z sobą coś wspólnego? — odezwał się Marciniak, uznawszy słusznie pytanie Grzywińskiego za retoryczne. — Bo pozory mogą mylić. W każdym wypadku mogło chodzić o coś innego.

— Mogło — przyznałem — co więcej, pozorów wszędzie tu jest więcej niż istotnych faktów i jak dotąd mylą nas skutecznie. Wydaje mi się, że zbiega się tu kilka wątków i jeżeli tylko jeden z nich, którykolwiek, uda nam się wyodrębnić, będziemy mogli po raz pierwszy rozeznaczyć się w tej gmatwaninie.

— Właśnie — westchnął Grzywiński — najlepiej byłoby wyodrębnić wątek mordercy. Reszta pójdzie jak z płatka.

Marciniak roześmiał się jowialnie.

— Co teraz robimy? — spytał Grzywiński. — Jacek, co z tobą, zasypiasz?

— Nie — powiedziałem — nie zasypiam. Robię coś, co znasz tylko z nazwy. Zastanawiam się. Masz rację, specjalisto od kosmetyków. Prawdopodobnie masz rację. Co za szkoda, że nie rozumiesz, co mówisz.

— Coś podobnego! — wykrzyknął Grzywiński, zwracając się do Marciniaka. — Ty widzisz, jak on mnie traktuje? Co byś zrobił na moim miejscu?

— Napiłbym się czegoś — rzekł Marciniak — i dałbym jeszcze pomyśleć kapitanowi Joachimowi.

— Wystarczy — powiedziałem, wstając — nie chcę wpędzać Grzywińskiego w kompleksy. No co z tą kłatką?

Marciniak roześmiał się znowu, jak przedtem trochę za głośno.

— Ja bym tam wolał z wami nie zaczynać — rzekł — zaraz zobaczą, co z tą kłatką.

— I poślijcie dwóch ludzi do pokoju Zagórskiego, kiedy tylko będą wolni — dodałem — nie wiem, czego mają szukać, ale niech szukają. Portfel, ubrania, wszystko. Drzwi z hallu na lewo.

— Zrobi się — rzekł Marciniak — a jak zażąda nakazu prokuratora?

— On tu nie mieszka, jest gościem. Zresztą niech sobie żąda,

dostanie. — A kiedy Marciniak wyszedł, powiedziałem do Grzywińskiego: — Za chwilę rozejrzemy się po domu i ogrodzie. Boję się, że zasną. Napiję się jeszcze kawy.

Wszedł Marciniak, niosąc klatkę.

— Gotowe — rzekł — ale to ptaszysko przerażone! Aż go żal.

— Trudno się dziwić. Nie dość, że napatrzyła się scen z filmów grozy, jeszcze ją sfotografowali i posypali jej klatkę proszkiem. No chodź, Kora, chodź.

Otworzyłem drzwiczki, wsunąłem rękę ostrożnie do klatki. Papuga wcisnęła się w kąt klatki, nie chciała usiąść mi na palcu. Odsunąłem więc górną część dna. Grzywiński gwizdnął z przejęciem, pochylił się w trójkę nad klatką. Ale skrytka była pusta.

— No tak — powiedziałem, zasuważąc dno i odstawiając klatkę na stolik — dziwiłbym się, gdyby coś jeszcze tu było.

— A było tu coś w ogóle? — spytał Marciniak.

— Na pewno. Coś, co Hoszowski wyjął krótko przed śmiercią. Na przykład...

— Na przykład co?

— Na przykład... sztylet wenecki.

— A resztę klejnotów zabrał morderca — rzekł Grzywiński.

— Może... — powiedziałem bez przekonania. Wstałem gwałtownie, aby nie poddać się zmęczeniu. — Zejdziemy na dół. Macie jakieś latarki? Obejrzymy ogród.

— Deszcz zmył wszystkie ślady — pokręcił głową Marciniak — jeżeli jakiegokolwiek były.

— Wiem, wiem — mruknąłem.

W hallu Zagórski zerwał się z fotela.

— Panie kapitanie — powiedział z większą już pewnością siebie — proszę o wyjaśnienie. Nie wiem, co stało się właściwie w tym domu i dlaczego jestem traktowany jak podejrzany.

— My też niewiele wiemy — rozłożyłem ręce — proszę o jeszcze trochę cierpliwości. Musi pan zrozumieć, że wykonujemy po prostu swoje obowiązki.

Usiadł z powrotem, pomrukując coś pod nosem. W kuchni zrobiliśmy sobie jeszcze kawy.

— Chyba przesadziłem — stwierdziłem, odstawiając szklanę

— serce mi wali, a oczy się kleją. Zobaczymy, czy jeszcze pada.

Nie padało. Zatrzymaliśmy się w progu kuchennych drzwi.

— Nie zamykajcie ich — powiedziałem — każcie zbadać zamek. Wychodziliśmy tędy na ogród. Ewa, Ada, Janusz i ja. Nie zaniknęliśmy drzwi, zatrask był zabezpieczony. Zasuwa odciągnięta, jak teraz. Wróciliśmy wejściem frontowym. Ciekaw jestem, kto zamknął te drzwi.

— Pewnie gospodarz po waszym wyjściu — wzruszył ramionami Grzywiński — tak się na ogół robi przed pójściem spać.

— Chyba nawet nie wiedział, że byliśmy w ogrodzie...

Zeszliśmy do ogrodu. Ścieżki były rozmokłe, stały na nich kałuże, wiatr strącał z drzew krople wody, znów było duszno, ziemia parowała wilgocią.

— Przemoczę sobie nogi — narzekał Grzywiński — znowu wlałem w błoto. Co my tu właściwie robimy?

— Oddychamy świeżym powietrzem — rzekł z zadowoleniem Marciniak. — Wolę to, niż siedzieć tam na górze.

Poprowadziłem ich w głąb ogrodu. Ścieżka biegła prosto przez dobrze utrzymany trawnik, w głębi majaczyły niskie, krępe kształty owocowych drzew. Nie było tu ani kwiatów, ani jarzyn, Hoszowski najwidoczniej uważał swój ogród za miejsce biernego, a nie czynnego wypoczynku. Doszliśmy do poprzecznej ścieżki, biegnącej wzdłuż tylnego ogrodzenia, pod wysokim żywopłotem.

— To ja rozumiem — powiedział Marciniak tonem gospodarza — w ten sposób człowiek może być swobodny w swoim ogródku. Nie to, co u mnie, na Sępólnie. Jak zerwę jedną pietruszkę, już sąsiadki plotkują. Wszędzie tu ten żywopłot?

— Chyba tak, zobaczymy.

Skręciliśmy w lewo, dotarliśmy do rogu.

— Tam jest ogród profesora Kędzierskiego — powiedziałem — furtka między ogrodami zamknięta, przechodziliśmy przez nią.

Zawróciliśmy. Po przeciwnej stronie, w rogu, natrafiliśmy na przerwę w żywopłocie i jeszcze jedną furtkę.

— Czy on ze wszystkimi sąsiadami był w dobrych stosunkach? — spytał Grzywiński.

— Nie, popatrzcie — odezwał się Marciniak, kierując światło latarki ponad furtkę — tam jest ścieżka między ogrodami. U nas są takie same, teraz je likwidują, bo łobuziaki tamtędy chodzą i kradną owoce. Furtka zamknięta.

— Przechodzimy — zdecydowałem. — Poświećcie. Kolego Marciniak, może będzie lepiej Jak wróci pan do domu? My z Grzywińskim zobaczymy tylko dokąd można dostać się tą ścieżką, i wracamy.

— To samo chciałem powiedzieć — zgodził się Marciniak. — Pewnie już przyjechał lekarz, powinienem być na miejscu. To na razie.

Znaleźliśmy się na wąskiej ścieżce, porośniętej kępkami wysokiej trawy, między dwoma wysokimi, ciemnymi szpalerami żywopłotów. Poszliśmy w lewo, w stronę willi profesora Kędzierskiego, ale ścieżka kończyła się tu ślepo; wysoko, między koronami drzew, nad żywopłotem, paliło się światło na piętrze domu.

— To w pokoju Mrozowskich — powiedziałem.

Wróciliśmy. Ścieżka skręcała pod ostrym kątem w lewo i wychodziła na sąsiednią ulicę, w przerwie między posesjami, zamaskowana dodatkowo krzakiem dziko rosnącego bzu i kublami na śmiecie. Naszczekiwały psy, daleko zgrzytał tramwaj. Omietliśmy jasnymi krążkami światła latarek pobłyskujące kałuże, mokre, mieniące się nawisłymi kroplami liście krzaków i drzew i ruszyliśmy z powrotem.

— Dostanę przez ciebie grypy — rzekł z przekonaniem Grzywiński. — Nogi mam mokre po kolana. I po co była ta wycieczka? Myślałeś, że zabójca siedzi między kublami i czeka, aż się zniechęcimy?

— Ale skąd! Myślałem, że ucieka na czworakach i go dogonimy. Skąd wiesz, że zabójca przyszedł z zewnątrz? Że wtedy uciekł?

— Nic nie wiem.

— Jak na człowieka, który nic nie wie, mówisz trochę za dużo. Powinieneś zostać działaczem.

Dotarliśmy do domu, milcząc. Grzywiński miał rację, nie nam nie dała ta wycieczka, wciąż jeszcze szukałem po omacku, licząc na przypadek, na szczęśliwy zbieg okoliczności. Dopiero w domu nastrój mi się zmienił. Marciniak czekał na nas w hallu. Zagórski siedział nadal w fotelu, błądy i zrezygnowany. Wszedłem bez słowa do pokoju Zagórskiego. Palilo się w nim światło i trudno byłoby stwierdzić, że panuje tam nadzwyczajny porządek.

— Znaleźliście coś? — spytałem.

— Właściwie nic — rzekł Marciniak. — Przyjechał tu z jedną walizką, trochę ubrania, bielizny, pieniądze. Tylko to — sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej mały, srebrny kluczyk — trzymał to w portfelu, w małej kieszonce. Mówi, że to kluczyk od jakiejś starej szkatułki w domu, że nie pamięta nawet, kiedy go włożył do portfela i po co. Możliwe. Ale...

— Ale co?

Wziąłem kluczyk do ręki. Był płaski, nowy, na głowicy w kształcie spłaszczonego rombu miał wybity numer: 512.

— ...ale takie są klucze do skrytek na poczcie głównej. Przynajmniej podobne.

— Poślijcie dwu ludzi samochodem na pocztę główną — powiedziałem. — Niech spróbują otworzyć skrytkę 512. I niech przywiozą tutaj jej zawartość.

— Teraz? — zawahał się. — Jest środek nocy...

— Trudno. Nie możemy czekać. A my poprosimy tu pana Zagórskiego.

Marciniak wyszedł. Wyciągnąłem się na fotelu, Grzywiński na drugim, ziewał szeroko.

— Przestań, to zaraźliwe.

— Moja mama kazała mi zasłaniać usta dłonią — burknął — ale ojciec twierdził, że to małomiasteczkowa elegancja i że w ogóle nie należy ziewać w towarzystwie. Jeżeli należysz do towarzystwa, to przestanę.

— Masz jeszcze wątpliwości? Ciągłe wprowadzam cię na salony, a ty nie umiesz nawet porozmawiać o kosmetykach. Już i tak mi zarzucają, że wybieram sobie środowiska zamknięte i ekskluzywne, zamiast prowadzić śledztwo w sklepiku z piwem,

jak to powinno mieć miejsce w przyzwoitej realistycznej powieści kryminalnej. A to nie ja wybieram — ja chciałem jechać na wakacje, zamiast męczyć się tutaj. I ten się jeszcze pyta, czy należą do towarzystwa!

Wszedł Marciniak, za nim Zagórski. Wskazałem mu krzesło, usiadł ciężko.

— Przyjechał lekarz i karetka — rzekł Marciniak — zaraz go zabiorą. Moi ludzie jeszcze rozglądną się po domu.

— Niech to zrobią jak najdokładniej — powiedziałem — a potem niech ktoś zajmie się psem. Ja jeszcze przejrzę bibliotekę i papiery w biurku. Tymczasem porozmawiamy z panem Zagórskim.

— Nic nie mogę panom powiedzieć. — Zagórski wzruszył nieznacznie ramionami. — Poszedłem spać, kiedyście wychodzili. Pan Joachim mnie obudził. Nie wiem, co tu się stało.

— Kiedy widzi pan, to nie jest takie proste — podjąłem ten ton towarzyskiej pogawędki. — O ile mi wiadomo, okna są nietknięte, drzwi były zamknięte od wewnątrz i nie ma na nich śladów włamania. Na upartego można by więc powiedzieć, że nikt obcy nie mógł wejść do tego domu. Tymczasem doktor Hoszowski został zamordowany w chwili, kiedy telefonował: wykreślił numer telefonu profesora Kędzierskiego, zanim podniosłem słuchawkę, wbito mu w plecy sztylet z kolekcji, którą pan chyba zna. Byliśmy tutaj w kilka minut później; pan spał u siebie w pokoju, ale był pan kompletnie ubrany, a na pańskich spodniach widzę nienagannie zaprasowane kanty. Jak więc pan widzi, musimy porozmawiać.

— Kiedy to nonsens! — wykrzyknął Zagórski. — Po co miałbym zabijać Henryka!? Dlaczego?! To mój przyjaciel od wielu lat, byłem jego gościem. Nie było między nami żadnych poważnych zatargów... A zresztą czy ja naprawdę muszę udowadniać, że nie załatwiam żadnych spraw z nożem w rękę?

— Ależ na pewno nie — zgodziłem się. — Jak panu doskonale wiadomo, w ogóle nie musi pan udowadniać swojej niewinności. Winę należy dowieść, niewinność wystarczy zadeklarować.

— Panie Jacku — Zagórski spróbował innego tonu — przecież pan nie przypuszcza, żebym mógł coś takiego zrobić! I potem wrócić tu na dół i położyć się spać?

— No, powiedzmy, że mogło być inaczej; mógł się pan mianowicie położyć, widząc, że wchodzimy do domu. Głuche telefony z reguły się lekceważy, zabójca mógł przypuszczać, że nikt się tu przez całą noc nie zjawi i że zdąży spokojnie wywieźć i ukryć zwłoki. Ale w końcu nie o to przede wszystkim chodzi.

— Uniosłem rękę, widząc, iż Zagórski znów zamierza protestować. — Ma pan rację: dlaczego? Chciałbym więc dowiedzieć się jak najwięcej o doktorze Hoszowskim. I pan, jako stary przyjaciel zamordowanego, może mi w tym pomóc.

— Proszę pytać — rzekł znużony. — Ja panom chętnie dopomogę. Ciągłe jeszcze nie mogę zrozumieć, kto, po co i dlaczego mógł coś podobnego zrobić...

Ukrył twarz w dłoniach, a my milczeliśmy chwilę, aby uszanować jego wzruszenie, choć przez cały czas wydawało mi się, że Zagórski bardziej jest przerażony niż wzruszony i że więcej myśli o sobie, niż o swoim zmarłym przyjacielu.

— Od jak dawna zna pan doktora Hoszowskiego?

— Poznałem go w Poznaniu, u pani Murawskiej, kilkanaście lat temu. To było chyba w 52. albo w 53. W lecie, pamiętam, że w lecie. Też były takie upały jak teraz...

— W lecie zdarzają się upały. Spotykał się pan z nim często?

— Początkowo nie. Czasami. W Poznaniu pani Murawska bywała wtedy rzadko, mieszkali tutaj, dopiero po 56., kiedy pani Murawska wróciła do interesów, zacząłem jej pomagać, bywać tutaj, zresztą wkrótce ona z córką wróciła na stałe do swego domu w Poznaniu. Hoszowski ją odwiedzał, wtedy poznaliśmy się bliżej. Kilka razy gościł mnie u siebie.

— Wasze stosunki miały więc charakter czysto towarzyski?

— Nie rozumiem.

— To chyba jasne. Czy Hoszowski uczestniczył w jakiś sposób w interesach pani Murawskiej?

— Nie, skądże — zaprzeczył żywo, z wyraźną ulgą

— to po prostu stary przyjaciel rodziny. Jest... był — poprawił się z demonstracyjnym smutkiem — zaprzyjaźniony z obojgiem

małżonków. Panią Murawską znał jeszcze z czasów wojny, czy też z okresu tuż po wojnie. To wszystko.

— Kto odwiedzał go tutaj podczas pana bytności? Mężczyźni, kobiety...

— Właściwie nikt. Jego znajomi porozjeżdżali się na wakacje. Był z nimi umówiony na sierpień, wybierał się do Jugosławii. Chciał także posiedzieć w swoim domu na Podhalu, kiedy tylko uda mu się wypłatać z obowiązków szpitalnych. Ktoś tu czasem przychodził czy dzwonił, przeważnie ze szpitala... Zresztą jestem tu zaledwie parę dni.

— No dobrze — powiedziałem, wstając — nic więcej nie może nam pan powiedzieć ciekawego? Nie przychodzi panu do głowy żaden motyw tego zabójstwa? Żadna osoba, która mogłaby być w nie zamieszana?

— Nic, absolutnie nic. — Wstał także, niepewnie.

— Bardzo chciałbym panom pomóc. Proszę mi wierzyć.

— Chętnie wierzę. Przejdziemy jeszcze na górę, dobrze?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale skinął głową bez słowa.

— Będę wam potrzebny? — spytał Marciniak. — Bo jeśli nie, to chciałbym rozejrzeć się tu na dole.

— Proszę — powiedziałem — formalne przesłuchanie i tak zrobimy jutro.

W hallu zatrzymaliśmy się. Dwu roślących pielęgniarzy schodziło z piętra z noszami przykrytymi prześcieradłem. Doktor Hoszowski opuszczał swój dom. Pies drapał w drzwi, czekał.

— Zaraz go wypuszczę — mruknął Marciniak. Odprowadziliśmy wzrokiem w milczeniu ponury orszak.

— Wyniki sekcji będą rano — powiedział lekarz, żegnając się z Marciniakiem.

Trzasnęły drzwi. Przyjrzałem się Zagórskiemu. W słabym świetle stojącej przy kominku lampy jego twarz była blada i zmięta, krople potu gromadziły się nad brwiami i na skroniach, choć nie było teraz gorąco. Poszedłem przodem, za mną postępował Zagórski, na końcu szedł Grzywiński. Weszliśmy do sypialni Hoszowskiego. Zapaliłem światło. Uniosłem klatkę, gestem ręki poprosiłem Zagórskiego, aby się zbliżył. Podszedł

wolno, zwalisty, przyczajony, niespokojny.

Papuga oszalała. Rozpostarła skrzydła, z jej otwartego szeroko dzioba dobyło się przeraźliwe skrzeczenie, wysokie, ochryple; to był krzyk rozhisteryzowanej kobiety. Pazurami i dziobem uderzać zaczęła w pręty klatki, machając skrzydłami, obijała się o sklepienie, szelest tych skrzydeł przypominał odgłosy szamotania się, słyszałem je przez telefon.

— Zwariowała! — powiedział Grzywiński i patrząc uważnie na Zagórskiego dodał. — A może wcale nie zwariowała?

Odstawiłem klatkę na tapczan, przykryłem ją gwałtownie skrajem narzuty. Papuga uspokoiła się.

— Przejdziemy do gabinetu — powiedziałem.

Usiedliśmy w fotelach, otworzyłem szeroko okno.

Spojrzałem na sąsiednią willę. W pokoju Ewy paliło się światło.

— Ona zawsze tak się zachowywała, kiedy podchodziłem do klatki — rzekł niespokojnie Zagórski. — Ja jej zresztą także nie lubię. To wstrętne ptaki. Noszą choroby.

— Nie bardziej niż inne zwierzęta — mruknąłem. Odszedłem od okna, usiadłem na niskim stołeczku naprzeciw Zagórskiego, z kolanami pod brodą.

— Po co pani Murawskiej były te klejnoty? — spytałem, — Aż tak z wami źle? Bankrutujecie?

Zagórski drgnął, zacisnął palce na poręczach fotela, aż zbieleły mu paznokcie.

— Klej... klejnoty? — zająknął się. — O czym pan mówi?

— Moja ciotka — westchnąłem — kiedy nie wiedziała, co powiedzieć, zawsze pytała, aby zyskać na czasie: o co ci chodzi? Odpowiadało się jej: o to, o czym mówię. To także odpowiedź dla pana.

Grzywiński, zdaje się, przestał być senny. Wyprostował się w swoim fotelu, otworzył szeroko oczy.

— Nic nie wiem o żadnych klejnotach — rzekł Zagórski, już opanowany; tylko lekkie, niezauważalne niemal drżenie głosu ujawniało jego wzburzenie. — Pani Murawska istotnie posiadała kolekcję klejnotów, która zresztą znajdowała się w domu profesora Kędzierskiego, ale nie rozumiem, po co pan o

to pyta.

— Ja przede wszystkim nie wiem, po co pan tu przyjechał — powiedziałem — a pan mnie usiłuje przekonać, że lubi pan spędzać urlop w mieście, byle nie swoim. Co poleciła panu pani Murawska? Co chciał pan tu załatwić?

— Nikt mi niczego nie polecał. Zatrzymałem się tu w drodze na wakacje i nie muszę się z tego tłumaczyć.

— A ja muszę panu przypomnieć, że prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa. Nawet dwu zabójstw.

I wcale nie jestem pewny, czy pan występuje w roli świadka.

Zagórski zerwał się z fotela.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — wykrztusił.

— Powtarza się pan. Dokładnie to, co powiedziałem.

— Kiedy zamordowano profesora Kędzierskiego byłem w Poznaniu. Mogę to udowodnić ponad wszelką wątpliwość.

— Niechże pan siada. Kiedy zamordowano doktora Hoszowskiego był pan w tym domu. To też można udowodnić ponad wszelką wątpliwość. Co więcej, tylko pan tu był. Nikt więcej. Nie licząc papugi i psa.

Zagórski usiadł powoli, ukrył twarz w rękach.

— Oskarża mnie pan o zabójstwo? — spytał cicho.

— O nic pana nie oskarżam. Na razie. Chciałbym tylko prosić, żeby był pan mniej lakoniczny.

Zagórski wyprostował się, skrzyżował ramiona na piersi hieratycznym gestem.

— Nie mam nic do powiedzenia — oznajmił.

Zastukano do drzwi. Grzywiński zerwał się, otworzył.

W progu stał Marciniak z dużą, szarą kopertą w ręce.

— Pomyślałem, że zechcecie to koledzy obejrzeć — rzekł z nieukrywaniem zadowoleniem. — Moi ludzie wrócili z poczty głównej. Oto co było w skrytce 512.

Spojrzałem na Zagórskiego. To był człowiek zupełnie załamany. Zgarbił się, opuścił ręce. Patrzył na nas nieprzytomnym wzrokiem.

Ująłem kopertę, wysypałem jej zawartość na stolik.

— O rany! — jęknął Grzywiński. — Coś takiego widziałem w muzeum w Dreźnie!

W mlecznym świetle lampy migotały, pobłyskiwały błękitnie i tęczowo brylanty w koliach, naszyjnikach, bransoletach, mieniły się złote i srebrne nitki w koronkowych arcydziełach złotniczej roboty, ciężkie ogniwa łańcuchów i płytki misternych pasków miały matową barwę szlachetnego kruszcu.

— W dalszym ciągu nie ma pan nic do powiedzenia? — spytałem, nie patrząc na Zagórskiego.

— Ja... — rzekł nieprzytomnie — ja... ja go nie zabiłem!

Pierwsza eliminacja

Spojrzałem na zegarek. Była trzecia. Szary półmrok panował na dworze, niebo rozjaśniło się na wschodzie, od okien ciągnęło rześkim, wilgotnym chłodem, sennie nawoływały się ptaki w ogrodzie.

— Co robimy? — spytał Marciniak.

— Zabierzcie Zagórskiego, zostawcie kogoś w domu. Pójdę się przespać, rano zjawię się u was, kiedy będę mógł najwcześniej.

— Powiedzmy o ósmej?

— Powiedzmy o ósmej. Sprowadźcie tych dwu młodych ludzi, znajomych Janiaka. Zaproście panią Murawską z Poznania.

— Zatrzymać ją?

— Nie, zaprosić. Zarezerwujcie jej hotel. To chyba wszystko. Jeszcze chwila i zasnę.

Siedzieliśmy na fotelach w hallu, drzwi na taras otwarte były szeroko. Pies w kuchni chleptał wodę z miski. Zagórski z towarzyszącym mu milicjantem czekał w swoim pokoju na wyjazd do aresztu. Od kiedy zesliśmy na dół, nie odezwał się ani słowem.

— Przysłać po ciebie samochód? — spytał Grzywiński.

— Przyślij. O dziesiątej zaczyna się sesja na Uniwersytecie. Chcę na niej być.

— Zwariowałaś? Nie masz nic lepszego do roboty?

— Jeszcze nie wiem. Ale pójdę na sesję. Dobranoc. Zabezpieczcie klejnoty. I zadzwoń rano do Warszawy, może Olszewski wie już coś o zabójstwie Ignacego Jeziorkowskiego w roku 1946. Nie zapomnij.

Wyszedłem na ogród, wyjąłem papierosa i schowałem go, nie zapalając. Oddychałem głęboko. Wczesny, letni ranek to podróż, wyjazd na wakacje; zatrzymałem się, przymknąłem oczy. Za chwilę wsiądę do samochodu, pojedziemy przez puste

ulice miasta; potem otworzą się przed nami pola, pokryte strzępami porannych mgieł, lasy parujące rosą, jeziora, od których wieje wilgotny wiatr. Szedłem wolno w stronę domu pod lipami, starając się odwlec chwilę, kiedy zatrzasną się za mną drzwi, kiedy znajdę się z powrotem w dusznej atmosferze nieznanych mi pasji, ambicji, tajemnic. Rzuciłbym to natychmiast, pojechał przed siebie w ten letni ranek, starając się zapomnieć o chwili, kiedy po raz pierwszy nacisnąłem klamkę tej furtki, poszedłem tą ścieżką w stronę tarasu, zasłoniętego od ulicy szpalerem rozrostłych lip...

W hallu było pusto, ciemno i cicho. Wspinałem się po schodach bezszelestnie, przejęty bezsensowną obawą, że ktoś może mnie jeszcze usłyszeć, zażądać wyjaśnień, zmuszać do opowiadania, gdy ja mam przed sobą tylko cztery godziny snu i nie myślę z nich rezygnować.

Nie była to jednak obawa bezsensowna. Kiedy stanąłem na górze, otworzyły się drzwi Mrozowskich, jakbym przeciął promień fotokomórki. Stanął w nich notariusz, w spodniach i bluzce od pizamy, z niemym błaganem w oczach.

— Koniecznie! — szepnął. — To nadzwyczaj ważne! Koniecznie!

I wciągnął mnie do wnętrza. Pani Wacia siedziała w fotelu z mokrym ręcznikiem na czole.

— Jestem nieprzytomny ze zmęczenia — powiedziałem. — Pójdę się położyć i państwu radzę to samo.

— Dowiedzieliśmy się od Ady — rzekł Mrozowski — i nie możemy zasnąć. Całe szczęście, że nieszczęsna Ala nie obudziła się jeszcze, tyle osób chodzi po domu, niechże ma tę noc spokojną. Panie Jacku, rozumiem, że pan jest zmęczony, ale proszę i mnie zrozumieć. Tu chodzi o nasze sprawy rodzinne i to, co się stało teraz, na pewno się z nimi wiąże.

— Klemensie — jęknęła pani Wacia — twoja logika jest oszłamiająca!

— Pytano mnie tylko szczegółowo o przebieg tego wieczoru — powiedziałem ze znużeniem. — Oni także niczego jeszcze nie wiedzą.

— Chodzi mi tylko o jedno — rzekł Mrozowski — i nie będę

już pana zatrzymywać. Czy rozmawiano z panem o klejnotach? Czy coś odkryto?

Przeszło mi zmęczenie. Usiadłem za stołem, Mrozowski zajął miejsce naprzeciw mnie, tyłem do lampy, jego twarz tonęła w cieniu.

— Pytano mnie o klejnoty — odpowiedziałem — i niewiele z tego zrozumiałem.

Mrozowski splótł ręce, oparł na nich podbródek.

— Tak — rzekł w zamyśleniu. — Więc tak... Moje obawy były słuszne...

— Zawsze masz rację — szepnęła z kąta pani Wacia.

— Widzi pan — podjął notariusz — mój kuzyn wszedł w posiadanie kolekcji klejnotów. Zobaczyłem je po raz pierwszy w zeszłym roku. Byłem pewny, że już je kiedyś widziałem. Kuzyn nie podjął rozmowy na temat ich pochodzenia. Myślę, a raczej wierzę głęboko, że go nie znał. Nie dawało mi to jednak spokoju. Okoliczności, w jakich je widziałem...

— Jakie to były okoliczności? — spytałem. Milczał chwilę.

— To nie ma teraz znaczenia — rzekł wreszcie. — Proszę mnie źle nie rozumieć, mam do pana pełne zaufanie ale powtarzam, chodzi tu o sprawy rodzinne, nie chciałbym mówić o nich zbyt szczegółowo. Zamierzam zorientować pana tylko najogólniej, ponieważ liczę, że będzie pan mógł mi pomóc.

— Widział je pan u Ignacego Jeziorkowskiego — powiedziałem, starając się nadać swojemu głosowi ton głębokiej pewności. A przecież było to tylko przypuszczenie na niczym nieoparte, poza tym, że zdawało się przerzucać jakieś mosty pomiędzy obcymi sobie dotąd obszarami konfliktów, interesów, działań.

Mrozowski uniósł się z krzesła, stanął, opierając rękami o stół.

— Dlaczego pan to powiedział?

— Niech pan nie zapomina, po co tu jestem. W papierach profesora natrafiłem na opis kolekcji należącej do kasztelana Jeziorkowskiego w XVIII wieku. Wniosek jest prosty.

Mrozowski usiadł powoli. Pani Wacia trwała na swoim fotelu z dłonią przyciśniętą do ust, jakby chciała stłumić krzyk.

— Tak — Mrozowski, jak przed chwilą, oparł brodę na splecionych rękach; temu gestowi towarzyszyły widocznie zawsze te same słowa. — Więc tak... Istotnie, proszę pana, pańskie rozumowanie jest logiczne. Klejnoty Jeziorkowskich powinny być u Jeziorkowskich. Zygmunt sądził to samo. Jednakże te klejnoty zniknęły i pojawiły się u Zygmunta po wielu długich latach... Jak to się stało? Zygmunt nie chciał ze mną o tym rozmawiać. Nie zdawał sobie sprawy, że ja i tylko ja mogę znaleźć wyjście z trudnej sytuacji...

— Ty też nie powiedziałaś mu wszystkiego — odezwała się z kąta pani Wacia.

Notariusz uniósł dumnie głowę.

— Nikomu się nie narzucam! Na moje pierwsze słowa Zygmunt powiedział gwałtownie, że nie ma zamiaru z nikim omawiać tej sprawy, a w żadnym razie ze mną! Spytałem go, czy dlatego, że jestem tylko skromnym notariuszem, a on profesorem uniwersytetu? Że mieszkam w małym Kłocku, a on w wielkim mieście?

— Nie mówiłeś mi tego — szepnęła pani Wacia. — Twoja duma ci na to nie pozwalała.

— Mylisz się, Waclawo. Nie wstydzilem się i nie wstydzę Kłocka na Podlasiu ani mego zawodu. O wartości człowieka stanowią jego cechy osobiste, a w tym zakresie nie obawiam się żadnego porównania. Powiedziałem to Zygmunтови. A Zygmunt przyznał mi rację. I wyjaśnił swoje stanowisko. Otóż nie był przygotowany, aby omawiać sprawę klejnotów. Oświadczył jednak, że będę jednym z pierwszych, kiedy tylko będzie gotów do takiej rozmowy. Właśnie dlatego, że w moich żyłach płynie krew Koronkiewiczów.

— Nie rozumiem — wyznała pani Wacia.

— I ja tego nie rozumiem — rzekł notariusz.

— Kasztelan Jeziorkowski — powiedziałem — chciał przekazać swoje klejnoty Franciszkowi Koronkiewiczowi na cele konspiracyjne. Nie wiem, czy zdążył to zrobić. Koronkiewicz okazał się zdrajcą.

— Zdrajcą?! — wykrzyknął Mrozowski, a jego małżonka uniosła się z fotela z błyskiem w oku i falującą piersią.

— Klemens zawsze był patriotą! — zawołała. — Cierpiał i walczył!

— W roku 43 — podjął z gniewem notariusz — na ulicy w Kłocku spostrzegłem, a było to siódmego września o godzinie piętnastej, że wprost na mnie idzie patrol żandarmerii. A ja poprzedniego dnia u kuzyna czytałem gazetkę! Ale przeszedłem obok nich z hardo podniesioną głową i nie ośmielili się mnie zaczepić. Jestem członkiem ZBOWiD-u!

— Zdrajcą był Franciszek Koronkiewicz w ostatnich latach XVIII wieku — powiedziałem, podnosząc się — a jego potomkowie walczyli w powstaniach i pozostali dobrymi Polakami. Proszę się więc nie unosić. Czy zechce pan opowiedzieć mi o klejnotach wszystko, co panu wiadomo? Może wspólnie dojdziemy do jakichś rezultatów?

Notariusz sapał jeszcze gniewnie przez chwilę, potem spojrzał na mnie twardo i rzekł:

— Mogę panu powiedzieć tylko to, co mnie powiedział mój kuzyn. Nie jestem jeszcze przygotowany do podobnej rozmowy.

Skłoniłem się więc ceremonialnie i opuściłem pokój państwa Mrozowskich niezatrzymywany przez gospodarzy.

Gdy nacisnąłem klamkę drzwi swojego pokoju, otworzyły się drzwi Ewy, wąska smuga światła padła na korytarz. Ewa była bosa, w piżamie, ale oczy miała przytomne, nie spała.

— Czekałam na ciebie — szepnęła — wejdź na chwilę. Usiadła na rozścielonym tapczanie, ściągając ramiona. — Nie mogę zasnąć. Ada mi powiedziała, co tam zastaliście. Pewnie nie wiesz nic więcej. Ale chciałam cię zobaczyć.

— Znalazły się klejnoty — powiedziałem. Podniosła żywo głowę.

— Kto je miał?

— Zagórski. Trzymał je w skrytce na poczcie głównej.

— Więc... więc to on mnie uderzył?

— Może. Ale mógł je zabrać Hoszowskiemu. W takim wypadku...

— ...Hoszowski... Trudno mi uwierzyć...

— Kiedy to także możliwe. Hoszowskiego zabito sztyletem weneckim...

— Więc zabił go ktoś, kto miał klejnoty?

Otworzyłem już usta, aby potwierdzić, ale nie powiedziałem nic.

— Czy to znaczy, że zabił go Zagórski? — spytała niecierpliwie.

— Nie wiem. Bardzo wiele za tym przemawia.

— Ale dlaczego? Żeby zdobyć klejnoty?

— Nie wiem. Zagórski jest zatrzymany. Co robi Ada?

— Strasznie jesteś lakoniczny. Ada robi chyba to samo co ja.

— Oczy mi się zamykają. Dobranoc. Jutro jadę na ósmą do Komendy. Zobaczymy się na sesji. Przyjdź. A teraz staraj się zasnąć.

Wstała, podeszła do mnie, odgarniając włosy znad czoła.

— Nie wiem, czy mi się uda — powiedziała, opierając mi głowę na piersi — jestem potwornie zmęczona, a równocześnie nie potrafię znaleźć sobie miejsca.

Objąłem ją, uniosła ku mnie twarz.

— Zostań — szepnęła.

Zostałem.

Wydawało mi się, że dopiero zasnąłem, kiedy poczułem, jak ktoś mnie szarpie za ramię i posłyszałem głos Ewy. Otworzyłem z trudem oczy; zobaczyłem nachyloną nade mną twarz Ewy, włosy opadające jej na czoło, brązowe ramiona. Przez szparę między zasłonami strzelały ostre promienie słońca, tańczyły w nich obłoczki kurzu, za oknem krzyczały ptaki.

— Już wpół do ósmej.

— Nie wierzę.

— To zobacz.

— Spieszy się o trzy godziny.

— Tylko o pięć minut.

— To mam jeszcze piętnaście minut.

— Nie śpij już.

— Wcale nie mam zamiaru.

— Oszalałeś...

Po kwadransie Ewa wstała energicznie.

— Nie patrz na mnie. Dlaczego na mnie patrzysz?

— Właściwie zupełnie nie wiem. A co ty o tym myślisz?

— Jesteś okropny. Idę do łazienki. A ty wróć do siebie i rozkop pościel.

— Po co? Żeby znowu ścielić? Jesteś obłudna formalistka.

Wzniosła ręce ku górze.

— O moja nieszczęsna mamó! Ostrzegałaś mnie zawsze przed mężczyznami od stopnia podporucznika wzwyż, a ja cię nie posłuchałam! Widzę swoją przyszłość w najczarniejszych kolorach!

— Generałów już się możesz nie obawiać.

— A kiedy zostaniesz generałem?

— Nigdy.

— Całe szczęście.

Miała rumieńce, błyszczały jej oczy, wyglądała tak, że nie mogłem nie patrzeć na nią choćby przez chwilę; i ja zresztą zgubiłem gdzieś swoje wczorajsze przygnębienie, nie czułem zmęczenia, cieszył mnie wstający właśnie dzień i następne, które przyjdą po nim.

— Idę. Przejdź do siebie tak, żeby cię nikt nie zobaczył.

— Będę się czołgał.

— Głuptas. A potem przyjdź oficjalnie.

Przyszedłem oficjalnie tuż przed ósmą, wziąłem tusz w łazience, przebrałem się i ogoliłem. Ewa była w krótkiej, kolorowej sukience, złotych sandałów na nogach.

— Jestem głodna jak wilk.

— Ja także.

Na korytarzu wpadliśmy na Janusza. Wychodził w piżamie z łazienki, z ręcznikiem na szyi. Przyjrzał się nam podejrzliwie.

— Nie zatrzymali pana — stwierdził ponuro.

— Niech pan nie traci nadziei. Zaraz przyślą po mnie wóz.

— Ależ nie, nie — wycofał się — źle mnie pan zrozumiał. Obawiałem się, że nie skończą przesłuchania do rana. Nas też chyba wezwą.

— Na pewno.

Na dole rozległ się dzwonek. Drzwi Ady i Mrozowskich zamknięte były na głucho.

— Zaraz będę na dole, Ewuniu — rzekł Janusz. — Po śniadaniu pójdziemy na spacer.

— Jadę na dziesiątą do miasta.

— Odwiozę cię.

— Dobrze.

A na schodach westchnęła:

— Musimy wyprowadzić go z błędu. Starczy ci odwagi?

— Nie jestem pewien. Ale spróbuję.

W jadalni zjawiliśmy się pierwsi. Dlaczego nie ma Ady? Teraz, kiedy wybór został dokonany, przez moment żalowałam, że jeszcze nie jest przede mną. Ale jedno spojrzenie na Ewę wystarczyło, aby moje wątpliwości rozproszyć.

Weszła Helena z parującą wazą.

— Będą jedli zimne — oświadczyła. — Dzień dobry.

— Dzień dobry. Poszliśmy wszyscy późno spać.

— Nie będę cały dzień siedzieć w kuchni. Niech sobie potem sami robią.

Jedliśmy więc śniadanie we dwoje. Ewa uśmiechała się do mnie znad talerza.

— Przestałam się bać — powiedziała. — A ty przestałeś się martwić?

— Przestałem. Skąd wiesz?

— Po sobie.

— Wyjedziemy stąd, kiedy tylko to będzie możliwe. Jakie masz plany wakacyjne?

— A ty?

— Takie same.

— To w porządku — roześmiała się. I dodała, poważniejąc: — Ja mogę przerwać pracę. Ale ty jesteś w innej sytuacji.

— To prawda.

— Sam widzisz. Nic ode mnie nie zależy.

— Tylko że ja nigdy nie pracuję długo. I teraz myślę, że jestem blisko.

— Już wiesz? — spytała niemal niedosłyszalnie.

— Nie. Jest dokładnie tak, jak powiedziałem: jestem blisko, jeszcze godzina, dzień, dwa, nie wiem, ale długo to już nie potrwa. Nie może trwać, czas pracuje dla niego czy dla nich, ja muszę się spieszyć.

— Jak pracujesz?

— Różnie. Za każdym razem inaczej.

— A teraz?

— Najprościej. Drogą eliminacji.

Usłyszeliśmy stłumiony dźwięk klaksonu.

— Już są. Jadę dokonać pierwszej eliminacji. Do widzenia. Spotkamy się na uniwersytecie.

W hallu wpadłem na panią Alę.

— Dobrze się bawiliście? — spytała niemal wesoło.

— Nawet nie słyszałam, kiedy wróciliście. Spałam jak kamień, pierwszy raz od wielu dni.

— Ewa pani wszystko opowie. Proszę się nie martwić, proszę pamiętać, że mamy do czynienia ciągle z tą samą sprawą i wcale nie jest pewne, komu pani winna jest współczucie. Przyjadę na obiad, teraz bardzo się spieszę.

— Nie rozumiem — przestraszyła się — czy coś się stało? Czy w naszym domu? Ja...

— Nie, nie w naszym domu.

Znów klakson.

— Do widzenia.

Ewa wzięła panią Alę pod rękę, poszły w kierunku jej pokoju. Wybiegłem na taras. Było już grubo po ósmej.

W Komendzie zastałem Marciniaka i Grzywińskiego. Obydwaj mieli czerwone z niewyspania oczy.

— Ty za to wyglądasz kwitnąco — rzekł z przekąsem Grzywiński.

— To kwestia samopoczucia. Masz mleko pod nosem, a narzekasz jak zgorzkniały starzec. Macie tu tę zde gustowaną młodzież? Dajcie pierwszego.

Piliśmy kawę, kiedy wprowadzono wysokiego, młodego blondyna o rozwichrzonej czuprynie i haczykowatym nosie, w dżinsach i zmiętej, przybrudzonej białej koszuli. Protokolant zasiadł przy maszynie w kącie.

— Nazwisko?

— Koźlak, Mariusz. Urodzony 48.

— Gdzie pracujesz?

— W sierpniu zacznę, w warsztacie samochodowym przy Krakowskiej.

— A teraz?

— Teraz nie szło iść do pracy. Mamusia chorowała.

— Już zdrowa?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Zdrowa.

— To chwala Bogu. Co robiłeś przedwczoraj wieczorem?

— U kolegi byłem. W Żarowie. Panowie wiedzą.

— Panowie wiedzą, że do kolegi pojechałeś dopiero wczoraj rano.

— To znaczy pojechałem rano. Przedtem się zbierałem.

— Prałeś koszulę?

— Koszulę nie. Mamusia prała.

— A ty się patrzyłeś?

— Mamusia nie lubi. Poszedłem na piwko.

— Gdzie?

— Do sklepu na plac Zgody. Koło tego Domu Aktorów.

— Z aktorami piłeś?

— Z aktorami nie. Nie lubię. Sam wypilem dwa jasne i poszedłem.

— Nikogo tam nie spotkałeś?

— Znajomych nie. Sklepowa mnie zna.

— A potem?

— Wróciłem do domu. Mamusia poświadczy.

— Fligierski był z tobą? Popatrzył z ukosa. Milczał.

— No jak? Był?

— Przyjechał. Potem my razem pojechali do Żarowa.

— To znaczy spał u ciebie, tak?

— Spał.

— Od dawna znasz Janiaka?

Znowu spojrzenie uciekło mu w bok, zacisnęły się ręce.

— Mamusia zna. Jeszcze sprzed wojny.

— A ty nie znasz?

— Rozumie się.

— Coście u niego przedwczoraj robili?

— Ja tam nie byłem.

— Janiak mówi, że byłeś z Fligierskim.

— Mamusia kazała powiedzieć, żeby przyszedł w niedzielę na

obiad.

— Mamusia dobrze gotuje?

— Rozumie się.

— No to o której byłeś?

— Wieczorkiem. Zegarka nie mam. Koło dziewiątej.

— Z Fligierskim?

— Jasiak by się nudził. I mamusia nie bardzo go lubi. Poszedł ze mną. On także zna pana Janiaka.

— Już tam kiedyś byliście?

— Tak, Janiak mówił, żeby zachodzić, to się czasem zachodzi.

Jak nic nie ma do roboty.

— Aha, jak nic nie ma do roboty. Więc po kolei, wypiełeś piwko, wróciłeś do domu, włożyłeś czystą koszulę...

— Nie wkładałem, suszyła się na strychu. Polo miałem.

— I z Fligierskim pojechaliście do Janiaka, tak?

— No tak. Z Fligierskim także byłem na piwie.

— A mówiłeś, że sam.

— Zapomniałem. Sklepową poświadczy.

— Mamusia pewnie też. Jak długo byliście u Janiaka?

— Minutkę. Powiedzieliśmy, co trzeba, i poszli.

— Do domu?

— Do domu. Mamusia poświadczy.

— A dlaczego tam, na Lipowej, nikt was nie widział?

— My przez ogród i od tyłu. Żeby nie przeszkadzać.

— Taki jesteś delikatny? Brak odpowiedzi.

— Do domu wróciłeś o pierwszej w nocy.

— Nie o pierwszej. Mamusia...

— Daj mi święty spokój z mamusią, dobrze? Kiedy wam Janiak powiedział o klejnotach?

Splótł ręce jeszcze mocniej, opuścił głowę, milczał.

— Kiedy?

— My... — wykrztusił z trudem — my nic nie zabrali.

— To wiem bez ciebie. Ty byłeś w polo, tak? A Fligierski?

— Fligierski w białej koszuli — odpowiedział od razu, zadowolony, że zmieniłem temat.

— Z tego wynika, że ty byłeś w gabinecie, a Fligierski starał się mnie trafić szyną od zasłon, zgadza się?

— Pa... pana? — wykrztusił.

— Tak, to ja wam przeszkodziłem. Teraz posłuchaj. Janiak się przyznał, ja was tam widziałem, nie masz żadnych szans. Jeżeli wszystko porządnie opowiesz, nie będziemy mieć do was dużych pretensji. Będziesz odpowiadał tylko za tę pierzynę, której nie dali ci wynieść w Żarowie. Zrozumiałeś? Ja się spieszę i jeżeli mi pomożesz, mogę zapomnieć, żeście mnie chcieli tą szyną załatwić, jasne?

— My tak nigdy... — bąknął — on chciał postraszyć... Ja jeszcze nikogo...

— No więc?

— Janiak nic nie powiedział — rzekł z rozpaczą w głosie.

— Masz jeszcze dwie minuty. Potem wszystko się podsumuje i pójdziesz siedzieć na parę lat. Włamanie, napad, znasz te paragrafy?

— My się nie włamywali...

— Udowodnij to w sądzie. Więc?

— Pan Janiak znajomy mamusi... On niech mówi, co uważa, ja nie wiem...

— W porządku — powiedziałem, wstając — miałeś szansę, już jej nie masz. Głupich nie sieją. Odprowadzić.

— Proszę pana — powiedział od drzwi.

— Co jeszcze?

— Pan rozumie... Kolega nie chciał nic... tak machnął, ze strachu...

— To już bym wolał, żeby był trochę odważniejszy. No jak?

Spuścił głowę, myślał intensywnie, wyłamywał sobie palce.

— Odprowadzić — powiedziałem.

— Nie!

— Będziesz mówić?

— Pan naprawdę? Że my tylko o tę pierzynę... My z tą pierzyną nie chcieli nic... do pracy idę od sierpnia...

— A to nie wiem, czy od sierpnia. To już nie ode mnie zależy. Powiedziałem, że ja mogę zapomnieć, co się tam działo przedwczoraj w nocy. Ale pierzyna nie była moja. No więc?

Zdecydował się.

— To powiem.

— Siadaj.

Usiadł i milczał.

— No?

— Pan pyta...

— Kiedy Janiak powiedział wam o klejnotach?

— W czerwcu. Że ten profesor ma klejnoty i czasami trzyma w biurku.

— Po co byliście u niego pierwszy raz?

— Żeby zobaczyć, co i jak. No, rozkład mieszkania, okna, drzwi...

— Przedstawił was jako siostrzeńców, tak?

— Tak miał powiedzieć, jakby nas kto zobaczył. Ta pani widziała i jej się nie podobało. Miała gdzieś wyjść i nie wyszła.

— Sami mieliście zabrać klejnoty, czy z Janiakiem?

— Sami. Jakby profesor gdzieś wyjechał i nie zamknął klejnotów w kasie. Janiak miał wtedy być u znajomych, żeby każdy mógł poświadczyć, że go w domu nie było. Miał zostawić stary klucz od tylnych drzwi.

— Jak było przedwczoraj?

— Janiak powiedział, że klejnoty chyba są w gabinecie, bo ktoś ich szuka, a w kasie nie ma. Żeby przyjść w nocy, to będzie na tego, co szuka, a nie na nas.

— Wiedział, kto szuka?

— Chyba nie. Mówił, że w gabinecie poprzewracane, jak tylko wszyscy z domu wyjdą, że nocą ktoś chodzi, to myślał, że tylko o klejnoty, nie o co innego. On je kiedyś widział, jak ten profesor je miał u siebie, Janiak przez okno patrzył, a potem profesor schował między książki, Janiak zapamiętał, gdzie.

— Tam, gdzie w nocy szukałeś.

— Ale nie było. Musiał schować gdzie indziej. Ja szukałem, Jasiak stał w korytarzu koło kuchni, jakby kto szedł.

— A Janiak?

— W łóżku leżał, że niby śpi, ale ciągle wstawał, jakby się bał, że my sami nie damy rady. No i wyszedł jakiś gość, to znaczy, ja nie wiedziałem, że to pan, Jasiak jakby wiedział, też by nie... No i Jasiak wziął tę szynę, pomachał, Janiak nas potem przez ogród wypuścił i kazał uciekać. Nic więcej nie było, Bogu

przysięgam...

— Dobra, dobra, mnie to wystarczy... Tu podpisz.

Zawahał się.

— Co ja mam podpisywać... pan mówił, że zapomni...

— I zapomnę. Ale podpisać trzeba. Nie bój się, ja słowa dotrzymam.

Podpisał i wyszedł, ociągając się. Zdaje się, że chętnie porozmawiałby obszerniej, aby się upewnić, że nie zrobił głupstwa, aby utwierdzić się w swoich wątpliwych racjach — ale na to nie było już czasu.

— Ducha z kosą mamy z głowy — powiedziałem.

— Szalenie to prozaiczne, nie uważacie? A ja myślałem, że poradzimy się spirytysty.

— Mamy tu takiego — roześmiał się Marciniak — siwy, z brodą, chodzi po hali targowej i opowiada, że co dzień wieczorem rozmawia z duchami. A ten tutaj to szczeniak, pękł po pięciu minutach. Rzeczywiście macie zamiar nie robić z tego sprawy?

— Obiecałem mu. Zresztą to się opłaci. Przesłuchajcie teraz Fligierskiego, potem wezwijcie Janiaka. Porozmawiam z panią Kędzierską, niech go usunie z domu i tyle. Idę na uniwersytet. Nie było wiadomości z Warszawy o sprawie Jeziorkowskiego ?

Grzywiński zaczął szperać w stosie notatek na brzegu biurka.

— Akta w drodze — powiedział — przylecą samolotem o piętnastej. Olszewski się popisał, nie uważasz? Pyta, czy go przypadkiem nie zaprosisz. Powiedział mi jeszcze, że o zabójstwie Jeziorkowskiego był artykuł w jakimś lubelskim piśmie, przed dwoma miesiącami, czekaj, zanotowałem: „Kamelia” nr 23 z tego roku. Dać ci tę notatkę? Masz.

— Przyjdę koło pierwszej. Porozmawiam z Janiakiem

— Zagórskim. Dajcie mi znać, kiedy tylko zjawi się pani Murawska. I jeszcze dwie prośby: sprawdźcie jeszcze raz, dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, alibi wszystkich zainteresowanych osób na dzień śmierci profesora Kędzierskiego.

— Wszystkich zainteresowanych? — spytał flegmatycznie Marciniak. — To znaczy konkretnie...

— Notujcie: Hoszowski...

— Hoszowski? — zdziwił się Marciniak. — A cóż ma do tego Hoszowski?

— Nie wiem, ale zacznijcie od niego. Więc Hoszowski, Zagórski, Karolina Murawska, Ada Murawska, Janusz Kędzierski, Klemens Mrozowski, doktor Winiarski, Janiak, obaj ci młodzi ludzie, Koźlak i Fligierski, docent Karolak...

— To nowe nazwisko... — mruknął Grzywiński.

— Dla porządku. Na razie wystarczy. Ale pamiętajcie, nie wystarczy jedna informacja, ona także powinna być potwierdzona. Zależy mi szczególnie na Hoszowskim i Zagórskim. Postępujcie tak, jakby dotychczasowe ustalenia były fałszywe, a wy macie to udowodnić...

— Drobiazg — rzekł Marciniak — co to jest, jedenaście nazwisk. Zaczekacie, kapitanie, czy wpadniecie za godzinkę?

Roześmieliśmy się.

— Zaczekam do obiadu — powiedziałem. — A serio mówiąc, Hoszowskiego i Zagórskiego zacznijcie sprawdzać od razu.

— A to drugie? — spytał Grzywiński.

— To już tylko dla twojej wygody. Dowiedzcie się, w Warszawie i Krakowie, czy Ewa Szot i Ada Murawska mają, powiedzmy, przyjaciół, stałych oczywiście, czy też żyją jak zakonnice...

— Tu cię mam! — zawołał Grzywiński. — To tak się wykorzystuje możliwości służbowe dla celów osobistych, tak? Słyszysz, Marciniak?

— Nie tak dawno — rzekł Marciniak — mówiłeś, że Ada to nadzwyczajna dziewczyna i musisz dla spokoju sumienia sprawdzić, czy masz u niej szansę.

— A wczoraj — dodałem — wyznał, że nie wie, która jest lepsza, i że musi się nad tym poważnie zastanowić. I teraz, zamiast mi podziękować, nieudolnie atakuje.

— Dobrze — powiedział z westchnieniem Grzywiński — okazuje się, że po prostu nie mogę opędzić się od dziewczyn. Nie rozumiem tylko, dlaczego wczoraj byłem w kinie z Marciniakiem?

— Dla wytchnienia — wyjaśniłem — chciałeś po prostu

popatrzeć na film, a miałeś pewność, że Marciniak nie będzie się do ciebie tulić. Idę.

— Jeszcze sekunda! — zawołał Grzywiński. — Przysłali mi z Poznania informację o stanie majątkowym pani Murawskiej!

Byłem już przy drzwiach, zawróciłem, usiadłem.

— A także dane o Ewie i Zagórskim — dokończy Grzywiński.

Spojrzałem na zegarek z rezygnacją.

— Streszczaj się — mruknąłem.

— Nie muszę. Informacje są skąpe. Naprzód pani Murawska. Mniej więcej przed dwoma miesiącami musiała zlikwidować wytwórnię plastikowych grzebieni. Wcześniej zamówiła maszyny do wyrobu jakichś urządzeń klimatyzacyjnych, miała na to poważne zamówienia, ale wskutek likwidacji tamtej wytwórni, a także gabinetu kosmetycznego, który dzierżawca doprowadził do ruiny, nie miała czym zapłacić za te maszyny. W rezultacie jest w długach, wszystko się chwieje, zawarła umowy, ale nie produkuje...

— Prawdopodobnie wszystko ci się pokręciło — powiedziałem. — Gdyby ekonomista tego wysłuchał, dostałby skrętu kiszek. Jedno z tego wynika i to mi właściwie wystarczy: od dwu miesięcy pani Murawska potrzebuje gwałtownie pieniędzy. Dziękuję. Co dalej?

— Twoja Ewunia mieszka z rodzicami, tu jest adres. Studiowała, po studiach zaczęła pracę w instytucie. W AZS-ie biegała na krótkie dystanse, nawet kiedyś była tak zwaną nadzieją, ale dała sobie spokój. Czasami jeździ wartburgiem ojca. Wzór cnót, panna z dobrego domu. Zgodnie z twoim życzeniem dowiem się, czy nie ma kochanka.

Mów o niej z szacunkiem, bo wylecisz przez okno.

— O Zagórskim też mam mówić z szacunkiem? Pracuje w Zjednoczeniu Cukrowniczym na pół etatu. Buchalter-ekspert, działa w jakimś zawodowym stowarzyszeniu. Prowadzi interesy pani Murawskiej, co wiemy. Mieszka sam, wdowiec, bezdzietny. Nie wiem, czy ma kochankę.

— Twój dowcip staje się nieco monotony. Rozumiem, to upał, wszystko ci się kojarzy. Mimo to postaraj się coś zrobić.

Wyszedłem, było parno, zamglone słońce świeciło pomiędzy

spiętrzonymi chmurami. Na uniwersytecie trwały egzaminy wstępne. Grupki chłopców i dziewcząt wypełniały gwarem korytarze. Spojrzałem na zegarek. Dziesięć po dziesiątej. Drzwi do sali, w której obradowaliśmy wczoraj, w cichym końcu korytarza, były już zamknięte. Ktoś z drugiej strony, równocześnie ze mną, nacisnął klamkę. Cofnąłem się. Wyszedł Karolak.

— Dobrze, że jesteś — powiedział. — Muszę wpaść na kwadrans do dziekanatu, odprowadzisz mnie kawałek? Tam nie ma nic ciekawego.

Skinąłem głową, zawróciłem. Karolak wyjął z kieszeni kartkę papieru.

— Może ty mi poradzisz, co mam z tym zrobić? Pamiętasz, pytałeś mnie wczoraj o tego zadzierzystego asystenta, którego Kędzierski wyrzucił z katedry. Sekretarka instytutu porządkowała pocztę za ostatni miesiąc i przyniosła mi tę kopię. Przeczytaj.

List napisany był na maszynie, kopia podpisana ręką profesora.

Szanowny Panie, proszę — we własnej, bardzo ważnej sprawie — koniecznie przyjechać i odwiedzić mnie nie później niż 2 lipca...

2lipca... Profesor wyznaczył spotkanie na dzień swojej śmierci.

Druga eliminacja

— Czy możesz zostawić mi tę kopię? — spytałem.

— Nie wiem — zawahał się — chyba powinienem ją przekazać milicji... A ty... co ty o tym myślisz?

— Jesteśmy — Ewa i ja — w kontakcie z prowadzącymi śledztwo. Oddam to pismo do akt, możesz być spokojny.

— To dobrze — rozjaśnił się — to bardzo dobrze. Jeżeli mam być szczery, wolę tego nie robić. Nie mam specjalnej ochoty łączyć po komisariatach, występować w roli świadka, podpisywać protokoły...

— Trochę to za czarno sobie wyobrazasz — roześmiałem się — ale całkiem pozbawiony poczucia rzeczywistości także nie jesteś. Czy mógłbyś zrobić jeszcze jedno? Jeśli już idziesz do dziekanatu. Ten chłopak nazywa się Tomczyk? Jan Tomczyk. Dowiedz się, gdzie jest, co robi, jeśli został jakiś ślad, dobrze?

— Oczywiście. O ile pamiętam, poszedł w rezultacie na reżyserię do Łodzi. Ale sprawdzę. Spotkamy się na sesji?

— Przyjdę za godzinę. Mam nadzieję, że jeszcze was zastanę.

— Zastaniesz na pewno. — Pokiwał głową. — Odnoszę wrażenie, jakby cię nasz temat specjalnie nie podniecał. Ale może się mylę?

— Na pewno się mylisz. To na razie.

Rozstaliśmy się.

Biblioteka sąsiadowała z gmachem filologii. Przeszedłem przez ciężką bramę, zatrzymałem się chwilę na wielkim, cichym podwórzu, ze stylową studzienką pośrodku, ławkami pod rozrośniętą koroną samotnego drzewa. Byłem tu, byłem w czasie studiów, przyjechałem do tego miasta, zatrzymałem się na kilka dni w hotelu, od rana do nocy siedziałem w tej bibliotece, grzebiąc we wspaniałych zbiorach rękopisów Tu właśnie... czy to możliwe? Zbiór listów i dokumentów, oprawny w czerwoną skórę, na który wpadłem przypadkiem, aby odkryć

w nim list o pół wieku wcześniejszy od pozostałych papierów... To przecież tam, chyba tam... Profesor Kędziński, pisząc swój niewysłany list do mnie, nie wiedział, że o paręset metrów od jego zakładu, w bibliotece, w której bywał niemal codziennie, znalazłem przed wielu laty źródło informacji, na którym tak bardzo mu zależało. Jeżeli się oczywiście nie mylę, jeżeli nie zwodzi mnie pamięć, bo wciąż jeszcze nie mogę sobie przypomnieć tego hasła, nazwiska, sposobu, w jaki dotarłem do archiwum rodzinnego... czyjego? To nazwisko, nazwisko, które nie pojawiło się w mojej pracy, które tkwi w moich notatkach, jeżeli jeszcze istnieją...

Na podwórzu było pusto, chłodno, cień drzewa drżał na kamiennych kostkach. Posłyszałem stukot kroków, odwróciłem się. Mrozowski, w białych, starannie za- prasowanych spodniach, w jasnej, siatkowej koszuli i w staromodnym kapeluszu z granatową wstążką, zatrzymał się, zaskoczony.

— O, i pan tutaj — rzekł, wyciągając rękę. — Pewnie w związku z pracą Zygmunta, prawda? Ja skorzystałem z okazji, żeby poszperać w katalogach. Piękna biblioteka, proszę pana, co za skarby! Wszystkim o tym wiadomo, ale trzeba się temu przyjrzeć z bliska, żeby właściwie ocenić. Żegnam, żegnam na razie. Był rano telefon z komendy, przyjedzie ktoś na rozmowy z nami, muszę być w domu o jedenastej. Do widzenia.

I odszedł szybko, nie dopuszczając mnie do słowa. A więc Marciniak i Grzywiński nie zaniedbują formalności, choć im o tym nie przypominałem. Mam nadzieję, że mi niczego nie zepsują.

Wziąłem w szatni numerek, szerokimi schodami, w chłodzie i ciszy wspiąłem się na drugie piętro. Wielka czytelnia była pustawa, młoda bibliotekarka tkwiła sennie za biurkiem na podwyższeniu. Okazałem jej pisemko Instytutu, wypełniłem zamówienie.

— „Kamelia”? — spytała. — Ktoś niedawno przeglądał tegoroczne numery. Zaraz zobaczę. Proszę, jest.

I wręczyła mi spoczywający na półce plik egzemplarzy pisma. Nie protestowałem, chociaż chodziło mi tylko o numer 23. Usiadłem na swoim miejscu, w środkowym rzędzie. Cisza,

słońce przesiane przez gęstwą winogron, obrastających mury, zwisających nad wysokimi oknami. Zaraz wstanie od innego stolika ktoś znajomy, wyjdziemy na papierosa, i znów godziny pracy, stopy książek i czasopism, zapach pożółkłych kartek... Westchnąłem, przysunąłem do siebie numery „Kamelii”, znalazłem numer 23. Tkwił w nim odcinek zamówienia. Chciałem odsunąć go na bok, rzuciłem okiem na pedantyczne rządki starannego pisma, którym wypełnione były rubryki. Zamarłem w bezruchu. Klemens Mrozowski... Więc po to przyszedł tu notariusz z Kłocka; szukał tego, czego i ja szukam... Złożyłem odcinek i wsunąłem go do kieszeni. Otworzyłem pismo.

Pierwszą stronę wypełniał krytyczny artykuł o miejscowym środowisku literackim, dwie następne pochwały pod adresem poszczególnych jego członków. Moją szczególną uwagę zwrócił szkic o twórczości pewnej pani, której dorobek stanowiła wielka ilość wierszyków drukowanych w „Misiu” i „Świerszczyku”. Dopiero na czwartej stronie, obok utworów owej pani, wydrukowanych w ramkach pod tytułem „Dwie piosenki Misia Niejadka dla Kotka Puszka odśpiewane” — znalazłem tekst, o który mi chodziło. Był niewielki, uzupełniała go reprodukcja starej, amatorskiej fotografii. Pod nazwą cyklu, złożoną kolorową czcionką: „Pitawał pierwszych lat powojennych” (6) — widniały duże, czarne litery tytułu właściwego:

KOLEKCJA Z SUCHOWŁOCI

Ignacy Jeziorkowski był pięknym mężczyzną, potomkiem znakomitego rodu, w którym nie brakowało kasztelanów i biskupów. Przed wojną gospodarował w swej rodzinnej Suchowłoci, córkę i syna kształcił w Warszawie, zimy spędzał za granicą. Gospodarzył świetnie, Suchowłość wyróżniała się korzystnie spośród okolicznych, podupadłych majątków. W latach trzydziestych Ignacy Jeziorkowski zbudował nawet, w folwarku Pogorzelska, nowoczesną cukrownię, zapewniając tym samym okolicznym chłopom pracę sezonową, a także

dochody płynące z opłacalnej uprawy cukrowego buraka. Jeziorkowski, będąc doskonałym organizatorem, gospodarzem, działaczem (założył szpital w Pogorzelskich i trzy szkoły w okolicznych wsiach), cenił sobie równocześnie życie wygodne i atrakcyjne; królował na balach, a jego polowania, na które zjeżdżało często kilkuset gości, słynęły szeroko. Choć dzisiaj brzmi to dziwnie, nie był mimo tych upodobań typem staromodnego, zadufanego w sobie ziemianina—arystokraty, czy też chciwego, bezwzględnego przemysłowca. Przeciwnie, ten człowiek o bogatej i ciekawej osobowości sprzyjał postępowym tendencjom społecznym, w jego dworze w Suchowłoci spotykali się niejednokrotnie działacze, politycy i pisarze o socjalistycznych poglądach. Podczas wojny Jeziorkowski był komendantem miejscowej siatki AK, ale współpracował również z BCh i AL, a w jego dworze nieraz znajdowali schronienie i pomoc partyzanci radzieccy, ukrywający się Żydzi, uciekinierzy z obozów. Aż dziw, że Suchowłość ocalała przed Niemcami — wciąż jeszcze Ignacemu Jeziorkowskiemu towarzyszyło nieprawdopodobne szczęście.

Po wyzwoleniu Jeziorkowski pozostał wierny wyznawanym przez siebie zasadom. Zrzekł się dobrowolnie majątku, nie czekając na ustawę o parcelacji, sam dopomagał w urządzeniu szkoły we dworze, następnie z częścią mebli, obrazów i pamiątek rodzinnych przeniósł się do Lublina, a potem do Hrubieszowa, gdzie zamieszkał w niewielkim domku na przedmieściu, z żoną Ireną i parą dorastających dzieci.

Wśród zabranych z Suchowłoci pamiątek rodzinnych znajdowała się stara i piękna kolekcja klejnotów. Dzieła renesansowych złotników, wśród których wyróżniał się piękny wenecki sztylet z trzema brylantami na gardzie, przedstawiały ogromną wartość, były bezcennym skarbem, przechowywanym w rodzinie Jeziorkowskich od stuleci. Łączyły się z nim liczne podania i legendy rodzinne.

Teraz też następuje najbardziej dziwny i — niestety — ostatni rozdział życia Ignacego Jeziorkowskiego, kiedy to po raz pierwszy i ostatni opuściło go szczęście. Nie wiemy,

jakie były plany Jeziorkowskich. Jedno jest pewne – domek w Hrubieszowie był etapem przejściowym. Jest rok 1946. U Jeziorkowskich zjawiają się i znikają różni nieznani ludzie – towarzysze konspiracyjnych walk? Znajomi z czasów okupacji? Ci, których chronił w Suchowłoci? Przyjaciele, wrogowie, byli podwładni czy byli zwierzchnicy? Nie wiadomo. Czego żądali? Czego oczekiwali od potomka kasztelanów, który przyjął nowe czasy bez sprzeciwu i starał się być nadal użyteczny? Nie wiadomo, nie wiadomo... Żona Ignacego, Irena, nie potrafiła nawet dokładnie opisać tych gości. Przychodzili wieczorami, znikali o świcie...

Był wśród nich ktoś, o kim mówiło się „pan Zdzisław”, ktoś nazywany „doktorem Janem”, ale pani Irena nie pamiętała ich z czasów okupacji.

W pochmurny lutowy ranek 1946 roku Irena Jeziorkowska wróciła do domu od siostry ze Strzyżowa, gdzie zostawiła dzieci. Domek był zamknięty, światła zgaszone. Ale w pokoju na parterze, przy biurku, znalazła ciało męża. Już nie żył. Zniknęła także kolekcja z Suchowłoci. Zostały srebra, obrazy – nie było tylko klejnotów. Nie pojawili się już nigdy panowie „Zdzisław” i „Jan Śledztwo nie dało wyniku.

Co stało się z piękną kolekcją? Jak wiele skarbów kultury, wywiezionych po wojnie zagranicę, i ona, być może, wzbogaciła któreś z zachodnich muzeów lub zbiorów prywatnych. Ta zagadka już nigdy nie będzie rozwiązana. W papierach rodzinnych autorki tego artykułu zostało tylko jedno zdjęcie, wykonane latem 1945 roku, kiedy po raz ostatni widziała Ignacego Jeziorkowskiego. Było to w Hrubieszowie, przed domkiem, w którym zginął kilka miesięcy później.

Jadwiga Baleja

Uśmiechnąłem się do siebie. Jadwiga Baleja niewątpliwie durzyła się przed wojną i po niej w Ignacym Jeziorkowskim; jej uczucie może nie było tak gorące jak miłość Stefcy Rudeckiej do Waldemara Michorowskiego, dzięki czemu pani Baleja nie tylko nie dostała zapalenia mózgu, ale w dwadzieścia parę lat

po śmierci swego ideału mogła jeszcze napisać o nim artykuł, który właśnie szczęśliwie przeczytałem. Wyraźny był tu ton niechęci pod adresem żony Ignacego, Ireny. Ani nie potrafiła wylegitymować gości męża, ani dotrzymać mu towarzystwa krytycznej nocy, ani odnaleźć zabójców i klejnotów. W ogóle prawdopodobnie nie zasłużyła na szczęście, jakie ją spotkało, zasłużyła natomiast na nieszczęście, będące szczęścia finałem. Pani Baleja była też na pewno przekonana, że przy jej boku Ignacy Jeziorkowski żyłby do dziś dnia i co wieczór oglądałby swoje klejnoty. Zważywszy ponadto na fakt, że ów sympatyczny zapewne ziemianin przedstawiony tu został jako ktoś jednoczący cechy Róży Luksemburg i Kordiana — uczucie autorki dla bohatera artykułu uznać można było za udowodnione.

Spojrzałem z kolei na zdjęcie. Niezbyt wyraźne, niemniej grupka osób, stojących przed obrośniętym winem gankiem parterowego, drewnianego domku, dawała się rozdzielić na poszczególne sylwetki i twarze. W środku stał zażywny mężczyzna z czarnym, zabójczym wąsikiem — to na pewno Ignacy Jeziorkowski. Po jego lewej stronie stały dwie niewiasty, po prawej wiotka blondyna i niski, pękaty człowieczek o okrągłej twarzy, czyżby? — ależ tak, to chyba Klemens Mrozowski młodszy o dwadzieścia parę lat, on, albo ktoś bardzo do niego podobny! Zdjęcie nie było podpisane, ale nonparelowa notka objaśniająca włamana została, z niewiadomych przyczyn, pod pierwszą szpalnę. „Na zdjęciu od lewej: autorka...” Przyjrzałem się jej bliżej: pani Baleja była dorodną brunetką o stanowczych rysach twarzy i władczym spojrzeniu, „...następnie siostra Ireny Jeziorkowskiej, Maria Rościszewska...”.

Rościszewska! Omal nie zerwałem się z miejsca. Rościszewska, archiwum Rościszewskich, oprawne w czerwoną skórę, tam właśnie jest ten list, źródło informacji, poszukiwane przez profesora Kędzierskiego! Rozejrzałem się dokoła, niezbyt przytomnie, starając się ukryć nagle podniecenie. Ale dokoła było pusto, sennie, brzęczały muchy na oknach, przy odległym stoliku siedziała jakaś starsza pani z głową ukrytą między

stosami czasopism, młoda bibliotekarka pisała coś, nisko pochylona nad biurkiem. Przeciągnąłem ręką po czole; gorąco. Rzuciłem jeszcze okiem na notkę: „w środku Ignacy Jeziorkowski, obok jego żona Irena i jeden z ich znajomych” — wstałem energicznie, oddałem czasopisma, zbiegłem na dół, przeciąłem podwórze i wszedłem na parter w innym skrzydle poklasztornego gmachu, gdzie, pamiętam, mieściła się kiedyś czytelnia rękopisów. Mieściła się i teraz. W małej salce byłem sam, panował tu chłód: znikło podniecenie, wspominałem już chwilę, w której ponownie, po wielu latach, odkryłem archiwum Rościszewskich, z rosnącym rozbawieniem. Oto nagle, na moment, wróciła przeszłość (który to już raz podczas mego tu pobytu?), radość z niespodziewanego odkrycia, podniecenie; czyżbym naprawdę uwierzył, że przybyłem tu jako historyk? Skoro już tu jestem, znajdę ten szczegół, jedno z brakujących ogniw w pracy profesora; odpowiem w ten sposób na jego list, spełnię jego prośbę — ale nie mogę, nie powinienem zapominać ani na chwilę, po co tu jestem naprawdę.

Starszy, siwy pan w granatowym kitlu przyniósł czerwono oprawny foliał. Teraz pamiętałem już wszystko. Przerzuciłem szybko korespondencję i dokumenty Rościszewskich z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku; na samym końcu, pożółkły i sprasowany, tkwił arkusik papieru, pokryty rządkami zblakłego, brązowego pisma. U góry, ołówkiem, uwaga:

„Ignacy Jeziorkowski do Ksawerego Rościszewskiego”.

Przyjacielu Drogi, w pośpiechu piszę i determinacji, przez umyślnego do Ciebie piszę, a na wieczór i nocą do Lwowa ruszam, każdej chwili niepewny. Towarzyszy naszych i przyjaciół Replin gubernator katu oddaje, nie wiem, co powiedzieć mogą, ale to wiem, co mi kurier umyślny z Istambułu powiada, a czemu niemal jeszcze wiary dać nie mogę. Wiść do nich dotarła, że zaufany nasz Franciszek Koronkiewicz, którego przyjacielem nazywałem, któremu klejnoty moje i ów sztylet wenecki, co Twój podziw budził, oddać zamierzałem, że on właśnie, dusza stowarzyszenia

naszego z Repninem się znosi i towarzyszy naszych na kaźń i śmierć wydaje. Jeślim więc dotąd ocalał, to może klejnotom moim, że ich jeszcze nie ma, zawdzięczam. Stowarzyszenie nasze rozpaść się musi, wszystkim, których zdrajca zna, wieści posłałem, niech ku Lwowu dążą i dalej, ku legiom naszym. Rodzinę i dobra moje, i klejnoty do Suchowłoci wysłałem, tam schronienie bezpieczne znaleźć powinni, Ciebie zaś proszę i zaklinam, miej opiekę nad nimi i zdrady się strzeż. Ja też pewnie do Legii wyruszę, szlakiem tyłu braci naszych, których w tę drogę odprawiałem. Nos patriam jugimus, powtórzmy z Mantuańczykiem, bo wróg i zdrada gniazdo tu sobie uwiły, przekleństwo moje niech na czoła miedziane spadnie, a da Bóg wrócimy z szablą w dłoni, by nieprawość, zdradę i chciwość przed Ludu Trybunał postawić. Niełatwo oddalać się od osób najmilszych i stron rodzinnych, ale czego jeszcze nie przyjdzie nam doświadczyć, to dla nadziei powrotu. Bogu Cię polecam, Przyjacielu, Ignacy. 6 Nov. 1797.

Przepisywałem ten list do notesu, zanotowałem sygnaturę i przez cały czas rosło we mnie znowu niejasne, niesprecyzowane, lecz coraz bardziej natarczywe przekonanie, że jestem oto blisko czegoś, co dzieje się dzisiaj, że w dramatach, intrygach, zdarzeniach sprzed dwustu blisko lat kryje się jakaś wskazówka, której nie wolno mi zlekceważyć. Nagle wróciło podniecenie, ten specyficzny, tak dobrze mi znany stan umysłu, w którym pewność, że gdzieś niedaleko, w obrębie znanych mi już faktów, pośród ludzi, których spotykam, w sytuacjach, które pamiętam, znajduje się klucz do zagadki, prawda prosta i jasna, bliska i oczywista. Ta więc pewność, wplątana w informacje, obserwacje nieważne, drugorzędne, przypadkowe, jeszcze szuka racji, potwierdzeń, aby się wreszcie wyzwolić, aby doprowadzić do nagłego, krótkiego błysku, kiedy wszystko ułoży się w całość spójną, logiczną, konieczną, „...kurier umyślny powiada... czemu niemal jeszcze wiary dać nie mogę...”. Czegoś mi jeszcze brakuje, jednej informacji, jednego faktu, do diabła, nie mam pojęcia, jakiego! Wtedy, kiedy po raz pierwszy od siostry

profesora posłyszałem o kolekcji z Suchowłoci, kiedy stałem przed portretem Franciszka Koronkiewicza, nie dawało mi spokoju przeświadczenie, że coś już słyszałem o klejnotach, że znam czyjeś spontaniczne, więc szczere opinie o zdrajcy; teraz wiem — znam je z tego listu. Ale kiedy odnalazłem list, wydaje mi się znowu, że mówi on o czymś, co dzieje się dziś, o czym słyszałem niedawno; tak jak twarz Koronkiewicza z portretu, wiszącego w sypialni profesora, zdaje się mieć w sobie coś znajomego, coś...

Czas już na mnie. Wyszedłem z biblioteki na zakurzoną, rozpaloną ulicę. Wiatr podnosił obłoczki kurzu. Na zegarku kwadrans po jedenastej. Na schodach w gmachu filologii dogoniłem Karolaka.

— Zatrzymali mnie w dziekanacie — powiedział — a ty też się solidnie powłóczyłeś. Inna rzecz, że w lipcu siedzieć na konferencjach naukowych to zupełnie specjalny rodzaj zboczenia, nie uważasz?

— Dowiedziałeś się czegoś o Tomczyku?

— A tak! — Zatrzymaliśmy się przy wnęcie okiennej, wyciągnęliśmy papierosy, żeby jeszcze odwlec chwilę, w której znajdziemy się na sali. — Adres masz, jest na kopi listu. Zdawał, jak mówiłem, na reżyserię w Szkole Teatralnej w Łodzi. Myślę, że zdał, bo zdolny. Co jeszcze? W zeszłym roku był na praktykach studenckich we Francji.

Podniosłem czujnie głowę.

— Gdzie?

— W Nancy. Mamy z nimi bliskie kontakty, wiesz. Jeździmy tam czasami, oni do nas przyjeżdżają. Wybieram się tam w przyszłym roku, Winiarski jedzie teraz. Szczególnie Kędzierski blisko z nimi współpracował i jego katedra, zajmowali się przecież stosunkami polsko-francuskimi po rozbiorach. Jacek, słyszysz? Mówię do ciebie!

Musiałem niezbyt przytomnie wyglądać. Nancy. Tam był Jan Tomczyk. Z Nancy przyjechał doktor Dufour. Nonsens, to chyba nonsens. Jak pisał Ignacy Jeziorkowski? „... kurier umyślny powiada...”.

— Słuchaj — powiedziałem — słuchaj, widziałeś się z

doktorem Dufour? Rozmawiałeś z nim?

— Z Dufourem? — zdziwił się. — Widziałem się, oczywiście, byłem na odczycie, potem na tak zwanej lampce wina. Dlaczego pytasz?

— Powiedz, o czym on mówił... nie, głupstwa plotę, na pewno nic nadzwyczajnego...

— Oczywiście nic nadzwyczajnego. Dowiem się, o co ci chodzi?

— Sam nie wiem. Ale profesor Kędzierski... jaki był wtedy profesor? Taki jak zawsze? W dobrym humorze, gościnnie, wesoły?

— Dufour zatrzymał się u profesora, oni rzeczywiście dużo rozmawiali, znali się zresztą dobrze. Ale masz rację, kiedy teraz o tym myślę, przypominam sobie, że po pierwszym dniu, kiedy wszystko było w porządku, profesor następnego ranka przyszedł na krótko do zakładu i był formalnie wściekły, a w każdym razie zupełnie wytrącony z równowagi. Nie zwróciłem wtedy na to uwagi, pomyślałem sobie, że jest przemęczony po roku pracy, bo to i dydaktyka, i ta książka, i masa zajęć administracyjnych, i ten Dufour, rozumiesz? Nie był już młody. „...czemu niemal jeszcze wiary dać nie mogę...”

— Słuchaj — powiedziałem — o nic mnie nie pytaj, tylko mi pomóż. Daję słowo, że ci wszystko wytłumaczę, kiedy tylko sam będę wiedział. Zadzwonimy dziś wieczór do Dufoura, dobrze? Jeżeli można, z twojego telefonu.

— Zwariowałeś? — zachnął się. — Dzwonić do Nancy? Po co? Ty wiesz, ile to kosztuje? A w ogóle to ja nie umiem po francusku!

— Ja będę mówił. Jakoś sobie dam radę. Rachunek oczywiście biorę na siebie. Posłuchaj, to naprawdę jest ważne. Czy możesz zamówić rozmowę? Powiedzmy na szóstą. Ustalić numer.

— Ale co to jest, to coś, co uważasz za ważne? Brakuje ci czegoś do pracy Kędzierskiego? Nie wystarczy napisać? Przecież nie ma takiego pośpiechu. I skąd, poza wszystkim, wiesz, że on akurat siedzi w Nancy? A może leży na plaży w Nicei i ma wszystko w nosie?

— Może. Ale jest szansa, że będzie w domu. W Nancy jest teraz przegląd teatrów studenckich. Czytałem w gazecie. Ty też? To dobrze.

— Wydaje mi się... — mruknął.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Zdziwiasz mnie — rzekł. — I coś mi chyba jeszcze powiesz.

Westchnąłem zrezygnowany.

— Dobrze. Coś ci jeszcze rzeczywiście powiem.

Rozejrzałem się dokoła. Korytarz był pusty. Gdzieś z daleka, z drugiego skrzydła, dobiegł gwar głosów, przytłumiony, głuchy, jak brzęczenie much, kiedy leży się na trawie i patrzy w niebo. Wyjąłem legitymację i podałem mu ją bez słowa. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, przeczytał raz, drugi.

— Więc to tak — powiedział. — A więc to tak. No, muszę ci się przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Więc z tym instytutem, z tą biblioteką przedtem, to wszystko bajki?

— Wszystko, oprócz jednego: że zobaczyłem się z tobą z prawdziwą przyjemnością, że słuchałem wczoraj waszej dyskusji z sentymentem, że pracuję nad pracą profesora z prawdziwym zainteresowaniem, że chwilami zdaje mi się, że jednak kiedyś wrócę do mojego pierwszego zawodu.

— Ale przyjechałeś tutaj...

— ... aby prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa profesora.

Milczeliśmy chwilę, paląc. Wreszcie Karolak roześmiał się głośno.

— A ja ci tak współczułem, kiedy mi opowiadałeś o swoim szarym, nieciekawym życiu w bibliotece! Niech cię diabli wezmą! Musimy się napić!

I poklepał mnie z rozmachem po ramieniu, a ja nie pozostałem mu dłużny.

— No fajno, panie Bond — rzekł wreszcie — domyślam się, że mam milczeć jak grób.

— Słusznie się domyślasz, karykaturo Lelewela.

— No, no, stary, bo cię zmuszę, żebyś robił u mnie doktorat i będziesz mi się pierwszy kłaniał.

— Wcale nie jestem pewny, czy ci nie dam tej satysfakcji. No

więc jak z Dufourem?

— Z Dufourem teraz jest zupełnie inna sprawa — powiedział z zapalem. — Słuchaj, ty myślisz, że to może mieć jakiś związek... ale jaki? Możesz do mnie mówić: drogi Watsonie, ale mnie to naprawdę interesuje. Numer telefonu i adres Dufoura mam chyba w domu, dał mi wizytówkę, a ja tę wizytówkę schowałem. Przygotuję na szóstą rozmowę. Gra?

— Gra. Będziesz pierwszy, któremu wszystko powiem, ale w tym celu muszę cokolwiek wiedzieć na pewno.

— Rozkaz, kapitanie.

— Spocznij, docencie.

W głębi korytarza otwarto ze skrzypieniem drzwi, zjawił się profesor Wojtasiewicz, prowadząc za rękę ośmioletniego chłopca, a za nim wysypali się na korytarz uczestnicy sesji.

— No to pierwszą część sesji mamy z głowy rzekł z ulgą Karolak — a z drugiej to ja się urwę, wiesz? Może coś ci jeszcze sprawdzić? — zapalił się. — Czegoś poszukać?

— Widzę, że cię wzięło. Szkoda, że wcześniej nie poprosiłem cię o pomoc. Będę u ciebie o szóstej.

Profesor Wojtasiewicz zbliżył się z wyciągniętą ręką, za nim zjawiła się Ewa, którą prowadził z miną czulego opiekuna doktor Winiarski, z dala pokiwał nam ręką docent Janosik, a doktor Gryzoń tłumaczył coś niskiemu blondynowi w okularach, stukając się w czoło, co mogło świadczyć o pewnej niezgodności poglądów obu uczonych.

— Żona dziś była zajęta — powiedział profesor Wojtasiewicz — i musiałem zabrać syna z sobą na Uniwersytet. Jak ci się podobało, Kajtek?

— Potwornie nudne — odpowiedział poważnie Kajtek.

— Tak, tak — chrząknął profesor — już niedługo pojedziesz do babci do Barlinka.

A w tej samej chwili nadbiegła urocza żona profesora w złotych sandałkach, wołając:

— Okropna kolejka u manikiurzystki! Chodź, Kaj- tuś, pójdziemy na kawę do pani Marysi. Pobawisz się z Grzesiem.

— Spiorę go na kwaśne jabłko — powiedział Kajtek. — On mi wczoraj wpuścił muchę za kołnierz. — I ruszył z matką ku

drzwiom.

Ewa zbliżyła się do nas i wsunęła mi rękę pod ramię, ku wyraźnemu niezadowoleniu Winiarskiego. Przedstawiłem jej Karolaka.

— Polityka kadrowa w Instytucie jest wyraźnie lepsza niż u nas na uczelni — powiedział z entuzjazmem — a zawsze mówiłem, że oprócz kwalifikacji merytorycznych należy brać pod uwagę względy estetyczne.

— Można to nazwać komplementem administracyjnym — stwierdziła Ewa. — Dziękuję.

— Mamy czas do piętnastej — wtrącił się Winiarski.

— Dyskusją była dzisiaj wyjątkowo nieciekawa.

— Wczoraj także — mruknął Karolak.

— A zatem nie żegnamy się — rzekł profesor Wojtasiewicz i rozeszliśmy się, wymieniając ukłony z nowymi znajomymi; my udaliśmy się w kierunku wyjścia, oni zaś ruszyli rażno ku otwartym w głębi korytarza drzwiom klubu.

— Jeżeli macie państwo chwilę — powiedział na ulicy Winiarski — chętnie napiłbym się gdzieś kawy i porozmawiał chwilę. Jestem naprawdę wstrząśnięty tym, co powiedziała mi pani Ewa. Nie mogę tego zrozumieć. Czyżby miało to jakiś związek ze śmiercią profesora? A jeżeli nie, cóż to za makabryczny układ przypadków!

Karolak patrzył na nas, nie rozumiejąc.

— Powiedz, Ewa — poprosiłem.

Karolak słuchał w milczeniu, kiwając tylko głową, Winiarski pomrukiwał pod nosem, niewyraźnie, coś, co brzmiało jak „straszne”, „niezwykłe” i „okropne”. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem historii.

— Muszę tu wstąpić na chwilę — powiedział niechętnie Karolak. — Gdzie pójdziecie na kawę?

— Nie wiem. — Winiarski wzruszył ramionami. — Nie chciałem wchodzić do klubu, bo by nas natychmiast obsiedli koledzy. Gdzieś, gdzie można spokojnie porozmawiać.

— Wejść z tobą na górę — powiedziałem szybko.

— Idźcie państwo spacerkiem w stronę Rynku, my was za chwilę dogonimy.

— Doskonale — zgodził się Winiarski, a Ewa spojrzała na mnie z niejakim zdumieniem, podczas gdy nasz lew mody męskiej ujął ją delikatnie pod ramię i poprowadził wolno ulicą.

— Muszę zadzwonić — powiedziałem Karolakowi — a pamiętam, że masz telefon w gabinecie. Długo tu będziesz zajęty?

— Nie wiem, powinna na mnie czekać wiadomość o jakimś głupim zebraniu.

Karolak wpuścił mnie do gabinetu i dyskretnie zniknął. Wykręciłem numer komendy. Zgłosił się Grzywiński.

— Zanotuj — powiedziałem — Jan Tomczyk. Adres: Łódź, Zielona 129b. Zdał na reżyserię, przedtem... tak, tak, ten sam, rzeczywiście, zapamiętałeś. Chcę go mieć tutaj natychmiast. Nie wiem jak, niech robią, co chcą, niech go znajdą i dostawią tutaj. Nie, nie zatrzymać, tylko grzecznie dostawić. Helikopterem, balonem, rowerem, odrzutowcem, hulajnogą, czym chcesz. Dobrze, maglujcie Janiaka. Wpadnę niedługo. Może za godzinę. Nic nie jest ważne, Tomczyk jest ważny... A skąd ja mogę wiedzieć, co zrobił? Zdziwiłbym się, gdybyś rozumiał. Cześć.

— Zebranie przełożone na jutro — wpadł rozpromieniony Karolak. — Możemy iść. Powiedz mi po drodze więcej o tym Hoszowskim. O niczym innym nie potrafię myśleć.

Ewę i Winiarskiego dogoniliśmy w Rynku, koło „Feniksa”; Ewa rozjaśniła się na nasz widok, Winiarski nie. Najzupełniej wyraźnie wyrastał mi groźny konkurent. Drugi, obok Janusza.

Kawiarnie na Rynku były przepełnione. Poszliśmy więc dalej. Na placu Kościuszki podobnie. Kawiarnia Klubu Książki i Prasy kipiała od gości, dwie pozostałe także.

— Skoro już tu jesteśmy — powiedział Winiarski — może po prostu wpadniemy do mnie. Mieszkam niedaleko, na Kościuszki. Zobaczysz pani, jak się urządziłem.

Przy okazji zatem i my zobaczymy. Wymieniliśmy z Karolakiem porozumiewawcze spojrzenia.

Winiarski mieszkał na pierwszym piętrze nowego domu, „plomby”, wciśniętej między dwie okazałe, secesyjne kamienice. Z obszernego przedpokoju prowadziły drzwi do

kuchni, łazienki i pokoju urządzonego zgodnie z przemijającą już modą meblami stylizowanymi na secesję, z obowiązkowymi lampami naftowymi, z samowarkiem stojącym na stolyczku obok kredensu. Po chwili zjawiała się kawa. Za zaciągniętymi zasłonami huczała ogłuszająco ulica, półmrok, duszno, sterty papierów na wielkim biurku, stosy stłoczonych książek w bibliotecznych szafach, dwie piękne, skórzane walizy, z błyszczącymi zamkami błyskawicznymi, opasane szerokimi pasami, w kącie za biurkiem.

— Już się pan spakował — rzekł Karolak.

— Spakowałem się — powiedział Winiarski niedbale, z miną światowca. — Zawsze, kiedy wybieram się zagranicę, nie zostawiam niczego na ostatnią chwilę.

— I kiedy pan wyrusza?

— Za kilka dni. — Rozłożył ręce. — To już tylko kwestia wykupienia biletu. Muszę się jeszcze skontaktować z milicją. Na pewno będą potrzebne moje zeznania w związku z tą smutną historią. Przyznam się, że wołałbym, aby wyjaśniło się wszystko przed moim wyjazdem. Jestem poważnie zaniepokojony obrotem wypadków.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy o wczorajszym wieczorze. Opowiedziałem wszystko, co uważałem, że mogę opowiedzieć. Na wzmiankę o sztylcie weneckim Winiarski uniósł ze zdziwieniem brwi.

— A cóż to za niezwykle narzędzie zbrodni? — rzekł. — Jakież zabójca posługiwałby się czymś tak cennym, rzadkim i zapewne łatwym do zidentyfikowania.

— Z tego wynika — powiedział Karolak — że sztylet należał do ofiary, nie do zabójcy.

— I że cel rabunkowy można z góry wykluczyć — dodał z zadumą w głosie Winiarski.

— Niekoniecznie — odezwała się Ewa. — Przecież nie wiemy jakby to wszystko wyglądało, gdyby Jacek nie wdarł się do domu wkrótce po zabójstwie.

— Ale przecież nikogo tam nie zastaliście, oprócz... oprócz pana Zagórskiego — dokończył Winiarski z rosnącym zdumieniem, jakby teraz dopiero zdał sobie sprawę z sensu

tego zdania.

— Zagórski został aresztowany — powiedziała Ewa.

— Niezwykłe — Winiarski kręcił głową — jak nic nie wiemy o ludziach. Pana Zagórskiego prawie zresztą nie znam, ale Hoszowski? Spotykam go, wprawdzie rzadko, od tylu lat! Nigdy bym nie przypuszczał, że mogło być w jego życiu coś, co doprowadzi do takich konsekwencji. Bo mimo wszystko nie wierzę w rabunkowe tło zabójstwa. A może... nie, nonsens...

— Niech pan skończy — mruknął Karolak.

— A może Hoszowski miał coś wspólnego ze śmiercią profesora? — rzekł niepewnie Winiarski. — Może obie te sprawy łączą się z sobą w jakiś nieznamy nam sposób? To zupełnie dowolne przypuszczenie, ale trudno mi się oprzeć...

— Kto wie? — zapalił się Karolak. — Ja też już o tym myślałem. W dwu sąsiednich domach, w odstępnie kilku dni, w podobnie niezwykłych okolicznościach...

Ewa ściągnęła ramiona.

— Przyznam się, że mam już tego zdecydowanie dość — powiedziała cicho. — Myślę, że po ostatecznym uporządkowaniu papierów profesora można je będzie przewieźć do Warszawy i tam spokojnie dokończyć pracy. Maszynopis jest prawie kompletny, nic nas nie zmusza do zostania tutaj dłużej, niż to jest konieczne.

— Kłopot będzie tylko z drugą, dokumentalną częścią — rzekł Winiarski. — Profesor miał zamiar dobrać sobie współpracowników, żeby uniknąć żmudnej dłubaniny. Warto się zresztą zastanowić, czy w ogóle należy podtrzymywać tę koncepcję...

— Pamiętam — odezwał się Karolak — że zbierał dla profesora materiały tenże Tomczyk, który z takim hukiem wyleciał...

— Ach, Tomczyk. — Winiarski machnął lekceważąco ręką. — Profesor powierzał mu czysto techniczne zadania. W rozmowach ze mną wysuwał propozycję merytorycznej współpracy, ale trudno mi się było na to zdecydować, niedługo przed habilitacją i tym wyjazdem...

— Ale Tomczyk miał chyba umowę z Instytutem — nie

ustępował Karolak — i to profesor mu ją załatwił.

— I jeszcze paru studentom wyższych lat. Staraliśmy się dopomagać zdolniejszym, wiązać ich z uczelnią albo Instytutem. Nigdy nie wiadomo, kto w końcu okaże się materiałem na naukowca, a kto hochsztaplerem.

— Profesor ciężko przeżywał sprawę Tomczyka — rzekł Karolak. — Inna rzecz, że w ostatnich latach sam nie miał łatwego charakteru. Był przemęczony, przewrażliwiony, pewnie i nie najzdrowszy, chociaż pracował za trzech...

— Nie sądzę — rzekł Winiarski, ściągając brwi. — Profesor miał zawsze chłodny umysł i nie kierował się emocjami ani uprzedzeniami. W sprawę z Tomczykiem nie wchodziłem i nie wchodzi, ale tym bardziej teraz, kiedy profesor nie żyje, muszę stwierdzić, że nigdy nie dał powodu do posądzeń o stronniczość czy niesprawiedliwość. Etykę naukową stawiał na pierwszym miejscu.

— Właściwie go nie znałam — odezwała się Ewa — ale po tym, co już zobaczyłam, przeglądając jego papiery, mogę sądzić, że to był człowiek o niesłychanej rzetelności i dokładności badawczej. Myślę, że dużo się jeszcze przy tej pracy nauczę.

— Chętnie w tym pani dopomogę. — Winiarski przesiadł się na kanapę bliżej Ewy. — Wracając z Francji, zatrzymam się w Warszawie. Czy mogę do pani zadzwonić?

— Bardzo proszę.

— I będę mógł do pani napisać?

— Zrobi mi pan prawdziwą przyjemność.

— Żałuję, że właśnie teraz przychodzi mi wyjechać — westchnął — ale dopóki tu jestem, proszę pamiętać, że gotów jestem pomóc pani w każdej sprawie, związanej z pani pracą.

— Będę o tym pamiętała.

A gdy po pół godzinie zegnaliśmy się, Winiarski usiłował namówić Ewę na wieczorną wyprawę do kina i wcale nie zrażał się widocznym brakiem entuzjazmu u partnerki. Karolak śmiał się dobrodusznie.

— Ja bym wam radził „Kleopatę” — powiedział.

— To jest coś, co może olśnić kobietę.

— A ja „Piękność dnia” — dorzuciłem. — To jest coś, co może olśnić mężczyznę.

— Dobrze — rozłościła się Ewa. — Jeżeli przyjdzie mi ochota na kino albo wesołe miasteczko, zadzwonię do pana wieczorem.

— To ja do pani zadzwonię — rzekł z ukłonem Winiarski, wrogo na mnie popatrując.

— Dlaczego mnie nie bronisiz? — spytała Ewa na ulicy. — A nuż mu ulegnę?

— Jacek jest za bardzo pewny siebie — rzekł Karolak. — Może mi pani wierzyć, ja go znam. A teraz muszę was pożegnać. Czekam cię, Jacek, o szóstej.

— Widzę, że masz szczerze zapełniony dzień — powiedziała Ewa, kiedy zostaliśmy sami. — Jak wracamy do domu? Taksówką? Co robiłeś rano? Powiedz mi coś. Miejsca sobie nie mogę znaleźć.

— Ja jeszcze nie wracam do domu. Przepróż panią Alę, powiedz, że nie będę na obiedzie. Porozmawiamy wieczorem, wciąż jeszcze nic nie wiem.

— Mogę ci pomóc?

— Możesz, i to bardzo. Czy znasz w Instytucie, ale dobrze, kogoś z kierownictwa, kto byłby zorientowany w umowach i zobowiązaniach profesora Kędzierskiego i jego współpracowników wobec Instytutu? Chodzi mi o umowę Tomczyka. Kiedy zawarta, czego dotyczyła, kiedy rozwiązana, z jaką motywacją? I o sprawę ogólniejszą: dlaczego właściwie nas tu wysłano? Dlaczego nie zwrócono się bezpośrednio do miejscowych historyków?

Staliśmy na rogu placu, koło skweru. Białe, wysokie obłoki przykryły na chwilę słońce. Zrywał się wiatr.

— Znam dobrze docenta Gębałę — powiedziała z zastanowieniem Ewa, wierząc czubkiem sandała w szczelinie między płytami chodnika — bywa u moich rodziców. On chyba powie mi szczerze, jeśli cokolwiek w tym jest. Dobrze, zadzwonię zaraz po przyjeździe do domu. Co mam jeszcze zrobić?

— Jeśli będziesz miała czas, siły i ochotę, przejrzyj te teczki z

materiałami do drugiej, dokumentalnej części pracy, przy której współpracował, czy miał współpracować Tomczyk. Do tej pory nie poświęciliśmy im za wiele uwagi, możliwe zresztą, że nic tam nie znajdziesz.

— A czego mam szukać?

— Nie wiem. Ale wierzę w twoje szczęście.

Uśmiechnęła się.

— Przyjedź prędko.

Pocałowałem ją lekko, wargi miała suche, gorące.

— Brawo! — zawołał dziarski staruszek z siwą bródką, siedzący na pobliskiej ławce.

Zatrzymałem taksówkę, a kiedy znikła za rogiem, poszedłem wolno w stronę Komendy.

Grzywiński spocony, w koszuli z zakasnymi rękawami, siedział za biurkiem, przed nim, na krzeselku, Janiak. Kiedy wszedłem, Grzywiński odetchnął z ulgą i wstał, ustępując mi miejsca.

— Jeszcze szef chciałby się od was czegoś dowiedzieć — powiedział. — Ja zapalę sobie papierosa. Nie mam już do was siły.

I rozwałił się na fotelu w rogu, koło stolika protokolanta.

— Szef? — wybełkotał Janiak, zrywając się. — Pan... pan, znaczy...

— Siadajcie. Da mi tu ktoś herbaty?

— Zrobi się — powiedział protokolant, wstając.

— Porozmawiamy sobie, panie Janiak, bez protokołu, dobrze? Tylko uprzedzam, że mam mało czasu, jasne?

— Ja wszystko już, do końca — wy stękał — jak na spowiedzi... Pan oficer wszystko kazał zapisać...

— Posłuchajcie. Możliwe, że stąd wrócić do domu. Czy was pani Kędziarska będzie chciała zatrzymać, tego ja nie wiem, ale możecie się jeszcze z tego wydostać. Stary z was człowiek, Janiak, a mało brakowało, żebyście przekiblowali ostatnie lata...

— Ja mówiłem... ja nie wiem, jak to się stało... ja nigdy...

— Dobra, dobra, tu nie konfesjonał, sami się nad sobą zastanówcie. Jak to było z tym światłem, Janiak, co? Kiedyście

je wyłączyli?

– A to było tak – zaczął jękliwie – kiedy po południu...

– Nie obchodzi mnie, co było po południu!

– To znaczy ja wszystko powiem. Zaraz po kolacji mówi do mnie Helena...

– Nie obchodzi mnie, co mówiła Helena po kolacji.

– Więc jak Helena poszła spać o dziewiątej...

– Światło, Janiak, światło! O której wyłączyliście?

– Potem, jak pan wrócił, ktoś wchodził, wychodził, my siedzieli u mnie. Jak pan z tą panią poszedł na górę i zamknął gabinet, wtedy jato światło...

– Jak?

– Zwyczajnie, wyłączyłem korki.

– Gdzie są bezpieczniki?

– No na dole, w korytarzu, zaraz koło wyjścia na ogród... To jak on w tej okładce, co to niby książka, tylko papiery jakieś znalazł, a nie, co ja widział, że profesor pierścionki jakieś chował, co je ta z Poznania miała brać, lepiej, sobie myślę, żeby my co z tego mieli, ja ten klucz od gabinetu dawno miałem, mnie profesor dał, ja nie podrobił nic, tylko przypadkiem podejrzwał, to ja pomyślał...

– Trudno było jaśniej to wyłożyć. Tylko ten jeden raz wyłączyliście światło?

– Tylko ten jeden.

– Przedtem samo zgasło?

– Przedtem?

– Koło jedenastej.

– Tak, ono wtedy zgasło. Ja myślałem, że elektrownia. To nie elektrownia?

– Gdzieście wtedy byli?

– W pokoju u mnie my siedzieli.

– Nikt nie chodził po korytarzyku?

– Jakby chodził, to bym słyszał. Ale jak to nie elektrownia, to nie musiał nikt chodzić do korków. Z góry można wyłączyć.

– Jak?

– Kiedyś były korki na górze, i licznik, w takiej szafce w ścianie, w korytarzu, po lewej stronie – zmiana tematu

pozwoliła mu nieco oprzytomnieć — jak je przenieśli na dół, to w szafce są jakieś szczotki i szmaty, ale wyłącznik został, to jak ktoś wie...

— Kiedy przeniesiono bezpieczniki na dół?

— Dawno, jeszcze ja nie przyszedłem... Helena mówiła...

— Odprowadzić.

— Znaczy, że ja... — zerwał się spłoszony — pan mówił... — zaciął się, wreszcie dokończył bezradnie — co ze mną będzie?

— Zobaczmy — powiedziałem. — Trochę jeszcze pomieszkacie u nas. Ja pamiętam, co obiecałem.

Kiedy zostaliśmy sami, Grzywiński wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu kości.

— Co ja się przy tobie naharuję, to moje. A ty pewnie chodziłeś z dziewczynami na spacer, co?

— Zgadłeś. Byliście na Lipowej?

— Skąd wiesz? Uważałem, że tak będzie lepiej, chociaż nic nie mówiłeś.

— W porządku, zapamiętam, że wykazałeś inicjatywę. No i co?

— No i nic. Ewy, jak wiesz, nie było, pan Mrozowski załatwił coś w mieście, ale zdążył wrócić, pani Kędzierska robi wrażenie spokojnej, chociaż to osoba z natury opanowana i nie bardzo wiadomo, co się tam dzieje w środku, no a Ada... — przerwał i westchnął demonstracyjnie — Ada to świetna dziewczyna...

— To wszystko, do czego doszedłeś?

— Właściwie wszystko. Byłbym się z nią umówił, ale odezwał się we mnie służbista. Gdybyś tak przestał robić sobie wakacje, może byśmy skończyli do wieczora i jutro ruszyłbym do szturm.

— Aż tak cię wzięło?

— Człowieku, jak nie zaczniesz mi okazywać więcej szacunku, przeniosę się do Poznania.

— Powiedziałeś to już Adzie?

— Żebyś wiedział.

— I co ona na to?

— Że pokaże mi palmiarnię i zabierze na piknik do Puszczykówka. To dobrze czy źle?

— Obawiam się, że źle. O ile znam Adę, ciągle jeszcze cię nie docenia.

— Już ja się postaram, żeby zmieniła zdanie. To co, skończysz do wieczora?

— Coś ty taki liberalny? Myślałem, że mi dasz jeszcze najwyżej dwie godziny. Przyszły akta z Hrubieszowa?

— Przyszły.

— A ty mi tu bajki opowiadasz. Daj. Co jeszcze?

— Marciniak ustala alibi. Pojechał do szpitala Hoszowskiego. No i przyjechała pani Karolina Murawska. Zastanawiam się, gdzie ją przyjmiemy, żeby rewanż był pełny.

— Wynajmiemy apartament w „Monopolu”. Ty masz naprawdę źle w głowie. Dziękuję, że mi w ogóle o tym powiedziałeś. Co teraz robi?

— Ada do niej pojechała.

— Nie chciała pokazywać się na Lipowej... No dobrze. Pokaż akta.

— Nie ma tam nic ciekawego — powiedział Grzywiński, zdejmując z półki wyświechtaną, cieniutką teczkę — niewiele więcej, niż w artykule w „Kameli”.

— Czytałeś?

— Wyobraź sobie, że tak. Z domu pod lipami wstąpiłem jeszcze do Hoszowskiego. Znalazłem ten numer w gabinecie, w papierach na biurku. Artykuł jest zakreślony czerwonym ołówkiem. Chcesz przeczytać?

— Czytałem w bibliotece.

— Niepotrzebnie traciłeś czas. Ja, na szczęście, nie popełniam twoich błędów.

— Wyobraź sobie, że nie straciłem czasu. Więc numer pisma trzymał Hoszowski na biurku, tak?

— Na okładce są ślady kleju i strzępy opaski. Jakby przysłano mu to pocztą.

Otworzyłem teczkę. Rzeczywiście, niewiele tego było. Kilka stron protokołów napisanych na poniemieckiej maszynie, trochę odręcznych notatek — i jedno stare zdjęcie, przekazane prowadzącym śledztwo przez Irenę Jeziorkowską. Przedstawiało ono, jak wyjaśniała notatka, Ignacego

Jeziorkowskiego ze znajomymi w sali miejscowej restauracji, w jesieni roku 1945; zrobił je przypadkowo jeden ze znajomych, ale większości osób widocznych na zdjęciu Irena Jeziorkowska nie znała, a prowadzący śledztwo też nie wszystkich mogli zidentyfikować.

— Szkoda czasu — rzekł Grzywiński. — Powiedz lepiej, kiedy zaprosimy panią Murawską. Gotowa się niecierpliwić. A może złożymy jej wizytę w hotelu? I czego właściwie po niej oczekujesz? Że zidentyfikuje klejnoty? A może myślisz, że to ona zabiła Jeziorkowskiego? Otóż ja ci ręczę, że nie miała z tym nic wspólnego. Znam się trochę na ludziach, a to jest w końcu matka Ady. Rozumiesz?

— Oglądałeś to zdjęcie?

— Zdjęcie? Oglądałem. Pan Jeziorkowski przypomina mi mego wujka, także i dlatego, że w tej butelce przed nim niewiele już zostało.

— Chodź, zobacz

Pochyliliśmy się obaj nad fotografią. Przedstawiała wnętrze przeciętnej knajpki z tamtych lat. Kilka stolików, które ciasno obsiedli mężczyźni w marynarkach o wywatowanych ramionach, butelki, kieliszki, półmiski, w głębi odrapany kontuar, przy nim jeszcze kilka osób, jakaś kobieta w samodzielnym żakiecie, uczesana w wysoko podpięty kok, przy niej mężczyzna w wysokich butach, oficerkach, obrócony półprofilem, uczestnicy biesiady najwidoczniej nie wiedzieli, że są fotografowani, nikt nie patrzył w obiektyw.

— Weź notatkę do tego zdjęcia. Ignacego Jeziorkowskiego znamy. Przy nim miejscowy nauczyciel gimnazjum, Nowak, adwokat Pieczętkowski, osobnik nieznany... Przy sąsiednim stoliku... urzędnik starostwa, tak, to chyba ten, sklepikarz, dobrze, i teraz, patrz, ten mężczyzna w wysokich butach przy kontuarze, czytaj: „Irena Jeziorkowska podaje do protokołu, że może to być osobnik, o którym mówiło się „doktor Jan”, ale nie jest tego pewna, widziała go tylko raz, wieczorem, przy słabym świetle”. No, kto to jest? Też widziałeś go raz, ale przy dobrym świetle.

— Czekaj... czyja wiem... podobny do... do...

— No, do kogo?

— Chyba... chyba do Hoszowskiego!

— Też mi się tak wydaje.

— Ale to może być przypadek. Popatrz, jaki ten tu szczupły...

— A ty spójrz na nos... kształt czoła... Zbieracie dane o Hoszowskim?

— Marciniak tym się zajmuje. Powinien już tu być, miał wpaść koło drugiej. „Doktor Jan”... słuchaj, to możliwe! Bomba!

— Na razie kapiszon.

Szczęknęły drzwi. Wszedł Marciniak, zgrzany, zmęczony.

— Jesteście, to dobrze. Dajcie się czegoś napić, bo się rozplnę.

— Mam tu jeszcze wodę mineralną — rzekł Grzywiński, wyciągając zza biurka butelkę — obrzydliwie ciepła. Moglibyście sobie sprawić lodówkę.

— Jest w gabinecie naczelnika. — Marciniak wyciągnął się w fotelu, rozpiął koszulę, wachlował się gazetą. — Zamówił nowe meblowanie i ma pokój jak z filmu. Spotkałem na schodach jego i komendanta. Chcieliby się z wami zobaczyć.

— Złóżę im potem wizytę. Wiecie coś?

— Wiem — ożywił się. — Że też to wychodzi dopiero teraz! Chcieliście, żebym nikomu nie wierzył, to nie wierzyłem. Przycisnąłem siostrę, która miała dyżur w tamten wtorek.

— Młoda? Ładna? Mocno ją przycisnąłeś? — spytał Grzywiński.

— Stara, brzydka, mocno ją przycisnąłem, aż się popłakała. Słuchajcie, Hoszowski wtedy wychodził z dyżuru do domu. Nie było go między czternastą a szesnastą. Na drugi dzień wziął ją do siebie i kazał nic nie mówić.

Grzywiński gwizdnął z przejęcia, popatrzył na mnie znacząco.

— Czy mówił, po co wychodzi? — spytałem.

— Coś tam powiedział — rzekł lekceważąco Marciniak — że idzie wieczorem do teatru, czy gdzieś, i musi się przebrać, ogolić, wykapać, czy coś w tym rodzaju.

— I co, wrócił przebrany?

— Przebrany? — zdziwił się Marciniak. — No tak, przebrany i

ogolony. Ale to właśnie w tych godzinach zabito Kędzierskiego.

— Widzę, że jesteś zaskoczony — mruknął Grzywiński.

— Otóż musisz wiedzieć, że Jacek na ogół zadaje pytania tak, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

— Nie przeszkadzaj — zniecierpliwilem się. — Więc wrócił przebrany. Prosił siostrę o dyskrecję zaraz po powrocie, czy następnego dnia?

— Już powiedziałem, następnego dnia.

— W porządku.

Zadzwonił telefon. Grzywiński podniósł słuchawkę.

— Tak — powiedział — tak, to ja. Tak... Rozumiem... Oczywiście... Zaczekajcie. — Przykrył mikrofon dłonią i zwrócił się do mnie: — Łódź. Nie można powiedzieć, żebyśmy mieli za wiele szczęścia. Tomczyk wyjechał na Mazury. Egzamin zdał, wziął kajak, nie wiadomo, gdzie jest. We wtorek drugiego lipca miał przerwę w egzaminach, nie było go w domu dzień i noc, rodzinie powiedział, że musi się przewietrzyć, zrelaksować, i tyle. Więc teraz także nie ma alibi. Co robić?

— Niech dadzą komunikat do radia.

— Taki, jak słyszy się w sezonie? „...z ważnych powodów rodzinnych”?

— Nie, myślałby, że coś się stało w rodzinie. To nie byłaby uczciwa mistyfikacja. Niech mu się każą skontaktować ze szkołą teatralną. W pilnej sprawie.

Słusznie.

Po chwili odłożył słuchawkę. Spojrzał na mnie wyczekująco.

— Co teraz robimy? Spojrzałem na zegarek.

— Zaprosicie na szesnastą panią Karolinę Murawską

— powiedziałem — i na tę samą godzinę sprowadźcie Zagórskiego.

— Chcesz rozmawiać z obydwojgiem? — zdziwił się Grzywiński. — Czy nie byłoby lepiej...

— Nie, nie byłoby lepiej. Poprosimy naczelnika, żeby nam wypożyczył ten swój filmowy gabinet. Czy można tu u was coś zjeść? Nie, nie chcę do stołówki. Coś na zimno. W bufecie? W porządku. Kolego Marciniak, dowiedzcie się, czy wasi szefowie znajdą dla mnie chwilę czasu.

W bufecie był nawet bigos, w gabinecie komendanta wypilem potem jeden kieliszek koniaku, u naczelnika wydziału drugi. Wreszcie zamknąłem się z kawą w pokoju, który oddano nam do dyspozycji, i poprosiłem, żeby mi nie przeszkadzano do czwartej. Grzywiński i Marciniak ruszyli więc na miasto, w zbożnej nadziei, że uda im się podważyć jeszcze jakieś alibi. Zostałem sam.

Zapaliłem papierosa i rozpocząłem spacer po pokoju, jak zawsze wtedy, kiedy natłok faktów, szczegółów, przypuszczeń osiąga stan, w którym możliwe i konieczne stawało się opanowanie chaosu, wydobyć z bełkotu informacji pierwszych, porządkujących linii, wśród nich dopiero zobaczę niejasny jeszcze, ale coraz wyraźniejszy kształt prawdy. Przynajmniej myślę, że zobaczę. Już tyle razy podczas ostatnich dwu dni zdawało mi się, że jestem blisko, że za chwilę, za moment wszystko zrozumiem, że nagle to, co było bezładnym zbiorem niezależnych od siebie wydarzeń, powiąże się w całość logiczną, prostą, oczywistą! Wiem przecież, to tylko moja niewiedza łamie tę logikę, rozbija prostotę, mąci oczywistość. A jednak za każdym razem zjawiał się nowy szczegół, nowy fakt — i wszystko zaczynało się od początku. Zbiegło się tutaj, w jednym miejscu i w jednym czasie, więcej sprzecznych działań, więcej interesów i powiązań, niż mogłem kiedykolwiek przypuszczać, niż na to wskazywała praktyka i doświadczenie. Odrzućmy więc to, co nieistotne, co zaciemnia obraz, co myli, sprowadza na fałszywy trop. Wszystko? Czy także...

Stałem chwilę w bezruchu. Potem usiadłem przy biurku, na czystym arkuszu papieru wypisałem kilka nazwisk, zacząłem je łączyć liniami, gmatwaniną linii. I znów wstałem, spacerowałem, paląc. I znów wróciłem do biurka. Nie patrzyłem na zegarek. Kiedy zastukano do drzwi, otworzyłem je na oścież, z wściekłością, że mi przerwano.

— Czwarta — powiedział Grzywiński. — Nasi goście czekają.

Pani Karolina Murawska siedziała w fotelu z nogą założoną na nogę, odsłoniętą wysoko, paliła papierosa, robiła wrażenie damy składającej popołudniową wizytę znajomym, stojącym o szczebel niżej od niej w hierarchii towarzyskiej. Zagórski nie

sprawiał tego wrażenia. Zwalisty, posepny, tkwił na krześle w rogu z opuszczoną głową, zwrócony bokiem do swojej chlebobawczym. Marciniak siedział między nimi, nieco zakłopotany, czemu trudno się dziwić, zważywszy na olśniewający sposób bycia pani Karoliny. Tylko protokolant kiwał się obojętnie na krześle w kącie i gapił się ponad głowami obecnych w okno. Szumiał dyskretnie wentylator w rogu.

Zobaczywszy mnie, pani Karolina uśmiechnęła się promiennie, a w sposobie, w jaki zwróciła ku mnie twarz, w nieznaczonej zmianie położenia ręki opartej na poręczy fotela odczytałem przyzwolenie na powrót do form, które obowiązywały w jej willi w Poznaniu podczas pierwszej fazy naszej ówczesnej rozmowy. Nie zamierzałem tego nie dostrzegać. Przywitałem się ceremonialnie.

— Więc jednak spotykamy się znowu — powiedziała pani Karolina. — Nie miałam nic przeciw temu od chwili, kiedy pana poznałam, przyznam się jednak, że miej see i powód tego spotkania wybrałabym staranniej.

Ach, wyglądała naprawdę wspaniale! Rozumiałem teraz mieszanie Marciniaka, a i skwapliwość, z jaką Grzywiński ulokował się blisko pani Karoliny, również mnie nie zdziwiła.

— Jestem niepocieszony — westchnąłem — i jeśli kiedykolwiek zdarzy mi się okazja naprawienia tego błędu, skorzystam z niej z radością. Proszę mi jednak wierzyć, że nie tylko ja jestem winien.

— Pan jest uroczo złośliwy — stwierdziła pani Karolina. — Umiem to docenić.

— Liczyłem na pani wyrozumiałość — skłoniłem się, zajmując miejsce w fotelu.

Marciniak patrzył na nas z podziwem, Grzywiński z mieszanymi uczuciami. Protokolant ziewał.

Spojrzałem nieznacznie na zegarek. Dziesięć po czwartej. Na szóstą Karolak zamówił rozmowę z Nancy. Niestety, należało się spieszyć.

— Pozwoliłem sobie fatygować panią — powiedziałem — aby wspólnie z panem Zagórskim ustalić przebieg wypadków, równoległych w czasie do zabójstw na osobach profesora

Kędzierskiego i doktora Hoszowskiego, a dotyczących kolekcji z Suchowłoci. Będę pani niezmiernie zobowiązany, jeśli zgodzi się pani na pełną współpracę z nami w tym zakresie; leży to w dobrze rozumianym interesie pani, a że również w interesie śledztwa, tego dodawać nie muszę.

— Rozumiem pana doskonale — uśmiechnęła się uroczo pani Karolina. — Nigdy się nie starałam niczego zataić, a teraz szczególnie, wobec śmierci doktora Hoszowskiego, czuję się zwolniona z wielu... zobowiązań. Choć muszę przyznać, że wiadomość o drugim zabójstwie zrobiła na mnie duże wrażenie i do tej chwili trudno mi się z tym pogodzić. Czy mogę dostać kawę?

— Pamiętam o tym. Służę pani uprzejmie.

Szczęknęły drzwi, sekretarka wniosła taczkę z parującymi szklankami, a protokolant patrzył na mnie pytająco, nie wiedząc, co ma właściwie protokołować. Uspokoilem go gestem ręki.

— A zatem klejnoty nie stanowiły własności drugiego męża pani, kupiła je pani niedługo po wojnie. Za jaką sumę?

— Pyta pan tylko o sumę?

We wzroku pani Murawskiej zjawiał się błysk złości, zaskoczenia — opuściła długie rzęsy, milczała chwilę. Grzywiński i Marciniak wyprostowali się, Zagórski drgnął, podniósł głowę, a maszyna protokolanta zaczęła postukiwać cichutko. Znikła senna atmosfera okrągłych komplementów i wyszukanych form. Pani Murawska uniosła powieki, spojrzała mi w oczy i byłem już pewny, że nie będzie grać naiwnej, oszukanej damy, wplątanej w jakieś niewiadome machinacje. Karolina Murawska była mądrą kobietą i umiała decydować się szybko. Poczulem nawet przez chwilę coś na kształt wdzięczności; spieszylem się przecież.

— Ma pan rację — powiedziała wolno — kupiłam je. Ale...

— Wiem — przerwałem — nie miała pani pojęcia, w jaki sposób zostały zdobyte.

Skinęła tylko głową.

— Ile więc pani zapłaciła?

— Dwadzieścia tysięcy dolarów.

- I kupiła je pani od doktora Hoszowskiego?
- Tak. Występował jako pośrednik.
- Rozumiem. Podobne transakcje nie należały wtedy do rzadkości. Mogę się domyślić „legendy”, jaką podał Hoszowski. Rodzina arystokratyczna zamierza przedostać się za granicę. Musi spieniężyć część majątku. Okazja była znakomita, tym bardziej że zbliżały się niepewne czasy i poszukiwała pani właściwej lokaty dla kapitału. Nie myłę się?
- Nie myli się pan.
- Kiedy dowiedziała się pani o właściwym pochodzeniu klejnotów? Z artykułu w „Kamelii”?
- Nieco wcześniej.
- Od kogo?
- Od mojego byłego męża. Od profesora Kędzierskiego.
- Skąd on się dowiedział?
- Nie wiem. Zresztą wkrótce potem ukazał się ten artykuł.
- Powiedziała pani profesorowi o Hoszowskim?
- Nie.
- Dlaczego?
- Czy to trudno zrozumieć? Wtedy, to były inne czasy. Minęło dwadzieścia kilka lat, ludzie się zmieniają... Zygmunt był pryncypialny, nie wiem, co by zrobił, gdyby się dowiedział. Nic dziwnego, że miałam wątpliwości...
- Czy to był jedyny powód?
- Oczywiście, że jedyny. Dlaczego pan pyta?
- Obiecała mi pani szczerą rozmowę.
- Jestem szczerą.
- Ale nie do końca. Pani zażądała, aby Hoszowski zwrócił pani pieniądze, czyli, inaczej mówiąc, odkupił kolekcję.
- Przecież jej nie miałam.
- Chciała ją pani odzyskać.
- W jaki sposób?
- Tego dowiemy się od pana Zagórskiego. Zagórski drgnął, uniósł głowę.
- O co mnie pan podejrzewa? – spytał.
- Radziłbym panu zastanowić się nad czym innym. Nad tym mianowicie, o co może pan być podejrzany, jeżeli będzie pan

dalej milczał.

— Przecież pan nie przypuszcza, że on może mieć coś wspólnego z zabójstwami! — wykrzyknęła pani Karolina. Po raz pierwszy robiła wrażenie zdenerwowanej.

— Proszę pani — powiedziałem łagodnie — niechże pani zechce zdać sobie sprawę z sytuacji. A przedstawia się ona następująco: profesor Kędzierski uzyskuje informacje — pochodzeniu kolekcji. Żąda, aby podała mu pani źródło zakupu. Chce przekazać kolekcję muzeum państwowemu, ale pragnie mieć przy tym pewność, że nie obciąży pani osobiście. Myślę, że przeżywał poważną rozterkę. Dlatego domagał się rozmowy z panią. Dlatego mieliście się spotkać, co potwierdziła pani listem. Zapewniała go pani, zgodnie z prawdą, że nie wiedziała pani o zabójstwie w Hrubieszowie, że, jak przypuszczam, kolekcję kupiła pani od człowieka nieznanego albo występującego pod fałszywym nazwiskiem. Ale równocześnie zależało pani w najwyższym stopniu na nieujawnieniu prawdy, na tym, żeby kolekcja nie dostała się w niepowołane ręce.

— Dlaczego?

— Już to powiedziałem. Ma pani, o ile mi wiadomo, poważne kłopoty materialne. Doktor Hoszowski natomiast był niezwykle zamożnym człowiekiem. Jego majątek mógłby uratować pani przedsiębiorstwa. A musiałyby go — poświęcić niemal w całości, aby odkupić kolekcję. Trudne się więc dziwić, że nie był tą perspektywą zachwycony.

— Posądza więc mnie pan o szantaż — stwierdziła spokojnie, ale ręka, w której trzymała papierosa, lekko drżała.

— Nie użyłbym tego słowa, chociaż pewne elementy szantażu są tu niewątpliwe. A zatem: jeśli profesor ujawni kolekcję, jeśli zobaczy ją ktokolwiek ze znawców, sprawa się wyda. Będzie pani miała poważne kłopoty, a szansa uzyskania jednorazowo wielkiej kwoty zniknie bezpowrotnie. I wtedy profesor umiera.

— Czy pan... — Uniosła się w fotelu, wzburzona, blada. — Czy pan...

— Jeszcze moment. — Uniosłem rękę. — Chciałem tylko przedstawić sytuację. Czy wobec tego w dalszym ciągu nie

decyduje się pani na szczerość?

Znów chwila ciszy, brzęczą muchy na szybie, kawa w szklankach paruje. Moja wiara w rozsądek pani Murawskiej znów mnie nie zawiodła.

— Henryk — zaczęła z trudem — to znaczy doktor Hoszowski początkowo twierdził, że kupił te klejnoty od nieznanego osobnika. Ale ja wiedziałam, że w czasie wojny i po niej używał pseudonimu „doktor Jan”. Posłałam mu numer „Kamelii”. Nie wiem, jak do tego doszło, wtedy. Henryk... był związany z jakąś małą organizacją, powstałą już po przejściu frontu, o niezbyt jasnych celach. Oni zajmowali się, jak myślę, tylko przetrzucaniem różnych ludzi na Zachód, za pieniądze.

Nie jestem pewna, czy zawsze po wzięciu pieniędzy wypełniali zobowiązania. Na tym tle doszło do zatargu z Jeziorkowskim. Zabił go podobno ten drugi, „Zdzisław”, i sam wkrótce potem zginął. To wszystko, co wiem, i czego się domyślam. Ale wtedy, kiedy kupowałam kolekcję...

— Proszę mnie o tym nie zapewniać, wierzę pani. Inaczej to wszystko nie miałooby sensu. Dom pod lipami był faktycznie pani własnością. Chciała pani dokonać transakcji zamiennej. Profesor się na to nie zgadzał. Kiedy zginął, wysłała pani pana Zagórskiego, aby prowadził sprawę

dalej. Niestety z siostrą profesora nie można było rozmawiać.

— Znam ją dobrze — stwierdziła pani Murawska — to fanatyczka. Zygmunt powiedział jej, że kolekcję przekaże do muzeum, po skończeniu pracy, więc uważała to za jego testament. Zresztą...

— ...zresztą kolekcja od dawna ukryta była w gabinecie profesora, o czym pani Kędziarska nie wiedziała

— dokończyłem. — Kto wam o tym powiedział?

— Hoszowski — odezwał się Zagórski, niepytany, co zrobiło na nas tak silne wrażenie, że jak na komendę zwróciliśmy się wszyscy ku niemu — jeszcze za życia profesora. Profesor pokazał mu kolekcję, w zaufaniu, i powiedział, co o niej wie. Henryk wpadł w panikę. Sam zaczął na nas naciskać, żebyśmy przejęli kolekcję. Ale myślę, że robił, co mógł, aby nas uprzedzić.

— Co pan przez to rozumie? — spytałem.

Teraz, kiedy zaczął mówić, nie można go już było powstrzymać.

— Henryk nie chciał na ten temat rozmawiać. Ile razy mówiłem o śmierci profesora, milczał i patrzył na mnie tak, że chociaż nie należę do ludzi bojaźliwych, wolałem przerwać rozmowę. Ja jestem przekonany, że to on zabił Jeziorkowskiego. W czasie wojny nie był w żadnej organizacji, to nieprawda, tylko robił interesy, a po wojnie to był gang, a nie żadna organizacja. To on zabił profesora, żeby odebrać kolekcję i nie dopuścić, aby się wszystko wydało. Stał na nogi, kiedy sprzedał kolekcję Karolinie, a teraz miał udziały w wytwórni kosmetyków w Radomiu i w warsztatach samochodowych, gdzie kto chce. Miał pieniądze, ale nie chciał płacić, mówił że to szantaż, że zawsze go będziemy szantażowali, a to nie był żaden szantaż!

Dałem znak protokolantowi, który dawno już się zgubił, nacisnąłem przycisk magnetofonu na stoliku przy biurku, a Zagórski grzmiał dalej, zaczerwieniony, spocony i wściekły:

— On go zabił, nikt inny. Cóż ja bym miał z jego śmierci, nic! Nie wiem, dlaczego zginął, taki człowiek na pewno miał wrogów, wspólników, ale tamto to on, to na pewno on!

Karolina Murawska rozłożyła ręce, spuściła głowę.

— Nie wiem — szepnęła, a był to szept sceniczny — nie wiem... Mój Boże, nigdy nie przypuszczałam...

— Nie chcieliśmy mieć z tym nic wspólnego! — ciągnął Zagórski. — Oszukał Karolinę, sprzedał jej kradzioną kolekcję, wplątał w mord rabunkowy. Nie denuncjowaliśmy go, chcieliśmy tylko, żeby oddał to, co wziął, i sam się martwił, co dalej robić! A kolekcja jest warta dużo więcej! Myśmy chcieli tylko...

— Dwadzieścia tysięcy dolarów — odpowiedziałem. Zaciął się, spojrzął na mnie spode łba. — W przeciwnym razie, acz z żalem, musiałby pan go zadenuncjować, choć to się sprzeciwia pańskim zasadom. Rozumiem. Nie rozumiem natomiast, w jaki sposób kolekcja znalazła się w schowku, a klucz w pańskim portfelu.

— Hoszowski miał już kolekcję — rzekł szybko Zagórski — nie wiem, w jaki sposób, ale ją miał. Jak on triumfował! Musiał przeszukać gabinet profesora, odkryć ją w końcu, nie wiem, jak. Czasami zdawało mi się, że jest w domu, tymczasem okazywało się, że gdzieś cichaczem się wymykał. Zdobył ją przedwczoraj, pokazał mi w nocy.

— I co dalej ?

— Rano wyszedł do szpitala — mówił szybko Zagórski — ja przeszukałem jego gabinet. Kiedyś, chyba dwa lata temu, kiedy mieszkałem u niego, zobaczyłem przypadkiem, jak wyjmował pieniądze z podwójnego dna klatki papugi. On mnie wtedy nie zauważył, ja się wycofałem dyskretnie. Zapomniałem o tym. Teraz sobie przypomniałem. Rzeczywiście, kolekcja była w klatce. Zabrałem ją i zawiozłem na pocztę. To wszystko.

— Sztylet wenecki był tam także? — spytałem.

— Oczywiście — odpowiedział od razu i zamarł nagle, jeszcze nie rozumiejąc, co się stało. — Zaraz — bąknął — zaraz, chwileczkę. Nie, tego nie pamiętam. Spieszyłem się, byłem zdenerwowany. Możliwe, że sztyletu nie było. Nawet nie mogło być, skoro...

— Przypuszczam, że nie dopracował pan swojej wersji we wszystkich szczegółach — powiedziałem, wstając — dam panu jeszcze trochę czasu na ich przemyślenie. Żałuję, ale jeszcze musimy pana zatrzymać i naprawdę nie mogę przewidzieć, na jak długo.

Pani Karolina wstała także.

— A ja? — spytała cicho, po raz pierwszy bez pozy i szarży.

— Pani będzie łaskawa wrócić do hotelu i nie wychodzić z niego na razie. Skontaktujemy się z panią w najbliższym czasie.

— Chciałabym zobaczyć się z córką.

— Już ją pani widziała. Ale oczywiście nie ma przeszkód, aby zobaczyła ją pani znowu.

— Do widzenia. — Wyciągnęła rękę z bladym uśmiechem. — Proszę mi wierzyć, że...

— Ależ wierzę pani bez zastrzeżeń. — Skłoniłem się. — Do widzenia.

Kiedy wyszła, a i za Zagórskim zamknęły się drzwi,

spojrzałem na zegarek. Czas na mnie.

— Mało brakowało, a zakłamałoby się na śmierć — mruknął Grzywiński.

— Nie sędzę — powiedziałem. — Przeważnie mówili prawdę. Poza jednym drobnym szczegółem, ale to już dotyczy Zagórskiego. Bywajcie.

— Kiedy się zobaczymy? — spytał Grzywiński.

— Podobno masz samochód do dyspozycji. Wpadnij o ósmej na Lipową.

Już w drzwiach, odwróciłem się jeszcze:

— A dowiedzcie się przy okazji, czy do skrytek na poczcie wydaje się jeden, czy dwa kluczyki.

Finał

Słońce pobłyskiwało czerwono nad stromymi dachami starego miasta, długie cienie przekreślały wąskie uliczki. Rozleniwiony tłum przewalał się po chodnikach, do automatów z włoskimi lodami ciągnęły się długie kolejki. Stoliki pod barwnymi parasolami zastawione były wysokimi szklankami z żółtawym napojem, dzieci, pod czujną opieką rodziców, pociągały ze słomianych rurek. Koło budynków uniwersyteckich pojawiły się grupki dziewcząt w szortach i dżinsach, w drzwiach gmachu historii mignęła mi z daleka sylwetka Winiarskiego. Powietrze było nieruchome, niebo wysokie, czyste.

Otworzył mi Karolak, w krótkich spodenkach i siatkowej koszulce.

— Żona z dziećmi pojechała do babci — powiedział

— będziemy swobodni. Chodź, już się zaczynałem denerwować. Przecież ja w ogóle nie znam francuskiego! Mamy jeszcze piętnaście minut.

Ale telefon zadzwonił, kiedy tylko weszliśmy do pokoju. Karolak podniósł słuchawkę.

— Tak — powiedział — tak. Czekam.

I kiwał ręką, dając mi znak, abym się zbliżył.

— Jest. Proszę, mów. W sam czas przyszedłeś. Pospieszyli się.

W słuchawce panowała cisza, potem odezwała się telefonistka z centrali międzynarodowej.

— Jeszcze chwileczkę, czeka pan?

— Czekam.

Gwar stłumionych głosów, strzępy sygnałów.

— *Allo, Allo! Nancy! C'est bien le 80-24?*

Cisza, świergot głosów.

— *Ne quittezpas...*

— Proszę mówić! Proszę, niech pan mówi.

— *Allo! Je voudrais parler à docteur Dufour...*

Cisza, stukot, znowu sygnały, głos francuskiej telefonistki:

— *Paries plus fort, s'il vous plait!*

I zupełnie wyraźny, bliski męski głos:

— *Allo, allo!*

— Czy pan doktor Dufour? Dobry wieczór panu, mówi Jacek Joachim z Instytutu Historycznego, z Polski. Nie, nie poznałem pana podczas pobytu pana w Polsce. Dzwonię w sprawie związanej z profesorem Kędzierskim... Nie, nie z polecenia profesora Kędzierskiego. Profesor, niestety, nie żyje... Tak, to straszne... Nikt się tego nie spodziewał... Nie, nie serce... Zginął tragicznie... Tak, wypadek. Porządkujemy sprawę profesora... W niektórych wypadkach, co zupełnie zrozumiałe, intencje nie są dla nas jasne... Słucham? 2 lipca... Tak, w niewiele dni po pana wizycie... Właśnie. Chodzi nam o to, czy profesor rozmawiał z panem o Janie Tomczyku... Tak... Ach, tak. Tak... Słucham... Tak, mówi się... Tak... Oczywiście, panie doktorze... Właśnie... Na pewno... Przekażę, oczywiście. Tak... Dziękuję panu bardzo... Do widzenia. Do widzenia... Dobrego wypoczynku... A jeszcze nie wiem... oczywiście... do widzenia i jeszcze raz dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę, zapaliłem papierosa. Karolak patrzył na mnie w napięciu.

— I co? — spytał. — Czego się dowiedziałeś?

— Dużo i nic — powiedziałem wolno. — Muszę się nad tym wszystkim zastanowić.

— Rozmawiali o Tomczyku?

— Tak, i to dużo. Tomczyk podczas pobytu w Nancy spotkał się kilka razy z Dufourem. Konsultował się, mówił o swojej pracy, zostawił jej pierwszy szkic. Otóż profesora ogromnie interesowało to, co mówił. Kazał to sobie referować bardzo szczegółowo. Był wzburzony. Dufour zostawił mu maszynopis Tomczyka.

— Nic z tego nie rozumiem — rzekł bezradnie Karolak — a ty? Milczałem.

— Muszę się nad tym zastanowić — powtórzyłem wreszcie.

Karolak podniósł się ciężko.

— Zrobię mocnej herbaty — powiedział — to nam rozjaśni w głowach.

Kiedy herbata parowała już na stoliku, wyciągnąłem się w fotelu, przymknąłem oczy.

— Miałeś rację, on rzeczywiście wyjeżdża do Nicei — westchnąłem. — Pytał mnie też uprzejmie, gdzie ja spędzam wakacje. Chciałem powiedzieć, że nie tyle na Cote d'Azur, co na Côte Mazur, ale to chyba nie byłby najlepszy dowcip.

— W każdym razie by go nie zrozumiał.

Kiedy wychodziłem, Karolak wyraźnie był zawiedziony.

— Widzę, że się zapaliłeś — uśmiechnąłem się.

— Nic mi właściwie nie powiedziałaś — mruknął ani o tym Hoszowskim, ani o niczym.

— Spotkamy się jutro. Myślę, że będzie lepiej. Dziękuję ci. Bywaj.

Taksówkę złapałem za rogiem. Po kwadransie byłem na Lipowej.

Dom był cichy, jak wymarły. Wbiegłem na piętro, zastukałem do drzwi Ewy. Nikt nie odpowiadał. Nacisnąłem klamkę, zajrzałem, pokój był pusty. Wszedłem do siebie, przebrałem się, opłukałem w łazience twarz, wyszedłem na korytarz. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Zatrzymałem się u szczytu schodów. Cisza dzwoniła w uszach. Zbiegłem na dół, zajrzałem do jadalni i kuchni. Nikogo. Umyte naczynie suszyło się na kuchennym stole, pobłyskiwały w suszarce rzędy białych talerzy. Brzęczały muchy na szybach. Usłyszałem za plecami lekki szmer, odwróciłem się błyskawicznie. W drzwiach stała pani Ala. Błada, z podkrążonymi oczami, wpatrywała się we mnie bez słowa.

— Nareszcie pana widzę — szepnęła w końcu. — Staralam się zdrzemnąć, nie mogłam.

— Wydawało mi się przez chwilę, że nikogo nie ma w domu.

— Helena ma dziś wolny wieczór. Dobrze zresztą, że poszła. Kiedy zabrano Janiaka, była podniecona i wściekła, nie mogłam z nią wytrzymać. Co on zrobił, panie Jacku?

— Starał się na własną rękę, przy pomocy dwu młodych ludzi,

zdobyć klejnoty. Nie udało mu się.

— Czy... został aresztowany?

— Zatrzymany. Myślę, że go zwolnimy, bo przyznał się natychmiast i pomógł mi w ten sposób w śledztwie. Ale pani powinna usunąć go z domu.

— Więc jednak — westchnęła. — Wszystko się rozpada, wszystko okazuje się nietrwałe. Zygmunt tyle zrobił dla Janiaka...

— A Ewa? Gdzie jest Ewa?

— Nie wiem. Pracowała w gabinecie, telefonowała do Warszawy i do miasta. Potem ktoś zadzwonił i Ewa wyszła. Nic mi nie mówiła, zresztą położyłam się wcześniej, słyszałam wszystko jak przez mgłę. Janusz pojechał do miasta zaraz po obiedzie, Klemens z Wacią wyszli na spacer chyba przed godziną... Jadł pan coś? Może pan głodny? Ja...

— Dziękuję bardzo, jadłem.

— Przyjechała pani... Murawska. Ada była u niej w hotelu. Myślę, że powinna mimo wszystko tu się pokazać... To na pewno tylko sprawa formy, ale jednak... Przyjdzie pan do mnie? Nieswojo mi samej. Przedtem marzyłam, żeby dom był pusty, teraz wszystko mi przypomina...

— Dziękuję, przyjdę za chwilę. Chciałem jeszcze wrócić do siebie.

Pani Ala pokiwała głową, odsunęła włosy znad czoła, odeszła bezszelestnie. Cisza, tylko ptaki krzyczą w ogrodzie. Wróciłem do hallu, wszedłem do gabinetu. Na biurku i na stoliku leżały w nieładzie teczki z materiałami do dokumentacyjnej części pracy profesora, teczki, których dotychczas nie otwieraliśmy. Na biurku znalazłem jeszcze otwartą książkę telefoniczną. Zapaliłem papierosa, spacerowałem chwilę, zamyślony, po gabinecie. Potem rozejrzałem się, zgasilem papierosa. Wyszedłem z gabinetu, przeciąłem hall, przez korytarzyk dotarłem do drzwi na ogród. Były zamknięte. Odciągnąłem zatrask „Łuczniaka”, wyszedłem, drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem. Podobny zamek wmontował Hoszowski do tylnych drzwi swojej willi.

Zbiegłem na ogród, skręciłem ścieżką w prawo. Za rogiem domu zatrzymałem się, spojrzałem w górę. Okno korytarza,

przy drzwiach do mego pokoju, było otwarte. Przez chwilę wydawało mi się, że ktoś w nim stał, w szybie pobłyskującej łagodnym światłem zachodzącego słońca mignął przelotny cień, ale to mogło być złudzenie.

Odwrociłem się. Furtka do ogrodu Hoszowskiego znajdowała się za pniem wysokiego drzewa; jego korona zasłaniała furtkę od góry, krzak bzu — od ulicy. Podszedłem do furtki, oparłem się o nią. Gdybym przeskoczył na drugą stronę, musiałbym przeciąć niewielki trawnik; byłbym niewidoczny od ulicy, ale w tym, i tylko w tym miejscu mógłby mnie zauważyć ktoś stojący w oknie gabinetu Hoszowskiego. Potem były już drzewa, krzaki, tylna furtka, dróżka między ogrodami, którą można wy dostać się na sąsiednią ulicę. Tędy szedł morderca.

Zawrociłem wolno, wyszedłem na frontową część ogrodu. Zatrzymałem się chwilę na tarasie. Spojrzałem w prawo. Ponad żywopłotem i niską płataniną gałęzi owocowych drzew widać było wyraźnie okno gabinetu Hoszowskiego. Ten szczegół mógł mieć znaczenie w dniu drugim lipca, kiedy zginął profesor Kędzierski. Czy miał je także ostatniej nocy? Wiedziałbym, wiedziałbym wszystko, gdyby nie sztylet wenecki! Tylko Zagórski mógł zabić sztylitem doktora Hoszowskiego! Ale on tego nie zrobił...

Wszedłem do hallu, usiadłem w fotelu, znów zapaliłem. Przymknąłem oczy, ujrzałem twarz Hoszowskiego, kiedy wezwałem go do nieprzytomnej Ewy, i potem, kiedy Ewa powiedziała o klejnotach... To był człowiek ogarnięty paniką, załamany. I dzień następny, w oczach triumf i podniecenie, agresywność zamiast postawy obronnej, pewność siebie, zamiast przygnębienia. A przecież nie mógł mieć wtedy klejnotów, choć taka odpowiedź wydawała się najprostsza... Splot wątków, sprzecznych interesów, cierpliwych zabiegów — a kiedy odrzucać zacząłem po kolei wszystko, co nie mogło mieć związku z zabójstwem, ani pierwszym, ani drugim, zaczęło mi brakować łącznika, pomostu pomiędzy dwiema sferami działań, punktu, który je scalał, a który odkrył... Hoszowski. I to, tylko to mogło być źródłem jego triumfu, uzasadnieniem przewagi...

Skrzypnęły schody na górze, drgnąłem, uniosłem głowę. Na szczycie schodów stała Ada, w krótkiej, kolorowej sukience, w której jeszcze jej nie widziałem; wyglądała jak dziewczynka, nie jak dorosła kobieta. Patrzyliśmy chwilę na siebie i widok Ady zaczął budzić we mnie wspomnienie czegoś przelotnego, zauważonego i niezapamiętanego; jasne włosy upięte miała wysoko, i ta barwna, kolorowa sukienka...

Zbiegła po schodach, wstałem. Oparła mi głowę o piersi, zanurzyłem twarz w jej włosach, nie przestając myśleć o tym ulotnym, niedającym się schwytać wspomnieniu...

— Gdzie byłeś cały dzień? — szepnęła. — Nie mogłam się ciebie doczekać. Źle się czuję. Boję się. Chciałam z tobą porozmawiać. Nie wiem o czym, o wszystkim.

Potrząsnęła głową, odsunęła się, usiedliśmy na fotelach. Ada oparła czoło na rękę, sięgnęła po papierosa, podałem jej ogień.

— Źle się czuję — westchnęła — głowa boli mnie od rana, nie mogę zapomnieć tamtego widoku, kiedy tylko przymknę oczy...

— Wstrząsnęła się, próbowała się uśmiechnąć. — Nie podejrzewałeś we mnie histeryczki, prawda. Ale słowo ci daję, ja nie jestem histeryczką. Czasami bywam w gorszej formie, ale to szybko przechodzi. Będziesz już w domu?

— Nie wiem. Ale chyba tak. Widziałas Ewę?

— No właśnie — rozłożyła rękę — ja ci robię awanse, a ty się pytasz o Ewę! Gdzieś poszła, siedziałam u siebie na górze i nie wystawiłam nosa za drzwi. Wszyscy się porozłazili. Widziałam się z mamą, sprowadzono ją tu ciupasem, mieszka w hotelu. Nie mam pojęcia, czego od niej chcą. Jeszcze dziś wieczór do niej pojedę.

— Twoja matka tutaj nie przyjedzie?

— Pytałam ją, nie chce. Widzisz, one nigdy nie były w dobrych stosunkach z ciotką Alicją. Oczywiście, matka w końcu z nią się zobaczy, ale wcale się jej nie dziwię, że chce odwlec tę chwilę. Co będziemy robić?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, szcęknięły drzwi i pojawiła się pani Ala.

— Miał pan mnie odwiedzić — powiedziała — ale nie mam pretensji, znalazł pan atrakcyjniejsze towarzystwo...

— To moja wina — oświadczyła Ada bohatersko — ja go zatrzymałam. Nieswojo mi było w tym pustym domu.

— Mnie także — westchnęła pani Ala. — Nie ma dziś Heleny, chodź, Ada, przygotujemy coś na kolację.

Ada podniosła się niechętnie.

— Niedługo będę musiała wyjść — mruknęła — ale pomogę cioci. Pójdiesz z nami, Jacek? Będzie nam różniej.

— Zaraz przyjdę — obiecałem. — Może i ja się na coś przydam.

Kiedy obie panie znikły za drzwiami, poszedłem na górę, z papierosem w palcach, stanąłem na pustym korytarzu. Poczulem podniecenie, jak przed daleką podróżą: pierwszy znak, ostrzegawczy dzwonek. Znałem to uczucie, jeszcze chwila, jeszcze moment, pomyślmy jeszcze, pomyślmy... Podszedłem do okna, spojrzałem na szeroko rozrośniętą koronę drzewa, zasłaniającą ścianę willi Hoszowskiego. Opuściłem wzrok: pod drzewem, na ścieżce osłoniętej krzakami bzu leżały łagodne plamy przedwieczornego światła, kolorowa sukienka, pochylenie głowy, znamionujące skupienie i uwagę, gest uniesionej ręki — powrócił ten obraz jak kolorowa fotografia, ostra, nieruchoma. Jakże mogłem zapomnieć, jakże mogłem nie zwrócić na to uwagi! Przymknąłem oczy, jasność, jasność, wreszcie zupełna jasność — oto ten pomost, ten brakujący punkt, założenie, porządkujące wszystko, wszystkiemu nadające sens i celowość, założenie, ale i fakt, który ustalić można, jeśli się tylko dopuści jego istnienie! Odwróciłem się wolno, podszedłem do drzwi Mrozowskich. Zapiekł mnie papieros — zgasiłem go w popielniczce, na stoliku u szczytu schodów, wpatrzyłem się w te drzwi — nie mogę tam teraz wejść, znaleźć się w sypialni profesora Kędzierskiego, spojrzeć raz jeszcze na portret zdrajcy, Franciszka Koronkiewicza, ale wiem już, wiem i tak, kogo mi ta twarz przypomina. Wtedy dopiero, nagle, bez przejść, uczucie podniecenia zastąpił niepokój. Spojrzałem na zegarek. Ósma. Ewy wciąż jeszcze nie ma. Zbiegłem po schodach, najciszej jak umiałem, aby nie zwrócić na siebie uwagi. W gabinecie raz jeszcze spojrzałem na rozrzucone teczki, podbiegłem do biurka,

gdzie leżała otwarta książka telefoniczna. Znalazłem ten numer od razu. Wróciłem do hallu, zza przymkniętych drzwi słyszałem stłumione głosy pani Ali i Ady. Wykręciłem numer. Był zajęty. Nie spodziewałem się tego. Więc jeszcze raz. Zajęty. Nie mogę przecież stać bezczynnie! Wykręciłem więc, aby cokolwiek robić, biuro napraw, spytałem, czy ten numer nie jest uszkodzony, bo dzwonię od godziny i ciągle mam sygnał zajęcia.

— Bo jest uszkodzony — usłyszałem — od wczoraj trwa remont głównego kabla.

Odłożyłem wolno słuchawkę, a potem jednym skokiem znalazłem się na tarasie, trzasnęły za mną pchnięte w pośpiechu drzwi. Prędszej, prędszej! Dobiegałem do furtki, gdy zatrzymała się przed nią szara warszawa. Grzywiński wyskoczył na chodnik.

— Punktualny jestem, prawda? — zawołał. — Ale co się stało?

— Wracamy do miasta. Szybko!

Samochód zawył na wysokich obrotach, zawrócił z piskiem opon. Mówi coś Grzywiński, macham niecierpliwie ręką, więc milczy. Pokazuję kierowcy drogę i wciąż łudzę się nadzieją, że teraz przynajmniej się myślę, że Ewa poszła gdziekolwiek, w jakimkolwiek celu, tylko nie tam, nie tam... Czerwone światła. Jedne, drugie. Korek na skrzyżowaniu. Tramwaj na przystanku. Para młodzieniaszków idąca po pasach ze złośliwą powolnością.

— Prosto, ciągle prosto.

Syrena z zielonym liściem sunie lewym pasem ruchu z szybkością trzydziestu kilometrów. Autobus ruszył z przystanku jak byk do szturmu, hamujemy w ostatniej chwili.

— Teraz w prawo.

Tłum na pasach, po dwudziestu metrach to samo.

— Tu staniemy. Zaczekajcie. Grzywiński, chodź.

Przecinamy ulicę, wbiegamy na klatkę schodową.

Być może nie ma to sensu, na pewno nie ma sensu, jeżeli nikt nie otworzy, jeżeli... Wbiegam po dwa stopnie, pierwsze piętro, słyszę nad głową szcęk kluczy Na półpiętrze zatrzymuję się. Doktor Winiarski, w jasnym ubraniu w delikatną kratkę, z

parasolem zawieszonym na przegubie lewej ręki zamyka drzwi. Na mój widok zatrzymuje się na moment, jego twarz jest zakrzepła, blada, przypomina maskę. Szybko, trochę za szybko przekręca klucz w zamku.

— Dobry wieczór — powiedziałem — cieszę się, że pana zastaję.

— Niestety bardzo się spieszę — odpowiedział chłodno. — Nie umawialiśmy się.

Zza moich pleców wyłonił się Grzywiński. Winiarski, z kluczami w ręku, schodził ku nam pewnym krokiem, jakby chciał, abyśmy wyzbyli się złudzeń, że może nam poświęcić choćby chwilę czasu. Tylko te klucze zdradzały jego napięcie — zapomniał schować je do kieszeni, ścisnął w spotniałej dłoni. Staliśmy nieruchomo w miejscu, tarasując przejście. Winiarski zatrzymał się na ostatnim stopniu.

— Możecie panowie odprowadzić mnie do przystanku — rzekł — jeżeli naprawdę macie do mnie pilną sprawę. Proszę pozwolić mi przejść.

Skinąłem Grzywińskiemu głową. Wyjął legitymację, wyciągnął ją ku Winiarskiemu.

— Wiem, że pan jest z milicji — rzekł Winiarski — i cóż z tego?

— Mimo wszystko jesteśmy zmuszeni pana prosić

— odezwałem się — aby zechciał pan wrócić z nami do mieszkania.

— Powiedziałem już, że się spieszę — Winiarski nie podniósł głosu, zapewne z obawy przed sąsiadami, ale trudno było o ton bardziej odpychający. — A poza tym, w jakiej roli pan tu występuje? Kto panu pozwolił nachodzić mnie bez zaproszenia? Pan, zdaje się, źle rozumiał moją uprzejmość. Otóż muszę panu wyjaśnić, że jestem uprzejmy także dla studentów, tak długo, jak długo na to zasługują.

— O tym też za chwilę pomówimy — zniżyłem głos niemal do szeptu. Wyjąłem legitymację, otworzyłem ją, zamknąłem, schowałem.

— Kapitan Joachim — wyjaśnił Grzywiński — kieruje śledztwem w sprawie zabójstwa profesora Kędzierskiego.

Winiarski patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu. Na dole rozległy się głosy dzieci. Nie było na co czekać. Postąpiłem krok.

— Czy macie panowie nakaz prokuratora? — wycedził Winiarski.

Błyskawicznym ruchem wykręciłem mu przegub, klucze upadły z brzękiem na podłogę. Podniosłem je, pchnąłem Winiarskiego w ramiona Grzywińskiego, już byłem przy drzwiach.

Przedpokój ciemny, drzwi od pokoju zamknięte. Na osobny zamek yale. Ale klucz jest na kółku. Słyszę kroki za sobą, to Grzywiński wprowadza Winiarskiego, coraz bliżej głosy dzieci na schodach, trzaśnięcie drzwi, głosy matowieją.

W pokoju półmrok, zaciągnięte zasłony. Niewyraźny kształt majaczy na wersalce. Znalazłem się przy niej jednym skokiem, jakiś hałas za mną, nie zwracam uwagi, zdzieram koc, odkręcam drugi, trzeci, przewiązany sznurem, scyzoryk, gdzie mój scyzoryk?, przecinam sznur, spod koca wyłania się zmieniona twarz Ewy, usta zaklejone plastrem, zrywam plaster choć sprawiam jej ból, drgają jej powieki, w oczach przerażenie, niedowierzanie, ulga, usta spazmatycznie łapią powietrze. Żyje...

— Ani kroku — syknął Grzywiński.

Odwrociłem się wolno. Winiarski stał przy drzwiach w nienaturalnej pozycji — jakby spięty do skoku, a równocześnie przykuty do miejsca. To mały Grzywiński unieruchomił mu rękę wypróbowanym chwytem.

— Ty bydlaku... — powiedziałem. — Myślałeś, że zdążysz wyjechać? Znalazłbym cię na końcu świata, nie tylko we Francji!

— Jacek... — szepnęła Ewa.

Przeciąłem jej więzy na rękach i nogach, przeniósłem na fotel, podałem wodę, zwilżyłem jej czoło i skronie. Milczała, z jej oczu płynęły łzy.

Pochyliłem się nad nią.

— Jak się czujesz?

— Dobrze, że jesteś...—odpowiedziała niemal niedosłyszalnie.

Wyprostowałem się. Grzywiński pchnął Winiarskiego na krzesło, stanął za nim. Podszedłem do okna, odsunąłem zasłony, pokój wypełnił się czerwonym, łagodnym światłem. Na biurku leżała pękata teczka, jedna z tych, w których profesor przechowywał materiały do dokumentalnej części swojej pracy. Na okładce widniała notatka skreślona ręką profesora:

„Prace Jana Tomczyka i Emila Winiarskiego”.

Ostry dzwonek w przedpokoju, jeden, drugi. Winiarski drgnął, zrobił ruch, jakby chciał się zerwać. Grzywiński unieruchomił go błyskawicznie. Wyszedłem do przedpokoju, otworzyłem drzwi. W progu stała Ada, w swojej lekkiej, kolorowej sukience.

— Jesteś? — spytała. — Czy...

Poznała mnie. Cofnęła się w odruchu paniki.

— Wejdz — powiedziałem — czekamy na ciebie.

Zbladła, niepewnym krokiem przecięła przedpokój.

Ujrzała bladą Ewę leżącą w fotelu, przecięte sznury na podłodze, koce skłębione na wersalce. Potem przeniosła wzrok na Winiarskiego i stojącego za nim Grzywińskiego.

— Co... co ty znowu zrobiłeś? — spytała wysokim głosem, w którym pojawiły się nutki hysterii. — Jesteś... jesteś.. .

Odwróciła się nagle ku mnie blada, z rozszerzonymi oczami.

— Ja tego nie chciałam! Ja nie wiedziałam! Jacek, ja...

— Uspokój się — rzekł zimno Winiarski. — on też jest z milicji.

Ada postąpiła parę kroków, opadła na fotel, ukryła twarz w rękach. Wszedłem za nią.

— Wiem, że tego nie chciałaś — powiedziałem — ale obawiam się, że na skruchę jest już za późno.

Wieczorem, na Dworcu Głównym

Widziałem nad sobą twarz Winiarskiego; tyle w niej było zimnej wściekłości, tyle poczucia przewagi, tyle determinacji i okrucieństwa, a równocześnie satysfakcji człowieka, który ocalał w ostatniej chwili i nie zamierza stracić jedynej już szansy — że raz jeszcze napiąłem mięśnie w najwyższym wysiłku, aby rozerwać krępujące mnie sznury, zrzucić z siebie koce i płachty, jakimi mnie omotano. Ale był to trud daremny. Koc opadł mi na twarz, zacząłem się dusić, plaster na ustach pozbawiał oddechu, szum w uszach, przed oczami ciemno, uczucie, jakbym spadał w przepaść — i nagle światło, strumień świeżego powietrza, Ewa pochylona nade mną, jej dłoń na moim czole.

Usiadłem na łóżku, oparłem głowę na podciągniętych kolanach, wracałem powoli do siebie.

— Kazałeś obudzić się o trzeciej — powiedziała Ewa — ale gdybym wiedziała, że tak twardo śpisz, stanęłabym przed twoimi drzwiami i nie wpuściła nikogo do wieczora. Przyszedł docent Karolak, wszyscy siedzą na dole i patrzą na zegarki, kiedyż to będzie ta trzecia. I wysłali mnie na pięć minut przed terminem.

— W porządku — mruknąłem — miałem cudowny sen, ale ci wybaczam. Za dziesięć minut będę na dole.

Kiedy Ewa wyszła, wstałem na równe nogi, aby przypadkiem nie przyszło mi do głowy obrócić się na drugi bok i spać dalej, i poszedłem do łazienki.

Całą noc spędziłem na komendzie. Pani Ala opiekowała się Ewą, a kiedy po północy zadzwoniła, mówiąc, że Ewa zasnęła i wszystko już będzie dobrze, mogłem wreszcie spokojnie wziąć się do pracy. Winiarski początkowo milczał, rozmawiałem więc z Adą i było to tak przykre, że wolałbym o tym nie wspominać, gdyby to tylko było możliwe. Dopiero nad ranem, wobec tego,

co powiedziała Ada, zaczął mówić i Winiarski, nie oszczędzając swej przyjaciółki, przeciwnie, starając się pogrążyć ją jak najbardziej.

— Wie pan — powiedziałem mu na zakończenie — spodziewałem się po panu większej klasy, przynajmniej w stosunku do Ady.

Spojrzał na mnie jasnymi, pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu oczami.

— Teraz to naprawdę nie ma znaczenia — rzekł bezbarwnym głosem — i nie mam zamiaru udawać uczuć, których nie doznaję. Wszystko jest skończone. Prawdopodobnie byłoby lepiej, gdybym trochę wcześniej doszedł do tego wniosku. Rzykowałem, a gdyby spóźnił się pan o godzinę, niczego nie mógłby mi pan udowodnić.

— Myli się pan — powiedziałem z przekonaniem — udowodniłbym panu wszystko. I to nie pan miał pecha, tylko ja. Mogłem być u pana o godzinę wcześniej. Aha, jeszcze jedno. Podczas rewizji w pana mieszkaniu zabrałem dwa tomy Maya, które pożyczył pan u doktora Hoszowskiego. Może pan zgłosić formalny protest.

— Mógł pan sobie darować tę uwagę — rzekł, wstając.

— Dlaczego? Zamienił pan książki umyślnie. Tak jak skłonił mnie pan do tego, abyśmy je pożyczili. Ale nie o to mi nawet chodzi. Przypomina pan sobie naszą rozmowę w gabinecie Hoszowskiego, tamtego wieczoru? Wybrał pan jedną możliwość i realizował ją pan konsekwentnie. Miał pan zatem uczucie przewagi. Nie zmienił pan przypadkiem zdania?

— Powiedziałem jeszcze, że szanuję fakty. Jakiegokolwiek by były.

— Ale w ten sposób nie stał się pan swoim własnym sędzią. Fakty poddają się także osądowi innych. To tyle, aby każdy wątek był zakończony. Żegnaj pana.

W sytuacji, jaka powstała, Zagórski także nie ukrywał już niczego. Mogłem zatem zamknąć pierwszy etap śledztwa, dalszy jego ciąg pozostawiając moim współpracownikom. Zadzwoiłem do Warszawy po Olszewskiego, uzyskałem także zgodę moich zwierzchników na rozpoczęcie urlopu natychmiast

po przekazaniu sprawy. Nie chodziło tylko o moje fizyczne zmęczenie. Łzy Ady, która, zaplątana tak dalece w plany i zabiegi swojego przyjaciela i swej rodziny, że nie widziała już odwrotu, choć coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę z sytuacji — Ady, która zrozumiała, że podniecająca gra stała się niepostrzeżenie dla niej samej tylko zwykłym przestępczym działaniem — te łzy nie były tylko normalną reakcją na porażkę, na klęskę, przekreślającą, w najlepszym wypadku, wiele nadziei i planów. Wychowana w atmosferze walki o poziom i atrakcyjność życia, nie umiała Ada wyjść poza obowiązujące dla tego stylu konwencje. A kiedy spostrzegła, do czego ją doprowadziły, zabrakło jej sił, aby je przełamać. Sił, odwagi, charakteru. Ona jedna budziła moje współczucie i moją sympatię, nie tylko dlatego, że budziła ją także wcześniej. Nic więc dziwnego, że tak trudna była nasza rozmowa.

— Mogę ci tylko życzyć — powiedziałem jej — abyś, kiedy wrócisz do matki, do pracy, do normalnego życia, nie sądziła, że stała ci się krzywda. Abyś głęboko zrozumiała wszystko, co się stało, a przyczyn szukała w sobie, w swoim dotychczasowym życiu. Żałuję, bardzo żałuję.

— Może w to nie uwierzysz — odpowiedziała — ale ja także żałuję. Nie siebie, tylko swoich pomyłek. A także trochę tego, że nie pojedziemy nigdy na żadne wakacje.

No i jakże miałem się po tym wszystkim czuć uradowany? Tym bardziej, że rozmowa z Adą, i tak już nazbyt sentymentalna, groziła stoczeniem się w absolutny melodramat, odetchnąłem więc z ulgą, kiedy wyszła z pokoju, a wtedy poczułem jeszcze silniej, jak bardzo jestem zmęczony.

Do domu pod lipami wróciłem po ósmej, był świeży ranek, krzyczały ptaki w ogrodzie. Nie chciałem śniadania, nie umyłem się nawet, zasnąłem, chyba jeszcze zanim dotknąłem głową poduszki i spałbym tak do następnego dnia, gdyby nie zbudziła mnie Ewa.

Wziąłem więc tusz, ogoliłem się i poczułem, że znowu mam ochotę znaleźć się między ludźmi, zobaczyć Ewę, i pomyślałem jeszcze, że oto wreszcie zaczną się wakacje, a pomyślałem o tym z przyjemnością.

Kiedy stanąłem na schodach, ujrzałem w hallu niemałe zgromadzenie. Pani Ala królowała przy stoliku, obok niej zasiedli Ewa i Karolak, Janusz nalewał właśnie Ewie wody mineralnej do szklaneczki, a pan Mrozowski, siedzący opodal, tłumaczył coś z zapalem swej dostojnej małżonce. Umilkł szmer rozmów, kiedy mnie ujrano, ale zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, zerwał się notariusz i podbiegł do schodów.

— Byłem o tym święcie przekonany! — zawołał. — Byłem święcie przekonany, że pan pracuje w milicji, od kiedy tylko zacząłem się nad tym zastanawiać. Nic nie potrafi mnie zmylić. Nic ani nikt!

— Klemensie — upomniała go pani Wacia — nie dalej jak w zeszłym miesiącu wzięłeś kuzyna Kazika za listonosza!

— Ten błąd tylko potwierdza precyzję mojego myślenia! — zaperzył się Mrozowski. — Kuzyn Kazik przyjechał dokładnie o tej porze, o której przychodzi do nas listonosz!

I w tym miejscu wkroczyła pani Ala, kazała mi usiąść w fotelu, a przejęta i milcząca Helena postawiła przede mną szklankę parującej kawy. Zapadła chwila ciszy, a w tej ciszy usłyszeliśmy kroki na tarasie i w drzwiach pojawił się Grzywiński. Spojrzałem na niego przestraszony, że stało się jeszcze coś, co wymaga mojej interwencji, ale skinął mi uspokajająco ręką, po czym zaczął się witać ceremonialnie z wszystkimi obecnymi.

— Nasz specjalista od kosmetyków wygląda świeżo i radośnie — mruknąłem. — To chyba cecha jego zawodu.

— Wiem już, kim jest pana przyjaciel — uśmiechnęła się błado pani Ala — ale tylu rzeczy jeszcze nie wiem... I zanim o cokolwiek pana spytam, proszę mi powiedzieć, co będzie z Adą? Ja jednak... miałam dla niej wiele dobrych uczuć...

— Właśnie — mruknął Janusz, posepniejąc — Ada zawsze była wariatka, ale ja ją właściwie lubiłem. Nie mogę uwierzyć, żeby ona...

— Wykluczone — rzekł kategorycznie Mrozowski

— Ada miała wiele wad, temu nie przeczę, nic nie może się przede mną ukryć...

— Klemensie — powiedziała stanowczo pani Wacia
— daj mówić panu Jackowi. Przecież ty nic właściwie nie wiesz.

Notariusz sapnął gniewnie, otworzył usta, zaniknął je i usiadł w swoim fotelu głęboko urażony.

— Co stanie się z Adą... — powtórzyłem. — O tym zadecyduje sąd. Myślę, że dostanie parę lat, ale nie będzie oskarżona o świadomy współudział w przygotowaniu obu zabójstw. Poza tym... okazała prawdziwą skrucę, nie ukrywała niczego, mam nadzieję, że potrafi kiedyś doprowadzić się do ładu, zacząć wszystko od początku...

Kątem oka spostrzegłem, że Helena stanęła w drzwiach, zamieniona w słuch. Pani Ala oparła głowę na ręce, westchnęła.

— Ten chaos... — szepnęła. — Tak niewiele z tego rozumiem, chociaż wszystko się już skończyło. Panie Jacku, dlaczego zginął Zygmunt? Kto i dlaczego zabrał klejnoty? Jaki miały one związek ze śmiercią Zygmunta i doktora Hoszowskiego?

— Miały związek bezpośredni — wyjaśnił Mrozowski. — Otóż...

— Klemensie! — powiedziała pani Wacia.

— Mógłbym opowiedzieć wszystko od początku — zacząłem — uszeregować fakty w czasie, ale myślę, że lepiej będzie, kiedy przyjmę inną kolejność.

— Na pewno będzie lepiej — zgodził się Karolak — dlatego staram ci się nie przeszkadzać — tu spojrział znacząco na Mrozowskiego — chociaż także mam wiele pytań. O ile rozumiem, chcesz wyjść od sposobu, w jaki myślałeś, i porządku, w jakim kojarzyłeś fakty od chwili swego przyjazdu, prawda? Więc mów.

— Mów — powtórzyła Ewa.

Pociągnąłem łyk kawy, zapaliłem papierosa. Przez otwarte drzwi tarasu sączył się rozleniwiający skwar letniego popołudnia, słychać było monotonne brzęczenie pszczół w ogrodzie.

— Kiedy przyjechałem, wiedziałem tylko tyle, że profesor Kędzierski zginął we wtorek drugiego lipca, między trzecią a piątą po południu, zabity kilkoma uderzeniami tępym

narzędziem w głowę. Nie wykluczano również, że część obrażeń powstała w wyniku uderzenia o kant biurka przy padaniu ciała. Zabójca miał wiele czasu, przez całe popołudnie nikogo nie było w domu. Można więc założyć, że zbrodnia nie miała charakteru rabunkowego, co więcej, że zabójcy chodziło o to, co wiedział profesor Kędzierski, nie o to, co miał. Tymczasem nazajutrz po moim przyjeździe przeszukano gabinet profesora, przeszukano nie raz i przeszukano gruntownie. Gruntownie, ale bez polotu. Kiedy okazało się, że w skrytce nie ma klejnotów, że najprawdopodobniej profesor przechowywał je u siebie w gabinecie — można było przypuszczać, że celem poszukiwań są klejnoty.

Wynikały z tego dla mnie dwa wnioski. Pierwszy, że śmierć profesora nie miała nic wspólnego z klejnotami, w przeciwnym razie zabójca przeszukałby gabinet od razu. I drugi: przez pierwsze dni po śmierci profesora nikt nie wchodził do gabinetu. Poszukiwania zaczęły się po przyjeździe Zagórskiego.

— Mógł to być przypadek — mruknął Janusz.

— Oczywiście. Gabinet przewrócono do góry nogami, kiedy kąpaliśmy się na gliniankach. Wszyscy, oprócz Zagórskiego, Hoszowskiego i domowników. Ale to także mógł być przypadek. Pozostawał zresztą Hoszowski. I Janiak. Wreszcie wieczór tego dnia. Napad na Ewę, kradzież klejnotów. I kiedy jest już po wszystkim — znowu ktoś przeszukuje gabinet, wdaje się w bójkę ze mną.

Opowiedziałem dzieje tej nocy, bo nikt, oprócz Ewy i pani Ali, dokładnie ich nie znał.

— Pewny byłem tylko jednego — ciągnąłem — że oto wkracza na widownię trzeci krąg zainteresowanych, zjawia się trzeci wątek. Ktoś, komu także chodziło o klejnoty, ale kto nie wiedział, że ich już nie ma, że zostały zabrane tego samego wieczora.

Wszystko byłoby prostsze, gdybym ani na chwilę nie odstępiał od tego toku myślenia. Najłatwiej było zresztą z owym trzecim wątkiem; wystarczyło pójść tropem Janiaka i dotrzeć w ten sposób do jego pomocników.

Aby więcej do tego nie wracać, dokończyłem opowieści o

Janiaku, a wtedy z jadalnego pokoju rozległ się krzyk grozy i Helena zjawiała się na progu z rozwianym włosom i zaciśniętymi pięściami.

— Już ja dam temu łajdakowi! — krzyknęła. — Niech no się tylko pokaże! Zobaczy, gdzie jego miejsce!

— Niech Helena wraca natychmiast do siebie! — podniosła głos pani Ala. — A przynajmniej nie przeszkadza!

Helena, sapiąc gniewnie, cofnęła się i ukryła za futryną, aby podслуchiwać dalej.

— Za to wątek klejnotów nie był taki prosty — stwierdził Mrozowski — i przypuszczam, że kosztował pana więcej wysiłku. Gdyby zechciał pan skorzystać z moich rad...

— Wątek klejnotów istotnie nie był prosty — zgodziłem się — a pan był nader skąpy w udzielaniu rad. Istotna była pana wskazówka dotycząca zabójstwa Ignacego Jeziorkowskiego w roku 1946, chociaż i tak doszlibyśmy do tego w ostatniej fazie śledztwa. Ale w tym miejscu właśnie nastąpił okres, w którym moja pewność co do braku powiązań między zabójstwem profesora i historią klejnotów wyraźnie się zachwiała. Stało się mianowicie to, czego od początku się obawiałem. Nie miałem wątpliwości, że przyczyną śmierci profesora było to, co wiedział o zabójcy. A jeśli to, co wiedział, dotyczyło okresu okupacji lub pierwszych lat po wojnie? Nie chodzi już o to, że każda z takich spraw jest niezmiernie trudna do rozwikłania, że brak jest świadectw, świadków, dokumentacji, tylko w powieściach kryminalnych szukających łatwych rozwiązań tabunami zjawiają się ludzie z ciemną okupacyjną przeszłością i niesłychanie łatwo ich się demaskuje. Nie o to więc szło, ale o to, że w każdym takim przypadku mamy do czynienia z sytuacją wielostronnie złożoną. Już nie mówię o wojnie, ale pierwsze następujące po niej lata prowadziły nieraz do konfliktów nie jednoznacznych, nie zawsze zależnych od dobrej czy złej woli stron, więc i moralnie zawikłanych. Nie lubię do tego wracać z naszym dzisiejszym kodeksem postępowania i dzisiejszą skalą ocen. Zawsze jest w tym coś z nadużycia.

Tymczasem klejnoty zaczęły się wysuwać na pierwszy plan. Obserwowałem reakcje doktora Hoszowskiego na wszelkie o

nich wzmianki. Były bliskie paniki. Kiedy wezwałem Hoszowskiego do Ewy, był to człowiek załamany. Nie mogłem więc uwierzyć, aby to on zdobył klejnoty. Ale byłem równocześnie przekonany, że zdobyto je przeciwko niemu, że boi się on ujawnienia ich historii, że za nic do tego nie dopuści.

Czyżby to więc Hoszowski zabił profesora Kędzierskiego, który go zdemaskował? Dlaczego w takim razie od początku nie szukał klejnotów? I dlaczego nikomu nie zależało na ich ujawnieniu? Kolekcja z Suchowłoci miała swoją dramatyczną historię w dalekiej przeszłości. Ale miała ją także, musiała mieć, w przeszłości niezbyt odległej. Równocześnie przez cały czas wydawało mi się, że kiedyś już o niej słyszałem, że gdzieś się już zetknąłem z opisem sztyletu weneckiego z trzema kamieniami na jelcu. Zrozumiałem więc, że przede wszystkim muszę zrekonstruować dzieje kolekcji z Suchowłoci, by postąpić choć o krok dalej. Zrobiłem to.

To, co teraz mówiłem, zainteresowało przede wszystkim Karolaka i Ewę. Gdy doszedłem do archiwum Rościszewskich i listu kasztelana Jeziorkowskiego, Karolak odetchnął głęboko i rzekł:

— To dlatego tak śmiertelnie poważnie potraktowałeś niewysłany list profesora Kędzierskiego do ciebie? Z początku myślałem, że to po prostu pietyzm ucznia dla woli mistrza, wskazówka dla pracy naukowej, ale i tak twoja reakcja wydała mi się zbyt żywa. Teraz rozumiem. To tam kiedyś napotkałeś pierwszą wzmiankę o kolekcji.

— Nie tylko. W liście kasztelana znalazłem daleko ważniejszą wskazówkę i chociaż to był zbieg przypadków, ta wskazówka okazała się decydująca. Ale o tym za chwilę. Wreszcie artykuł w „Kameli” i fotografia z akt hrubieszowskich z roku 1946, na której rozpoznałem Hoszowskiego. Mogłem już wtedy zrekonstruować sobie dzieje kolekcji po wojnie. Wtedy też poczułem żal do pana — zwróciłem się do Mrozowskiego. — Starał się pan, równolegle, zrobić to samo, co ja, ale wiedział pan więcej, dużo więcej, i nie zrobił pan z tej wiedzy użytku.

Mrozowski już od dłuższej chwili wiercił się w fotelu, odymał policzki, otwierał usta, aby zabrać głos. Teraz jednak przygaś,

zatarł nerwowo ręce, a w ciszy, jaka zapadła, pochrząkiwał tylko w zakłopotaniu.

— No tak — rzekł wreszcie. — Nie zrobiłem jednak błędu. Nie wiedziałem przecież, że pan... hm, że pan prowadzi śledztwo. Porządkował pan papiery Zygmunta, to wszystko. Nie wiedziałem także, że klejnoty zniknęły. Tak — ożywił się. — To nie ja popełniłem błąd, tylko pan! Gdyby informował mnie pan o wszystkim, sytuacja wyglądałaby inaczej.

— Nic z tego nie rozumiem — wyznała szczerze pani Ala.

— Ach, Klemens rozumuje bezbłędnie — jęknęła żona notariusza.

— Wyjaśnię to — Mrozowski odzyskiwał wenę. — Otóż, moja droga, zaraz po przyjeździe spytałem cię, co dzieje się z klejnotami. Odpowiedziałas, że są u ciebie w skrytce. Nie mogłem więc przypuszczać, że cała ta sprawa ma z nimi jakikolwiek związek. Kiedy Zygmunt był u nas po raz ostatni, wczesną wiosną, opowiedziałem mu także o klejnotach Jeziorkowskich. Bardzo był tym poruszony. Prosił, żebym je opisał, a sposób, w jaki wypytywał o szczegóły, wskazywał, że je zna. Spytałem go o to wprost.

— Tak — stwierdziła pani Wacia — Klemens spytał go wprost. On zawsze idzie prostą drogą do celu.

— Nie przerywaj — zdenerwował się Mrozowski — to mi przeszkadza, nawet jak masz rację. Zygmunt wtedy powiedział mi, że ta kolekcja jest w jego posiadaniu i prosił o dyskrecję. Nie wiedziałem, w jaki sposób ją zdobył, bałem się, że może to pociągnąć za sobą kompromitację Zygmunta. W tym sensie sprawę uważałem za rodzinną.

Kiedy spotkałem po raz pierwszy doktora Hoszowskiego, wydało mi się, że już go gdzieś widziałem. W roku 45. i 46. parokrotnie odwiedzałem Jeziorkowskich w Hrubieszowie. I kiedyś, późną jesienią, w miejscowej restauracji, spotkaliśmy dwu mężczyzn, których Jeziorkowski znał. Hoszowski przypominał mi jednego z nich. Ale nie byłem tego pewny, a sytuacja nie pozwalała mi, abym spytał wprost. Przecież chodziło o kradzież i morderstwo! A Hoszowski był sąsiadem i przyjacielem Zygmunta. Nie wracałem więc do tematu, skoro

Zygmunt sobie tego nie życzył. Ignacy Jeziorkowski był w dodatku człowiekiem nad wyraz szlachetnym i nie przestawałby z ludźmi niegodnymi zaufania. Nie mogłem więc rzucać na nikogo podejrzenia, nawet gdyby okazało się, że istotnie doktor Hoszowski to człowiek z Hrubieszowa.

— Podziwiam pańską ostrożność — mruknąłem.

— Klemens jest niezwykle — wyjaśniła pani Wacia.

— Autorka artykułu w „Kamelii”, pani Baleja — westchnąłem — też uważała pana Jeziorkowskiego za wcielenie wszystkich cnót. Ale z tego, co wiemy, wynika jednoznacznie, że Jeziorkowski starał się przedostać wraz z rodziną na Zachód i zabrać ze sobą kolekcję. Mniejsza zresztą z tym. Pan również figuruje na zdjęciu, zamieszczonym w „Kamelii”, mimo to nie podejrzewałem pana ani na chwilę. Wróćmy jednak do rzeczy. Kiedy jasna stała się historia kolekcji, wyjaśniła się równocześnie technika szantażu, którego ofiarą padł Hoszowski. Od początku zresztą sprawy i kłopoty majątkowe pani Murawskiej kojarzyły mi się z klejnotami, będącymi dla profesora Kędzierskiego tak interesującym rekwizytem.

— Szantaż? — zdziwiła się pani Ala. — Czyżby Karolina zdolna była do szantażu?

— Ona sama nie uważała tego za szantaż, tylko za propozycję pewnej, hm... transakcji finansowej.

Opowiedziałem z kolei o zabiegach Karoliny i Zagórskiego, oporze, jaki stawiał Hoszowski, i kłopotach, jakie sprawiał fakt, że kolekcja była ukryta i nikt nie mógł użyć jej w sporze jako rozstrzygającego argumentu.

— Zdumiewające — powiedziała w zamyśleniu pani Ala. — Po śmierci Zygmunta rozmawiałam o klejnotach tylko raz. Rozmawiałam... z Adą. Czy ona...

— Tak, Ada brała żywy udział w transakcji. — Skinąłem głową. — Ja także długo, zbyt długo nie mogłem w to uwierzyć. O czym Ada z panią mówiła?

— To była niezobowiązująca rozmowa, nie przywiązywałam do niej wagi. Ada zresztą starała się być delikatna, w końcu tylko parę dni upłynęło od śmierci Zygmunta. Mówiła więc, że jej matka chciałaby doprowadzić do końca rozliczenia

majątkowe, że wcześniej już korespondowała o tym z bratem. Że chce nam pozostawić ostatecznie dom pod lipami, potrzebna jej jest jednak kolekcja. Odpowiedziałam stanowczo, że życzeniem Zygmunta było, aby kolekcja znalazła się w muzeum i nic mnie nie odwiedzie od spełnienia jego woli. Natomiast dom gotowa jestem zwrócić. Nie wracałyśmy więcej do tego tematu.

— Ale ta rozmowa była decydująca. Ada brała udział w pertraktacjach z pełnym przekonaniem. Nie mogła dopuścić myśli, że jej matka będzie zrujnowana, że skończy się dobrobyt, w jakim zawsze żyła, że także wszystkie jej plany mogą zostać przekreślone. Czekala więc na Zagórskiego. Wiedzieli już, że od pani nie uzyskają niczego, ale wiedzieli także, że kolekcja znajduje się, ukryta, w gabinecie profesora. Powiedział im to, wcześniej jeszcze, Hoszowski, któremu profesor zwierzył się z kłopotu, nie przypuszczając, jak blisko on dotyczy jego sąsiada. Tak więc Ada pożyczała Zagórskiemu klucz od domu, kiedy chodziliśmy się kąpać, wpuszczała go w nocy do domu. Musieli mieć tę kolekcję, a równocześnie nie mogli dopuścić do jej ujawnienia, bo sprawa stała się już głośna. Tak nadszedł wieczór, kiedy Ewa odkryła klejnoty.

Ewa ściągnęła ramiona, dotknęła bezwiednie czoła.

— Kto mnie wtedy uderzył? — spytała tylko.

— Zagórski. Czekał w ogrodzie, kiedy wreszcie pójdziesz spać. Ada otworzyła drzwi na taras, aby mógł się dostać do środka. Przez okno Zagórski zobaczył, że znalazłaś klejnoty. Adzie, siedzącej w ciemnym oknie, dał znak, aby wyłączyła światło w całym domu. Zrobiła tak i poprzedniej nocy, aby ułatwić mu zadanie. Nie wiedziała, że jeszcze jesteś w gabinecie. Zagórski zastukał do okna. Zanim podeszłaś, zanim się rozejrzałaś, wbiegł na taras i ukrył się w hallu. Kiedy wyszłaś, zgasło światło, a Zagórski wszedł do gabinetu. Tam cię uderzył pięścią, zabrał klejnoty i poszedł. Ada dowiedziała się dopiero rano, co się stało. Złożyli kolekcję w skrytce na poczcie, wydano im dwa kluczyki.

— Od tego dnia zaczęła mi okazywać nadzwyczajną troskliwość — mruknęła Ewa.

— Bo przejęła się i przestraszyła tym, co się stało. Wszystko zaczęło wyglądać inaczej, niż sądziła. Gra o majątek, prawnie jej zresztą należny, bo przecież Karolina Murawska zakupiła kolekcję za słoń sumę — ta gra niebezpiecznie szybko znalazła się w kolizji z kodeksem. Troskliwość Ady była szczerą. Została jej tylko nadzieja, że na tym się skończy. Nie na długo tej nadziei starczyło.

Zagórski i Ada mają więc kolekcję. Hoszowski musi przyjąć narzucone mu warunki. I co się dzieje? Hoszowski triumfuje. Nie ma kolekcji, ale najwyraźniej on przejmuje inicjatywę. Obserwowałem go wtedy, tego fatalnego wieczoru. Był podniecony, łatwo tracił równowagę, ale widać było, że teraz on panuje nad sytuacją. Zagórski był agresywny, zdezorientowany, lecz niespokojny. Zaszedł jakiś nowy zwrot, Hoszowski uzyskał niespodziewanie argumenty, które zapewniły mu przewagę.

I wtedy zginął. Nie mógł zabić go Zagórski. Nie zabija się człowieka, który jedyny może uratować nasz majątek. Byłem całkowicie przekonany, że Zagórski nie jest winien zabójstwa, choć wszystko wskazywało na niego. Musiałem odnaleźć zatem przyczynę tak radykalnej zmiany sytuacji przed zabójstwem. Odgadnąć, jaki to kontrszantaż zastosował Hoszowski. A musiałem to zrobić dlatego, że w tym punkcie, jak sądziłem, zabójstwo profesora Kędzierskiego łączyło się z klejnotami. Założyłem więc, że Hoszowski stwierdził coś, co rzucało nowe światło na to zabójstwo, a obciążało równocześnie jego partnerów. Ale kogo? Nie Zagórskiego przecież, nie Adę — a to byli jego jedyni partnerzy.

W dniu zabójstwa profesora Hoszowski był w domu. Kazał to potem zataić pielęgniarce. Ale w domu był. Z okna gabinetu widział człowieka, który wyszedł z willi profesora. Nie zwykłą drogą, przez taras i na ulicę, ale tylnymi drzwiami, które za sobą zatrzasnął, przez furtkę w ogrodzeniu i ogrodem Hoszowskiego do ścieżki, a potem między żywopłotami na sąsiednią ulicę. Hoszowski znał tego człowieka, zdziwiło go jego zachowanie. Ale zrozumiał je dopiero nazajutrz, kiedy dowiedział się o zabójstwie.

Nie zrobił z tego użytku z dwu powodów. Po pierwsze, przez

cały czas pamiętał, że profesor ma klejnoty, które go mogą skompromitować. Nie chciał więc zwracać na siebie uwagi prowadzących śledztwo, chciał pozostać w cieniu. Po drugie zaś, liczył na to, że w nowej sytuacji, która nie mogła zostać bez wpływu na dalszy ciąg jego rozgrywki z Karoliną Murawską, ta informacja może mu się w jakiś sposób przydać w przetargu. Nie wiedział, w jaki, ale jako wytrawny gracz chował asa w zanadrzu, w nadziei, że będzie go mógł użyć. Nie zawiodła go ta nadzieja. Musiał raz czy drugi spotkać na mieście Winiarskiego z Adą. Zadzwoił do Krakowa, gdzie Ada studiowała, i do Poznania, gdzie mieszka teraz, do swoich przyjaciół, z prośbą, aby dowiedzieli się, czy Adę łączyły z kimś bliższe stosunki. Myśmży zresztą zrobili to samo.

Grzywiński podniósł rękę.

— Udzielisz mi głosu? — spytał. — Otrzymałem wiadomość dziś przed południem. U gospodarzy Ady w Krakowie, u których wynajmowała pokój, zjawił się przed trzema dniami jakiś nobliwy pan, podając się za przyjaciela matki Ady. Powiedzieli mu to samo, co naszemu człowiekowi. Przez ostatni rok studiów Ada często spotykała się z Winiarskim, który do niej przyjeżdżał, spędzali weekendy w Zakopanem. Tam się zresztą zetknęli i zbliżyli. Co do drugiej informacji, też ją otrzymaliśmy z Warszawy. Otóż...

— Dziękuję ci, nie mam wątpliwości, że jesteś skuteczny w działaniu jak brzytwa — przerwałem mu szybko — i rozmowny jak właścicielka magła.

— Kiedy chciałem tylko powiedzieć — bronił się z udanym zakłopotaniem — że wszystko jest w porządku.

Ewa patrzyła na mnie badawczo.

— Tak więc — podjąłem pospiesznie — Hoszowski zdobył argument! Widział, że Winiarski i Ada ukrywają łączące ich stosunki. Zagrał na całego. Spotkał się z Winiarskim w mieście. Zażądał, aby za pośrednictwem Ady wpłynął na panią Murawską, w przeciwnym razie opowie milicji, kogo widział wychodzącego z willi profesora w dniu zabójstwa. Zagrał troskliwie przechowywanym atutem i pewny był, że wygrał. Teraz jednak...

— ...czas najwyższy, abys nam powiedział, dlaczego Winiarski zabił profesora — stwierdził spokojnie Karolak.

Pani Ala wytarła chusteczką oczy, Ewa wyprostowała się w fotelu, zaś pan Mrozowski chrząknął uroczyście, po raz pierwszy nie udając, że ma coś do powiedzenia. W sąsiednim pokoju zatrzeszczało krzesło, to Helena poprawiła się, nadstawiając troskliwie uszu. Tylko Janusz ani drgnął, wpatrzony w profil Ewy.

— Powiedziałem już, że profesor zginął, ponieważ, jak sądziłem, wiedział coś, co mogło w decydujący sposób wpłynąć na los innego człowieka. Od początku więc starałem się ustalić, czy i jakie były jego konflikty, zatargi z otoczeniem, kto i o co mógł mieć pretensje do profesora, lub też odwrotnie, kto naraził się profesorowi wystarczająco mocno, aby rzecz nie należała do rzędu banalnych, codziennych historii uniwersyteckich. Spotykałem się tylko z nazwiskiem Jana Tomczyka. Zdolnego studenta, który miał zostać asystentem, ale wpadł w konflikt z profesorem, a ten zamknął mu drogę do kariery naukowej. Początkowo zlekceważyłem tę informację. Interesowało mnie natomiast zachowanie Winiarskiego. Nie dopuszczono go do prac nad papierami profesora, choć najwidoczniej mu na tym zależało. Zrozumiałbym, gdyby uniósł się honorem, gdyby dał pokaz urażonej ambicji i demonstracyjnie odsunął się od tych prac. Ale on był tutaj codziennie, robił wrażenie, jakby wszystko było w porządku. Odnosiłem wrażenie, że nieustannie czuwał, aby zyskać pewność, pewność czego? Nie wiedział mianowicie, czy w trakcie naszych poszukiwań nie odnajdziemy czegoś, co mogłoby rzucić na niego inne światło, w inny sposób ukazać jego stosunki z profesorem.

Ale to były tylko luźne supozycje, co więcej, mogłem przypuszczać, że wszystko to znajdzie zupełnie naturalne wytłumaczenie, a moja podejrzliwość jest deformacją zawodową. W końcu Winiarski rzeczywiście mógł być człowiekiem prawdziwie oddanym swemu profesorowi, wystarczająco wielkodusznym, aby fakt, iż nie jemu powierzono przygotowanie do druku ostatniej pracy mistrza,

tłumaczyć, z całym zresztą prawdopodobieństwem, swoim bliskim wyjazdem za granicę. Powtarzałem sobie, że przecież jedyne, co mógł zrobić, gdyby go o to poproszono, to zgoda na wprowadzenie nas w prace profesora, udzielenie ogólnych wskazówek, pierwszy rzut oka na materiały — potem i tak musiałby wyjechać na rok. Ale go nie poproszono. Znam większe omyłki i nietakty w środowiskach naukowych i wcale nie stały za nimi nadzwyczajne powody.

Wreszcie zgoda na znoszenie złośliwości Ady mogła być wytłumaczona szczerym podziwem Winiarskiego dla Ewy, a byłbym ostatnim, którego mogłoby to zdziwić.

— Prawda? — zawołał Janusz, a Ewa potrząsnęła głową i powiedziała niechętnie:

— Muszę ci się przyznać, że wciąż jeszcze nie mogę myśleć o tym spokojnie. Nie żartuj w ten sposób.

— Kiedy ja wcale nie żartuję. Winiarski demonstracyjnie okazywał zainteresowanie tobą, przede wszystkim dlatego, aby usprawiedliwić swoje częste wizyty, ale przecież nie będę twierdził, że robił to z przykrością.

— Co za łotr! — zgrzytnął Janusz.

— Nie powinien pan tego mówić, można zachwycać się Ewą także, nie będąc łotrem. W każdym razie nie miałem żadnych konkretnych powodów, aby podejrzewać Winiarskiego. Pozostawał Tomczyk. Wybitnie zdolny student, z tego, co wiedzieliśmy, faworyt Winiarskiego. To Winiarski przepowiadał mu karierę naukową. To Winiarski doprowadził do przyjęcia jego pracy seminaryjnej jako pracy magisterskiej i wcześniejszego jej druku w „Studiach Historycznych”. Równocześnie jednak Tomczyk jest chyba nieco rozwichrzonym, zbuntowanym młodym człowiekiem. Nie szanuje autorytetów, nie przejawia układowej zapobiegliwości, pomagającej w zrobieniu kariery. Styl jego życia, jak można sądzić, nie był podczas studiów nazbyt ascetyczny.

I oto Tomczyk znalazł się w konflikcie z profesorem. Profesor Kędzierski nie chciał słyszeć o nim jako asystencie, nie zgodził się, aby w jakikolwiek sposób Tomczyk pozostał na Uniwersytecie. Cóż to się stało? Dlaczego profesor tak

gruntownie zraził się do studenta, którego poczynaniom naukowym przyglądał się dotychczas z życzliwym zainteresowaniem?

Profesor Kędziński był uczonym starej daty. Nieco kostycznym, skrajnie uczciwym, bardzo wymagającym. Równocześnie, a to także cecha i wieku, i formacji umysłowej, nieco drażliwym, dbającym o swój autorytet, utrzymującym wyraźny dystans między sobą a studentami i młodszymi pracownikami naukowymi. Wszystko, co wiedział dobrego o Tomczyku, wiedział od Winiarskiego. Mogłem więc założyć, że także wszystko, co wiedział o nim złego, również pochodziło od Winiarskiego.

To już zainteresowało mnie nieco żywiej. Opowiadaliście mi o incydencie na zabawie w akademiku, kiedy to Tomczyk uderzył w twarz Winiarskiego, co ostatecznie przypieczętowało jego los.

— Chodziło podobno o jakąś dziewczynę — mruknął Karolak.

— Winiarski miał go przyłapać gdzieś w kącie z dziewczyną, dziewczyna się broniła, Winiarski kazał się Tomczykowi wynosić, a kiedy wrócił na salę, ten go uderzył.

— Skąd to wiesz?

— Od Winiarskiego — rozłożył ręce.

— Właśnie. A przecież ten incydent to była kropla, która przelała dzban. Tomczyk był skończony. A jeżeli dowiedział się, że intryga między nim a profesorem była dziełem jego dotychczasowego protektora, Winiarskiego? Winiarski znał dobrze i profesora, i Tomczyka. Wystarczyło przez czas jakiś odpowiednio dozować profesorowi informacje o tym, że Tomczyk krytycznie wyraża się o jego dorobku, że zachowuje się wyzywająco, pije, uwodzi studentki z młodszych lat, nie uznaje żadnych autorytetów, jest arogancki i tak leniwy, iż nawet uznanie pracy seminaryjnej za magisterską przyjął jako coś mu należnego; wystarczyło, jednym słowem, przedstawić Tomczyka profesorowi jako cynicznego hochsztaplera, na czym dopiero teraz, co z żalem przyznaje, poznał się Winiarski, aby, znając równocześnie hardość, zadzierzystość młodego człowieka, być spokojnym, że nigdy nie dojdzie do

konfrontacji? W ten sposób ów incydent na zabawie tłumaczyć można inaczej. Tomczyk zrozumiał rolę Winiarskiego i dał się ponieść nerwom. Winiarski zaś był nawet zadowolony. Powtórzył profesorowi wersję, którą rozkolportował także na wydziale, i oznaczało to koniec kariery naukowej Tomczyka.

— Ale dlaczego? — spytał Karolak. — Dlaczego to zrobił?

— A to w znacznym stopniu wiem od ciebie. Mówiłeś mi sam, że doktorat Winiarskiego był wątpliwy, ale jego talenty towarzyskie pozwoliły mu utrzymać się na uczelni. Mówiłeś mi także, że Tomczyk od paru już lat, od trzeciego roku studiów, robił pracę, która miała być jego pracą magisterską. Nie mógł jej jednak skończyć, stąd wspaniałomyślny gest Winiarskiego. Równocześnie Winiarski występuje ze znakomitą rozprawą habilitacyjną. W ten sposób zyskuje ostatecznie zaufanie profesora, a przez niego kontakty zagraniczne, wyjazd do Nancy i perspektywę błyskotliwej kariery naukowej i w ogóle życiowej.

— A jeżeli — pomyślałem — nie obudził się w Winiarskim talent naukowy, nie wyskoczył jak diabeł z pudełka, i po mizernym doktoracie nic mu nadal nie wychodziło? A jeżeli praca Tomczyka okazała się świetna, tezy rewelacyjne, metoda odkrywcza? Co wtedy mógłby zrobić Winiarski? Po pierwsze, a nie jest to nic trudnego dla wytrawnego pracownika naukowego, powinien kierować pracą Tomczyka tak, aby nie sądził on, że dokonuje czegoś nadzwyczajnego. Wskazywać mu coraz to nowe braki, coraz to nowe konieczności uzupełnień. A równocześnie ludzi nadzieją, że może to być, pod jego wytrawnym kierownictwem, nawet praca doktorska. Ale ileż to jeszcze pracy, ile wysiłku autora i, przede wszystkim, j ego opiekuna naukowego! Wiele zresztą też nie jest dla owego opiekuna niczym nowym, dawno je już sformułował w swych własnych dociekaniach. Nie należy więc się spieszyć. Że sprawa się przeciąga? Od czegoż życzliwy protektor? Załatwi przyjęcie pracy seminaryjnej jako magisterskiej, wcześniej załatwi jej druk. Trzeba było przecież dać dowody swojej dobrej woli i życzliwości. Czyż można dać większe?

— Twierdzisz więc — rzekł wzburzony Karolak — że praca

habilitacyjna Winiarskiego...

— Zgadłeś. — Skinąłem głową — Twierdzę, że praca Winiarskiego była w gruncie rzeczy plagiatem pracy Tomczyka. Że Winiarski wykorzystał pracę Tomczyka, łudzac go, jak długo to było potrzebne, perspektywami kariery i własną życzliwością, a potem splawił go cynicznie, uniemożliwiając praktycznie dalsze kontakty Tomczyka ze środowiskiem naukowym.

— To obrzydliwe...

Karolak wstał, przeszedł się parę razy po pokoju, mrużąc coś pod nosem, wymachując rękami.

— Wynika z tego — zatrzymał się nagle — że intryga mimo wszystko nie udała się!

— Z początku wszystko było w porządku. Winiarski natomiast nie wiedział jednego. Tomczyk, podczas zeszłorocznego pobytu na praktykach studenckich w Nancy, zabrał ze sobą pierwszy szkic pracy, aby przy okazji poszperać w bibliotekach i archiwach. Tomczyk ma we Francji rodzinę, zna świetnie język, przedłużył swój pobyt. Ale — i o tym Winiarski nie wiedział — Tomczyk skontaktował się z doktorem Dufourem. Dufour zainteresował się żywo jego znaleziskami. Rozmawiali wiele, Tomczyk uzyskał od Dufoura cenne wskazówki bibliograficzne, zostawił mu nawet egzemplarz owego pierwszego szkicu pracy. I dla Dufoura było to interesujące, w końcu tendencje zagranicznej polityki Francji w okresie Dyktatoratu w jej aspekcie polskim zyskiwały nowe zupełnie światło wobec odkryć archiwalnych i propozycji interpretacyjnych Tomczyka. Dufour, przyjeżdżając do Polski, zabrał z sobą ów egzemplarz, chciał skontaktować się z Tomczykiem.

— W ten sposób profesor dowiedział się wszystkiego — mruknął Karolak.

— Teraz zacznym rozumieć — powiedziała cicho pani Ala. — Znałam lepiej niż ktokolwiek inny bezkompromisowość Zygmunta. Jeżeli dowiedział się o postępowaniu Winiarskiego, oznaczało to koniec jego kariery. Oznaczało to także kompromitację, zamkniętą drogę na każdy uniwersytet, do

każdego instytutu naukowego.

— A także — podjąłem — koniec wszystkich jego planów życiowych. Wyjazdów zagranicznych. Nawet, jeśli można sądzić, prób zainstalowania się na stałe na jednym z zagranicznych uniwersytetów. Przy obrotności i sprycie Winiarskiego nie było to wcale niemożliwe.

We wtorek, drugiego lipca, profesor Kędziński zaprosił Winiarskiego do siebie. W jednej z teczek, o czym Winiarski nie wiedział, leżały dwa maszynopisy: pracy Tomczyka, którą przywiózł Dufour, i pracy habilitacyjnej Winiarskiego. Jak myślę — bo Winiarski nie był w tym punkcie zbyt rozmowny — profesor sucho i rzeczowo poinformował go o tym, co stwierdził, oraz powiadomił go o krokach, jakie zamierza przedsięwziąć. Oznaczało to odwołanie wyjazdu do Nancy, relegowanie z uniwersytetu z wilczym biletem, poinformowanie środowiska naukowego o całej sprawie. Winiarski początkowo usiłował się bronić, wyprowadził tym tylko profesora z równowagi. Wtedy zrozumiał, że to naprawdę koniec, koniec wszystkiego. Profesor był gwałtowny. Kazał mu wyjść. Być może, kiedy Winiarski stawiał opór, w bezsensownej nadziei, że uda mu się jeszcze odwrócić bieg wypadków, profesor usiłował go wyrzucić. Wtedy Winiarski, w rozpacz i wściekłości, uderzył profesora ciężką główką swojej laski w głowę, raz, drugi, trzeci. Profesor, padając, uderzył głową w kant biurka. Winiarski mówi, że pamięta to, jak przez mgłę. Był półprzytomny, nie panował nad sobą. Kiedy zobaczył, że profesor nie żyje, wpadł w panikę. Wymknął się z domu tylnymi drzwiami, przez ogród Hoszowskiego wy dostał się na sąsiednią ulicę. Wtedy też zobaczył go Hoszowski.

W pokoju panowała martwa cisza. Pani Ala przysłoniła oczy, siedziała nieporuszona.

— Winiarskiemu sprzyjało szczęście — podjąłem po chwili — profesor wyznaczył mu spotkanie kilka dni wcześniej. Winiarski, nie podejrzewając niczego, spędził je w górach. Do profesora przyszedł niemal prosto z dworca, zdążył tylko przebrać się w domu. Najbliższym pociągiem wrócił do Karpacza, późnym wieczorem zjawił się w tym samym

schronisku, z którego wyszedł rano, opowiadał wiele o wycieczce, jaką zrobił w ciągu dnia, ze szczegółami, z opisem trasy. Znał góry dobrze, nie sprawiło mu to trudności. Wrócił oficjalnie do miasta następnego dnia, już zimny, opanowany, jak zwykle, świadomy, że od tego jak teraz się zachowa, zależy cały jego przyszły los. Kiedy przyjechała Ada, opowiedział jej o wszystkim. Ale opowiedział w sposób, który zapewnił mu współczucie Ady. W tej opowieści profesor był zimnym, wyrachowanym tyranem, który postanowił mu złamać życie, nie chcąc, aby wyrósł nad niego. Śmierć profesora przedstawił jako nieszczęśliwy wypadek. Musiała to być sugestywna opowieść, bo Ada mu uwierzyła. Nie lubiła zresztą nigdy swego ojczyma. Według wersji jej matki, profesor obie je unieszczęśliwił, nic więc dziwnego, że Ada uznała Winiarskiego nie za mordercę, lecz za ofiarę profesora, a to, co się stało, za szczęśliwe zrządzenie losu, który nie dopuścił do przekreślenia ich planów. A były to plany określone. Winiarski miał się zainstalować na stałe na którymś z zagranicznych uniwersytetów. Ada, korzystając z majątku matki, miała do niego przyjechać z wianem, które ostatecznie umożliwiłoby jej życie filmowe i atrakcyjne. Tym mocniej zaangażowała się w obronę majątku matki.

— Nie rozumiem jednak — odezwał się Janusz — dlaczego ukrywali swój związek? Co więcej, udawali, że się nie znoszą?

— Trwało to parę lat. Początkowo Winiarski, wiedząc, napiętych stosunkach między profesorem a panią Murawską, nie chciał narażać się swojemu protektorowi, a Adzie wytłumaczył łatwo, że profesor mógłby mu szkodzić, gdyby dowiedział się prawdy. Potem zaś tym bardziej nie chciał wchodzić w krąg osób, które z natury rzeczy zostaną objęte szczegółowym śledztwem. Tym bardziej że dowiedział się od Ady o rozgrywce między Hoszowskim a Zagórskim i nią samą o klejnoty, które przecież znajdowały się w posiadaniu nieżyjącego profesora. Chciał więc być jak najdalej od tego wszystkiego, niczym nie zwracać na siebie uwagi. Interesowała go tylko nasza praca — obawiał się, czy nie natrafimy na coś, co mogłoby ujawnić jego ostatni konflikt z profesorem. I marzył o

tym, żeby już wyjechać, marzył obsesyjnie, liczył dni.

— I właśnie wtedy Hoszowski powiedział mu, że widział go w willi profesora drugiego lipca — rzekł w zamyśleniu Mrozowski, zasłuchany, cichy, jak nigdy dotąd.

— Klemensie, nie przerywaj — jęknęła pani Wacia.

— To ty przerywasz — odparł machinalnie notariusz.

— Był to cios dla Winiarskiego. Ale te ostatnie dni wyzwoliły w nim coś, czego nigdy w sobie nie podejrzewał. Prawda, był cyniczny, chytry, wyrachowany. Ale teraz obudził się w nim instynkt walki. Uznał, że ma tylko jedno wyjście. Ada zgodziłaby się na wszystko. Ada zresztą wiedziała. Nie mógł jednak wtajemniczyć Zagórskiego i pani Murawskiej. Mogłoby to pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Nie mógł więc także liczyć, że Karolina Murawska

— Zagórski odstąpią od swoich żądań. A wtedy Hoszowski przestałby milczeć. Nie, nie powiedziałby niczego milicji, tego Winiarski się nie obawiał. Powiedziałby Karolinie Murawskiej, że przyjaciel jej córki zabił jej byłego męża, że jej córka o tym wie i znajdzie się w więzieniu za ukrywanie sprawcy. Karolina Murawska musiałaby się poddać. Być może oznaczałoby to dla niej i Ady ruinę. Ale krąg osób, które wiedziałyby, kto zabił profesora Kędzierskiego, stałby się już niepokojąco szeroki. Kto wie zresztą, czy pani Murawska nie wpłynęłaby na córkę, aby sama wyznała prawdę, unikając kary, a jej zostawiając od nowa pole dla rozgrywki z Hoszowskim? Winiarski nie był już tak bardzo pewny Ady, dziewczyna coraz jaśniej zdawała sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazła, musiało między nimi dochodzić do scysji. Ada powoli zaczynała rozumieć, kim jest jej wybrany. Wkrótce miała to zrozumieć do końca.

Winiarski powiedział Adzie o ultimatum Hoszowskiego. Zaproponował jej taki oto plan działania. Przyjął zaproszenie Hoszowskiego na wieczór, miało dojść wtedy do ostatecznej rozmowy. Będzie się starał grać na zwłokę. Wyjaśni Hoszowskiemu wszystkie trudności, jakie mieć będzie z przekonaniem pani Murawskiej, aby odstąpiła od swoich żądań. Tym bardziej że może działać tylko przez Adę, nie bezpośrednio. Będzie więc prosił o czas. Równocześnie jednak

da Hoszowskiemu dowód dobrej woli. Kazał więc Adzie, która miała drugi klucz od schowka, wyjąć z niego sztylet wenecki. Wręczy go Hoszowskiemu jako coś na kształt zadatku.

— Dlaczego właśnie sztylet? — spytał Grzywiński.

— Z dwu powodów. Pierwszy z nich podał Adzie. Sztylet wenecki, jedyny, znany był z istniejących opisów kolekcji, o nim była mowa w artykule z „Kamelii”, on stanowił niejako znak rozpoznawczy skarbu z Suchowłoci, podstawę jej identyfikacji. Jeżeli przekaże go Hoszowskiemu, da mu w ręce niemały argument, a także przekonujący dowód swojej dobrej woli. Istotny był jednak drugi powód. Winiarski był zdecydowany: Hoszowski musi umrzeć. Jeżeli zginie od sztyletu, skieruje to śledztwo przeciw Zagórskiemu, pozwoli, być może, także zabójstwo profesora Kędzierskiego objąć motywem klejnotów. Stworzy to wystarczająco silne zamieszanie, aby Winiarski zdążył wyjechać. O nic innego mu już nie chodziło. Adę wykreślił już ze swoich życiowych planów. Chodziło mu tylko o własną skórę. Choćby miał tam, na Zachodzie, zmienić nazwisko, zawód, byle tylko uciec, ukryć się jak najdalej.

Umówił się z Hoszowskim, że wróci do niego po naszym wyjściu. Kazał Adzie namówić nas na spacer, i to w przeciwnym kierunku. Chciał widzieć, kiedy wrócimy i zadzwonić do mnie w odpowiedniej chwili. A także bał się, że możemy jeszcze zostać na tarasie, kręcić się koło domu, zobaczyć, jak wraca. Ada posłuchała.

Winiarski wrócił, otworzył mu czekający nań Hoszowski. Zagórski spał. Winiarski wcześniej jeszcze, podczas przyjęcia, zażądał od Hoszowskiego, aby zaaplikował Zagórskiemu jakiś lekki środek nasenny, w kawie czy w winie. Nie mógł się zgodzić, aby Zagórski wiedział o ich spotkaniu. Mogło mu to grozić de- konspiracją i Hoszowski lekkomyślnie uznał ten argument. Rozmowa była krótka. Hoszowski nie chciał się początkowo zgodzić na przedłużenie terminu załatwienia sprawy. Winiarski wówczas wrócił do zabójstwa w Hrubieszowie. Rozmawiali o nim. Hoszowski wyjął numer „Kamelii”, przesłany mu przez panią Murawską. Przechowywał

go w podwójnym dniu klatki papugi. Twierdził, że na podstawie danych, zawartych w artykule, a takie tylko dane przetrwały, nie można mu niczego udowodnić. Wtedy Winiarski zaproponował mu sztylet, jedyny opisany w artykule fragment kolekcji. Hoszowski skłaniał się do zgody, ale następny termin był niepokojąco krótki. Co więcej, Hoszowski zażądał, aby Winiarski spowodował natychmiastowy wyjazd Zagórskiego. Winiarski wyjął sztylet. Uderzył, kiedy Hoszowski siedział przy biurku. Uderzył z tyłu.

Potem zgasił światło i w ciemnym pokoju czekał, kiedy wrócimy ze spaceru. Zobaczył, jak wchodzimy na taras. Zadzwonił do mnie, tak że byłem przekonany, iż jest w domu. I zaraz potem zadzwonił po raz drugi. Liczył, że skrzek papugi skłoni mnie do działania. Wyszedł, zatrzasnąwszy kuchenne drzwi. Wypróbowaną już drogą przedostał się na sąsiednią ulicę.

Kiedy Ada zobaczyła, co się stało, zemdląła. Ale wiedziała także, że tym razem może być uznana za współniczkę. To ona wręczyła Winiarskiemu sztylet, ona odciągnęła nas od domu w chwili dokonania zabójstwa.

Winiarski osiągnął swój cel. Ale to był jego ostatni sukces.

— Teraz pewnie powiesz nam znowu coś o sobie — odezwał się po chwili milczenia Karolak. — Obiecałeś, że pokażesz nam sposób, w jaki trafiłeś na Winiarskiego. Jeszcze tej obietnicy nie spełniłeś.

— To prawda — zgodziłem się — ale teraz chciałbym nie przerywać już wątku. Wiem, że Ewa wolałaby nie wracać do tego, co działo się wczoraj wieczorem. Ale mimo wszystko powinnaś to opowiedzieć, choćby najkrócej. Proszę.

Ewa nie poruszyła się, patrzyliśmy na nią z wyczekiwaniem, wreszcie sięgnęła po szklanę, dopiła kawę, wyjęła z mojej paczki piastów jednego papierosa, Janusz zerwał się, by podać jej ogień. Zakrzuszyła się, ale paliła dalej.

— Wcale nie jest łatwo się przyznać — powiedziała wreszcie — że się jest idiotką. A ja postąpiłam jak idiotka.

— Nie mów tego, Ewuniu! — zawołał Janusz. — Byłaś mądra i dzielna.

— Tak — skinęła głową — jak Kubuś Puchatek. A ty występujesz w charakterze Prosiaczka. Jacek kazał mi zadzwonić do Warszawy, dowiedzieć się, dlaczego właściwie nie Winiarski zajął się papierami profesora. Dowiedziałam się, że przed dwoma miesiącami profesor zawiadomił Instytut, że Jan Tomczyk nie będzie współpracował przy drugiej, dokumentalnej części jego pracy. Natomiast na trzy dni przed swoją śmiercią zadzwonił do kierownika pracowni i powiedział mu, że rezygnuje również ze współpracy doktora Winiarskiego, natomiast nie wyklucza, że wróci do koncepcji udziału Tomczyka. Przyznam się, że nic z tego nie mogłam zrozumieć. Wróciłam więc do pracy, zabrałam się do teczek z dokumentacją, których do tej pory nie ruszaliśmy. I wpadłam na bardzo grubą teczkę z napisem: prace Jana Tomczyka i Emila Winiarskiego. W środku były dwa maszynopisy, upstrzone uwagami na marginesie, zakreśleniami w tekście, wszystko ręką profesora, czerwonym pisakiem. Byłam świeżo pod wrażeniem rozmowy telefonicznej, w której padły przecież te dwa nazwiska. Pomyślałam, że sprawa Tomczyka warta byłaby wyjaśnienia, że pójdę tym tropem i kiedy czegoś się dowiem, wtedy dopiero powiem o tym Jackowi. — Spojrzała na mnie niepewnie i dodała ze zniecierpliwieniem. — Mówiłam przecież, że zachowałam się jak idiotka. Pomyślałam, że powinnam przeprowadzić rozmowę z Winiarskim, który tak mi się ofiarowywał z pomocą w pracy. Znalazłam w książce jego numer i zadzwoniłam. Był zajęty, po kwadransie tak samo. Więc wykręciłam biuro napraw i dowiedziałam się, że telefon jest nieczynny od poprzedniego dnia, bo trwa naprawa głównego kabla. Z niczym mi się to, oczywiście, nie skojarzyło, nie wiedziałam nawet, że Winiarski wtedy twierdził, że telefonuje z domu. A po chwili zadzwonił do mnie sam Winiarski, z uniwersytetu. Kiedyśmy byli u niego, zapowiadał, że zadzwoni. Powiedziałam mu, jak idiotka, co jeszcze raz podkreślałam z naciskiem, że chyba wpadłam na ciekawy trop, który każe nam wrócić do Jana Tomczyka, że być może nie ma to większego związku z pracą profesora, ale powinno go zainteresować, ponieważ odnoszę wrażenie, że Tomczyk zdobył

się na jakąś dziwną intrygę między nim a profesorem. Znalazłam nawet prace ich obu z uwagami profesora. I jeszcze, żeby wszystko było jasne, dodałam, iż może to mieć jakiś związek ze śmiercią profesora. Byłam bardzo podniecona.

Winiarski sekundę pomilczał, a potem odpowiedział, także bardzo podnieconym głosem, że to mu się zaczyna układać w pewną całość. Znalazł mianowicie jakieś ciekawe listy na uniwersytecie, dowiedział się przypadkowo o kilku szczegółach i sam zaczynał dochodzić do wniosku, że powinien je przekazać milicji. Jeżeli więc zespolicmy nasze wysiłki — tak powiedział: zespolicmy nasze wysiłki — uda się nam być może to, co nie udało się milicji.

Teczki z dokumentami z uniwersytetu miał u siebie, zaproponował więc, abym zabrała prace jego i Tomczyka i zgodziła się na naradę w jego domu, jako miejscu spokojnym i niepozostającym pod niczyją obserwacją. Przepraszył mnie za tę propozycję, ale, jak powiedział, para prywatnych detektywów nie powinna przesadnie przestrzegać konwenansów.

Ja, oczywiście, chwyciłam teczkę, wsiadłam w taksówkę i po kwadransie byłam u niego.

— Jak mogłaś, Ewuniu —jęknął Janusz —jak mogłaś!

— Trzeba było zostać w domu i zatrzymać mnie siłą. Już mówiłam, co o sobie myślę. A wtedy myślałam o minie Jacka, kiedy się dowie, co też ja nie odkryłam. Winiarski na mnie czekał, nieco zdyszany, widać prawie biegł z Uniwersytetu. Przywitał mnie z entuzjazmem, pewnie przez cały czas bał się, że się rozmyślę. Nie doceniał mojej inteligencji. Posadził mnie w fotelu, chwycił teczkę, którą przywiozłam, i zaczął gorączkowo przeglądać notatki profesora, wyciągnął jeszcze jakąś kartkę, której przedtem nie zauważyłam, czerwieniał i bladł, mruzczał coś pod nosem, palił papierosa za papierosem. Chciałam mu przerwać, coraz mniej mi się to podobało, ale on machał tylko ręką, jakby odganiał uprzykrzoną muchę. Więc milczałam, zobaczyłam na skraju biurka te dwa tomy Maya, które pożyczał od Hoszowskiego, zaczęłam je przeglądać i powoli dochodzić do wniosku, że cała ta scena bynajmniej nie przypomina narady dwojga spragnionych prawdy ludzi.

Wreszcie Winiarski skończył i zaczął patrzeć na mnie dziwnym wzrokiem, takim zupełnie bezosobistym, jakby patrzył na przedmiot i zastanawiał się, co z nim zrobić. Byłam trochę zmieszana, powiedziałam byle co, że zapomnieliśmy o tym Mayu, kiedy byliśmy u niego z Jackiem w południe. On na to, dalej jakby nieobecny, mruknął, że już przeproszał Jacka za pomyłkę, zadzwonił zaraz po powrocie do domu. A ja, idiotka, zdziwiłam się, jak to możliwe, skoro dowiedziałam się, że jego telefon nieczynny jest od wczoraj. I dopiero kiedy skończyłam, zaczęłam rozumieć, co się dzieje. Winiarski zbladł, podniósł się, widać było, że podjął decyzję. Powiedział cicho, bardzo cicho, że ogromnie mu przykro, że żałuje, że w ogóle tu przyjechałam i wtrącam się w nie swoje rzeczy, ale on nie ma wyboru. Zarzucił na mnie koc, związał mnie, zakneblował. Wiele razy zdawało mi się, że tracę przytomność, że się duszę, nie wiem jak długo to trwało. Kiedy myślałam, że wszystko już skończone, zobaczyłam Jacka.

I w nagłym odruchu ujęła mnie za rękę i pozostawiła ją w mojej dłoni, a Janusz patrzył na to z niepokojem.

— Biedne dziecko — szepnęła pani Ala — to naprawdę okropne. Wyobrażam sobie, co pani musiała przeżywać.

— Wykazała pani zdumiewająco mało rozważi — przemówił Mrozowski. — To wielka szkoda, że nie poradziła się mnie pani przed wyjściem.

— Klemensie — upomniała go pani Wacia — przecież przechadzaliśmy się wtedy po parku Południowym, karmiliśmy łabędzie i opowiadałeś mi o zamachu w Sarajewie.

— No tak — rzekł Karolak — można więc powiedzieć, że przyjechałeś w ostatniej chwili.

— To prawda — stwierdził Grzywiński — nigdy jeszcze nie widziałem Jacka w takim stanie. Był blady, nieprzytomny z wściekłości. Myślałem, że otworzy Winiarskim drzwi, że zatłucze go na miejscu.

— Ale w jaki sposób pan do niego trafił? — spytała pani Ala.

— Byłam wtedy z Adą w kuchni. Słyszałam tylko, jak wypadł pan na dwór, aż trzasnęły drzwi. Ada też się tym zaniepokoiła, ubrała się szybko i pojechała.

Weszła Helena z nowym dzbankiem kawy. Nalałem sobie pełną szklanę.

— Muszę się przyznać, że wszystko to miało przebieg na tyle nietypowy, miejscami nawet dziwaczny, iż trochę trudno mi o tym mówić. Ale skoro mamy godzinę zwierzeń... Mówiłem już, że konieczne mi się wydało przeprowadzenie zdecydowanej eliminacji wątków niezwiązanych z zabójstwem profesora. Najprościej i najwcześniej udało mi się wyodrębnić wątek Janiaka i jego pomocników. Potem przyszła kolej na klejnoty. Pozostał już tylko trzeci wątek, wątek mordercy. To mi kiedyś doradziłeś — zwróciłem się do Grzywińskiego — w noc po śmierci Hoszowskiego, a ja tę radę uznałem za doskonałą, chociaż nie wiedziałeś o co mi chodzi.

Pojawił się jednak fakt przerzucający wyraźny pomost między wątkiem drugim — klejnotami, i trzecim — mordercą. Był nim sztylet wenecki. Klucz do prawdy Używając sztyletu, morderca chciał rzucić podejrzenie na Zagórskiego. Ale przecież, robiąc to, musiał, po pierwsze, znać historię klejnotów i istotę przetargu między doktorem Hoszowskim i Karoliną Murawską oraz jej przedstawicielami, po drugie zaś, musiał mieć dostęp do klejnotów, jeśli nie osobiście, to przez osobę trzecią.

Sztylet wenecki był więc dla mnie sygnałem, że istnieje bezpośredni związek między mordercą a jedną z osób reprezentujących Karolinę Murawską. W grę wchodzili Zagórski i Ada. Nie brałem z początku pod uwagę Ady. Myślałem o Zagórskim.

Sztylet wenecki, mający ukryć zabójcę, w ostatecznym rachunku wskazał mi go wyraźnie. Nie od razu jednak. Teraz zaś wkroczyć muszę w sferę wyznań nieco zaskakujących. Także i dla mnie.

Od początku, od chwili przyjazdu, miała ta sprawa dla mnie charakter wyjątkowy. Nie tylko dlatego, że chodziło o mego nauczyciela. Dlatego także, że rola, w jakiej się tu formalnie zjawiałem, zmusiła mnie do wspomnień, do zaczętych i niedokończonych rachunków sumienia, przypomniała mi z całą wyrazistością moje pierwsze lata po studiach, kiedy byłem

przekonany, że czeka mnie kariera naukowa. To, co robiłem tu jako historyk, absorbowało mnie podświadomie o wiele bardziej niż zadanie, jakie naprawdę miałem do spełnienia. Chodziło przecież o moją epokę, przypomniano mi — a zrobił to Winiarski — moje własne prace, odnalazł się list profesora do mnie, jako do swego ucznia przecie. Klejnoty, o które chodziło, stanowiły bezcenny, wprawdzie nie tyle z naukowego, co raczej emocjonalnego punktu widzenia, rekwizyt dla pracy profesora, pojawiły się przed laty także i podczas moich archiwalnych poszukiwań.

Nic więc dziwnego, że odległe plany czasu zaczęły mi się nasuwać na plan współczesny, że wydawało mi się chwilami, iż uczestniczę w historii będącej w jakiś sposób repliką, powtórzeniem tamtych odległych dziejów zaufania, zdrady, nienawiści i strachu. Zobaczyłem portret Franciszka Koronkiewicza — coś w jego twarzy wydało mi się znajome, nie, nie rysy, raczej to, co można w twarzy wyczytać o charakterze człowieka. I wreszcie list, list z archiwum Rościszewskich. Ów wysłannik ambasadora francuskiego, który demaskuje zdrajcę. Skojarzył mi się nieodparcie z wizytą doktora Dufoura. Dufour przyjechał z Nancy. W Nancy był Jan Tomczyk. Do Nancy wybierał się Winiarski. Poszedłem tym tropem nie dlatego, abym wierzył, iż oto rzeczywiście powtarza się historia — wydaje mi się, że jestem racjonalistą — ale mechanizm ludzkich działań powtarza się nieustannie, sposoby postępowania, układy, reakcje i namiętności nie zmieniają się; to był przypadek, wskazówka, padająca jednak na podatny grunt. Być może taką wskazówką stałaby się jakakolwiek inna, dotycząca dnia dzisiejszego aluzja, wzmianka, rozmowa. Ale faktem jest, że znalazłem ją — w liście kasztelana Jeziorkowskiego.

Z tego, co wiem, starałem się więc sobie zrekonstruować możliwą historię Winiarskiego, Tomczyka i profesora Kędzierskiego. I rolę doktora Dufoura w ustaleniu prawdy. Ta rekonstrukcja niewiele odbiegała od tego, co przed chwilą opowiedziałem. Ale była czysto hipotetyczna. Sam niezbyt w nią wierzyłem. Był przecież sztylet, sztylet wenecki! A nie

widziałem żadnego sposobu, aby związać Winiarskiego z Zagórskim i klejnotami. Ady wciąż jeszcze nie brałem pod uwagę.

Byłem więc w sytuacji, w której w zasadzie wiedziałem wszystko, lub prawie wszystko — bo nie przypuszczałem, że szczęście tak dalece nie dopisze Winiarskiemu, iż historia z jego telefonem wyda się dziecinnie łatwo — ale niczego nie byłem pewny. Wciąż brakowało mi owego związku między klejnotami a mordercą, związku, który symbolizował sżylet wenecki. Wciąż nie dopuszczałem udziału Ady w wypadkach.

Dom był pusty, wszedłem na piętro. Miałem wciąż przed oczami obraz Ady w sukience, którą włożyła po raz pierwszy od mojego przyjazdu. Stałem przy oknie, spojrziałem w dół. I wtedy, nagle, zobaczyłem ten obraz po raz drugi, z taką wyrazistością, jakbym oglądał fotografię. Kiedy przyjechaliśmy, zostawiłem rzeczy w pokoju, wyszedłem na korytarz. Ewa zajęła łazienkę. Stałem, jak wtedy, przy oknie. Na dole, pod drzewem, zobaczyłem mężczyznę, pogrążonego w rozmowie z młodą kobietą o jasnych, wysoko upiętych włosach, w kolorowej sukience. Była to rozmowa ludzi blisko z sobą związanych, takie rzeczy można rozpoznać z gestów, mimiki, po wielu drobnych a charakterystycznych szczegółach.

Wtedy, pierwszego dnia, Ada przebrała się i uczesała inaczej. Zrobiła to przypadkowo, ale to właśnie zbiło mnie z tropu. Przejadkowa także była ich rozmowa. W zasadzie spotykali się w mieście. Raz pojechałem z nią do centrum; kiedy dowiedziała się, że wejdę do Klubu Książki i Prasy, poszła w drugą stronę. W Klubie spotkałem Winiarskiego, a potem zobaczyłem Adę krążącą w pobliżu.

W tym jednym, krótkim momencie zrozumiałem wszystko. Poszczególne elementy złożonej historii klejnotów i obu morderstw w jednym błysku zbiegły się, jak mozaika w kalejdoskopie, w logiczną całość. Pomyślałem o Ewie. Na dole książka telefoniczna otwarta była na literze W. Czego mogła się dowiedzieć z telefonu do Warszawy? Zadzwoiłem do Winiarskiego. Potem do biura napraw. Usłyszałem to samo co Ewa. Nie miałem już wątpliwości. To wszystko.

Chwila ciszy — a potem gwar rozmów. Wstałem, przeciągając się, z szumem w głowie, zdrętwiały.

— O Boże! — wołała pani Wacia. — Jakaż ja byłam przerażona, kiedy pan Jacek, w czasie rozmowy u nas, wspomniał o klejnotach! O Boże, ja zemdlałam! Przez cały czas byłam przekonana, że Zygmunt w jakiś sposób zaplątał się w tę straszną historię, która skompromituje całą rodzinę, skompromituje Klemensa; on tak żywo zajął się sprawą kolekcji!

— Jesteś nieobliczalna — stwierdził Mrozowski — i ciągle nie masz do mnie pełnego zaufania. Wyjaśniłbym każdą historię — nie tylko tę. Zresztą ja nigdy nie wątpiłem w uczciwość Zygmunta.

— Ja także nie wątpiłam — wyznała pani Wacia — ale przeczytałam kiedyś, że nawet najuczciwszy człowiek ma jedną ciemną kartę w życiorysie!

— Jesteś kompletnie pozbawiona rozumu — stwierdził dobrotliwie Mrozowski i pani Wacia obraziła się śmiertelnie.

— Ewa powinna teraz odpocząć, przerwać pracę — mówił Janusz — ona najbardziej ucierpiała, ogłuszył ją Zagórski, wreszcie ta okropna historia wczoraj!

— To prawda — powiedziałem — ale prawdą jest także, że dzięki Ewie uzyskaliśmy przeciw Winiarskiemu dowody, którym nie mógł nic już przeciwstawić. Gdyby nie to, mielibyśmy tylko poszlaki. Hoszowski, jedyny świadek, nie żyje. Gdyby nawet wydał się plagiat, podstawy do oskarżenia o zabójstwo były niezbyt solidne. Dobry adwokat dałby sobie z nimi radę.

— A telefon? — spytał Karolak.

— Winiarski mógłby twierdzić, że dzwonił z budki, w okolicach domu — wtrącił Grzywiński — że wyraził się nieściśle, mówiąc, że dzwoni z domu, a nie spod domu.

— W każdym razie byłby skompromitowany — stwierdził Karolak.

— O to walczył, do tego nie chciał dopuścić. Przegrał.

— Co zrobiłby z Ewą? — spytał Janusz. Znowu zapadła cisza.

— To chyba jasne — powiedziałem niechętnie — pożyczylby

pewnie samochód od któregoś ze znajomych. Wywiózłby ją w ciemności nad rzekę...

— Przestańcie — powiedziała pani Ala — już dość. Już nie chcę słyszeć o tej sprawie. Ani słowa. Nigdy więcej.

Objęła bladą Ewę i pocałowała ją w czoło. Pani Wacia zrobiła to także.

— Wybierzemy się do miasta — oświadczył Janusz

— Ewie należy się rozrywka. Pójdziemy do kina i kawiarni.

— A potem na spacer w księżycową cudną noc — Ewa wzruszyła ramionami — nie pójdę do kina ani do kawiarni. Chociaż rzeczywiście marzę o wypoczynku.

I spojrzała na mnie wyczekująco.

— Wyjadę dziś wieczorem — powiedziałem — i tobie radzę to samo. Pracę profesora przygotujesz do druku po wakacjach. I tak teraz nie byłabyś w stanie nic zrobić.

— To prawda — powiedziała Ewa z ulgą. — Moi przełożeni na pewno to zrozumieją. I pani także — zwróciła się do pani Ali.

— Rozumiem — westchnęła pani Ala. — Teraz, kiedy okazało się, że Zygmunt jednak swoją książkę napisał, że będzie się mogła ukazać, kiedy jego zabójca oczekuje kary, tygodnie nie grają roli. Odpocznijcie, moje dzieci — dodała serdecznie — myślę, że się jeszcze zobaczymy.

— Pójdę się spakować — zawołała Ewa, już ze schodów.

— Ewuniu! — runął za nią Janusz. — Nie możesz tak odjechać!

I znikli oboje na piętrze.

— I ja się muszę już pożegnać — rzekł Karolak, podnosząc się. — Którym pociągiem pojedziecie?

O dziewiętnastej czterdzieści? Przyjdę na dworzec. Panią pozwolę sobie jeszcze odwiedzić — dodał, żegnając się z panią Alą.

— Bardzo pana proszę. Będę potrzebowała widoku życzliwych ludzi.

— Odprowadzimy was wszyscy — zdecydował Mrozowski — szkoda, że już wyjeżdżacie. Pusto tu będzie bez was, szczególnie teraz. Ale ja zajmę się domem i Alą. A więc na razie, panie docencie. Spotkamy się wieczorem, na Dworcu Głównym.

— Tym razem chyba nie stracę z tobą kontaktu — rzekł na odchodnym Karolak, zniżając głos — tym bardziej że, jak mi się wydaje, odnowisz swoje związki ze starym zawodem. Nie tylko osobiste.

I rozeszliśmy się. Słońce krwawo pobłyskiwało w oknach. Szczękały garnki w kuchni, pokrzykiwały dzieci w sąsiednich ogrodach. Helena wynosiła z hallu puste szklanki i pełne popielniczki.

Rozmawiałem jeszcze chwilę z Grzywińskim, aby ustalić szczegóły dalszego postępowania.

— Szkoda mi Ady — powiedział niewesoło, kiedyśmy się rozstawali. — Przyjdę jeszcze na dworzec.

— I mnie szkoda. Nic na to nie możemy poradzić.

Wszedłem do pokoju pani Ali. Podniosła się zza biurka.

— Wszystko stało się tak nagle — powiedziała — i tak szybko mnie opuszczacie. Ale przecież jeszcze was zobaczę? To nieprawda, że nie chcę już nigdy rozmawiać o tym, co zaszło. Chciałabym usiąść kiedyś z panem, wieczorkiem, kiedy nie będzie się nam spieszyło, pomyśleć jeszcze głośno, pomówić o Zygmuncie, o tym, co zrobił, jaki był. Mam wrażenie, że tylko z panem mogłabym być szczerą.

— Przyjadę wczesną jesienią — obiecałem. — Może z Ewą? Maszynopis i teczki profesora trzeba będzie wprowadzić na jakiś czas zabrać do Warszawy. Poprosimy docenta Karolaka, aby się tym zajął. Cel naszego tu pobytu został wypełniony. Zorientowaliśmy się w stanie pracy, wiemy, że jej publikacja jest możliwa. Reszta to szczegółowa, żmudna edytorska robota. Żałuję, że nie wezmę już w niej udziału. Ale będę w kontakcie z Ewą. I z panią.

— Jestem pewna, że nie mówi pan tego przez grzeczność.

I wtedy usłyszeliśmy wściekły krzyk Heleny. Pani Ala pierwsza skoczyła ku drzwiom, ruszyłem za nią. Mrozowski zbiegał po schodach. Wpadliśmy do kuchni. W progu korytarzyka stał Janiak, z głową wtuloną w ramiona. Helena wymachiwała ścierką, wydawało się, że lada chwila uderzy struchlałego nieszczęśnika.

— Ty łobuzie! Ty szelmo, małpo zabużańska, nieudałoto

zgniła, to tak się wywdzięczasz za dach nad głową, za ludzką pomoc, to wystarczy ci samego z domu wypuścić, żebyś wlał prosto do więzienia? To tak z chłopami, żeby ich jak dzieci piastować, to wstyd tylko przyniosą, hańbę taką?! Niedoczekanie twoje, myślisz, że będziesz dalej samopas chodził, że ja będę oczami za ciebie świeciła? Na zbity łeb pani cię wyrzuci, ale niech ci się nie zdaje, że zaraz nowe łajdactwo zrobisz, ty turku głupowaty, głąbie, zarazo, niedojdo!

I trzasnęła go ścierką na odlew.

— Helena — wołał, zasłaniając się — Helena, posłuchaj!

— Nie będę ja ciebie słuchała! Tę noc pani ci jeszcze przespać tu pozwoli, a jutro się pakujesz, jedziemy do mojej siostry w Sochaczewie, na drugi dzień za kark do urzędu i parafii zaprowadzę, a potem ja już zrobię z ciebie porządnego człowieka! Jak w zegarku będziesz chodził! Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — stwierdził potulnie. Wycofaliśmy się cichutko, jeszcze z hallu usłyszeliśmy odgłos uderzeń ścierką.

— No i w ten sposób zostałam sama — powiedziała pani Ala.

— Nie zostaniesz sama! — zaperzył się notariusz.

— Nigdy do tego nie dopuszczę!

A pani Wacia, która także przyciągnęła tu za małżonkiem, dodała stanowczo:

— Teraz pojedziesz z nami na lato do Klocka. W Klocku w lecie jest ślicznie! Wszystko kwitnie, wszystko! A jesienią przyjedziemy tu z tobą i będziemy gospodarzyli razem. Klemens jest na emeryturze, nic go w Klocku nie trzyma.

— Dziękuję wam — powiedziała po prostu pani Ala

— chyba tak zrobię.

I uściśnęły się z panią Wacią, pociągając nosem.

Wycofałem się więc na górę. Stałem przed otwartym oknem. Szumiał wiatr w gałęziach, pachniało skoszoną trawą. Aż tu było słyhać krzyk Heleny. Otworzyłem szafę, wyciągnąłem worek podróży. Wrzuciłem do niego piżamę, przybory toaletowe, książki. Wtedy zastukano do drzwi.

W progu stanął Janusz. Głowę miał pochyloną, w oczach twarde błyski.

— Nasza rozmowa będzie krótka i męska — rzekł zachrypnię-

tym głosem. — Ewa powiedziała mi wreszcie, co łączy ją z panem. Nie uważam, abyście postępowali ze mną uczciwie. Tak jest, nie uważam. Ale pozwolę wam wyjechać.

— Dziękuję — powiedziałem z ulgą.

— Nie potrzebuję pańskiej wdzięczności. Dam sobie radę. Jadę w Tatry, nie wyjdę z jaskiń do końca sierpnia. Tak reaguje prawdziwy mężczyzna. Pan nie umiałby tak postąpić.

— To prawda — przyznałem — nie wysiedziałybym do końca sierpnia w największej jaskini.

— Wiedziałem. Niech się pan nie zdziwi, że nie odprowadzę was na dworzec. I że nie podam panu ręki.

— Ale przynajmniej przyśle nam pan widokówkę z Zakopanego? — spytałem.

Spojrzał na mnie ponuro, wyszedł, zamknął drzwi. Ale w tej samej chwili otworzył je i zatrasnął z hukiem. Po sekundzie tak samo trzasnęły drzwi jego pokoju. Wtedy zajrzała do mnie Ewa.

— Ciężko było? — spytała ze współczuciem.

— Ciężko. Ale tobie przypadła trudniejsza część zadania.

Podeszła do mnie, a wtedy zapomniałem o Januszu.

Po pół godziny zeszliśmy na dół z walizkami. Janusz nie ruszał się ze swego pokoju. Z kuchni dochodziło monotonne pogadywanie Heleny i pokorne pomruki Janiaka.

— Nie wchodźcie tam — powiedziała pani Ala. — Ja też się w kuchni nie pokazuję. Do widzenia. Wyjadę niedługo do Kłocka, w jesieni będę tu znowu. Niech pan pamięta, panie Jacku, co mi pan obiecał.

— Pamiętam.

Zadzwonił telefon. Pani Ala podniosła słuchawkę.

— Do pana — powiedziała.

— Słucham, Joachim.

— Mówi Karolina Murawska. Poinformowana zostałam o tym, co dzieje się z moją córką, a także, gdzie mogę pana znaleźć. Chciałabym zobaczyć się z panem. Koniecznie.

— Niestety, to niemożliwe. Wyjeżdżam. Proszę skontaktować się z porucznikiem Grzywińskim i, od jutra, z kapitanem Olszewskim.

— Proszę pana, błagam, niech mnie pan zrozumie. Nie wiem, dlaczego moja córka związała się z tym człowiekiem, ale jestem całkowicie pewna, że to uczciwa dziewczyna. Jestem matką. Na niczym mi już nie zależy, tylko na niej. Gotowa jestem poświęcić cały mój majątek, żeby ją ratować. Odniosłam wrażenie, że jest pan człowiekiem, do którego można mieć zaufanie. Jestem zrozpaczona. Niech mi pan coś poradzi, niech mi pan pomoże.

— Tylko jedno mogę pani poradzić. Proszę wziąć najlepszego adwokata i być dobrej myśli. Ja także jestem przekonany, że pani córka jest w gruncie rzeczy uczciwą dziewczyną, która padła ofiarą łajdaka, i stwierdzę to we wszystkich materiałach śledztwa. Tylko tyle mogę pani powiedzieć i tylko tyle mogę zrobić. Do widzenia pani.

— Dziękuję panu, serdecznie panu dziękuję. Nigdy panu tego nie zapomnę. Proszę mi wierzyć...

— Obawiam się, że to naprawdę wszystko, co mogliśmy sobie powiedzieć. Proszę się także zastanowić i nad tym, czy pani, jako matka, która wychowała swoją córkę, jest całkowicie bez winy. Żegnam panią.

Odwiesiłem słuchawkę. Pani Ala i Ewa patrzyły na mnie w milczeniu. Patrzyłem chwilę na zalany przedwiecznym słońcem taras, zdawało mi się, że lada chwila ukaże się na nim szczupła sylwetka Ady, że usłyszę jej niski głos, zobaczę ironiczne błyski w spojrzeniu ciemnych oczu...

— Jesteśmy gotowi! — zagrział z piętra Mrozowski. — Ruszamy!

I poprowadził nas ku furtce, w jasnym garniturze, w kapeluszu przepasanym błękitną wstążką. Za nim dreptała jego małżonka, na końcu Ewa z panią Alą i ja, ze swoim workiem, walizką Ewy i czołem zlanym potem. W furtce pożegnaliśmy się raz jeszcze z panią Alą, a Mrozowski, ujrawszy nadjeżdżający samochód, wykrzyknął radośnie:

— Taksówka!

I wskoczył z rozpędem na jezdnię. Rozległ się przeraźliwy pisk hamulców i jasna syrena, z białym kółkiem po zielonym liściu na szybie, zatrzymała się o centymetry przed wydatnym

brzuszkim notariusza. Wskoczył z niej starszy pan w okularach i zawołał ze zgrozą:

— Co pan... Co pan... Co pan robi, proszę pana!

— A pan?! — wykrzyknął notariusz. — A pan, proszę pana? O mało mnie pan nie prze... nie prze...

Tu zamarł głos notariusza i wpatrzył się Mrozowski w starszego pana w okularach, a pan w okularach wpatrzył się w niego.

— Czy to możliwe... — zawołał jeden.

— Czy to możliwe... — powtórzył drugi.

— To... to Kuba! — ryknął notariusz. — Wacia, Ala, to Kuba!

— Kle... Klemens! — wybuchnął starszy pan. — Kuzyn Klemens!

I skoczył ku drzwiczkom, zwracając się do dostojnej damy, piszącej coś pracowicie na miejscu obok kierowcy.

— Janka! — zawołał — Janka! Zobacz, kuzyn Klemens.

— Widzę, że kuzyn Klemens — odpowiedziała z godnością małżonka — ale daj mi skończyć krzyżówkę. Bóg egipski na dwie litery? Spytaj kuzyna Klemensa, może on wie.

Obaj panowie posunęli się ku sobie i wzięli w objęcia.

— Trzydzieści lat! — powtarzali. — Trzydzieści lat!

Pamiętasz w Sniatynie? Pamiętasz w Załuczu? — Gdzie wy teraz, co wy teraz... Trzydzieści lat!

— Ra! — szepnąłem małżonce kuzyna Kuby, zbliżając się do samochodu.

— Dziękuję! — ucieszyła się. — Teraz się mogę przywitać!

— Tu mieszkamy, niedaleko, na Powstańców — mówił kuzyn Kuba.

— A my, od jesieni, będziemy mieszkać tutaj — wtórowała mu pani Wacia.

— Nareszcie! Co za bridże będą, jakie rozgrywki! Trzydzieści lat!

Nawet nie zauważyli naszego odejścia. Tylko pani Ala pocałowała Ewę w czoło, patrzyła potem długo za nami, i tak ją zapamiętałem, szczupłą sylwetkę z uniesioną ręką, w długiej perspektywie ulicy wypełnionej przedwiecznym światłem.

Na dworcu huczały megafony, nad betonowymi peronami

drżało rozgrzane powietrze. Przy wyjściu na trzeci peron ujrzeliśmy w tłumie Karolaka. Stał przy nim wysoki, szczupły blondyn, w dżinsach, o pociągłej, opalonej twarzy.

— To jest Jan Tomczyk — powiedział po prostu Karolak. — Przyjechał niedawno, odwiedził mnie w domu. Za pół godziny spotka się z twoimi współpracownikami. Już wie, co się stało. Chciał cię zobaczyć.

— I ja chciałem pana zobaczyć — powiedziałem.

— Najsmutniejsze jest w tym wszystkim to — rzekł Tomczyk niskim, przyjemnym głosem — że wcale mi na tej pracy nie zależy. Nie będę robił kariery naukowej. Zostałem przyjęty na reżyserię filmową i nic innego mnie nie interesuje. Nie żał mi Winiarskiego. To łajdak. Żał mi tylko bardzo profesora. Żałuję teraz, że nie przyjechałem, kiedy mnie wezwał. Nie wiedziałem, o co mu chodzi, byłem jeszcze rozgoryczony. Nie umiem usprawiedliwiać się ani tłumaczyć.

— Na to liczył Winiarski — powiedziałem. — Na czym, jak na czym, ale na znajomości ludzi mu nie zbywało.

„Pociąg pospieszny do Warszawy odjedzie z toru szóstego przy peronie trzecim. Proszę wsiadać, drzwi zamykać” — zachrypiął megafon.

— Powiedziałem, żebyś robił u mnie doktorat — odezwał się Karolak — i ja tę propozycję podtrzymuję. Będę w Warszawie we wrześniu. Daj mi swój adres.

— Masz wizytówkę — powiedziałem. — Pamiętam o twojej propozycji i traktuję ją poważnie.

— Myśli pan, że zrobimy jeszcze z niego człowieka? — spytała z powątpiewaniem Ewa. — Postaram się panu pomóc.

— Liczę na panią bardziej niż na niego.

Z tłumy wyłonił się Grzywiński, spocony, zdyszany.

— Jednak zdążyłem — sapał — podobno przyjechał już Tomczyk.

— Oto on — wskazałem z ukłonem. — Porucznik Grzywiński, magister Tomczyk. Musimy się już pożegnać. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

— I ja mam tę nadzieję — skłonił się Tomczyk.

— Olszewski jutro przyjeżdża — powiedział Grzywiński — a

dziś przysłał dwie depesze, które nadeszły na twój prywatny adres. Proszę.

Otworzyłem blankiety. „Kiedy przyjedziesz. Stop. Hanka”. I drugi: „Wróciłam z Bułgarii podobno dzwoniłeś czekam na telefon Alina”.

— Coś ważnego? — zaniepokoiła się Ewa.

— Nie — odpowiedziałem — nic ważnego. Zatrzymaj to. — Zwróciłem depesze Grzywińskiemu. — Nie zdążyłeś mi ich oddać, prawda? Do widzenia.

— Proszę wsiadać! — wołali konduktorzy.

Karolak trącił mnie nieznacznie, wskazując głową przeciwny brzeg peronu. Przez tłum czekających na pociąg do Szczecina przepychał się profesor Wojtasiewicz, z dwiema ciężkimi walizkami i kocem zarzuconym na kark, prowadząc równocześnie uczonego jego małego palca Kajtka.

Za nim podążała jego miła małżonka z bordową torebką, przewieszoną na pasku przez ramię.

— Nie pędź tak, Karolku! — wołała. — Nigdy nie śpię w slipingu, muszę się oszczędzać, i tak będę zmęczona!

Ostatnie uściski dłoni, zajęliśmy miejsca w pustawym przedziale pierwszej klasy, stanęliśmy w otwartym oknie. Zapaliły się zielone światła w semaforach, pociąg ruszył. Pokiwaliśmy ręką odprowadzającym, potem patrzyliśmy w milczeniu na przesuwane się przed nami ulice miasta, zieleń podmiejskich ogrodów.

— I co teraz? — spytała Ewa.

— Wakacje — odpowiedziałem.



We własnej willi zostaje zamordowany profesor historii.

Milicja powierza jednemu z jego dawnych studentów, Jackowi Joachimowi, zadanie wtopienia się w środowisko rodzinne ofiary i odnalezienia zabójcy. Śledczy, wspomagany przez młodą historyk Ewę, natrafia wkrótce na ślad zaginionego sztyletu weneckiego, unikatowego przedmiotu, którego historia sięga daleko wstecz w rodowodzie profesora i osób z jego otoczenia

Tymczasem słoneczna willa staje się niemyim świadkiem rozgrywek pomiędzy znajomymi profesora, z których każdy jest potencjalnym podejrzanym. Kolejne niewyjaśnione i niebezpieczne dla życia śledczych zdarzenia jasno wskazują, że wśród zgromadzonych znajduje się przestępca, który w celu zdobycia tytułowego sztyletu nie cofnie się przed niczym.

lesiojot

ISBN: 9788375063691



9 788375 063691